

Antologia SF

Różni

Książka VI z Wizje Alternatywne



calibre 0.9.43

Wizje alternatywne
Antologia polskiej fantastyki
6

Wybór
Wojtek Sedeńko
SOLARIS
Stawiguda 2007

„Wizje alternatywne 6”

Copyright © 2007 by Wojtek Sedeńko

ISBN 978-83-89951-62-5

Projekt i opracowanie graficzne okładki

Grzegorz Kmin

Korekta *Bogdan Szyma*

Skład *Tadeusz Mieszko*

Wydanie I

Agencja „Solaris”

Małgorzata Piasecka

11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

tel./fax (0-89) 541-31-17

12 nowych prekognitów

Mijają właśnie 3 lata od wydania poprzednich „Wizji alternatywnych”. Dużo się zmieniło w polskiej fantastyce przez te trzy lata. Bardzo dużo.

Przez ten czas pisałem o boomie, dzisiaj mamy już chyba przesilenie tego zjawiska. Takiej liczby debiutów, wydanych książek i opublikowanych opowiadań jak w ostatnich dwunastu miesiącach nigdy dotąd nie było. Polska fantastyka leży dzisiaj wszędzie: w marketach, kioskach prasowych, stolikach ulicznych i na salonach księgarskich. Piszą o niej poważne dzienniki, tygodniki, bębni radio i pokazuje telewizja. Nie są to może informacje rzetelne, pełne, ale polscy fantaści są obecni w mediach i nikt temu nie zaprzeczy. Tylko...

No właśnie, mam tylko takie wrażenie, że fantastyka wcale jednak nie trafiła na salony intelektualne. Niby wszystko jest tak, jak sobie wymarzyliśmy w późnej komunie, ale jeśli się dobrze przyjrzeć temu zjawisku, to zauważymy, że o fantastyce nadal piszą „nasi” ludzie, a nie tzw. główna krytyka. Ona w ogóle nie zwraca już uwagi na SF czy fantasy. O ile kiedyś zajmowała się nią pod kątem ukrytych znaczeń w prozie Zajdla czy futurologią Lema, to dzisiaj całkowicie te gatunki ignoruje. Recenzuje się jeszcze Sapkowskiego, ale to wszystko. Niby polska fantastyka jest obecna w mediach, tylko wciąż mam wrażenie, że to jedynie getto trochę się poszerzyło, a bramy ma jeszcze szczelniej zatrzaśnięte niż dawniej.

Pisano już o tym po artykule Dukaja w „Nowej Fantastyce”, pokrzyczano, ponarzekano - głównie na autora szkicu - poboksowano, oszczędzając przeciwnika i sprawa ucichła. Nikt nie doszedł do żadnych konstruktywnych wniosków. Z częścią też wspomnianego artykułu się zgadzam, z innymi nie, nie miejsce tu i czas, by dokładać swoje trzy grosze. Niewątpliwie mamy jednak w polskiej fantastyce sytuację, z jaką dotąd się nie spotkaliśmy.

Jest kilku wydawców specjalizujących się w rodzimej literaturze fantastycznej, są czytelnicy, którzy chcą ją czytać, jest dobry klimat wokół niej, tworzony przez portale internetowe i liczne konwenty miłośników fantastyki. Na nich bywają młodzi autorzy i razem ze swoimi - równie młodymi - czytelnikami dyskutują, planują, wymieniają opinie. Z peletonu czytelników co chwilę wyrywa się jakiś nowy literat, zadebiutować jest łatwo, więc po kilku miesiącach ma na rynku książkę, często od razu powieść. Poprawia się w niej niewiele albo w ogóle, daje kolorową okładkę i pisze blurb w stylu hip-hopowym, mający się do treści jak pięść do nosa, ale obiecujący niewiarygodne przeżycia. Od razu taki pisarz ma grono konwentowych zwolenników, co książkę kumpla kupią, ba, trwa nawet swoisty handel - można zostać jednym z bohaterów literackich. I tak kwitnie ta fánowska twórczość, kiedyś wypełniała fanziny, dzisiaj zalega księgarnie. Tworzy też fałszywy obraz polskiej fantastyki.

Ja widzę na rynku coraz więcej książek płaskich, by nie powiedzieć błahych, opowiadających historie o... no właśnie, o niczym. Niby nic nowego w świecie książki - na Zachodzie to zjawisko bardzo powszechne - trzeba się z tym pogodzić, ale człowiek wychowany w przeświadczeniu, że literatura to coś więcej, niż najlepiej nawet opowiedziana historia, zżyma się na takie praktyki.

Powoli zbliżamy się też do modelu rosyjskiego, gdzie moda na rodzimą fantastykę została

wypracowana już dawno temu i właściwie żaden przekład nie jest w stanie przebić - nawet słabej i głupiej - fantastyki krajowej, np. takiego Gołowaczewa.

Ten boom na rodzimą twórczość nie jest zjawiskiem wyłącznie getta fantastycznego. Mamy boom na polską kulturę w ogóle. Kręci się więcej filmów, słucha się polskiej muzyki, czyta polskich pisarzy. W narodowej literaturze nagle obrodziło pisarzami; piszą kryminały, marynistykę, obyczaj, romanse, literaturę dla dzieci i młodzieży. Jeszcze w latach 80. nie mieliby szansy zaistnieć na rynku. I w każdym gatunku jest podobnie - mnóstwo książek, ale rzeczy wartościowych mało.

W fantastyce jednak, która ma zorganizowane środowisko bezkrytycznych odbiorców, brak dobrze napisanej recenzji czy opinii powoduje, że większość autorów nie rozwija się. Częściowo przez łatwość publikacji, co może się wydać paradoksalne - oni nie mają czasu dopracować swoich utworów, przemyśleć ich, skomplikować, zapętlić fabuły - pisać trzeba szybko, bo wydawca naciska. A entuzjastyczne komentarze w Internecie - bo trudno je nazwać recenzjami - usypiają ich czujność.

Twierdzę, że z wielu tekstów opublikowanych w ostatnich dwóch latach dałoby się wyciągnąć więcej. Tym autorom nie brak talentu, ale książka, a już na pewno powieść, wymaga czasu. Proces twórczy to nie machanie łopata, wszystko trzeba przemyśleć, a nie siadać do komputera z marszu, mając ledwie konspekt utworu. Wiele książek tak właśnie potem wygląda.

Jest jeszcze jeden aspekt sprawy, jakby pomijany w rozważaniach o polskiej fantastyce. Mówiąc o miałości utworów literackich trzeba wspomnieć o kryzysie odbioru w ogóle. Mamy powolny, ale stały upadek nie tylko kultury, ale wręcz tożsamości kulturowej i narodowej. Macki globalizacji i tu sięgnęły - liczy się (ze względów ekonomicznych) tylko kultura masowa, schlebianie jak najpowszechniejszym gustom, media właściwie tylko do tego nakłaniają. Coraz rzadziej o czytelnika, który wobec przeczytanej właśnie lektury ma jakieś pytania, zgłasza pretensje bądź nadzieje. To jak z kolorowymi magazynami, ludzie je czytają, ale nic z tego w głowach nie zostaje (bo i niby co miałyby zostać). Wszystko jest nieważne. Obojętność zabija. Już nie tylko przechodzimy obojętnie wobec drugiego człowieka, ubóstwa, tragedii, jesteśmy obojętni wobec sztuki, wobec wszystkiego, co nas otacza. Czasem tylko jakiś zryw puszczony zaraz w niepamięć (kibice piłkarscy po śmierci papieża), czasem jakaś moneta wręczona wstydliwie żebrakowi...

Mnie boli - gdy biernie czytam wypowiedzi pisarzy na różnego rodzaju forach lub przysłuchuję się im na konwentach - brak czytania choćby w elementarnym kanonie SF czy fantasy. Wyczuwam, że te młode wilki tego nie potrzebują. Po co im Le Guin, Dick, Żelazny, Aldiss - to dinozaury.

Denerwuje mnie, gdy zarzut o błahość pisanej dzisiaj prozy odbija się, mówiąc, że dzięki ich książkom młodzi ludzie chociaż czytają. Toż to nie argument. Człowiek musi czytać, inaczej wróci na drzewo. Ale czytając rzeczy wyprane z ważnych treści, pozwalające wyłączyć w czasie czytania proces myślenia, także wróci na drzewo. Tylko trochę później.

Ale - na szczęście - w każdej dziedzinie życia można znaleźć coś dla siebie. Są w polskiej fantastyce autorzy, których czytać zawsze warto. Szkoda że wielu zaprzestało pisania, niektórzy twórcy obecnego boomu - np. Ziemiański - także dawno niczego nie napisali.

Do tych „Wizji” udało mi się nakłonić do napisania opowiadania Marka Baranieckiego, autora legendarnej już „Głowy Kasandry”, drugi oddech złapał Andrzej Zimniak, z wielką satysfakcją odnotowuję reaktywowanie się Marka Huberatha i marsz ku górze Łukasza Orbitowskiego. Ma wrócić do pisania Wiktor Żwikiewicz, a ten nigdy się czytelnikom nie kłaniał.

„Wizje alternatywne” obyć się muszą w tym roku bez opowiadania Jarka Grzędowicza, zawsze mocnego punktu w repertuarze - mam nadzieję, że to tylko jednorazowa przerwa. Cóż, kiedyś pisał

bardzo mało i tylko opowiadania (był taki czas, że publikował je wyłącznie w „Wizjach”), ale odkąd przeszedł na zawodowstwo nie można go oderwać od pisania powieści. Nie udało mi się nakłonić też do powrotu Marka Oramusa, chociaż już już wydawało się, że jakiś tekst napisze.

Bardzo silny zrobił się autorsko Poznań, w tym tomie aż trójka z Wielkopolski - Iwona Michałowska, Wojtek Szyda i Maciej Guzek - miło obserwować rozwój tamtejszego środowiska.

Stale obecni są ostatnio na tych łamach Krzysiek Kochański, Iza Szolc i Maja Lidia Kossakowska. Krzysztof nie pisze ostatnio dużo, ale wyraźnie nie wyobraża sobie życia bez pisania, z czego ja skwapliwie zawsze korzystam. Iza publikuje z kolei dużo, próbuje różnych gatunków literackich. Zawsze jednak poszukuje trudnych i interesujących tematów. Maja do Wizji #4 napisała krótką powieść „Zwierciadło”, która bardzo mi przypadła do gustu i przez kilka lat namawiałem ją do powrotu do tego świata. Udało się, efekt znajdziecie w tym tomie.

Drugie opowiadanie publikuje u mnie Joanna Kułakowska, jej temat wschodni bardzo mi leży (poprzednio było to epitafium pamięci Bułyczowa w wykonaniu Grzędowicza).

Na koniec dwóch autorów, którzy w „Wizjach” po raz pierwszy (nie licząc Iwony Michałowskiej i Maćka Guzka). Piotr Witold Lech to autor, który w pewnym momencie częściej publikował u Czechów, niż w Polsce. Nie mógł znaleźć uznania wśród rodzimych redaktorów, a może była to kwestia tego, że uprawiał mniej popularne wtedy fantasy. Teraz chyba utrafił w gusta redaktorskie i czytelnicze.

A krótkie opowiadanko Rzymowskiego przypomniało mi nieco klimat powieści Kelly Link, które bardzo lubię. Brakuje w Polsce tego rodzaju historyjek, klimatycznych, nastrojowych i niesamowitych, mam nadzieję, że przypadną Państwu do gustu.

Mija siedemnaście lat, odkąd złożyłem pierwsze „Wizje”. Wliczając w to monotematyczną „Czarną mszę”, jest to siódma antologia polskiej fantastyki. Znalazło się w nich wielu pisarzy, kilka opowiadań weszło już do kanonu. Tak sobie myślę, że zawsze będzie w naszej fantastyce trochę dobrych utworów, wartych wyłowienia i zebrania w jednym miejscu. Czego czytelnikom, sobie i innym selekcjonerom z całego serca życzę. Do zobaczenia za parę lat, zobaczymy, co wtedy będzie miała do zaoferowania polska fantastyka.

Wojtek Sedeńko, Olsztyn 17 maja 2007 roku

Andrzej Zimniak

**Randka
z Homo sapiens**

Pisarz, publicysta i naukowiec (chemik), ur. w 1946 r. w Warszawie. Wydał 10 książek: 8 zbiorów opowiadań i 2 powieści. Literacki debiut przypada na rok 1980 - pierwsze opowiadanie „Pojedynek” ukazało się w tygodniku *Politechnik*, do dziś opublikował w czasopiśmie i książkach 72 utwory. Książki: *Szlaki istnienia* (NK 1984), *Homo determinatus* (Poznańskie, 1986), *Opus na trzy pociski* (Iskry, 1988), *Spotkanie z wiecznością* (NK, 1989), *Marcjanna i aniołowie* (Poznańskie, 1989), *Samotny myśliwy* (Alfa, 1994), *Klatka pełna aniołów* (Prószyński, 1999), *Lowcy meteorów* (Sorus, 2000), *Śmierć ma zapach szkarłatu* (Fabryka Słów, 2003) oraz *Biały rój* (WL, 2007). Opowiadania Zimniaka znalazły się także w 12 antologiach. Jego utwory były publikowane w językach czeskim i białoruskim, a przekłady angielskie i francuskie są przygotowane do wydania.

Od roku 1991 członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Autor ponad 100 esejów, artykułów i felietonów popularnonaukowych. Autor ponad 40 eksperymentalnych prac naukowych i patentów w dziedzinie chemii, bywalec konferencji i zjazdów. Od 1997r. współorganizator Festiwalu Nauki w Warszawie, inicjator wydania i redaktor książki „Inżynieria genetyczna - u progu nowej ery” (CUN PAN, Warszawa 2000).

Zimniak twierdzi, że świat jest zbyt ciekawy, żeby poprzestawać na jednym zajęciu, stąd jego zainteresowania: pisanstwo, nauka, publicystyka, fotografia, podróże, nurkowanie i eksploracja wulkanów. Więcej informacji o autorze na jego oficjalnej stronie <http://zimniak.art.pl/>.

W prezentowanym opowiadaniu „Randka z Homo sapiens” świat technologii jest w pełni symetryczny do biologicznego, gdzie wszelkie, nawet najbardziej obce sobie organizmy najpierw badają się, a dopiero potem pożerają, pasożytniczo wykorzystują lub wchodzą w symbiozę. Właściwie oba te światy zlały się w jeden: nie ma już ścisłych granic między biologicznym i technicznym, naturalnym i sztucznym, swoim i obcym. Przemiana nastąpiła tak niedawno i szybko, że nawet dzieci wciąż pamiętają świat, który jeszcze dało się nazwać, lecz nikt nie wie, co było jej przyczyną. Najczęściej powtarza się dwie hipotezy: albo nastąpił eksplozywny rozwój sztucznych inteligencji, albo na Ziemię dotarła obca forma inteligentnego życia.

Ból wydłubuje mu szpik z kości, tnie zęby, wylupia oczy i wyszarpuje je z oczodołów rwąc powróśla nerwów. Ustaje tak nagle, że S'Al krzyczy - dopiero wtedy krzyczy, bo przedtem zaciska szczęki z siłą imadła. Nagle ma wrażenie, że właśnie wypadł z toru wyścigowego, po którym wleczono go z ogromną prędkością, i teraz został wtłoczony pod powierzchnię letniej i gęstej cieczy, która objęła, znieczuliła i wessała zmaltretowane ciało.

Gdy ból uderza ponownie, bardziej szarpie umysł niż nerwy. Przy trzecim ataku S'Al słyszy jakieś słowa, ale uznaje, że mu się zdawało, więc odrzuca je. Sam chce coś powiedzieć, i wtedy stwierdza, że nie ma ust. Do licha, więc jakim sposobem poprzednio krzyczał? Czy dusza może krzyczeć?

Dopiero wtedy przychodzi prawdziwy lęk i wzbiera w piersi lodowatym strumieniem. Przypomina sobie brata. Przypomina sobie, że coś było przed tym pieprzonym pierwszym bólem, coś znacznie gorszego niż przemijające cierpienie.

Po kolejnym cyklu, który jest już śmiesznie łagodny, coś jak masaż i kąpiel, głos rozbrzmiewa zupełnie wyraźnie. Kobięcy, głęboki, troskliwy.

- Jestem PH'daf Siódma, czy słyszysz mnie, *Homo elegans*? Mówię po raz kolejny: postaraj się i daj mi znać, że słyszysz i rozumiesz, człowieku. Zależy mi na tym, więc skoncentruj się, proszę.

Naprawdę daje z siebie wszystko. Napina mięśnie tak mocno, że ścięgną szyi tężeją w bolesnym skurczu. Poruszając na boki szczękami rozrywa błonę sklejącą wargi i próbuje mówić. Ma głęboki głos ze świetną dykcją, zupełnie jakby mówił za niego ktoś inny.

- Jak PHijka prosi, nie powinno się zwlekać. Słyszę i pojmuję twoje słowa, tylko nie rozumiem, skąd... czy... może zostałem restaurowany?

Zapada cisza. S'Al odczuwa narastające przerażenie - wie, że za chwilę jego mózg zapętlili się w histerii.

- Nie!! - Głos Siódmej tnie jak skalpel i w ostatniej chwili przerywa proces autopobudzania. - Wszystko jest w porządku, *Homo S'Albigab*. Przebywałeś na leczeniu witalizacyjnym, twoje ciało uzupełniłam tylko zwykłą fortyfikacją genetyczną. Ubezpieczenie *post-malum* dla *Homo sapiens* nie pokrywa zabiegów restaurowania, dobrze o tym wiesz.

- Więc dlaczego jakiś... *Homo elegans*?

Odwleka, jak długo się da, najważniejsze pytanie. Próbuje się rozejrzeć, ale zachlapanie krwią ścianki witalizera uniemożliwiają dostrzeżenie czegokolwiek.

- Och - odpowiada po chwili - nadałam ci tę nazwę dla rozrywki. Nasza praca jest ścisła w większości aspektów, więc w celu utrzymania własnej psychicznej homeostazy wymyślamy dla niektórych pacjentów zabawne przydomki. Gdybyś wielokrotnie ulegał wypadkom, a ja bym za każdym razem składała i fortyfikowała twoje ciało, mógłbyś żyć wiecznie, jak nicienie *Caneorhabditis elegans* w wersji *dauer superior*. Taka jest geneza, gdyby cię to interesowało.

S'Al słyszy wyjaśnienie PH'daf Siódmej, przyjmuje je i natychmiast o nim zapomina. Poci się i jest mu słabo. Nie może dłużej zwlekać.

- Co... z nim? - pyta drewnianym głosem.

- Z nim...? - powtarza Siódma jak echo.

- Mój brat - chrypi. - S'Erden! Pamiętam, jechał ze mną, prowadził. Gdzie jest?!

Tym razem Siódma nie pozwala sobie na zawieszenie głosu. Właściwie mówi bez przerwy.

- Popatrzmy na twoje parametry, *Homo S'Albigab*, są w porządku, dochodzisz, tak naprawdę już doszedłeś. Otwieramy teraz wieko witalizera, uważaj, przepraszam za to jaskrawe światło, ale masz ubezpieczenie podstawowe, a przydział czasu się kończy. Polecenie: oddychaj! Cóż, aplikujemy elektrowstrząs, i jeszcze jeden, mocniejszy. Uderzyłeś się o ściankę, nic nie szkodzi, to się zagoi, ale za to chwyciłeś haust powietrza, już oddychasz. To dobrze. Więc S'Erden prowadził ten archaiczny samochód, powinni zakazać ich używania, zbyt szybko i bez zachowywania należytej ostrożności. Zbliżył się niebezpiecznie do pojazdu *OberMenscha* Elwi K, inaczej mówiąc w momencie zero proksowane prawdopodobieństwo spowodowania groźnego wypadku przez S'Erdena wyniosło 99,998%, ze skutkiem letalnym dla *O'Menscha* szacowanym na 83%. W takiej sytuacji fajterlajfer pojazdu Elwiego K przejął inicjatywę i zadziałał według obowiązujących procedur. Wiem, że to co mówię jest ważne, ale właśnie odłączamy od twojego serca opiekuńcze kardiophyllum i dalej musisz radzić sobie sam. Nie bije? Okay, uważaj, częstujemy cię stukilową grawipięścią samuraja prosto w splot słoneczny, i jeszcze raz. Wiem, to boli, ale musi, bo trzeba uaktywnić szlaki transmisji nerwowych w organizmie *Homo elegans*. Wracając do *O'M* Elwi K, naprawdę było mu przykro, że w trakcie realizacji standardowej procedury przeciwwypadkowej jego fajterlajfer w chwili zero zniszczył wasz samochód i zabił pasażerów, używając broni pokładowej. Osoby winnej spowodowania wypadku nie obejmuje żadne ubezpieczenie, więc w trakcie dezintegracji silnika i masywnych fragmentów karoserii stożek rażenia wielokrotnie omiatał kierowcę, i nie był to błąd w procedurze. Ostrzegam cię, *Homo S'Al*, że umrzesz powtórnie i nieodwracalnie, jeśli mentalnie nie pomożesz w uruchomieniu własnego serca! Myśl teraz o sobie, brata nie wskrzesisz, zostały po nim ledwie pojedyncze komórki do identyfikacji tożsamości. Daruj, ale muszę wyjąć cię z witalizera i rzucić o sufit - może się potłuczysz, może stracisz przytomność albo rozbijesz sobie głowę, ale zapewne cię zamroczy i wtedy, miejmy nadzieję, świadomość zostanie zdominowana przez pierwotną wolę życia. Skorzystajmy z szansy tej niezwykle prostej i, co istotne w twojej finansowej sytuacji, taniej kuracji. No tak, rozbiliśmy nos i zwichnęliśmy kciuk, ale serce ruszyło! Naprawdę cieszę się, że będziesz żył, *Homo elegans* Albigab.

* * *

Nie przysługiwała mu już ani jedna nanodrobina lekarstwa i ani jeden kwant terapii radiacyjnej, chyba że nastąpiłoby bezpośrednie zagrożenie życia. Więc przewracał się w błękitnobiałej pościeli, wdychając powietrze o ledwie uchwytnym zapachu ozonu i fiołków, a następnego dnia *PH'daf* Siódma oznajmiła, że może zostać wypisany i użyła grzecznościowej formuły pytając, czy zechce skorzystać z tej możliwości.

- Zgadzam się, jasne - burknął. Oczywiście nie miał wyboru, ale też było mu naprawdę wszystko jedno, gdzie bezproduktywnie spędzi następne dni. Dotychczas jeździli z bratem starym chevromasterem, trochę ścigali się z automatami *O'Menschów*, a czasem wypuszczali się aż do dystryktów agroponicznych, wybierając oczywiście te najbardziej przyjazne, i poprzez kaskady szablastych liści przyglądali się niestrudzonej pracy rodzin mechopterów. Co teraz będzie robił?

- Twoja depresja należy do lekkich i nie powinieneś się nią przejmować, młody człowieku. Jest niegroźna dla podstawowych procesów życiowych, więc nie mogę ci nic zaaplikować.

- Ja nie przejmuję się depresją, Alko. Ja ją po prostu mam - odburknął.

Poczuł pieczenie po powiekami. Jego brat S'Erden został usmażony laserem, odparowany, rozpylony na atomy. Dranie wiedzieli, że i tak nie będzie mógł skorzystać z ubezpieczenia, więc się nie patyczkowali.

- Nie nazywaj mnie w ten sposób - pouczyła go chłodno PH'daf. - Twoja inteligencja jest równie sztuczna czy naturalna jak moja, tyle że moją klasyfikuje się jako *Post Hutnan*, zaś twoją jako *Sapiens*. Nie powinieneś nikogo obrażać określeniem *artificial*, S'Al.

- Przepraszam, nie to miałem na myśli. W naszym codziennym języku... ech, wszystko jedno. Chciałbym się już ubrać.

- Twoje nowe ubranie znajduje się w foliowym worku pod łóżkiem. Nie musisz za nie płacić, kosztą pokryło ubezpieczenie.

Szybko wciągnął spodnie i bluzę ze standardowego biowłókna. Zacisnął zęby i poczekał, aż ustanie mrowienie. Buty dopasowywały się jeszcze dłużej, przemieszczając gładź futrówki i laskocząc go w stopy. Nie cierpiał tego organicznego paskudztwa, ale wiedział, że w klinice nie może liczyć na nic innego.

Wyprostował się nieco zbyt szybko i dopadł go zawrót głowy, więc musiał chwycić się poręczy łóżka. Mimo to ekstens najwidoczniej zakwalifikował człowieka jako ozdowieńca i odezwał się, generując mikrowibracje we wnętrzu małżowiny usznej.

- Czy sir *Homo sapiens* Albigab zechce rozmawiać z lady *Homo sapiens* Malinere? Czy może sir wyraża życzenie, aby najpierw przełączyć go na tenora w celu uzupełnienia lub pozyskania danych?

- Czyś ty zgłupiał, ekstynku?! - zachnął się S'Al. - Zdażyłeś zapomnieć o konfigu osobistym?

- Ależ nie - kontynuował miękko głos PH'ijki. - Pan przeszedł restaurację, sir, więc może zechce ustanowić nową konfigurację...

- Nie, do cholery! Byłem tylko witalizowany po wypadku. Masz się natychmiast zresetować do ostatnich ustawień domyślnych, jasne?

- Sie robi, Albi, jak wolisz. Wydzwaniała ta mała czarnula z Botanicznego, jarzysz? Chcesz z nią gadać?

S'Al mocniej wsparł się na poręczy. Usiłował rękawem obetrzeć pot z czoła, ale socjalny biomateriał po zewnętrznej stronie miał fakturę zbliżoną do kory sosnowej. Malinere? Najpierw zatrzepotała w nim radość, ale zaraz potem zląkł się. To przecież nie jego brat dzwoni, oznajmiając jak zwykle niedbale, że mógłby podjechać za kwadrans, bo właśnie ma wolną chwilkę. Tych wolnych chwilek mieli sporo, tak naprawdę składał się z nich cały dzień i spora część nocy. Teraz niewyczerpywalny wolny czas Erdena skurczył się do nicości, do nieświadomego trwania kilku wysmażonych komórek, dopóki i te nie zgniją w miejskiej kanalizacji. S'Al miał chęć schować się przed światem, zakopać się w szpitalnej trupiosinej pościeli, przespać wszystkie zagrożenia, prawdziwe i skonfabulowane. Czego właśnie teraz chce ta mała siksa?

Kilka razy wciągnął powietrze, rozciągnął płuca do bólu. Może jednak powinien z nią porozmawiać, choćby po to, żeby dała mu spokój. Kochał się w niej od kilku lat, ale to było co innego - podobały mu się jej pończochy, ozdobione złożonym wzorem, odcinające się od szarości ogrodowych ścieżek i zaplatające wokół siebie jak dwa jaszczurcze ogony, gdy zakładała nogę na nogę, siadając z książką zawsze w tym samym miejscu, pod spatynowanym pomnikiem Beethovena. Często nadkładał drogi, żeby zajrzeć do parku, a ona prawie zawsze była na swojej ławce, kiedy tylko świeciło słońce, i uśmiechała się dyskretnie, nie podnosząc głowy znad stronic, gdy przechodził

niby przypadkiem. Skąd wiedziała, że strzelał ku niej spojrzeniami? Jego starszy brat w końcu wszystko popsuł, bo zwyczajnie podszedł, jak gdyby nigdy nic, i zapytał ją o wynik wczorajszego meczu. Tak po prostu, jakby była którąś z jego kumpelek z baru. To stało się na dzień przed tą ich cholerną kraksą. Pewnie przyważył, że Al stale się na nią gapi, więc chciał pomóc braciszкови, którego miał za dzieciucha. Ech, Erden był niezłym babiarem, stale sprowadzał ludzkie amjuzerki i rznął je w swoim pokoju, aż jęczały sprężyny wyra, a kilka razy zwabił nawet *O'Mensche*, spragnione egzotyki spółkowania z *H'Sapiensem*. Ale ona, ta dziewczyna z Botanicznego - musiała też być *Sapiens* - więc ona po tym pytaniu Erdena uśmiechnęła się szeroko, do licha, trochę za szeroko, i pokazała swoje białe zęby. O tak, usta miała szerokie jak brzegi garnka, a w nich kwadratowych zębów ze dwa razy za dużo, może jakaś mutantka? Ale pończochy włożyła takie jak zawsze, robione na jaszczurczą skórę, a nogi miała naprawdę niczego sobie. Erden kiedyś mówił, że do kobiety można też podejść od tyłu, więc jej zębów nie musiałby wtedy oglądać. Do licha, problem jednak był, bo teraz telefonowała...

- Ekstens!

- Słucham, S'Al - zabrzmiał aksamitny głos. Wydawało się, że wypływa ze środka czaszki.

- Nie bądź taki... kobiecy, mów normalnie. No, ta Malinere może zadzwonić. Albo nie, ja to zrobię - zdecydował zdesperowany. - Łącz!

Sygnal wywołania ćwierkał i ćwierkał, widocznie jej ekstens pytał o zgodę. Po co? Przecież sama się do niego dobijała.

- Tak...? - odezwała się w końcu. - To ja, S'Mal, pamiętasz...?

- Pewnie. Coś nie tak? W ogóle nie widzę twojej fanty.

- Zaraz... Już włączyłam.

Pokazała się mgielka holo, a w niej zawieszona kobieca postać. Ekstens dał prawidłowy najazd na twarz, zgodnie z lokalnym koningiem S'Ala. Kto teraz wyłącza fanty?, pomyślał. Kochankowie - w akcji, mutanci - zawsze, może jeszcze starcy - czasami. Czemu ona?

S'Malinere nie wyglądała na mutantkę. Powieki pociągnęła karminem, jej policzki błyszczały świecącym pudrem, nawet zęby nie raziły tak jak za pierwszym razem. Nagle dotarło do niego z przeraźliwą jasnością, że ta dziewczyna jest teraz jedynym znanym mu człowiekiem z gatunku *Homo sapiens*, a może także jedynym oprócz niego w całym dystrykcie Molina. Ludzie jak on byli rzadkością, więc nie powinni tracić między sobą kontaktu.

- Musimy się spotkać - oznajmił. - Zaraz opuszczę szpital. Będiesz na swojej ławce w parku, S'Malinere?

Wytrzeszczyła oczy.

- Och, tylko nie to - jęknęła. - Nigdy!

S'Al zmieszał się, poczuł ciepło rumieńca na policzkach.

- Dlaczego? Mój brat... on...

Spuściła wzrok.

- Nic z tego, S'Albigab, nie weźmiesz mnie na litość, nic z tego. Wiem wszystko!

Teraz wwiercała się w niego dzikim wzrokiem wystraszonego zwierzęcia.

- To znaczy, co? - odparł zaczepnie.

- Tyle, ile trzeba! To właśnie chciałam ci powiedzieć, dlatego dzwoniłam. Chcę powiedzieć: daj mi spokój i idź swoją drogą. Jesteś śmieszny, z tymi swoimi zachłannymi spojrzeniami gówniarza, którym przecież jesteś. W parku zawsze nagapiałeś się, i to musiało starczyć ci do wieczora, kiedy

zamykałeś się w kiblu i trzepałeś wała. Może nie?!

- Ty cholero - wykrztusił. Dlaczego go obrażała? Czy baby tylko po to najpierw kokietują, żeby potem przyłożyć na odlew?

- Rzucasz wyzwiskami, dżentelmenie? - warknęła, mrużąc oczy. - Dobrze radzę: omijaj mnie z daleka! Przywalaj się do amjuzerek, gnojku, to towar w sam raz dla ciebie. A gdybyś łąził za mną, ściągnę na ciebie bebidolkę, obiecuję. Uważaj, bo wiem, jak to się robi!

Odwróciła się i pochyliła głowę. Jej wąskie plecy, opięte czarną bioskórą, drgały spazmatycznie.

- Wariatka! - rzucił ze złością. - Nie chcę z nią więcej gadać!

- Przyjąłem - poinformował ekstens, przerywając połączenie. S'Al był przekonany, że powiedział to kpiącym tonem.

* * *

Gdy wyszedł przed szpital, musiał przymknąć oczy, bo szkliste powierzchnie, filtrując i załamując światło słońca, rozrzucały tysiące barwnych refleksów, generowały rozbłyski, fosforyzujące mgły i ruchome zasłony. W pobliżu ktoś stał nieruchomo - S'Al rozpoznał policjanta.

- Kim jesteś? - zapytał tamten, nie ruszając się z miejsca.

S'Al też się zatrzymał. Już dawno się nauczył, że w takich przypadkach lepiej poczekać. Nic się nie stało, więc powiedział ostrożnie:

- Czy nastały takie czasy, że policjant musi pytać o tożsamość *Homo sapiens* Albigaba, witalizowanego po wypadku przez *Post human* dał Siódmą?

Funkcjonariusz przez chwilę spod daszka czapki kierował na niego niewidzące spojrzenie, więc S'Al nadal stał nieruchomo. Potem skrzywił usta, co zapewne miało oznaczać uśmiech, a jego oczy ożyły.

- Nie musi. Ale może sprawdzać prawdziwość zeznań. Możecie iść, obywatelu.

Chłopaka nie trzeba było namawiać. Ruszył w podskokach, pogwizdując. Czuł siłę i sprężystość odnowionego ciała. Mijał śluzy do sklepów, parantelariów i orginajzerów, ale wszedł tylko do małego Sevinblu, żeby kupić coś do jedzenia. Kasjer długo badał jego linie papilarne i wzór tęczówki, aż wreszcie polecił mu wziąć do ust próbnik DNA.

- To nie potrwa długo, panie *Homo sapiens* Albigab, ale dla bezpieczeństwa pańskiego konta muszę mieć pewność - odezwał się maszynowym głosem. Widocznie rzadko mówił, dlatego w jego instalacji nie przewidziano naturalnego modulowania. - Uprzedzam, że powinien pan poczekać w tym miejscu do zakończenia analizy.

S'Al usadowił się w fotelu i włączył holo wiadomości. Wiedział, że jakkolwiek dyskusja ze zwykłym kasjerem jest bezcelowa. Przebiegł wzrokiem relacje z płatnych obowiązkowych gier, zabaw oraz zawodów *O'Menschów* i obejrzał zwyciężczynię, która zdobyła główną nagrodę i mogła żyć dostatnio po kres swoich dni.

- Taka sobie scjentomadzika, a udało jej się - mruknął z zazdrością.

Roześmiana twarz rudej kobiety znikła, a na ciemnym tle zagnieździł się napis:

„Uwaga. Prawdopodobieństwo wojny w dystrykcie Cario w ciągu najbliższej godziny wynosi 75%. Proszę wszystkich obywateli o przygotowanie się do ewentualnego zastosowania procedury ewakuacyjnej. Ta informacja została wygenerowana przez NetProxSystem”.

- Do licha - mruknął S'Al. - Co z moim DNA? - zwrócił się do kasjera.

- Informuję, że prawidłowe zwolnienie z oczekiwania na identyfikację następuje dopiero w chwili ogłoszenia czarnego alarmu - poinformowała maszyna. - Uwaga, są już wyniki. Test kwalifikuje się jako pozytywny. Informuję, że wykryta wariacja genowa wynosi tysięczną część procenta. Teraz wprowadzam do CeBanku komplet zmodyfikowanych danych. Dziękuję za cierpliwość, panie S'Albigab. Do rychłego zobaczenia w sieci naszych przyjaznych sklepów!

S'Al wymruczał przekleństwo i wypadł na ulicę, która przywitała go znajomą wonią gnijących resztek organicznych, kanalizacyjnego szlamu, wilgotnej gleby i mięty. Chociaż dystrykt Molina zaliczany był do przyjaznych dla H'Sów, S'Al rozejrzał się bacznie, bo zawsze mogło się coś przypętać. Nawet *O'Mensche* nie rozumieli wszystkiego i nie potrafili wytłumaczyć, czy na przykład zmory typu horrangeli generowane są przez stochastycznie oszalałe *Post human* dafy z dystryktów, czy pochodzą z indywidualnych symulacji ziemskich lub kolonijnych, czy może mają źródło w obcych bytach ewolucyjnych lub przybywających z otwartej przestrzeni. Świat technologii stał się w pełni symetryczny do biologicznego, gdzie wszelkie, nawet najbardziej obce sobie organizmy najpierw się badają, a dopiero potem pożerają, pasożytniczo wykorzystują lub wchodzą w symbiozę. A właściwie oba te światy zlały się w jeden: nie było już ścisłych granic między biologicznym i technicznym, naturalnym i sztucznym, swoim i obcym. Przemiana nastąpiła tak niedawno i szybko, że nawet S'Al, choć tak młody, dobrze pamiętał świat, który jeszcze dało się nazwać. S'Al nie wiedział, co było bezpośrednią przyczyną przemiany, i nie miał pojęcia, czy ktoś inny wie. Jego brat S'Erd przypuszczał, że nastąpił eksplozywny rozwój sztucznych inteligencji, albo na Ziemię dotarła obca forma życia. Teraz już nie miał z kim porozmawiać o tych sprawach.

Łzy spływały mu do gardła, czuł ich słony smak. Trzepnął się dłonią w twarz, raz i drugi.

- Ty cholerny mięczaku - mówił urywanym szeptem - ty gnojku! Po matce nie mazałeś się, więc dlaczego teraz, po bracie? Takie jest to cholerne życie, jedni przychodzą, drudzy muszą odejść. Przyzwyczajaj się, czniaj wszystko, niedługo ty sam zabierzesz się stąd w diabły!

Ulicą przemknął lśniący tytanową blachą pojazd *O'Menschów*, rozbryzgując wiecznie gromadzące się tutaj, na dnie miasta, błoto o konsystencji rzadkiego szlamu. Pod estakadą, głucho wibrującą od wytężonego ruchu gdzieś w górze, panował mrok, więc S'Al przeszedł na drugą stronę, kierując się do pustego kwartału. Przeskoczył pas rozmięklej ziemi i ruszył znajomą ścieżką pośród zrudziałych traw. Był głodny.

- Nie idź tędy - odezwał się w głębi jego ucha łagodny głos ekstensa. - Sugestia nakazująca proksa Molina.

S'Al natychmiast zatrzymał się i cofnął o krok. Od czasu transformacji miał szczęście mieszkać w dystrykcie przyjaznym *Homo sapiens*, więc nigdy nie lekcewał spontanicznych ostrzeżeń proksa. W przeszłości takie sugestie kilka razy uratowały mu życie.

Nic się nie działo, więc skierował się w bok, chcąc trawą obejść trefne miejsce. Poruszał się powoli, aby w porę zareagować na kolejną wiadomość.

Grzmot zadudnił wokół, jakby dochodził spod ziemi. Potem gleba poruszyła się i pękła pośrodku placu, a gwałtowny wstrząs zwałił S'Ala z nóg. Chlusnął cuchnący szlam, spod potoków błota wynurzył się tępy dziób, a za nim obły wierzchołek autonomicznego schronu. Szara powierzchnia metalu była powgniatana i fakturą przypominała liszajowatą skórę kaszalota, wynurzającego się z morskiej toni.

Jeszcze zanim rozwarły się drzwi schronu, zabrzmiał świdrujący pisk syren, a niebo pokryła pulsująca białoczarne szachownica świetlnych znaków. I nagle zaroilo się wokół od *O'Menschów*,

wyrastali jak spod ziemi, wysypywali się z błyskawicznie nadjeżdżających pojazdów, lądowali ze świstem w grawilotach, które uderzały w podłoże z głuchymi plaśnięciami jak ryby, wypadające z nadmorskiego tornada.

S'Al podniósł się, lecz pędzący tłum odrzucił go na bok. Wielka, rozczochrana kobieta tak przyłożyła mu łokciem w żebra, że stracił oddech i znów runął jak długi.

- Z drogi, cholerna małpo - warknęła i pognęła za ostatnimi *O'Menschami*, znikającymi w rozwartym metalowym pysku schronu.

- Masz dwie sekundy, S'Al - poinformował go proks. - Jedną... Już nie wejdiesz. Teraz lepiej nie ruszaj się, ułóż się na ziemi zupełnie płasko. Aproksymuję twoje szanse przeżycia: od 60 do 99%. Podaję szeroki zakres, bo natura konfliktu w sąsiednim dystrykcie Cario nie jest dobrze znana.

Drzwi schronu zatrasnęły się i urządzenie, generując niskie wibracje, zapadło w błotniste podłoże. Wypchnięte bokami strugi śmierdzącej mazi strzyknęły na wysokość kilkunastu metrów, a jedna z wirujących w powietrzu pecyn błota trafiła chłopaka prosto między łopatki. Jęknął, bo paraliżujący ból od stłuczonego, a może i pękniętego żebra na nowo rozpełzł się po klatce piersiowej. Bezwładnie leżał na ziemi, opierając policzek o szczotkę wyschniętej trawy. Niebo na zmianę rozpalało się oślepiającym blaskiem i pograżało w ciemności, pulsowało coraz szybciej, czemu wtórował przeraźliwy wrzask syren o świszczących, sięgających ultradźwięków częstościach. S'Al zacisnął pięści i czekał. Dlaczego wszyscy zdążyli, a on jeden leży tu jak idiota, czekając na śmierć? Tylko dlatego, że jest parszywym *H'sapiensem*? Nieprawda, bo ta wiewióra Malinere na pewno siedzi bezpieczna na dnie któregoś ze schronów. Taka nie zginie, przeżyje nawet *O'Menschów*.

Pisk syren przeszedł przez najwyższe rejestry, torturując uszy, po czym zanikł. Czarna zasłona zasnuwająca niebo pękła i odpłynęła, ukazując idylliczne obłoki na szmaragdowym tle. Wbrew pozorom, właśnie w tej chwili zaczynało się najgorsze. S'Al wstrzymał oddech i zacisnął pięści.

Przez kilka sekund nic się nie działo. Potem nagle z rykiem generatorów poderwały się do lotu dwa ciężkie pojazdy, porzucone na jezdni przez *O'Menschów*. Chłopak wcisnął twarz w ziemię, piasek zazgrzytał mu między zębami. Ale przecież nie on był celem, takie małe nic jak *Homo sapiens* nie mogło mieć żadnej wartości taktycznej w starciu potęg, roszczących sobie prawa do kolejnej enklawy nowego świata. On mógł tylko zginąć przypadkowo, w wyniku idiotycznego zbiegu okoliczności, jak jakaś durna żaba, przełaząca przez szyny w tym najmniej odpowiednim momencie, kiedy właśnie przetacza się po nich pociąg.

Próbował zmusić się do myślenia o rzeczach przyjemnych, więc przywołał obrazek z lat dziecięcych: plaża pełna opalonych ludzi, wszyscy *Homo sapiens*, całe ich mrowie! Jasny gruboziarnisty piasek, przezroczyste morze, latawce trzepoczą ogonami z kokardek. Nie, nic z tego, myśl uparcie nawraca do chwili obecnej, do wojny, do zagrożenia, do bólu po stracie brata. Gdyby S'Erden był tutaj, nie dopuściłby do tego, co się wydarzyło - teraz siedzieliby w bezpiecznym schronie, w przewiercającym się przez piasek stalowym krecie, odłączonym od wszelkich kabli, światłowodów, kierunkowych wiązek informacyjnych, izolowani od fal radiowych i akustycznych. I żaden odprysk starcia w sieci i jej urządzeniach peryferyjnych, żaden destruktywnie modulowany sygnał nie miałby prawa do nich dotrzeć. Teoretycznie mógłby, ale prawdopodobieństwo wynosiło jeden do miliona. Niech tam, teraz spuściłby na jeden do tysiąca!

Porwanych przez jedną z walczących stron pojazdów nie było już słyszeć, za to z daleka dobiegło kilka odgłosów zderzeń, kończących się brzękiem rozsypywanego szkła i łoskotem upadających

masywnych brył. Potem napłynął swąd spalenizny, ostry i drażniący, wydzielany przez rozkładające się w żarze polimery.

- Boże, uchronź od horrangeli - wyszeptał chłopak, modląc się do Boga, w którego nie wierzył, jednak w chwilach największych zagrożeń zawsze Jego błagał o łut szczęścia. Pokonując ból w stłuczonej piersi, przycisnął dłonie do uszu. - Jeszcze tylko małą chwilkę, proszę, niech nic się nie dzieje. - S'Alowi przemknęło przez głowę, że oto w majestacie praw supercywilizacji powróciły średniowieczne czasy, kiedy prawdziwe szczęście polegało na tym, żeby nic się nie działo.

Rzeczywiście, jego szanse rosły z każdą sekundą. Ostatnie wojny nie trwały nawet minuty, a najdłuższa, jaką pamiętał sprzed lat, ciągnęła się przez kwadrans i przyniosła tak ogromne zniszczenia, że potem usuwano je miesiącami. Drapieжник, jeśli w starciu kłów i pazurów wyczuje silniejszego, przerywa walkę i odsłania brzuch, mawiał S'Erden. W ten sposób uznaje zwycięstwo przeciwnika, który dalej nie atakuje, bo już nie ma takiej potrzeby. Wojny są wzajemnym próbkowaniem nowo powstałych inteligentnych instalacji i układów, powodują ewolucyjne zmiany systemu supremacji i wprowadzają świat na kolejny poziom dynamicznej równowagi. Minimalizacja zniszczeń jest nie tylko wskazana, lecz wręcz konieczna.

Horrangle wykorzystywały czas pozbawiony jurysdykcji, kiedy stary układ już nie istniał, a nowy jeszcze nie powstał. Czas poza prawem, okres wyjęty z kalendarza, chwile spędzane w innej rzeczywistości - te pojęcia, znane z historii, a wynikające z niedoskonałości rachuby czasu, teraz znów mogły zaistnieć z innych powodów, a mianowicie - przerw w ciągłości homeostazy. Sama końcówka starcia i chwila po jego zakończeniu, moment resetowania i reparametryzacji PHijek, to była temporalna szczelina, sekundy niczyje, i właśnie wtedy do rzeczywistości wciskały się tak dziwne twory, że nikt nie potrafił ich zdefiniować. Redundancje systemu inteligentnych centrów? Zdeglomerowane złośliwe programy, spajające się przy pierwszej sposobności? Niekontrolowana podświadomość inteligencji *Post human*? Obcy, żerujący na bólu i trwodze? Wszystko jedno, obce czy swojskie, inwazyjne byty karmiły się takimi doznaniem, jak furia alkoholików w białej gorączce czy ekstaza dzieci, topiących koty w szambie lub obrywających trzmielom skrzydła. Horrangle tworzyły bardzo ludzkie inscenizacje, więc było oczywiste, że obserwowane efekty ich działań stanowiły translację na zrozumiały dla człowieka system pojęć. Dopiero wtedy, jak cierpliwie wyjaśniał młodszemu bratu S'Erden, reakcje ludzi osiągały oczekiwany poziom i zadowalały intruzów.

S'Al wciąż kurczowo przyciskał dłonie do uszu, ale TO usłyszał. Jak łoskot gromu zabrzmiał dziecięcy, ciepły, potworny śmiech, odbijający się donośnym echem od ścian szklanych wieżowców. Jeśli Bóg istniał, tym razem najwyraźniej postanowił zrezygnować z prawa łaski.

* * *

Z różowej mgły zaczęły wyłaniać się jakieś kształty, dobiegały go niewyraźne głosy. Czyżby znówu był witalizowany? Nie, bo leży w błocie pod mostem, a między zębami zgrzyta piasek. Mimo tego rozmawia, tak, ponad wszelką wątpliwość rozpoznaje swój własny głos. W pobliżu jest jakaś kobieta, która prowadzi z nim konwersację. He-he, ładna mi konwersacja: urywane, niedokończone zdania, właściwie wypluwane z wysiłkiem strzępki zdań. Ale ona jest, podtrzymuje mu głowę, chusteczką ściera brud z twarzy, czy raczej go rozmazuje. Struga czarnych włosów, szerokie usta, kwadratowe zęby. S'Malinere?!

- Rozszarpała mnie - mówi jego głos. - Roz-szar-pa-ła. Wiem, że to nie ty...

- Nie ja - odpowiada kobieta z przydechem, jakby miała kłopoty z chwytnością powietrza. -

Chyba nie dałeś się na to nabrać, nawet nie wiem, skąd się biorą bebidolki. A ty?

- Nikt... nie wie. Nawet S'Erden nie wiedział. Patrz!

Jego ramię unosi się, czuje ciężar, jakby coś dźwigał, ale nie rejestruje bólu. Spozstrzega nabrzmiałe garby świeżych blizn, podobne do przeschniętego mielonego mięsa, i zbiera mu się na wymioty, ale ten facet, który mówi w jego imieniu, jest chyba w niezłej formie.

- Cholera... - mruczy kobieta.

- Już mogę się ruszać - stwierdza uspokajająco. Uspokaja ją, tego kurwiszona! - Urwała mi rękę, zwyczajnie wydarła mi ją z tułowia swoimi grubymi paluchami, widziałem to na własne oczy. Najpierw...

- Mów, słucham cię.

- ...walnęła mnie jakimś rulonem, jakby długą rolką cienkiej blachy, zadrukowanej na kolorowo. Poleciałem w bok i zemdlałem, ale obudził mnie diabelny, nieziemski, pieprzony ból. Nigdy w życiu... - głos tego człowieka, który był nim, zadrgał. S'Al czuł ucisk w gardle.

- Dlaczego...?

- Przecież nikt nie wie! - burknął. - Ona... nie dała mi zemdleć, coś robiła, chyba mogła regulować upływ krwi i ból, nie wiem. Ale krew i tak bryzgała, widziałem rozdierane mięśnie, wyciągane sznury ścięgien, gruchotane kości.

- Przestań! Dosyć!

- Daj skończyć! Zrozum, ja też próbuję coś z tego pojąć. Więc ona kazała... kazała mi iść po rękę, miałem aportować swoją własną rękę! Przedtem rzuciła ją w błoto, tutaj, pod ten most. Miałem ją sobie przynieść i przyprowadzić! Zrobiłem to, byłem posłuszny, bo nałożyła na mnie jakieś znieczulenie, więc nie za bardzo bolało, tylko zbierało mi się w żołądku. Podniosłem własną rękę jak kawał rzeźnickiego mięcha, była ciężka... Przystawiłem ją do glutów skrzepu, a wtedy ona... zaczęła przyrastać. Wiem, że to brzmi jak bredzenie w delirium, ale właśnie tak wyglądała ta cholerna zabawa i nic na to nie poradzę. Ale jeśli naprawdę działo się coś zupełnie innego, a mnie tylko wklejono w mózg te scenki, to skąd wzięły się zwały świeżych blizn? One tu są, przecież mogę ich dotknąć, ty też. Ręką da się ruszać, bólu nie czuję, tylko słaby opór. Coś mi może doprawiła, żeby wyglądało jak blizny, a reszta to zwidy, nie? No, powiedz coś!

- Bardzo cierpiełeś. I to się liczy.

Wzruszył ramionami. Od chwili przebudzenia rozpoznawał swój głos, ale dopiero teraz zaczął wyczuwać ruch warg. Kończył się proces scalania jaźni i jednoczenia z cielesnością. Poraniony duch wracał do pokancerowanego ciała.

- Masz tutaj pasmo siwizny - powiedziała, wyciągając dłoń, ale zatrzymała ją w pół ruchu. Spojrzała mu prosto w oczy i w jej wzroku nagle pojawiło się przerażenie. Cofnęła rękę, zakryła nią usta i krzyknęła, po czym zerwała się i odskoczyła. Odwróciła się i puściła się pędem przed siebie, rozbryzgując błoto. Jej pończochy w jaszczurczy wzór mignęły gdzieś daleko między kolumnami i znikły, a po chwili ucichł też szybki stukot obcasów. Z mostu kapiała woda i było zimno.

S'Al był już w pełni sobą. Zsunął bluzę i obejrzał drugą rękę - wydawała się cała i zdrowa, bez blizn i zniekształceń. Za to prawa... Nieważne. Liczy się funkcjonalność, a poruszać mógł obydwoma.

Coś jest w tej kobiecie, coś, co wiąże się właśnie z nim. Łatwo mogła dowiedzieć się o

wypadku, chociażby przez tenora, ale dlaczego przyszła? A potem uciekła, jakby zobaczyła diabła, gdy tylko zaczynał panować na ciałem, budził się z letargu? Trzeba ją znaleźć i wy badać, o co tu chodzi.

Próbował wstać, ale zaraz zwałił się ciężko, rozchlapując pleśniejącą breję. Wymruczał przekleństwo, ale nie dał za wygraną. Udało się dopiero za trzecim razem. Od kolumny do kolumny, często odpoczywając, ruszył przed siebie. Wychodziło mu coraz lepiej.

* * *

W restlinku było gęsto od papierosowego dymu, ale poza S'Alem nikt się nie krztusił, ponieważ fizjologia *O'Menschów* funkcjonowała na wyższym poziomie. Złorzeczył po cichu, żeby nie narazić się jakiemuś gburowi. Dopóki nie wynaleziono tych wszystkich usprawnień i nie zaczęto masowego restaurowania ludzi, palenie w miejscach publicznych było nielegalne!

Zamówił tradycyjne chmielowe piwo i usiadł przy cielistoróżowym stoliku, który stopniowo konwertował się na indygo. Pobliska ściana synchronicznie niebieszczała, kolor przesiąkał przez nią i rozlewał się jak atramentowa plama. S'Al tarł łzawiące powieki i kłął, nie przestając przy tym rozmyślać o S'Malinere. Czego się bała?

- Restman...? - zawołał półgłosem.

- Twoje zamówienie jest w drodze, S'Al. - Odpowiedź dobiegła natychmiast z blatu stolika. - Czy może chciałeś zapytać o coś innego?

- Właśnie. Masz może wolną lożę?

Tym razem była zwłoka, i choć nie wyniosła nawet połowy sekundy, *Homo'S* odczuł ją boleśnie. W takich momentach nie tyle myślał o dyskryminacji, ile wyraźnie uświadamiał sobie swój status. Był archaicznym egzemplarzem, stworzeniem, które normalni ludzie - we własnym mniemaniu i według kryterium większości - pokazują sobie palcami, albo straszą nim dzieci.

- Tak - brzmiała odpowiedź. - Jednak twój socjal jest w tym miesiącu już zbyt szczupły, a musi jeszcze wystarczyć na parówki, bułkę i dżem. Przykro mi, bracie, ale nie mam prawa pozbawiać cię podstawowych środków do życia.

- Macica - warknął S'Al i podniósł się. Wyszedł na taras, a stamtąd do ogrodu. Wszędzie stały kolorowe stoliki. Odetchnął chodnym powietrzem.

- Słucham? - Głos restmana płynął za nim, otaczał mu głowę, brzęczał jak chmara owadów.

- Hasło z krzyżówki, tak mi się przypomniało - odburknął. - Cały dzień się głowiłem: miejsce, w którym kobieta ma jaja. Lodówka nie pasowała, za długie hasło. Widzisz, taki *HS* mózdzek, a wymyślił!

Teraz cisza trwała całą sekundę, podczas której *Schadenfreude* Albigaba rosło i rosło, aż w końcu siłą musiał powstrzymać uśmiech, pchający się na policzki. Wyglądało na to, że udało mu się zapętlić restaurowany i wspomagany łąb *O'Menscha* w taki sposób, że tamten mimo wszystko nie mógł mieć urazy.

- Piwo zostanie ci dostarczone do ogrodu, gdzie jest więcej świeżego powietrza, kliencie S'Al. Życzę przyjemnego wypoczynku.

Albigab skinął głową i poszedł ścieżką, wyłożoną zielonym sprężystym dywanem. Przechodząc koło lustrzanego parawanu zobaczył w odbiciu mężczyznę o nieprzyjaznym wejrzeniu, z pasmem siwizny nad skronią, lekko utykającego - niewiele pozostało w nim z wyrostka, jeszcze kilka dni temu

traktującego świat jako barwne, a nade wszystko zabawne przedstawienie. Ubrany był zgrzebnie - w miejsce ubłoconych szmat dostał od restmana używany uniform, który miał tylko dwie, lecz za to podstawowe zalety: był cały i czysty.

- Hej, koleś, odstawiasz ważniaka? - Dobiegł go głos ostry i świadczący o pewności siebie, choć plątały się w nim drobne nutki przymilności. Zza ścianki z luster wysunęła się jaskrawo umalowana amjuzerka, podciągając ramiona i kołysząc biodrami. S'Al wpatrywał się w nią z osłupieniem.

- Ty... tutaj? - zagadnął głupawo, i natychmiast przelicytował poziom inteligencji własnej wypowiedzi, dodając: - Skąd się wzięłaś?

- Z tatusia i mamusi, właśnie w tej kolejności, bo tatko był pierwszy stawiając kutasa, a mamcia dopiero sporo później powiła taką ślicznotę jak ja - ripostowała, potrząsając czarną grzywką i szczerząc kwadratowe zęby. Założyła kieckę supermini, więc kokietowała długachnymi nogami, całymi w jaszczurczy wzorek. - Gorylu, zajdź za parawan i ulżyj sobie, bo jądra masz tak napięte, że jakby mogły dzwonić, pospadałyby wszystkie żyrandole w promieniu kilometra! Dam ci za pół darmo, proksa szacuje cię na dwa wolne uniwersy po odliczeniu piwa, które zamówiłeś. Starczyłoby u mnie na 189 sekund, niech będzie z rabatem pełne 4 minuty, raz zdążysz, a może i dwa, w twoim wieku... Chyba już do ciebie dotarło, *HS*'ku, że lepiej nie możesz ulokować swojego zbywającego socjału, niż w mojej umajonej...

- Kobieto, wyluzuj. Ty przecież nie możesz być S'Malinere!

- Brawo, antropologiczna małpiatko! Tylko pożyczylam trochę mimikry od tej twojej pięknotki, żebyś łatwiej zastopował przy moim warsztacie. Chyba wolno wzorować się na sławnych autochtonach, no nie?

- Sławnych...? - S'Al zbierał się do odejścia, ale zatrzymał się w pół kroku.

- A nie? Puścili twoją historyjkę w niusach: biedakowi rozwalili brata, zaraz potem capnęła go bebidolka, a teraz dziewczyna, którą kocha z wzajemnością, musi wiać od niego gdzie pieprz rośnie.

- Co takiego!? - Zatrzymał się w pół kroku, jakby wrósł w ziemię.

- Jakie to romantyczne! Mam wilgotno, młodzieniaszku, także pod powiekami, ale do rachunku za to nie doliczam, porządna firma, nie panikuj. Ach, chłopak i dziewczyna, pierwsza miłość, oboje są dla siebie przeznaczonymi, ale także - wyrokiem. Jak to ładnie powiedział ten prezenter? Umrą z miłości - osobno, albo od miłości - razem... Piękne, prawda?

- O czym ty bredzisz, kobieto?

- Uważaj, robaczku, rozmawiasz z *O'Menschem*. Miałeś intencję obrazić?

- Ależ skąd. - Zmitygował się. - Ja przepraszam... tylko chciałem spytać, skąd takie informacje?

- Z proksa, człowieku. My zwyczajnie umiemy się tym posługiwać. Ktoś zadał sobie trud przeanalizowania kilkunastu, może kilkudziesięciu sondowań aproksymacyjnych, a potem uogólnił wnioski w taki sposób, żeby były zgrabne i zmieściły się w niusach. I jeszcze wycisnęły łezkę u... takich jak ja, wrażliwych kobiet.

S'Al przeciągnął dłonią po twarzy.

- Teraz rozumiem, dlaczego ona... Taa, wzięła te wszystkie bzdury za objawioną prawdę i trzęsie się ze strachu. Co za idioci, ci dziennikarze!

- Zamówienie zrealizowane dla klienta *HS*'Albigaba - odezwał się z boku maszynowy, niezmodulowany głos. W odległości określonej protokołem zatrzymała się blaszanka, urządzenie peryferyjne *PH*'mol Piątej. W trzech uchwytach trzymała tacę z wysmukłą szklanicą złocistego napoju. - Do którego stolika mam podać?

- Proszę... tam. - Wskazał wolną altanę. - Niestety, może innym razem - zwrócił się do amjuzerki.
- Już dobrze. - Wyciągnęła ramię i zmierzwiła mu czuprynę. - Właściwie byłabym rozczarowana, gdybyś się zgodził. Ale pamiętaj, że zawsze mogę ci dać, czego potrzebujesz, i nawet cienia kostuchy u mnie nie uświadczysz. U mnie króluje życie, śmierć nie istnieje!

Skinął głową i niemal pędem ruszył do stolika. Bezzwłocznie wywołał ekstensa.

* * *

- Połącz mnie z *HS*'Malinere - zadysponował.

- Zbyt ogólne wywołanie! - prychnął ekstens. - Takich nazwisk mam ponad sto tysięcy.

S'Al zaklął.

- Przecież już mnie z nią łączyłeś. Mieszka w dystrykcie Molina. Wystarczy?

- Nie, kolego. Ta pani założyła blokadę od twojej końcówki, więc nie ma możliwości połączenia.

Tak mi przykro.

- Cholera! Nie rób z siebie spolegliwianki dla przedszkolaków!

- Nie robię, ale i tak mi przykro, pewnie nie tak jak tobie, ale zawsze. Sam wybrałeś dla mnie ustawienia... czy mam się zresetować do firmowych domyślnych?

- Nieee... daj spokój, cofam te uwagi. Co radzisz?

- Ja łączę, nie radzę, *S*'Al. Dać ci tenora?

- Dobra, dawaj.

Łączy zaświergotało popularną melodią, a potem odezwał się męski głos, niższy o oktawę od poprzedniego.

- Zasoby Centralnej Bazy Danych, informacje, porady indywidualne. Proszę o sformułowanie pytania.

- Szukam *HS*'Malinere z dystryktu Molina, rozmawiałem z nią przez ekstens. Chciałbym znać miejsce, w którym teraz przebywa.

- Proszę poczekać.

Znów odezwała się melodia i już wiedział, że nic z tego.

- Panie *HS*'Albigab, osoba przez pana wymieniona nie wyraża zgody na podanie miejsca swojego pobytu - poinformował tenor.

- Czy też jest ci przykro?! - warknęli chciał się rozłączyć, ale tak od razu się nie udało.

- Nie - padła odpowiedź. - Pracę tenora wykonuję wyłącznie w warstwie logicznej sektora rozumienia człowieka. Ale twoją inicjację śledzę z zainteresowaniem także na innych poziomach i życzę satysfakcjonującego zakończenia, *HS*'Albigab.

- Niech to szlag! - krzyknął. Chwycił szklanę i wychylił duszkiem połowę, po czym zamachnął się i cisnął naczyniem o ścianę altany. Uszlachetnione szkło nie stukło się, tylko szklanica wydała jęśliwy dźwięk, odbiła się kilka razy od okolicznych przedmiotów i wreszcie legła pod stołem.

- Czy wszystko w porządku? - zainteresował się restman.

- Ależ tak. Mam kąpiel do spania, mogę jeść i pić, nawet amjuzerka z *O'Menschów* się naprasza, chciałem powiedzieć: oferuje usługi, a wszystko za jeden socjal! Czy to nie szczyt marzeń?

- Chcesz dolewkę piwa, *S*'Al? Gratis, na koszt zakładu.

- Nie potrzebuję waszego piwa! To znaczy, bardzo dziękuję... tym razem skorzystam.

Po minucie blaszanka dostarczyła pełną szklanę. Powoli sączył gorzkawy napój i czuł, że się

uspokaja. Rzeczywiście, miał środki do przeżycia i był młody, a najgorsze się już przewaliło. Nie straci nikogo z rodziny, bo już jej nie ma, jest mała szansa, że bebidolka trafi na niego po raz drugi, a dziewczyna... jak dziewczyna, towar przechodni. Na świecie są miliardy bab, a z tego ze sto milionów poszłoby z nim do łóżka natychmiast, na pierwsze skinienie. Przecież noszą swoje wilgotne jamochłony tylko po to, żeby przy pierwszej okazji oddać je męskim pytonom we władanie, więc jedyny problem w tym, żeby taką samiczkę rozpoznać w tłumie, właśnie tego musi się nauczyć. Jasne jak słońce: właśnie wtedy, i dopiero wtedy, stanie się prawdziwym mężczyzną!

Dopił piwo i przewyciężywszy nieśmiałość powlókł się w stronę lustrzanego buduaru.

- Więc jednak, chłopcze! - Amjuzerka powitała go oszczędnym uśmiechem karminowych ust.

Teraz zrobiona była na gejszę, występowała w błękitnym kimonie malowanym w wodne smoki, a w kok wpięła kiczowate szpile w kształcie samurajskich mieczy. Mimika twarzy nie była widoczna z powodu grubej warstwy białego pudru. - Nie krępuj się, wchodź prosto do namiotu.

- Ja... ja tylko chciałem prosić o pomoc - wyjąkał. - Ona, to jest S'Malinere, nałożyła blokadę na kontakt z mojego ekstensa. Ja chcę... muszę... z nią rozmawiać. Właściwie nie muszę, ale...

- Rozumiem, S'Al. - Gejsza pogłaskała go po policzku w taki sposób, że kaskada iskiek spłynęła mu z piersi na brzuch. - Szkoda, że dzisiaj nie możesz być mój. Wyznaj mi, młody człowieku, czy naprawdę jesteś zwykłym HS em?

Mówiąc to spoglądała mu w twarz wzrokiem, jaki kojarzył z policyjną inwigilacją. Oczy kobiety miały teraz odcień węglistej czerni.

- Oczywiście - odburknął. - Byłem witalizowany po wypadku, i tyle. Aplikują wtedy fortyfikację tkankową, czy coś takiego. Zdarzyła się przy tym zmiana tysięcznej części procentu genomu, jak się dowiedziałem.

- Ach tak - mruknęła i skinęła głową. - Wszystko rozumiem. Zaraz połączę się z tą dziewczyną i przrzuć końcówkę na twój odbiór, HE'Albigab. Wszak o taką pomoc ci chodziło?

- Co powiedziałaś, O'Am?

- Że ustanowię dla ciebie połączenie z S'Malinere.

- Nie o to pytam. Jak mnie nazwałaś?

- *Homo elegans* Albigab. Och, o tym, że dostałeś przydomek, też mówili w njusach, chłopcze.

* * *

- To ty...? Jak ci się udało... Jakim prawem?

- Nie!! Poczekaj, nie rozłączaj się, Malinere! Chcę tylko chwilę porozmawiać, przecież nic ci nie grozi. Nawet nie wiem, gdzie jesteś, bo zastrzegłaś informację o miejscu pobytu.

Jej fanta była obramowana różowo opalizującym dymkiem i zanadto zbliżona, ale nic na to nie mógł poradzić, podobnie jak nie miał wpływu na gust amjuzerki, świadczącej mu uprzejmość. Wydawało się, że ekstens wyczuł jego niechęć, bo po chwili cała ta niedoskonała holosfera zwinęła się i zapadła jak przekłuty balon.

- Proszę, nie zrywaj połączenia, chcę ci opowiedzieć o swojej matce! - krzyknął, przejęty. Serce dudniło głucho, wydawało się, że pulsuje mu w gardle.

W paśmie odbioru nastąpiła cisza, na szczęście kontakt był nadal aktywny. S'Al uśmiechnął się, najpierw do siebie, a potem, szeroko i uprzejmie, do niej. Nie wolno mu było ani na chwilę zapomnieć, że fanta jego twarzy jest u niej doskonale widoczna. Nie miał zamiaru zwijać obrazu, bo

mogłoby się wtedy wydawać, że ma coś do ukrycia.

- Dlaczego? - Jej głos dobiegał zewsząd, jakby nadajnik znajdował się w środku jego głowy. Poleciał skupienie źródła fonii i ekstens posłuchał, mimo że rozmówca miał status incydentalnego gościa.

- Swojego ojca nie znałem - mówił szybko - nigdy go nawet nie widziałem. Matka wychowywała nas sama. S'Erden... on chyba miał innego ojca, czasem ten facet przychodził, wtedy matka dawała nam na kino. Była stymolką, ale uważała, żeby regularnie brać odtrutki, to ją trzymało. Do czasu, bo kiedyś zapomniała albo coś pokręciła i wpadła w studnię deliryczną, z której już jej nie wyciągnęli. Inna sprawa, czy bardzo się starali...

- S'Al, po co mi to wszystko mówisz?

- Nie wiem. Może wreszcie uwierzysz, że jestem uczciwym HS'em. A może po prostu chcę o tym opowiedzieć komuś, kto potrafi mnie wysłuchać. Z S'Erdem właściwie w ten sposób nie rozmawialiśmy, z nim spędzałem czas i to było najważniejsze. Teraz... mam ciebie.

- Chrzanisz, mały - syknęła, nagle rozwścieczona, jak zwykle, gdy usiłował się zbliżyć. - Nie masz mnie i nigdy mieć nie będziesz, czy to jest wystarczająco jasne? Mądry gość nie tryka głową w mur, ale tobie naprawdę brak piątej klepki!

- S'Mal, powiedz mi, co usiłujesz ukryć pod opryskliwością? Wiem, jak to jest, bo tak samo robiła moja matka...

- Po prostu odczep się, gówniarzu!

- Nie odpowiedziałas - kontynuował, niezrażony. - Czy nie rozumiesz, że w niczym ci nie zagrażam? Siedzisz ukryta licho wie gdzie, pablokowałas wszystkie kanały, a trzęsiesz się ze strachu tak, jakbym był nie wiem jakim oprychem i stał nad tobą z obrzynem!

Usłyszał jej szloch, potem przez chwilę spazmatycznie chwytiała powietrze. Na szczęście wciąż nie przerywała połączenia.

- To... nie tak, nie myśl źle. Ja... tak naprawdę lubię cię, S'Al, już od dawna. Ale czeka nas coś złego, jeśli się spotkamy, więc musimy iść dalej osobnymi drogami. Proszę, zróbmy tak... mój drogi. Ty znajdziesz inną, ja też jestem młoda i mam jeszcze sporo lat przed sobą. Rozumiesz mnie, S'Al? Powiedz, czy nie mam racji?

- Nie rozumiem! Nie masz! Jak można ślepo wierzyć w durne proksy, które prognozują tylko z określonym prawdopodobieństwem?

- W tym przypadku aproksymacja miała bardzo wysoki współczynnik korelacji.

- Konkretnie?

Nie odpowiadała tak długo, że poczuł liźnięcie lęku. Czyżby jednak się rozłączyła? Wreszcie odezwała się, ostrożnie dobierając słowa:

- Nie znam szczegółów, bo oparłam się na podsumowaniu, jak każdy niespecjalista. Wiem tylko, że diagnoza wykazywała efekt Woolfy'ego, a więc dziesiątki nici zgodnie prowadziły do jednego końcowego kłęбка. Szkoda było czasu na analizowanie wszystkich ścieżek, ważny był rezultat.

- Jak matematyka może opisać uczucia?! Nic mnie nie przekonasz, S'Mal!

- Bo nie musisz być przekonany, HE'Albigab. Powiedz mi jeszcze, dlaczego nigdy nie próbowałeś poddać się restaurowaniu do *OberMenscha*?

Zatkało go. W ciągu całego świadomego życia ani razu nie rozważał takiej możliwości, to, że należał do HS'ów było oczywiste jak fakt, że po dniu następuje noc. Odparł ostrożnie:

- Chyba dlatego, że w domu nigdy nie było ani uniwersum wolnej gotówki. Poza tym brat mnie

uczył, że tylko głupcy zmieniają rzecz dobrą i znaną na coś być może lepszego i nieznanego. I tylko dlatego, że ludzie tak gadają.

- Powiedziałeś: dobrą rzecz?

- Jesteśmy sobą i mamy swoje radości. Nic nie wiem o szczęściu *OberMenschów* i naprawdę ten problem niespecjalnie mnie zajmuje.

- Pociaszasz się, kolego?

- Nie denerwuj mnie, koleżanko. Nie o tym chciałem z tobą rozmawiać.

- Więc pospiesz się, bo zaraz muszę kończyć.

- To... bardzo trudno powiedzieć. - Stwierdził z irytacją, że ma chrypę i się czerwieni. Musiała wszystko widzieć na fance. - Chyba... ja też cię lubię, *S'Mal*, na pewno bardzo cię lubię. Jak o tobie myślę, robi mi się ciepło w piersi. Gdybym potrafił, napisałbym o tobie wiersz. Czy... przyjmujesz to, co mówię?

Zapadła cisza, ciężka i bolesna. Chłopak walczył ze sobą, żeby nie uciec. Rumieniec nie chciał zejść mu z twarzy.

- Czuję to samo, *S'Al* - odpowiedziała w końcu, a on zapragnął krzyknąć z radości. - Widzisz, że proksa ma rację: naprawdę jesteś moim przeznaczeniem. Ale boję się i nigdy się nie spotkamy, choć pozostaniesz dla mnie kimś ważnym na zawsze. Może najważniejszym. Chyba jednak... cię kocham, ty niewydarzony gnojku.

S'Malinere wyłączyła ekstens, bo w paśmie odbioru zapanowała aksamitna, niczym niezakłócana cisza. Ale to, co powiedziała, zupełnie wystarczyło. Zaszła przemiana: *Albigab* wyprostował się, jego usta rozszerzyły się w uśmiechu, spojrzenie stwardniało. W klatce piersiowej poczuł ciężkość, wdychane powietrze zgęstniało, mięśnie nóg i ramion nabrały wagi, krew puściła się z szumem przez arterie. Powstał, ledwie skinął głową zdziwionej amjuzerce i oddalił się pewnym, równym krokiem.

* * *

Tropił ją w Centrum Infnitiv.

Biegł korytarzami pośród kipiących barwami gablot, namierzany schizoiluminacjami reklamodawców, przenikał ekscysfery mentalnych pieszczoł amjuzerek, rozpraszał półcielesne żelki fantowych naganiaczy sklepowych, wymijał krzykliwe blaszanki łowiące klientów jadłodajni. Grupy *O'Menschów* rozstępowały się daleko przed nim formując szpalery, w które nurkował, biegł bez odczuwalnego wysiłku, a powietrze wokół gęstniało od szybkości, dało się szarpać i odrzucać na boki, stawało się przestronnym ciałem wypełniającym świat. Z szeregów *O'Menschów* słyszał przyjazne okrzyki, słowa zachęty i naprędce formułowane życzenia sukcesu. Jak na stopklatkach rejestrował uśmiechnięte twarze, uniesione kciuki, dłonie bijące brawo. Nie wiedział, skąd to zainteresowanie, przyjazne nastawienie i kibicowanie jego akcji, ale nie miał czasu ani chęci na zastanawianie się. Gnał coraz szybciej, a pęd upajał go i podniecał na równi ze świeżym tropem dziewczyny, która wyznała mu miłość, *S'Malinere*.

Początkowo zdziwił się, że wytworzyła fantożelkę, bo jej postać pojawiła się jako twór półprzejrzysty, pseudocieleśny, ale szybko stwierdził pomyłkę. Była i tu, i dalej, raz stała przy szklanej tafli, potem widział ją w innym miejscu, siedzącą na ławce, pokazywała się jednocześnie w projekcjach o różnym stopniu przezroczystości, rozmywała się, w jednych obszarach niemal się materializowała, w innych stanowiła zaledwie smugę mgły, zawirowanie przestrzeni, zanikający

ślad. Nie mogła być fantożelką.

Świetnie, pomyślał. Więc jestem w stanie śledzić jej odcisnięcia czasoprzestrzenne, ślady w kontinuum. Jak widać, do tego potrzebna jest tylko maksymalna koncentracja, a ja dorosłem, dojrzałem do takiego wysiłku, nie jestem już dzieckiem. Śmierć S'Erdena, trauma z bebidolką, przełom uczuciowy S'Malinere, tak, to wszystko stanowiło specyficzny egzamin dojrzałości, czyż nie? Poza wszystkim miłość uskrzydla, ta prawda była znana jeszcze w czasach, w których nie istniały *PHIjki*, bebidolki i cały współczesny metakosmiczny kram.

Dziewczyna nadal obawiała się go, bo unikała spotkania. Myliła trop, uciekając wysyłała coraz częściej całe spektra projekcji, a on szarpał się, pędził od jednej zjawy do drugiej, a że w miarę przyspieszania coraz gorzej szło mu rozpoznawanie gradientów temporalnych, nieraz cofał się po tropach, którymi przyszedł. W końcu przystanął, ciężko dysząc, a *O'Mensche* otoczyli go luźnym kręgiem, z szacunkiem zachowując dystans.

Wywołał tenora.

Przez tłum gapiów przepchnął się wysoki, szpakowaty mężczyzna w ciemnym garniturze. Jego twarz była pobrużdżona, ale spojrzenie miał bystre, a ruchy szybkie i zwinne jak młodzieniec.

- Słucham, *TransitMensch* Albigab.

Spojrzał zdziwiony. Należało przyjąć, że z jakichś powodów miał przed sobą nową postać: uosobienie tenora.

- Nazywam się *HS'Albigab*, kolego. Chcę wiedzieć, gdzie obecnie znajduje się *HS'Malinere*. Nie jej powidok czasoprzestrzenny, lecz materialna osoba.

Mężczyzna skłonił się lekko.

- Nie jestem w stanie przekazać ci tej informacji, Albigab - poinformował. Głos miał głęboki, o ciepłym brzmieniu.

- Dlaczego?! - Nie potrafił ukryć rozczarowania.

Fantożelka imitująca tenora stała się półprzejrzysta, lecz trwało to zaledwie ułamek sekundy.

- Wyjaśniam: ty sam posiadasz tę informację w rozszerzonym i sprofilowanym zakresie, a więc bardziej przydatną niż ta, której mógłbym ci udzielić. Moja informacja spowodowałaby wysycenie twojego dążenia eksploracyjnego w wyniku zablokowania pełnych danych, a taki obrót sprawy uniemożliwiłby dokończenie procesu.

- Jakiego procesu?

- Nie jestem w stanie przekazywać dalszych informacji na ten temat - odparł tenor.

- Ale... ja naprawdę nie wiem, gdzie jest ta dziewczyna. Zrozum, nie posiadam tej informacji, o której mówisz!

- Mylisz się, *TM'Albigab*. Informacja o *HS'Malinere* jest w zasięgu twojej percepcji, a więc *de facto* nią dysponujesz.

- Jak mam do niej dotrzeć?

Mężczyzna milczał. Chłopak wzruszył ramionami i rozłączył się. Fantożelka reprezentująca tenora rozviała się bez śladu.

Spacerował z rękami w kieszeniach udając, że nie widzi widmowych postaci ściganej. *O'Mensche* podchodzili coraz bliżej, przyglądali się z zainteresowaniem, ale żaden nie nawiązał rozmowy. Ta ich drapieżna ciekawość... Narzucali się swoją bliskością, wyglądało na to, że wiedzą coś, o czym on nie ma pojęcia. Powinni, są w końcu *OberMenschami!* Więc dlaczego nic nie mówią?

Podszedł do najbliższego. Był starszym, muskularnym mężczyzną w podkoszulku, na którego materiale wyświetlał się kryminalny film. W tamtej historii trwał pościg zalesionym brzegiem strumienia.

- Jestem S'Albigab - przedstawił się.
- OM'Parn - odparł tamten, ściskając mu dłoń do bólu.
- Szukam pewnej dziewczyny - zaczął niepewnie. - Ona...
- Wiem, ta sprawa jest znana. S'Malinere, zgadza się?
- Skąd wiesz?

OM'Parn uniósł głowę. Jego uśmiech był pełen wyższości, lecz jednocześnie na swój sposób przyjazny. Dziwna mieszanka u *O'Menschów*.

- Jestem tutaj jako osoba prywatna, więc mogę cię naprowadzać - poinformował, ignorując pytanie. - Szkopuł w tym, chłopie, że nie wiem, gdzie ona się znajduje, nikt z nas - zatoczył dłonią krąg - nie wie. I nikt się nie dowie, oprócz ciebie. Ale pewnie nie wpadłeś na pomysł, że tutaj, w Centrum Infinitiv, znajdziesz informacje adresowane do ciebie?

M'Parn był wysoki, więc musiał schylić się i przekrzywić głowę, żeby z boku spojrzeć w twarz Albigaba. Miał krzywe, poczerniałe zęby i czuć było od niego kwasem. Mimo wszystko jest tylko człowiekiem, pomyślał chłopak i natychmiast zaczerwienił się.

- Adresowane wyłącznie do ciebie - kontynuował mężczyzna, prostując się. - Ona nie może zniknąć bez śladu, zaszyć się gdzieś i kompletnie odizolować. Stale myśli o tobie, więc prosto do ciebie śle matryce przestrzenne, chce czy nie. Widzisz je? - spytał ostrzej, spoglądając z ukosa.

S'Al przytaknął.

- To dobrze. Spróbuj podejść jak najbliżej do takiej matrycy i spójrz jej w oczy. Przypuszczam, że dziewczyna dała ci już dosyć flogu, żebyś zobaczył.

- Słucham?

- No, dalej, rusz się. Jak będziesz tak stał, zostaniesz strącony. Kto nie idzie naprzód, cofa się, nie znasz porzekadła, starego jak cywilizacja?

Stary popchnął go lekko, więc ruszył w stronę tasujących się dziewczęcych postaci, ulepionych z mgły. Były trójwymiarowe, barwy przybrudzonego śniegu. Dopiero teraz zauważył, że ich oczy wyraźnie odcinały się od reszty mdłego ciała, wyglądały jak miniaturowe monitory, na których stale wyświetlał się jaskrawy barwny obraz, identyczny na wszystkich. Zieleń, żółć...

Podszedł bliżej, prawie przytulił się do mgielnej zjawy. Lekko ugiął kolana, żeby jej i jego oczy znalazły się na tej samej wysokości. Teraz widział wyraźnie.

Skądś pamiętał podobny obrazek. Brzeg potoku, żółty piasek, gęstwa zarośli. Soczysta, ciemna zieleń, klująca oczy żółć, błękit nieba odbity w wodzie. Przesterowane nasycenie barw. W dali jakieś kominy, konstelacja wieżowców. I co z tego?

Nagle zbliżenie, powierzchnia strumienia, leniwy nurt, meandrujące sznury wodorostów, nitkowate owady biegające po wodzie, polatujące ważki o szklistych skrzydłach, w których błyska słońce. W dali zamglone kontury wieżowców, konstelacja budowli zależna od punktu obserwacyjnego. Tak!

Odwrócił dłoń grzbietem w stronę zjawy, żeby en-tipsem zarejestrować obraz z jej źrenic. Na wszelki wypadek.

- Tenor! - rzucił w przestrzeń.
- Proszę o sformułowanie pytania - odparł mężczyzna w garniturze, wysuwając się przed grupę

O'Menschów.

- Chcę znać współrzędne miejsca, skąd przekazano widok, który ostatnio nagrałem.
- Oczywiście. Przekazuję dane... są już w twoim tipsie.
- Jak mogę się tam dostać? Spiesz mi się.
- Taksówką, w pobliże. Zaprowadzę cię do głównego holu, na postój, TM' Albigab.

* * *

Taksówka nie była przystosowana do jazdy po piasku, więc opuścił pojazd przy moście. Wielkie słowo, most - raczej niski mostek, drewniany zabytek, z pewnością pamiętający przenoszenie kajaków podczas spływów, o czym czytał w starych książkach. Ruszył pieszo brzegiem rzeczki, potem przyspieszył kroku, aż w końcu puścił się biegiem. Ekscytowała go bliskość S'Malinere, tak, naprawdę odczuwał podniecenie, lecz serce biło równo jak dzwon, a oddech mimo biegu miał spokojny. Nozdrza poruszały się, wciągając ze świstem powietrze, szczęki były zaciśnięte, ścięgni szyi nabrzmiały jak powrozy. Przy każdym susie wybijał się lekko, nie pozwalając stopom zapadać się w piasek. Po piersi pełzła fala gorąca. Był łowcą, a zwierzyna znajdowała się na wyciągnięcie ręki.

Strumień meandrował, więc skracał sobie drogę, ścinając zakola, gnając przez trawiaste poldery, przedzierając się przez chaszczki malin, przeskakując mrowiska. Trafił stopą w zarośniętą trawą łożysko dopływu, ale nawet nie zwolnił, gdy woda rozbryznięła się przed nim szklistą powierzchnią. Pokonał podmokłe torfowisko, skacząc od kępy do kępy, i tylko raz musiał wyciągać nogę z błota, którą bagno uwolniło niechętnie, z głośnym cmoknięciem. W sosnowym borze spłoszył stadko saren, które uciekały bez strachu, z gracją sadząc wysokimi susami, właściwie płynąc w leśnym powietrzu, gęstym od aromatu żywicy. Rejestrował piękno tego egzotycznego zakątka, ale mimochodem. Cel jego poszukiwań był blisko, może za sąsiednim pnem, albo w kępie łożynowych zarośli.

Zółc plaży, skondensowana zieleń krzewów, leniwy nurt, odbijający błękit nieba. Barwy tak intensywne, że byłyby kiczem, gdyby nie istniały w rzeczywistym krajobrazie. Nieco dalej woda płynie jeszcze wolniej, jest gęsta i oleista, skrywa pod lustrem powierzchni głębinę, którą pod nawisem korzeni pracowicie wypłukiwała przez dziesiątki lat. Gdy Albigab pochyła się nad nią, z sepiowego zwierciadła spogląda na niego poważny młodzieniec o ściągniętych rysach i nienaturalnie szeroko otwartych oczach. Pochyla się jeszcze mocniej, wtedy twarz znika, a w jej miejscu dostrzega mętny przestwór, powykręcane powróśla korzeni, szarosrebrzyste wrzeczona ryb i lśniące jak latarnie muszle, oczyszczone do połysku przez drapieżniki. Zanurza się i czuje, jak woda przyjmuje go, chłodna obwódka powierzchni przesuwana się po twarzy, włosach, szyi, przemyka dalej. W podwodnym świecie otacza go śpiewny poszum prądu, przytłumiony szelest trzciny, odgłos skrobienia szczęk o muszle, trzaski i chroboty o nieokreślonych źródłach. Spływa głęboko, aż do dna, i stamtąd zawraca w stronę nawisu z korzeni. Odpycha w górę ich zawężone ramiona, walcząc z siłą wyporu, ciągnąc go ku powierzchni. Pod splątaniem okapem jest spokojnie, tam majestatycznie dryfuje stado bezokich ryb. Za nimi, tuż pod stropem, przepuszczającym trochę światła przez oczko wodne, dostrzega gniazdo chanisa. Przestronny dzwon, upleciony z gałęzi, obłożony kozuchem wodorostów, opleciony lianami. Dzwon pełen powietrza, stale odświeżanego przepływającą wodą, a w nim ukryta nimfa, długonoga i czarnowłosa. Jest bierna i bez oporu daje się wyholować pod nawisem korzeni, wskroś wzmagającego się prądu, ku świetlistej powierzchni, przez którą prześwitują zwisające nad

wodą gałęzie. Płyną ku plaży i wychodzą na piasek. Przez cały czas mocno ściska przegub jej dłoni - to musi boleć.

- Nie pytam, jak mnie znalazłeś. Chcę wiedzieć, po co to zrobiłeś - pierwsza odzywa się Malinere.

Homo sapiens Malinere. *TransitMensch* Albigab wykrzywia wargi w uśmiechu. Jego udziałem jest współczucie i czułość, litość i pożądanie, złość i pragnienie. Nad wszystko wybija się pragnienie, ogromne i nieposkromione. Chciałby tę dziewczynę zjeść, wypić, pochłonać, przytulić, ścisnąć do utraty tchu. Jest bezradny wobec natłoku własnych pragnień i żądz.

- Potrzebuję cię - oświadcza i zdaje sobie sprawę, że to jedno na pewno jest prawdą.

Gdzieś na uboczu, zepchnięty przez łowcę, istnieje w nim czuły adorator. Teraz daje znać o sobie, wyzwala odruch opiekuńczy. Albigab powoli wyciąga dłoń w stronę jej twarzy, ale wtedy oczy kobiety otwierają się szeroko i eksploduje w nich trwoga. Dopiero wtedy.

- Nie!! - krzyczy piskliwie, a echo, głębsze o oktawę, powraca od ściany lasu.

Jej strach staje się także jego udziałem. Jest to strach łowcy przed desperacją ofiary i przed utratą zdobyczy, który pozbawia go samokontroli. Chwyta dziewczynę i przyciąga, dziko i brutalnie miażdży wargi w akcie zbliżenia, który trudno nazwać pocałunkiem. Czuje słony smak. Jedną ręką trzyma głowę dziewczyny, drugą - ruchem zapaśnika - zakleszcza w uścisku jej kibić.

S'Malinere jest uzbrojona, jak każda kobieta *Homo sapiens* w świecie *PHI*, gdzie toczy się pierwotna i bezwzględna walka o byt, i odruchowo korzysta ze swojej broni. Uderza napastnika tipsem środkowego palca, kierując cios nieco od dołu pod ostatnie zebro. Ostre zakończenie nakładki przebija skórę i zagłębia się w ciało, niegłęboko, akurat na tyle, żeby ból stanowił ostateczne ostrzeżenie i przepłoszył intruza.

Ale S'Malinere jest wystraszona. Wie więcej od TM'Albigaba, więc jest tak wystraszona, że znajduje się w stanie hysterii. Taki stan jej umysłu dodatkowo uaktywnia żądło, ukryte w tipsie, i paraliżujący jad dostaje się do tkanek zaatakowanego mężczyzny. Użądlenie nie jest śmiertelne, lecz efekt obezwładniający powinien wystąpić w ciągu sekund.

S'Malinere jest ponadto wściekła. Jest wściekła na tego egoistycznego samca, który nie bacząc na jej prośby i na aproksymacje zdarzeń naruszył wszelkie prawa do godności i wolności, zastosował przymus fizyczny, właściwie ją zgwałcił. Tak się nie robi, ludzie mają swój niepisany kodeks, według którego kobieta w żadnych okolicznościach nie może być przedmiotem. S'Malinere ma temperament choleryczki i potrafi uderzyć, zanim zdąży pomyśleć o konsekwencjach. Teraz jej wściekłość zamienia się w furję, gdy ten pieprzony gnojek gryzie ją do krwi. Właśnie wtedy uderza całą mocą, i od razu zaczyna się usprawiedliwiać.

- To była obrona konieczna - szepcze. - On chciał mnie zabić! - krzyczy, a echo naśmiewa się z niej od strony lasu.

M'Albigab puszcza ją, osuwa się na kolana. Na jego twarzy maluje się niebotyczne zdziwienie, jest znów nieopierzonym kurczakiem, dorastającym chłopcem, którego po raz kolejny skrzywdzono.

- Zabiłaś mnie - mówi. Jest przerażająco spokojny. - Dlaczego?

S'Malinere odwraca się i rzuca do ucieczki, ale zaraz zwalnia i przystaje, jakby była uwiązana na elastycznym sznurze. Przez mgnienie, kiedy jej furia sięgnęła zenitu, ze wszystkich sił pragnęła zabić, i właśnie wtedy cięła z ukrytej w tipsie broni laserowym sztychem, który rozplątał serce chłopaka. Natychmiast wycofała się, ale zdawała sobie sprawę z mocy impulsu i z tego, że uderzenie musiało być śmiertelne.

Przyszedł do mnie z miłości, pomyślała. Szedł za mną bez względu na wszystko, jak idiota, jak narkoman na ostatnim głodzie. W takich chwilach człowiek jest zdolny szafować życiem, i własnym, i czyimś. Ostateczne ogłupienie czy bezkres empatii? Egoizm przez samospełnienie czy poświęcenie dla kogoś? Trywialna chęć czy odruch opiekuńczy? A może pełna miłości własnej ekscytacja pobudzaniem psychodelicznych emocji u partnera? Spełnienie własnych potrzeb przez wzbudzanie uzależnienia u kogoś? Czym naprawdę jest miłość?

Albigab nie był już groźny. Leżał na boku, jego ciałem wstrząsały drgawki.

S'Malinere zawróciła i zbliżyła się ostrożnie, a potem rzuciła się na kolana, przypadła do chłopaka, wsunęła mu dłonie pod głowę i uniosła ją delikatnie.

- Nie umrzesz - powiedziała, głaszcząc go po twarzy. - Zaraz wezwę pomoc.

Nie płakała, tylko łzy spływały jej po policzkach i skapywały na jego twarz. Bardzo chciała wezwać PH'dafkę, wciąż jeszcze miała na to czas, ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Uratują go, rewitalizują, fortyfikują, przywrócą do życia, a wtedy wszystko zacznie się od początku, bo wcześniejsze uwarunkowania i aproksymacje pozostaną przecież w mocy. Co robić?

- Pocałuj mnie - poprosił szeptem. - Nie zapominaj, że jesteś moim przeznaczeniem, S'Malinere.

To akurat wydawało się najprostsze.

Pochyliła się i musnęła jego wargi. Zlizwała z nich krew - była słona i dodatkowo miała dziwny, kwaśny posmak. Przyłgnęła do nich, wydawały się takie miękkie. Pomyślała, że to dobrze, że jeszcze wciąż są ciepłe. Chłopak najpierw biernie oddawał pocałunek, potem zrobił się bardziej aktywny. Oderwała się od niego, złapała oddech.

- Kocham cię - powiedziała i uśmiechnęła się. Pragnęła być już daleko stąd, ale coś mu się jeszcze należało, spłacała część długu. Wyobraziła sobie, jak zgłasza policji napad, tłumaczy konieczność obrony życia, jak policjant pociesza ją i odprowadza do drzwi. Nie martw się, dziecko, mówi. Przeżyłaś traumę, ale to minie, czas jest dobrym lekarzem. Wpadnij, jak będziesz smutna.

Odwzajemnił uśmiech. W którejś z książek wyczytała, że umierający uśmiechają się, gdy w momencie zgonu przychodzą do nich nieżyjący bliscy. Ale on uśmiechał się do niej!

- Pocałuj mnie jeszcze raz - zażądał mocniejszym, zdecydowanym głosem. Czuł, że w jego ciele coś przepływa, zmienia się, rekonstruuje. Flog, czy o czymś takim wspominał OM'Parn? Najcenniejsza rzecz, jaką posiadają osobniki *Homo sapiens*? Nie miał pojęcia, skąd czerpie tę wiedzę, ale wydało mu się, że słyszy płynące zewsząd szept. Że społeczność *O'Menschów* kibicuje mu w coraz bardziej zdecydowany sposób.

Zrobiła, co chciał. Chłopak całował coraz lepiej, potrafił nawet dokonać czegoś takiego, że zapomniawszy się na chwilę. Potem przemknęło jej przez myśl, że szkoda. Naprawdę go kochała, dopóki lęk nie zdominował wszystkich innych uczuć.

Pogłaskał ją po głowie, potem zsunął dłonie na ramiona. Dziewczynę przeniknął dreszcz, odsunęła się. Patrzył na nią poważnie, jakby brał się za odczytywanie myśli. Poczuli nieokreślony lęk.

- Szkoda - potwierdził, jakby udało mu się skanowanie jej umysłu. - Wszystko tak głupio się pokręciło. - Mówił dźwięcznie i wyraźnie.

- Tak... kochany. Jak się czujesz? - Jej głos drżał.

- Lepiej. Zdecydowanie lepiej.

Odskokczyła, ale zaraz zaśmiała się. Cmentarne poczucie humoru. Cuda się nie zdarzają, przecież miała zapisaną w tipsie diagnozę aproksymacyjną, wykonaną przez urządzenie po wysłaniu impulsu.

Według niej... - wyświetliła dane - Albigab powinien być już martwy.

Chłopak gramolił się z pozycji leżącej, stanął na czworaki, potem podniósł się, ale znów opadł na jedno kolano.

- Podaj mi rękę - poprosił.

Pomogła mu. Nie miała innego wyjścia. Nie mogła nic zrobić, chyba że chciałaby być sądzona za morderstwo. Rana sama zasklepiła się, tak musiało się stać, pomyślała. Albo po prostu cios chybił.

Rozcięcie zrosło się, jednak była to tylko część przemian. *TransitMensch* Albigab czuł, jak w jego ciele nadal zachodzą procesy, których nie potrafi określić, coś się przemieszcza, przeistacza, modyfikuje. Równoległe i skokowo zmieniała się percepcja i świadomość.

Teraz widział świat nie tylko swoimi oczami, lecz także urządzeniami peryferyjnymi wielu *PH*ijek, zaczynał odczuwać wspólnotę wielkiej społeczności *O'Menschów*. Zachłannie dopuścił zbyt szeroki strumień informacji, co o mało nie doprowadziło go do utraty świadomości. Odłączył się i potrząsnął głową.

Zobaczył przed sobą małe zwierzątko, *Homo sapiens* Malinere. Musiał wziąć od niej to wszystko, co dla niego chowała w tym skarłałym ciele. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w których dostrzegał strach, niedowierzanie, podziw... i coś jeszcze. Właśnie tego potrzebował.

- Chodź, kochanie - powiedział najspokojniej jak potrafił.

Sięgnął i przyciągnął ją delikatnie. Najpierw złamał dziewczynie palec środkowy i jednym pstryknięciem wyrzucił tipsa, a potem objął mocniej szczupłe ciało i zgniótł jej klatkę piersiową z taką łatwością, jakby to była filiżanka z najdelikatniejszej porcelany.

Śmierć chroni

od miłości,

a miłość -

od śmierci

- cytował spokojnie, jak na wieczorku autorskim, nie zaprzestając obserwacji. S'Malinere nie wyglądała pociągająco ze swoimi zbyt dużymi, kwadratowymi zębami, tym bardziej, że właśnie pluła krwią i dusiła się. Skrzywił się z niesmakiem i wezwał *PH*'daf.

- Tak mi przykro, że trochę bolało. Uratuję cię, kochanie, obiecuję. Pomoc jest już w drodze. Wierzysz mi?

Chwyliła go za rękę z siłą, o jaką nie podejrzewałby konającej dziewczyny. Dopiero wtedy do końca pojął, jakie znaczenia kryje termin „flog”.

Zgłosiła się Piąta.

- Mam kandydatkę do witalizacji i fortyfikacji na *H'Elegans*. Pospiesz się.

- Robi się, kotku.

- Aha... zmniejsz jej zęby. Trochę.

- Jak sobie życzysz.

Młody samiec *OberMensch* Albigab otworzył ponownie część kanałów informacyjnych i chłonał świat, pełen wspaniałych kobiet z gatunku *OM*. Jest cudownie, pomyślał i dopuścił do siebie dreszcz podniecenia.

- Dopóki płciowość będzie rozsądzać świat na każdym poziomie, pozostanie on kreatywnie niestabilny - mruknął, obserwując jak blaszanki *PH*'daf Piątej ładują do grawilotu ciało dziewczyny, która dała mu wszystko, czego od niej potrzebował, bo jak dobry *Homo sapiens* potrafiła dzielić się sobą bezwiednie i, co równie ważne, za darmo. Kto wie, może *OberMensch* Malinere też będzie

miała ładne nogi w jaszczurczy wzorek, rozmarzył się.

Warszawa, listopad 2006

Maciek Guzek

**Julia i Potwory
(Niebajka)**

Piszę od bodaj dziesięciu lat, a debiut to - cokolwiek epigońskie wobec Tolkiena - opowiadanie „Brzask” w Science Fiction. Potem był szereg innych opowiadań - najpierw „fantasy klasyczna”, która jednak szybko mnie znudziła. Efektem znudzenia była „Królikarnia” - tekst urban fantasy, który przyniósł mi dużo radości, lot balonem (drugą nagrodę w konkursie British Council) i debiut na łamach Nowej Fantastyki. Książka z tego świata pod tym samym tytułem ukaże się w najbliższych miesiącach.

Moje zainteresowania literackie są tyleż bogate, co chaotyczne - zmieści się tam i fantasy klasyczna i urban fantasy, i horror i kryminał i mainstream obyczajowy i political fiction i horror i XIXwieczna proza Dickensa, Zoli, Prusa czy Sienkiewicza. Wszystko to czytam i wszystko to chciałbym pisać. Jak podsumował M. Parowski - życia nie starczy.

„Julia...” powstała na bazie trzech, chyba mało odkrywczych, obserwacji biorących się z ulicy, z pubu, z korytarzy supermarketu, z osiedlowych ścieżek etc.

Obserwacja pierwsza - to bariera komunikacyjna, jaka dzieli „nas” („wykształciuchów”) od „nich” („dresiarzy”). Próbowaliście kiedyś porozmawiać z dresiarzem? Nie napotkaliście aby ściany nie do przeskoczenia? Czasami mam wrażenie, że ci ludzie operują nieznanym mi systemem pojęć i wartości, że posługują się niepojętym kodem. I vice versa. Mamy więc dwa gatunki.

Obserwacja druga - to strach. My, mieszkańcy tej szczęśliwej części świata, gdzie gospodarka oparta na wiedzy powoli staje się faktem, gdzie o sukcesie w coraz mniejszym stopniu decyduje prymitywna siła fizyczna, drżymy ze strachu, kiedy musimy przecisnąć się przez klatkę schodową, pełną „chłopców z motylkami”, niepewnie czujemy się w sklepie nocnym, przyspieszamy mijając po 23.00 wejście do ruchliwej dyskoteki, a widząc zakapturzonego młodzika nie wiemy, czy przypadkiem swojej „kosi” nie schowa pomiędzy naszymi żebrami. Ale nadchodzi nasz czas. Kiedyś my, okularnicy, ślęczący godzinami przed komputerem, przestaniemy się bać. I nie będziemy wiecznie znosić upokorzeń.

I wreszcie trzecia myśl - najkrótsza. Cholera, przecież oni, mimo że inaczej myślą, żyją i czasami nas, wykształciuchów biją w mordę - są ludźmi. I o tym nie wolno zapomnieć.

(...) Gównu mnie obchodzą twoje frustracje, mały żulu, twoje paskudne życie, chlejąca matka, brak drugiego śniadania i ojciec w kryminale. Kiedy o tobie myślę, dresiarzu z bloku, żałuję, że zlikwidowali karę śmierci. Niech cię wszyscy diabli!

*Wypowiadam ci wojnę, pieprzony oprychu spod bloku!”**

* [”Chłopcy z Motylkami”, Jacek Hugo-Bader]

Prolog

Mur był tak wysoki, że zdawał się sięgać nieba. Wzniesiono go przed wielu laty, ale nie zdobyło go żadne kłacze, brak było choćby najmniejszych przyczółków mchu, stanowiących zwykle załączek zielonej kolonizacji. Ściana czerni strzelała z rozbuchanej zieleni puszczy prosto w górę, na wiele metrów.

Z pewnością sięga chmur, pomyślała Julia, próbując dojrzeć szczyt. Zakręciło jej się w głowie. Ogrom budowli przytłaczał.

Dotknęła dłonią Muru. Jego powierzchnia była mokra od porannej rosy. Dziewczynka powąchała dłoń. Zapach był dziwny, niezbyt przyjemny. To nie woda, zreflektowała się, woda nie ma zapachu.

Jeszcze raz przejechała ręką po czarnej ścianie. Lita powierzchnia była śliska. To ta substancja, domyśliła się. Ojciec Julii wspominał przecież, że Mur jest zaklęty. Nikt niepowołany nie powinien przekraczać Granicy. Rada hrabstw zaczarowała Mur i teraz nikt nie mógł przejść przezeń bez jej pozwolenia. Dopóki nie uzyskał hasła. Jednym z efektów tego czaru był wodopodobny płyn, pokrywający mroczną ścianę. Nikt, zaprawdę nikt nie zdołał wspiąć się na Mur, nikt go nie zdobędzie, prędzej zsunie się po czarnej, idealnie gładkiej płycie.

Ojciec Julii, hrabia Blueberry, rzecz jasna znał hasło otwierające wszystkie drogi, był przecież jednym z komendantów Straży na Murze, jednym z Patrzących, ze Strażników. Julia czuła dumę, gdy myślała o ojcu - na Mur szli najlepsi, najdzielniejsi spośród elfów.

Nie pilnowali oczywiście, by inne elfy nie przechodziły na drugą stronę. Wprawdzie formalnie było to zakazane, lecz gdyby nawet nie istniały jakiegokolwiek ograniczenia, i tak żaden rozsądny elf nawet nie myślałby o przekroczeniu granicy. Przecież mieli dla siebie cały świat: rozległe, gęste puszcze, pełne zwierzyny, krystalicznie czyste strumyki i jeziora, urokliwe polany, zaczarowane gaje, jagodowe pola i cieniste zagajniki obfitujące w grzyby, a pośrodku leśnego gąszczy - kwieciste łąki, żyzne pola, domki jak malowane. Kogóż więc mogło ciągnąć na drugą stronę?

Julia nie była rozsądnym elfem.

Oczywiście bała się tego, co czekało za niebosiężną barierą. Na samą myśl o ohydnych orkach, czyhających gdzieś tam, przechodziły ją dreszcze i dziewczynka odwracała głowę w stronę lasu, ku domowi, z którego wymknęła się przed świtem. Miasto orków i innych strasznych stworów, kamiennoszare monstrum bez drzew, bez wody, bez zwierząt, pełne wściekłych hord, toczących ze sobą krwawe boje, miasto trolli, miasto bramolaków, miasto dymów i zgiełku, miasto targowisk niewolników, miasto czarnej mowy.

Brudna wyspa w rajskim oceanie.

Jak dobrze, że elfy zwyciężyły! Jak dobrze, że zbudowano Mur, a uwięzione w jego pierścieniu monstra nigdy więcej nie zagrożą światu! Pamiętała opowieści o bitwie światła i ciemności, o chmurnych dniach, kiedy nastął Armageddon, gdy orkowie rzucili się na mieszkające po sąsiedzku elfy. Te spośród elfów, które żyły w Mieście zostały w większości zabite, ale pozostałe, zasiedlające okoliczne osady, zdołały się obronić. Orkowy żywioł, silny, lecz bezmyślny, został odrzucony i wepchnięty na powrót do Miasta, niby czarny jezor z powrotem do gardzieli smoka. A kiedy orkowie, zmęczeni i zdziśnięci bitwą zapadli w sen, zebrała się rada elfów. Kilkuset magów zawarło Przymierze, odrzucając ambicje i animozje, w imię wspólnej sprawy. Rzucono zaklęcie, czar, jakiego świat jeszcze nie oglądał.

A kiedy orkowie obudzili się następnego ranka, ujrzeli Mur. I zrozumieli, że z Miasta nie ma ucieczki.

Co wcale nie znaczy, że uciekać nie próbowali.

Jak opowiadał przy kominku hrabia Blueberry, wciąż próbują, co jakiś czas - a to chcąc zniszczyć Mur, a to przezeń przejść, a to zrobić podkop, albo przekupić Strażników. Dlatego właśnie potrzebni są Patrzący, Straż na Murze, Stały Dozór. Trzeba być czujnym, bo bezpieczeństwo i dobrobyt nie zostały dane raz na zawsze. Czerń będzie próbować wciąż i wciąż - co się stanie, jeśli kiedyś się uda?

Dziewczynkę ogarnął zimny strach. Miasto, Miasto, powtarzała w myślach, to nic strasznego, oni są słabsi ode mnie, musi się udać, musi...

Wcale nie chciała tam iść.

Tupnęła nogą ze złości. Gdyby przodkowie Julii wykazali więcej odwagi, jej misja byłaby niepotrzebna. Ale stchórzyli, myśleli o sobie, opuszczając miasto, ratowali tylko własne życie, własny dobytek.

A jednorożce?

Złotogrzywe stworzenia cierpią w orkowej niewoli, a dorośli stoją beczynn timer! I to mają być wszechpotężne elfy? Na Abstrakt, tak nie można! Julia była dużą dziewczynką. Zdecydowała, że weźmie sprawę we własne ręce. A konkretnie jedną sprawę - uwolnienie jednorożców.

Prababka Julii pamiętała jeszcze czasy sprzed Podziału. Nim stworzono Pierścień, nim wybuchła wojna, mieszkała w samym sercu Miasta, pośród orków i elfów. Między obiema rasami nie było wówczas przyjaźni, ale i otwarta wrogość pojawiała się rzadko, ot, incydenty na ulicach, jakiś ork rabujący elfa, kilku orków zakutych w łańcuchy i wrzuconych do lochu - to wszystko. Przynajmniej na początku.

Prababka, mimo swoich stu kilkudziesięciu lat umysł miała jasny, a opowiadała jak nikt inny. Julia uwielbiała siadać przy starszej pani i wsłuchiwać się w historie o dawno minionych czasach. Pewnego razu prababka opowiedziała dziewczynce historię dwóch śnieżnobiałych jednorożców. Te cudowne, niezwykle rzadkie stworzenia zostały schwytane przez miejskie elfy, bardzo zamożne, ba, podówczas znacznie bogatsze niż elfy spoza Miasta. Elfy umieściły jednoroże w przestronnych stajniach, szanowały je, dbały o nie i tylko od czasu do czasu wystawiały na widok publiczny. Jednak kiedy w pośpiechu opuszczano Miasto, kiedy w każdej dzielnicy szalały pogromy, a orkowy motłoch kłębił się na ulicach, paląc i grabiąc, wówczas elfy zapomniały o jednorożcach. Mityczne zwierzęta o sierści barwy śniegu pozostawiono w Mieście na łasce i niełasce orków. Kiedy dostrzeżono ich brak, nikt już nie miał odwagi po nie wracać.

To zdarzenie było początkiem trwającej wiele lat niedoli, w jakiej znalazły się jednorożce. Żądni

krwi dzicy orkowie zmusili je do walk między sobą - ponoć każdego dnia urządzane są turnieje, a orkowie obstawiają, który jednorozec pokona drugiego. Wprawdzie zwierzęta te są nieśmiertelne, lecz nie znaczy to, że odporne na ból - każda walka kończy się dopiero wtedy, kiedy jednemu z jednorozców uda się wbić swój róg w ciało przeciwnika. Następnie zwierzęta rozdziela się, odprowadza każde do swojej stajni, gdzie dochodzą do siebie, by następnego dnia, już zdrowe, zregenerowane, znów wzięły udział w krwawym misterium.

Nie waż się przechodzić przez Mur, nie waż się próbować, nie waż się nawet o tym myśleć! - to ojciec, pamiętała wyraźnie.

Akurat!

Mur był taki wysoki... Obejrzała się w stronę domu.

Nie po to długie wieczory studiowałaś stare księgi, by teraz zawrócić. Orle Obrazy, na podstawie których sporządzano aktualną mapę miasta - zasz je przeciw na pamięć.

Wiedziała wszystko o orkach, o ich słabościach i zwyczajach, począwszy od odżywiania po zachowania godowe, prymitywny język, ba, знаła budowę anatomiczną orka, wiedziała nawet, skąd wzięła się charakterystyczna „fałda grzbietowa”.

Czego miałabym się bać? To tylko trochę bardziej inteligentne zwierzęta.

Jednak były takie wielkie, umięśnione, takie obrzydliwe. Widziała dziesiątki, setki rycin, znała wszystkie podgatunki, wiedziała też o innych stworach zamieszkujących Miasto - wszystkie były odrażające. Nawet samice orków, szmule. A może zwłaszcza one.

Julię wychowywano w uwielbieniu estetyki i harmonii, w kulcie kultury wysokiej. A więc - kwestia smaku. Ona, elfka wysokiego rodu miałaby zniżyć się do poziomu śmietnika? Nigdy!

Po co więc, decydując się na szalony krok, wykradła ojcu zakłęcie? Przecież gdyby się dowiedzieli, nawet hrabia Blueberry nie pomógłby dziewczynce, mimo tak młodego wieku czekałby ją sąd, to więcej niż pewne. Abstrakt raczy wiedzieć, co mogliby z nią zrobić.

Spojrzała na torbę podróżną, którą miała z sobą. Przygotowała plan, każdy szczegół był przemyślany, miała nawet strój maskujący, pozwalający jej upodobnić się do mieszkanki Miasta.

Są ważniejsze rzeczy niż smak.

Jeszcze raz dotknęła ręką zimnego Muru. Jeszcze raz spojrzała w stronę domu. Następnie drżącym głosem wyszeptała zakłęcie.

Była po drugiej stronie.

Rozdział pierwszy, w którym Julia spotyka człowieka.

Brat Wojciech zatrzymał się w bramie. Za nim ciągnęła się wąska, brukowana ulica, przed nim był mrok i stęchlizna podwórza. Zrobiło się chłodno, ciągnęło od pobliskiej rzeki.

Mnich przyłgął do ściany, wolno stawiając kroki. Kryjąc się w cieniu, zerknął kątem oka w głąb bramy. W kałuży, rozlewającej się na popękany beton, przeglądał się księżyc. Z trzech wielkich, blaszanych śmietników cuchnęło. Wyjątkowo dokuczliwie.

Wypisz, wymaluj, środowisko występowania bramolaków. Jak z Bestyaryusza dla Psów, pomyślał.

Brat Wojciech był Psem, pełnił tę zaszczytną funkcję od kilkunastu lat. Bestyaryusz znał na pamięć, wiedział, że informacje tam podane są prawdziwe. Najczęściej.

Bramolak, tak. A więc nie można mu już pomóc.

Dłoń bezwiednie ścisnęła rękojeść miecza. Mocniej zaciągnął sznur, którym przewiązał habit. Jego strój nieco przeszkadzał w walce, nie był zbyt praktyczny, fakt, ale za to budził respekt. Kiedy idzie się przez Miasto w habitcie, jest bezpieczniej. Ork nie zacznie pierwszy bójki, winopije kryją się po bramach i zaułkach, czmychają trolle, szmule ostentacyjnie zamykają okna. Tak, habit zapewniał bezpieczeństwo. Nawet jeśli było się elfem mieszkającym w Mieście.

Nie wszystkie elfy mają komfort bezpieczeństwa.

Te, które przysłały gołębia z prośbą o pomoc, nie miały. Wprawdzie nie brakowało im jedzenia czy picia, te środki czerpały ze Źródła - przywileju, jaki pozostał elfom miejskim po Podziale, lecz cóż to za życie, gdy nie można nawet wyjść z domu, odetchnąć świeżym powietrzem podwórza, które zagarnął potwór?

Więzienie, ot co. Więzienie i ciągły lęk, że monstrum zapuka do drzwi, że skradnie Źródło, magiczny przedmiot pożądania wszystkich istot miejskich. Tylko elfy miały w Mieście prywatne, domowe Źródła, reszta żywiła się w wielkich, zbiorowych Paśnikach, o które bez przerwy toczyły bój hordy orków i trolli.

Kiedy tylko Wojciech zobaczył, że gołąb zniża lot i zbliża się do klasztoru, wiedział już, że nadeszła jego kolej. Mimo wszystko skrzywił się, przeczytawszy wiadomość. Bramołąk w podwórzu, na Kwiatowej. To oznaczało walkę. Zabijanie.

Jak powiadał ojciec Krzysztof, generał Psów, nawet takie stworzenia jak orki, szmule czy bramołaki mają duszę. Nie wolno wam o tym zapomnieć, podkreślał. Wojciech pamiętał. Dlatego nie lubił zabijać. Kłopot w tym, że z bramołakiem nie można było się uporać w żaden inny sposób.

Ciężkie chmury zakryły niebo, księżyc zniknął z kałuży. Pociemniało. Jakiś szmer dobiegł z podwórza. Zaklekotała kłapa od śmietnika. To był on, bramołąk, terroryzujący zamieszkaną przez stare elfy szare kamienice. Kątem oka mnich złowił ruch, cień przemknął pomiędzy śmietnikami, plusnęła kałuża. Jeden krok, drugi, trzeci, Wojciech szedł cicho, by nie zaalarmować potwora. Zerknął w niebo. Chmury były gęste.

I bardzo dobrze, w ciemności jest łatwiej. Kończmy sprawę.

Znów jakiś stukot pomiędzy śmietnikami.

Boże, co za smród.

Wyskoczył zza załomu, kilkoma susami pokonał dzielący go od śmietników dystans. Okrążywszy rdzewiejący pojemnik spostrzegł skulony w kącie, wciśnięty w kąt muru kształt bramołaka. Miecz zaciążył w dłoni. Potwór, co dziwne, nawet nie próbował się bronić. Wojciech wyczuł jego strach.

I wtedy poprzez jakąś szczelinę chmur wyrzał księżyc, oświetlając podwórze. Ostrze miecza zatrzymało się w połowie drogi do celu. Celem zaś nie był bramołąk, ale młoda, trzęsąca się ze strachu dziewczynka.

- Szmula? - mruknął Pies. Samice orków rzadko oddalały się od orkijskich siedzib. Ale ubiór - krótka, wyzywająca spódniczka, buty na koturnach i bluzeczka z głębokim dekoltem, ostry makijaż i tlenione blond włosy jasno sugerowały przynależność do którejś z orkijskich osad na południowych krańcach miasta. Może była z Rusów? A może z Polanki? Tak czy inaczej, z całą pewnością z Bloków. Chociaż... było coś dziwnego w jej twarzy, oświetlanej księżycowym blaskiem. Spojrzał jej w oczy, które nagle jeszcze bardziej rozszerzyły się ze strachu.

W tej samej chwili Wojciech uświadomił sobie, że słyszy, jak skrzypi kłapa od sąsiedniego śmietnika. Zakonnik przestał myśleć, w takich chwilach górę bierze instynkt, ciałem zaczynają władać wyćwiczone odruchy. Na planowanie, strategię i zastanowienie nie ma czasu.

Zadziałał jak automat. W chwili gdy bramolak, który wynurzył się ze śmietnika za plecami mnicha, runął do przodu, skrzecząc „khhurwaa”, Wojciech stał już w innym miejscu, a cięcie, wyprowadzone z półobrotu rozpruło szyję potwora.

Nie zabijaj. Musisz pamiętać o tym, że byli kiedyś bardzo podobni do nas. Elfy, orkowie, trolle, to sztuczne podziały, narzucone przez tych, którzy zamknęli nas w Mieście. Starczy jedno słowo, by opisać nas wszystkich. Słowo, którego przestano używać wiek temu - tyle ojciec Krzysztof.

Wojciech stał w milczeniu, patrząc, jak potwór plunął krwią przemieszaną z ohydny winem z Paśnika. Chude, kościste ręce przez chwilę wykonywały dziwne gesty, dłonie chwyciły powietrze. Sztywniejące ciało przechyliło się i runęło pod nogi Psa.

- Ecce homo - mruknął Wojciech, powtarzając credo za generałem swojego zakonu. Obrócił się do skulonej w kącie szmuli.

Szmuli nie było.

Rozejrzał się dookoła. Stała w bramie, jeszcze chwila i wybiegnie na ulicę, zniknie w labiryncie wąskich uliczek i ciemnych bram starego miasta. Nie wiedząc czemu, pognął za nią. Dziewczynka zatrzymała się nagle, jak gdyby miasto za bramą ją przeraziło. Odwróciła się w stronę mnicha. Wojciech poszukał dłonią po ścianach bramy, znalazł zatkniętą pochodnię, skrzesał ogień. Słyszał, że dziewczynka płacze.

- Ja... - zaczęła. - Ja...

Dziwne. Miała niespotykany akcent, na pewno nie orkijski. Nachylił się nad nią, spojrzał w oczy.

- Elfka?

- Jestem Julia, córka hrabiego Blueberry zza Muru. Przybyłam uwolnić jednorożce.

***Rozdział drugi,
w którym Julia słyszy dudnik
i rzuca zaklęcie w czarnej mowie.***

Szli przez nieprzyjazne miasto pogrążone w ciemnościach.

- Wiem, kim jesteś - powiedziała dziewczynka po chwili milczenia. Wojciech rozumiał ją bez problemów, słowa brzmiały podobnie, tylko akcent miała inny niż ten elfów z Miasta.

- Teraz sobie przypomniałam. Czarne elfy. Te, które nie chciały opuścić Miasta. Te, które współpracowały z orkami. W bestyaryuszach napisano, że wszyscy tacy jak ty, wyginęli.

- Jak mamuty? - Wojciech wyszczerzył zęby w szyderym uśmiechu. - Może twoi nauczyciele chcieliby, żeby tak było. Pewnie tak. Ale my się trzymamy. Może nie mocno, ale trzymamy się. Póki co.

Dziewczynka stanęła.

- Rzucisz mnie orkom na pożarcie? Sprzedasz hodowcy szmuli?

Mnich westchnął. Słyszał o tym, że po drugiej stronie Muru rozpowszechnia się podobne kłamstwa. Czy oni zapomnieli już, jak było naprawdę? A Konwencja Miejska, a Trybunały? Przecież ktoś musi się tym zajmować po drugiej stronie?

Chciał krzyknąć, zaprotestować, chciał wyjaśnić, że to jej przodkowie wzniesli Mur, że to oni nie pozwolili na eksodus z Miasta wszystkim. Że to oni wymyślili ten cholerny świat z podziałem na elfy, orki, trolle i Bóg wie kogo jeszcze. Cenzus majątkowy, niech go szlag!

Nie ma sensu. Przecież to jeszcze dziecko.

Cóż, historię piszą zwycięzcy.

Więc Wojciech milczał, tylko zacisnął zęby. Pokręcił przecząco głową.

- Dziwię się wam - powiedziała dziewczynka, już trochę spokojniejsza. - Siedzieć pośród tej szarzyzny, tego smrodu. Wszędzie tak gęsto, że nie można złapać tchu. Dlaczego zostaliście?

- A ty? - odpalił. Nie chciało mu się wyjaśniać jej wszystkiego. To nie miało sensu. Ona była z innego świata. - Ciebie też coś tutaj przygnało.

Nie dodał, że dziewczynka nie była jedynym elfem zza Muru, który odwiedzał miasto. Niektórzy jej współplemieńcy, mężczyźni, bywają tu wcale często.

- Mówiłam już - dziewczynka tupnęła. - Przyszłam uwolnić jednorożce.

O co jej chodziło? Jakie jednorożce? Nie miał pojęcia.

- A ten strój, makijaż? Po co?

- Miałam chodzić po mieście ubrana jak elfka? - spytała. - Przecież wtedy mogłaby mi się stać krzywda.

- Mogłaby - zgodził się mnich. - Ale przebrana za szmulę wcale mniej nie ryzykowałeś. Gdyby spotkał cię jakiś ork w rui, mogłabyś skończyć w jego stadzie jako ostatnia z samic.

Zakonnik przystanął na skrzyżowaniu, spojrzął w lewo, w prawo. Ulica, na ile pozwalał stwierdzić mrok, była bezpieczna. Orków ani śladu.

- Dobrze - powiedział cicho. - Dzisiaj większość orków wyprawiła się do Ogrodów, mają tam Święto Obfitości.

- Święto Obfitości? - spytała. - O tym nie czytałam w księgach.

- Nie dziwię się - powiedział cicho.

- Co, co?

- Nic takiego. Święto Obfitości zdarza się nieregularnie, to w tej, to w innej dzielnicy. Zawsze jest to obszar zamieszkały głównie przez orki.

- I co wtedy robią?

- Orki? - Wojciech przez chwilę wpatrywał się w powybijane okna mijanego gmachu. - To, co potrafią. Walczą między sobą. Do upadłego.

Przez chwilę szli w milczeniu, mijając porozbijane latarnie i bure, puste budynki. Nikt w nich nie mieszkał, nikt nie dbał o ich wygląd. Na opustoszałym skwerze pięły się w górę dwa wielkie gmachy, mieszanina szkła i stali, ośrodki dawnej elfiej władzy w Mieście.

- Święto Obfitości - podjął mnich - to czas, kiedy ork może poczuć się elfem. Kiedy nagle, nie wiedzieć skąd, pojawiają się Źródła. Ork, zwykły ork może mieć wtedy wszystko, o czym zamarzy. Więcej nawet niż elf z Miasta, bo Źródła, które się otwierają są bogatsze, bardziej zasobne. Niektóre orki przypisują tę łaskę Dawidowi Piłkowładnemu i Świętej Wiktorii od Stadionów, inni orkowie twierdzą, że to Heyah Czerwonoreki, inni jeszcze powtarzają w nabożnej czci „Addidas akbar” - w zależności od tego, jakie bóstwo wyznaje dany blok czy dzielnica. Wszystkie wierzą, że to magia.

- A nie? - Julia uniosła głowę. - Za Murem magia jest obecna cały czas. Źródła są wszędzie.

Mnich zatrzymał się, spojrzął na Julię.

Dlaczego on tak na mnie spogląda? Czyżby chciał jednak sprzedać hodowcom szmulę?

- Magia, tak - mruknął smętnie. - Tego, co wyłoni się ze Źródeł, nigdy nie starcza dla wszystkich. Zawsze, za każdym razem wywołuje to konflikty pomiędzy orkami. Giną ich wtedy tysiące. Chyba tylko dlatego jeszcze się mieszczą w Mieście. I jeszcze jedno - tuż przed Świętem Obfitości następuje Objawienie. Szklane ołtarze orków rozbłyskują wtedy zimną, bladoniebieską poświatą. Ukazuje się boski Dawid albo inny heros czasów dawnych i zdradza tajemnicę. Za dzień, dwa, tam i

tam, czekajcie. Bądźcie tam. Wtedy rozpoczynają się walki, orki rzucają się sobie do gardeł. Tak jak teraz.

Spojrzał na słabą łunę, czerwieniejącą na niebie, ponad zrębami domów.

- Orkowie z Ogrodów są mało liczni, nie obronią się. Ogrody spłoną, będzie prawdziwa rzeź.

Populacja znowu spadnie do poziomu, który umożliwia życie w Mieście. Tak, Magia.

Spojrzał na dziewczynkę. Julia miała dopiero dwanaście lat.

Kiedy za Murem dzieciom przestają opowiadać bajki?

- Bóstwa? - dziewczynka opacznie odebrała spojrzenie mnicha. - Czytałam o nich, to znaczy o kultach, panujących w Mieście. Ale to wszystko bujdy. Przecież wielcy astromagowie dowiedli - nie istnieje żaden Bóg, który wtrącałby się w nasze życie, żadna istota podobna elfom czy orkom, tyle że potężniejsza. To bzdura. Istnieje Abstrakt, odległy, niezrozumiały i do niczego niepodobny. Abstraktu nie można zbadać. Abstraktu nie widać. My jesteśmy w środku, on jest poza. Jeśli napompujemy piłkę, to mimo że ją napompowaliśmy, mimo że możemy ją kopnąć - bez szkody dla piłki nie sprawdzimy, co dzieje się w środku. Tak samo Abstrakt nie może ingerować w nasz świat.

- Za Murem - zaczął Wojciech - byłaś prymuską?

Julia dumnie skinęła głową. Miała znakomitą pamięć, teksty z podręcznika zapamiętywała słowo w słowo. Jak ten fragment, którym popisała się przed mnichem. Dzięki temu mogła się dobrze przygotować do wyprawy.

- Skoro ich nie ma, skoro wszystkie poszły walczyć ze sobą, może pójdziemy uwolnić jednorożce. Pomożesz mi?

Brat Wojciech westchnął ciężko.

- Wracamy do klasztoru. Orkowie nigdy nie zostawiają swoich sadyb bez straży. Zresztą, co ty wymyśliłaś z tymi jednorożcami? Już mówiłem, nigdy o nich nie słyszałem.

- Więc co się z nimi stało? - zapytała, gniewnie zadzierając głowę.

- Widocznie nie mają już do kogo przychodzić - warknął, chwytając Julię za ramię i odciągając gwałtownie z drogi na podziurawiony chodnik.

- Ciii! - przyłożył palec do ust. Skryli się w cieniu starego drzewa, korzeniami rozsadzającego płyty chodnika i podważającego grube ramię krawężnika. Julia nie musiała pytać, co zaalarmowało mnicha. Sama usłyszała przeraźliwy, zgrzytliwy dźwięk. Hałas był po prostu straszny.

Gdyby coś takiego rozległo się w puszczech dookoła Blueberry, uciekłyby wszystkie zwierzęta.

Zatkała uszy, ale drobne dłonie nie mogły ochronić jej przed hałasem. Wykrzywiła usta z niesmakiem, jednocześnie wyglądając zza krawędzi budynku. Źródło warkotu zbliżało się nieubłaganie, a ona koniecznie chciała je zobaczyć. W Mieście wszystko było wprawdzie brzydkie i koślawe, ale za to nowe, nieznanne.

Budziło ciekawość.

Kilka chwil po tym, jak uskoczyli w ciemność, w świetle księżyca zobaczyła dziwną maszynę, zbudowaną z blachy. Miała okna, ale nie było w nich szyb. Poruszała się na czterech kołach, straszliwie warcząc i ciągnąc za sobą ogon czarnego dymu. Ale nawet nie sam warkot był najbardziej dokuczliwy, znacznie bardziej drażnił Julię rytmiczny, basowy dźwięk, dobywający się z wnętrza maszyny.

Księżyc świecił mocno, wyraźnie widziała stłoczonych w środku orków - całkiem łysych, odzianych w rytualne dresy, przyozdobionych złotymi łańcuchami, z potężnymi „fałdami grzbietowymi”. Machina podskakiwała na wybojach, kluczyła między przeszkodami, pluła dymem,

co jakiś czas rozlegał się głośny huk. Po kilku sekundach, długich jak bezsenna noc, blaszany koszar zniknął za zakrętem.

- Rydwany dymu wyposażone w dudniki - szepnęła. - Myślałam, że to legenda.

- To orkowa arystokracja, najgłupszy i najbardziej brutalni spośród orków zamieszkujących Miasto. Ci już musieli się obłowić i teraz wieźli łup do swoich bloków. Niestety - brat Wojciech pokręcił głową - to nie legenda, jak widać. W przeciwieństwie do tych twoich jednorozców.

- To nie jest bajka - krzyknęła histerycznie. Wprawdzie już sama nie była pewna, czy prababka opowiadała prawdę, ale nie chciała dopuścić do siebie myśli, że mogła popełnić taki błąd, podobne głupstwo. Elfy wysokiego rodu się nie mylą!

- Mieszkają w małych klitkach w samym środku Miasta. To się nazywa Rynek. Orkowie codziennie zmuszają je do walki, wiedząc, że są nieśmiertelne. Codziennie, gdy słońce jest wysoko, urządzają sobie krwawy spektakl.

- W południe? Chyba wiem... - Wojciech nagle przystanął, zdusił przekleństwo. Spojrzenie Julii powędrowało tam, gdzie spoglądał mnich.

Gruby, metalowy słup podtrzymywał żelazną ramę w kształcie prostokąta. Z wnętrza ramy spoglądały na nich dwie twarze. Z początku Julia nie rozpoznała podobizn, światło księżyca nie było dość mocne, a ona знаła te twarze tylko ze starych ksiąg. Ale spojrzała uważniej na oblicze mężczyzny i charakterystyczną fryzurę ciemnowłosej kobiety. Tak, to byli i Dawid Piłkowladny i jego boska małżonka - Święta Wiktoria od Stadionów. Jedne z najbardziej popularnych bóstw czczonych w Mieście.

Spoglądała właśnie na orkowy ołtarz.

Tylko co oznaczają te literki? AMS?

Zaraz też zrozumiała, że mnich patrzy gdzie indziej. Gruby słup ołtarza przysłaniał masywną sylwetkę, ale wyćwiczone oko Psa od razu złowiło ruch, spostrzegło charakterystyczny kształt. Po chwili potwór wyłonił się z rzucanego przez słup cienia. Ruszył w ich stronę i Julia miała okazję przyjrzeć mu się uważnie.

Jakiś potwór tu nadchodzi.

Grube ramiona, wysunięta do przodu szczeka, szyja przewiązana szalikiem, w ręku kij, wąski w uchwycie, rozszerzający się jak maczuga. Julia od razu poznała, co to za stwór, był identyczny jak te na rysunkach, kropka w kropkę bestyi opisanie. Wyjątkowo niebezpieczny gatunek orka, na szczęście po Podziale ich liczba systematycznie malała.

Kibol barbarzyńca.

- Gdyby coś mi się stało - Wojciech mówił cicho, na jego twarzy malowało się napięcie - idź wzdłuż tą ulicą, cały czas prosto aż ujrysz krzyż. Wiesz, co to krzyż?

Dziewczynka pokiwała głową. Znała starodawne symbole religijne.

- To zmiataj. Uciekaj póki czas - warknął Wojciech. - Ja go zatrzymam. Ale razem nie zdołamy uciec, jest zbyt szybki. Pamiętaj, krzyż! - krzyknął. I ruszył na spotkanie z monstrem.

Pierwszy zaatakował kibol, rycząc wściekle i kręcąc młyńca kijem. Chciał wykorzystać fakt, że był rozpedzony, wziął potężny zamach, ale nie trafił. Mnich wyprowadził kontrę, tnąc mieczem, ale kibol był szybki, znacznie szybszy niż bramolak. Uchylił się, uderzył mnicha ręką uzbrojoną w żelazny kastet. Spróbował poprawić kijem, ale Wojciech w ostatniej chwili odbił uderzenie płazem miecza. Kolejna próba ataku podjęta przez mnicha - i znów nieudana.

Julia nieposłuszna poleceniu zakonnika stała kilkanaście kroków dalej, przyglądając się walce.

Widziała, że elf słabnie, i z sekundy na sekundę maleją jego szanse na zwycięstwo. Kibol coraz bardziej się rozsierdzał, na jego pysku pojawiła się biała piana. Nagle, korzystając z chwili nieuwagi przeciwnika, elf ciął płasko, raniąc kibola w lewe ramię.

Julia aż podskoczyła z radości.

W tej samej chwili kij dosięgnął ramienia elfa. Uderzenie było straszne. Wojciech runął na trawę.

- ...wpidejebaa...!!!! - zaryczał kibol triumfalnie. Podszedł do nie mogącego się otrząsnąć elfa, kopnął raz, drugi, trzeci, w twarz, w brzuch, w genitalia. Wojciech jęczał. Miecz upadł na trawnik krok od niego. O krok za daleko.

Julia przyglądała się temu z rosnącym przerażeniem. Co robić, co robić, tyle się uczyła, tyle czytała o Mieście, o obyczajach potworów, co robić, panika, myśli przelatują przez głowę jak komety, ten pomysł zły, tamten też, nie ma, nie ma sposobu, żeby pomóc mnichowi.

Chociaż?

- Kolejorz! - wydarła się na całe gardło. - Legia, jebana kurwa!

Poskutkowało. Kibol barbarzyńca słysząc zakłęcie, zostawił Wojciecha w spokoju. Jego pysk rozblił zadowoleniem.

Jak pies, który usłyszał głos pana.

Już odpowiadał na zawołanie, już z jego gardła wydobywał się charkot „Pogoń Szcze...” kiedy brat Wojciech odciął mu głowę.

- Dalej - zakonnik pociągnął Julię, która wbiła oczy w trupa. - Kibole to zwierzęta stadne. Założę się, że ten nie był sam. Musimy uciekać.

Ruszyła za nim.

- Swoją drogą - mruknął z uznaniem. - Nie wiedziałem, że znasz zakłęcia w czarnej mowie.

Rozdział trzeci, w którym Julię ścigają pity.

Wojciech miał rację, kibole faktycznie żyły w stadach. Wprawdzie to, które ich ścigało, liczyło co najwyżej dwadzieścia sztuk, ale dla Julii i tak było to o dwadzieścia sztuk za dużo.

Uciekali w panice, to kryjąc się w gąszczu krzewów rosnących na skwerach, to niknąc w płataninie uliczek, kluczyli pomiędzy blokami, gnali przez złowrogie podwórza, wszystko, by zgubić pościg. Raz, gdy przyłgnęli do murów starej, ceglanej budowli sakralnej, a stado nawet tam nie spojrzało i pognało ulicą w dół, Julia miała nadzieję, że udało im się uciec. Drugi raz taką nadzieję poczuła, gdy przez dobry kwadrans Wojciech i ona leżeli bez ruchu w sporej wnęce, pośród odłamków szyb, śmieci i bezdomnych kotów, które zaanektowały pomieszczenie. Julia, zasłuchana we własny oddech, we własne szalejące tętno, rozpaczliwie próbowała zachowywać się cicho i choć na moment przestać myśleć o pościgu.

...CIAR...NIA... - udało jej się odczytać napis na drzwiach. Co to mogło znaczyć? Rupieciarnia?

- Znowu tutaj idą - szepnął mnich. - Teraz milcz. Kiedy przejdą, uciekamy. Nie ma co czekać, aż im się znudzi, krążą, jak kot polujący na mysz. Chyba wiem dlaczego. Nie poszli na Święto Obfitości, bo było ich niewielu, nie mieliby szans. Więc starają się jakoś powetować sobie stratę.

- Ale przecież my nic nie mamy - wyszeptała.

Zaśmiał się.

- Nie oczekuj, że te stwory będą myślały jak ty, że będą myślały w ogóle. To dwa różne światy, Julio, one rozumieją tylko czarną mowę i przemoc. Cicho.

Zamknięte, cienie kiboli miały wnątek, Julia spostrzegła, że mnich odlicza na palcach.

- Sześciu - szepnął, gdy przeszli. - Rozdzielili się. A zatem jedyna nasza szansa to dotrzeć na Marcina. To już naprawdę niedaleko. Stąd będzie jakieś dwieście, trzysta kroków, w lewo. Wychodzimy na trzy.

Posłuchała. Stanęli na chodniku, rozglądając się dookoła. Wojciech zaklął.

- Obstawili przejście. Niech to, mają pity! Szybko, zanim nas zobaczą - pociągnął Julię za sobą, w boczną uliczkę. Niestety, zbyt późno. Przyzwyczajone do mroku oczy kiboli złowiły ruch, pity zaszczeptały wściekle. Wojciech pędził co sił, ciągnąc za sobą słabnącą z chwili na chwilę dziewczynkę. Julia, zmęczona i niewyspana, nie miała już sił, a biegła dalej tylko dlatego, że ten rozdział Bestyaryusza, który opowiadał o pitach przeczytała wyjątkowo dokładnie.

Bojowe psy, hodowane przez niektóre szczepy orków. Niewysokie, ale silne, ruchem szczęki potrafią odgryźć rękę czy nogę. Szkolone do walk. Mają krótkie futro i głowę nieproporcjonalnie dużą w stosunku do reszty ciała. Orkowie karmią je mięsem elfów, a kiedy takiego zabraknie - mięsem najslabszych osobników danej gromady orków.

Aż wzdrygnęła się na samo wspomnienie Bestyaryusza.

Ostre ujadanie zbliżało się, mimo że Wojciech starał się zgubić trop. Jeden zakręt, drugi, uliczki migwały i Julia nawet z mapą nie potrafiłaby odtworzyć przemierzonej trasy. Zapamiętała tylko dostojny, marmurowy budynek stojący na rogu, wąską uliczkę ciągnącą się w mrok, i sylwetki kiboli na tle świateł ulicy. Świateł ulicy? Przecież Miasto było ciemne.

- Marcin - wyjaśnił Wojciech. - Dzielnica elfów. Ale blokują wejście.

Uskoczyli w pobliską bramę.

- Ci nie mają na szczęście pitów, nie widzieli nas - wysapał, wspierając się o śmietnik. Węch podpowiadał mu, że ta brama jest czysta i w niej nie ma bramałaków, co najwyżej koty i szczury toczące odwieczne boje o dominację nad suterrenami.

...OTO...STYKON - przeczytała Julia.

Ujadanie pitów narastało.

Wojciech rozejrzał się dookoła, szukając kryjówki. Jak każdy elf, znał tę bramę bardzo dobrze. Nie, tutaj nie było gdzie się skryć, chyba że weszłoby się do kamienicy. TEJ kamienicy. Na samą myśl przeszedł go dreszcz.

Rzucić się na nich, porąbać, posiekać, zdążyć zabić kilka pitów, kilku kiboli. Zginąć jak prawdziwy Pies, w walce.

A ona?

Spojrzał na stojącą za jego plecami dziewczynkę. Nie da sobie rady w Mieście, nie ucieknie przed kibolami, a jeśli sama weszłaby do pobliskiego budynku...

Wybór był jeden, jasny i oczywisty.

Kamienicznica.

Koty, które pokonały szczury w walnej bitwie i cieszyły się chwilowym władztwem nad podwórzem, poruszyły się. Jedna za drugą, smugi czerni niknęły w wąskich okienkach piwnic, w śmietnikach, przeciskały się przez niedomknięte czy powybijane okna. Wielki, szary dachowiec umknął wysoko, wspinając się po rdzewiejącej rynnie.

Znak, że pity były naprawdę blisko.

- Chodź - szepnął do dziewczynki. - A kiedy będziemy w środku, pamiętaj: nie odzywaj się.

Było coś w głosie mnicha, co nie pozwoliło jej zaprotestować.

Pierwszy pit wpadał właśnie na podwórze, kiedy Wojciech zamknął za sobą drzwi do kamienicy.

**Rozdział czwarty,
w którym Julia błądzi po kamienicy.**

Każda nacja, każde plemię przystosowuje się do środowiska, w którym żyje. Z drobin rzeczywistości, ze wstęg wspomnień konstruuje zrozumiały dla siebie obraz świata. A że umysł źle reaguje na niepoznawalne, że nie może znieść tego, czego zrozumieć nie potrafi, zaczyna tworzyć konstrukty, czyniące świat jasnym, znajomym. Mitologizuje rzeczywistość, przy czym jako tworzywo bierze to, co akurat ma pod ręką. I tak ludy żyjące wśród pustyń z szalejących wiatrów i tumanów kurzu ulepiły ifryty i dzinny. Żeglarze zamiast niepomyślnych wichrów i zdrażliwych wirów usłyszeli syreny. Inni jeszcze, zamieszkujący gęste bory, twierdzili, że jeszcze krok, a napotkasz mamunę, skrzata czy wilkołaka, który zwiedzie cię na złą drogę, w nieprzebyte ostępy. Wygodne tłumaczenie, jeśli nie potrafiło się znaleźć przyczyny zdarzeń. Jeśli nie było wiadomo, dlaczego na pustyni, na morzu czy w leśnej gęstwie giną dobrzy ludzie. Wtedy pojawiały się potwory, wtedy spośród drzew wychylał się Król Olch, uwalniając od problemów - bo cóż można było zrobić, jeśli miało się do czynienia z magią? Tfu, przez lewe ramię, i do domu, by nas nie spotkał taki sam los.

Mędrcy twierdzili, że to zabobon, czcza gadanina, lud zaś czczył starożytne dęby, wichry na pustyni czy białe błyskawice i zostawiał jedzenie skrzatom.

Cóż więc ma zrobić elf, mieszkaniec Miasta, który zna wszystkie te schematy myślowe, który wie, że monstra to wytwory chorej wyobraźni, kiedy w samym centrum Miasta wznosi się ponura kamienica. Kamienica, w której nikt z pewnością nie mieszka, a mimo tego okna to się otwierają, to zamykają, to słychać chichot, to znów dziwną muzykę, a gdy przystaniesz pod oknem i posłuchasz, niezawodnie usłyszysz odgłos kroków. Równomierne, jednostajne: tup, tup, tup - po drewnianej podłodze ktoś idzie.

Kto?

Byli tacy, którzy próbowali się dowiedzieć. Jednak niewielu z nich zdołało przejść przez ciemne korytarze budynku na drugą stronę. Czy były to ciekawskie wyrostki, czy dorośli, próbujący raz na zawsze skończyć z narastającym mitem, który budził grozę - nie miało żadnego znaczenia. Kamienica w swej zachłanności była do obrzydliwości demokratyczna - po równo pochłaniała orków, elfy, trolle czy bramolaki. A to, czy kogoś akurat przepuściła nie zależało w żadnym razie od majątku, urody czy inteligencji. Prawidłowości w tym nie było żadnej.

Tak narodziła się legenda Kamienicznicy. Tak narodził się mit.

Duch w kamieniu, w cegle, w betonie, czy może być cokolwiek mistycznego w pomalowanej farbą olejną futrynie, w drewnianych schodach, w brudnych szybach? Toż to absurd.

Każdy w Mieście wiedział, że to jednak prawda.

Kiedy tylko mnich i dziewczyna weszli w drzwi, natknęli się na wielką, lepłą pajęczynę. Nim Julia zdążyła krzyknąć przerażona, Wojciech zatkał jej usta dłonią.

- Mówiłem. Ani słowa! - szepnął. - Nie budź jej.

Korytarz, który otworzył się przed nimi był ciemny. Zewsząd ciągnęło stęchlizną i zapachem starego kurzu. To nie było dobre miejsce.

Zupełnie jak wtedy. Przez piętnaście lat nic się tutaj nie zmieniło.

Wojciech przystanął, odwrócił głowę w lewo, w prawo. Trudno było cokolwiek dostrzec, żaden

promyk światła nie rozjaśniał korytarza. Ale też Wojciech nie patrzył. Słuchał.

Gdzieś w ciemności chrobotowały myszy, zaprzyjaźnione z właścicielką kamienicy. Julia dyszała ciężko. Podłoga skrzypiała.

Żadnych stukotów. Dobrze. Poprzednio... Poprzednio już były.

Niektórych wspomnień zatrzeć nie sposób. Choć minęło piętnaście lat Wojciech doskonale pamiętał, kiedy ostatnim razem stał w tym ponurym korytarzu. To było tuż przed pasowaniem. Głupi, szczeniacki rytuał. Obrzęd, który wymyśliły elfy, chcąc dowieść swojego męstwa. Dowód był prosty - jeśli wejdiesz do TEJ kamienicy, nikt nie ośmieli się powiedzieć, że zbywa ci na odwadze. Jeśli z kamienicy wyjdiesz, to znaczy, że nie dość, żeś odważny, to jeszcze szczęście ci sprzyja. Czy można wyobrazić sobie lepszego Psa?

Nikt nie chciał być gorszy, nikt nie chciał zyskać łatki tchórza, szli wszyscy. Nie wszyscy jednak wracali. Wojciech doskonale pamiętał chwile, gdy rozległy się kroki - miarowe, wolne, spokojne. Wtedy też stał w tym korytarzu. Raz, dwa, puk, raz, dwa, puk, ktoś szedł w jego stronę, podpierając się laską, która wybijała bezlitosny rytm o drewnianą podłogę. Ruszył wówczas przed siebie bez zastanowienia. Przestał zważać na to, by nie robić hałasu, przestał zwracać uwagę na pajęczyny klejące się do twarzy i grubą na palec warstwę kurzu, oblepiającą klamki. Nie był sam, wraz z nim do kamienicy wszedł drugi kandydat na Psa, Jan. On też zerwał się do biegu, za kompas mając plecy Wojciecha.

Wtedy Kamienicznica zaczęła plątać ścieżki. Kamienica nie była duża, a mimo to młodzi biegli i biegli, cały czas prosto przed siebie, nie mogąc dotrzeć do drzwi wyjściowych. Nagle, nie wiedzieć skąd, wyrosły przed nimi schody (nie było ich na planie kamienicy, który otrzymali!) spadające zakrętem w dół. Potem strzeliły do góry, jeszcze raz skrzyły, i jeszcze. Wojciechowi zakręciło się w głowie. Znow był w tym samym korytarzu, Jan tuż za nim. A jeszcze krok w tyle, tam gdzie ciemność gęstniała, wpleciona w sieć pajęczyn, Wojciech wyczuł czyjaś obecność. Zerwał się w popłochu, biegł przed siebie i powtarzał słowa modlitwy. Tylko raz odwrócił się za siebie.

Jana nie było.

Kiedy zobaczył drzwi, kiedy był tuż, tuż, znow usłyszał kroki, raz, dwa, puk, raz, dwa, puk, raz dwa, puk. Blisko. Zbyt blisko.

Dramatycznym susem dosięgnął klamki, otworzył drzwi wyjściowe i stanął na Marcynie, zalany jasnym światłem lamp. Obejrzał się za siebie, w głąb korytarza. Niczego nie zobaczył. Jana również.

Korytarz był pusty.

Ten dźwięk, to cholerne raz, dwa, puk, śniło mu się po nocach przez całe piętnaście lat.

Raz, dwa, puk.

To nie było złudzenie. Chwyciwszy mocniej miecz pociągnął Julię za sobą. Ciekawe, czy zdąży tym razem? Klamka, wyjście, gdzie to jest? - całą wieczność stąd. Kroki tymczasem były coraz bliżej.

Nagle gdzieś w dali zaskrzypiały drzwi.

- Jaapierrr - zawarczał jakiś ork. - Jeebie!

Zawtórowały mu inne głosy, kibole musieli wejść do kamienicy całą gromadą. Kroki na moment przycichły zupełnie. Potem przekłete „raz, dwa, puk” rozległo się znowu, coraz szybciej i szybciej. Wojciech odetchnął. Oddalała się, szła w stronę orków.

Kiedy jego dłoń poczuła chłód mosiężnej klamki, kiedy pierwsze promienie pomarańczowych lamp na Marcynie precyzyjnie się przez szczelinę otwieranych drzwi, pajęczyny zafalowały. A potem

kibole zaczęły wyc.

Wojciech zatrzasnął za sobą drzwi.

Byli bezpieczni.

***Rozdział piąty,
w którym Julia, niejedno przecież zobaczywszy,
znów dziwi się temu, co spotyka ją w Mieście.***

Lampy, galaktyka lamp.

Była noc, to prawda, lecz na ulicy, na której stanęli, wcale nie było ciemno. Światła były zewsząd - najpierw trzeba wspomnieć o kilku rzędach strzelistych latarni, pnących się wysoko, niby pomarańczowe kwiaty. Ale nie tylko one, bo przecież widziała wiele innych źródeł światła - w każdym oknie łyskała jasność. Tych okien było mnóstwo, prawie tyle, ile okien w orkowych Blokach, które mijała na przedmieściach. Tyle że tamte okna były ponure i szare, a w tych na Marcinie było życie, sama radość. Wiadomo, elfy.

Lampy, galaktyka lamp.

Jakże to wszystko było inne od Miasta nocą, które dotąd oglądała. Nie było ognia, rozpalanych na skwerach przez gromady orków, oświetlone budynki nie wydawały jej się tak straszne, jak te pograżone w mroku. Ze zdziwieniem spostrzegła, że prawie wszystkie okna miały szyby. Tu był ład, spokój, bezpieczeństwo.

Prawie jak w Blueberry.

Julia pomyślała o ostatnich dniach grudnia, kiedy jej ojciec stawiał w domu świerk zimowy, mama pieczołowicie go przyozdabiała lampkami i odblaskowymi ozdobami. Pod świerkiem zawsze czekały na Julię podarki. Podczas gdy Julia bawiła się otrzymanymi zabawkami, rodzice przy kolacji dyskutowali o Abstrakcie. Hrabia Blueberry wybuchał przy tym raz i drugi donośnym śmiechem i wykrzykiwał „A co? Tradycja musi być!”

Julia nie wiedziała, o jakiej tradycji mówił wtedy jej ojciec, ale ulica, nazywana Marcinem, przypominała jej tamte grudniowe rozmowy. Przypominała jej zimowy świerk.

- Nasz matecznik. Jedyne miejsce, gdzie to my rządymy, nie oni - Wojciech kiwnął w stronę kamienicy, w której demon masakrował gromadę orków. - Jeszcze.

- Większość z tych elfów, które zostały, mieszka właśnie tutaj. A tam, widzisz ten zamek? Tam mieszka burmistrz, który rządzi wszystkimi elfami w Mieście.

- Pójdziemy do niego? Pomoże nam uwolnić jednorożce?

- Do niego? Nie, nie sądzę. Po pierwsze dlatego, że Ryszard V niezbyt lubi nas, Psy. Uważa, że stanowimy konkurencję dla niego i jego władzy. A, jak wiadomo, władzy raz zdobytej nie oddaje się nigdy...

- Co, co? - zapytała Julia, zapatrzona w masyw zamku.

- Gdybyśmy poszli do Ryszarda, nie mogłabyś już szukać jednorożców, Ryszard nie pozwoliłby ci się ruszyć z Zamku. Następnie spróbowałby skontaktować się z kimś z Muru i sprzedałby cię za koncesję na nowe Źródło.

- To nie idziemy. Nie chcę być sprzedana. Jeszcze nie. Najpierw jednorożce - powiedziała zdecydowanie. Po chwili dodała: - A co to są te koncesje?

- Mając koncesję otwierasz nowe Źródło. Lepsze. Bogatsze.

- Ale przecież Źródła są na kłaśniecie! - zaprotestowała.

- U was tak jest, tutaj nie. Musimy uzyskać pozwolenie. Waszych, hmm, magów. Procedury legalizacyjne, rozliczne testy, czy produkty pochodzące ze Źródła nie mogą posłużyć do zniszczenia Muru, czy nie pozwalają na uzyskanie zbyt groźnej broni. Dużo pracy, mnóstwo czasu.

- Może mogłabym oddać swoje Źródło za jednorożce? Ty byś je uwolnił, a w zamian za to...

- A próbowałaś w Mieście używać swoich Źródeł? Próbowałaś? - przerwał dziewczynce. Z jej spojrzenia wyczytał odpowiedź.

- Tutaj one nie będą działać, zapamiętaj, tutaj żadne Źródło bez koncesji nie wyprodukuje nawet kropli wody. Tak więc z interesu nici.

Dziewczynka, nadąsana, spuściła głowę.

Nie wytłumaczysz, nie przekonasz. Póki dziecko się nie sparzy, póty będzie bawiło się zapałkami. Trzeba więc zrobić tak, by mała się sparzyła, trzeba, by ujrzała swoje jednorożce. Wtedy będzie z nią spokój, wtedy będzie można odstawić ją za Mur.

Oczywiście nie za darmo.

- Tam, tam - Julia aż podskoczyła, pokazując elfa, stojącego pod odległą o kilkadziesiąt kroków latarnią. Był wysoki, barczysty, przewyższał Wojciecha o głowę. Ubrany był bogato, w kurtkę z czarnej skóry i podobne spodnie. Z każdego ruchu przebijała pewność siebie, w każdym geście była moc, charakterystyczna dla elfów zza Muru. Dziewczynka zrozumiała, że to jej rodak. Och, jakże jej było tęskno do Blueberry, jak bardzo brakowało jej elfów, tych prawdziwych, nie takich jak Wojciech - skarłatych, słabych, uciekających przed orkami. To był, Julia wyteńczyła wzrok, tak, to był Rudolph von Tultz, przyjaciel jej ojca, znamienita persona i znany wojownik. Czyżby przybył do Miasta po nią, po Julię?

Elf zza Muru spoglądał w inną stronę. Nie spostrzegł ani dziewczynki, ani mnicha. Chciała podbiec do niego, uściskać, wykrzyczeć, jak bardzo cieszy się ze spotkania. Powstrzymał ją Wojciech, chwytając mocno drobne, dziewczęce ramię.

- Stój! - powiedział cicho, ale stanowczo. - Nie ciebie tutaj szuka. Spójrz.

Wzrok dziewczynki podążył w miejsce wskazywane przez elfa. Marcin krzyżował się tam z inną ulicą. Na krawędzi cienia, gdzie ledwie sięgało światło lamp, Julia dostrzegła masywną bramę o grubych prętach. Brama strzegła wejścia na Marcin, wysoka, niedostępna pokazywała wrogom rodzaju elfiego, że dalej nie przejdą. Za bramą zaś... Nie była pewna, ale wydało jej się, że widzi kontur orkowego powozu. Rydwan dymu? Dwa elfy, strzegące bramy z mieczami w rękach, rozmawiały z jakimś pokracczym stworem.

Wyteńczyła wzrok.

Tak, to był ork, zawzięcie gestykułujący. Wreszcie elfy pokiwały głowami, ork odwrócił się w stronę rydwanu, machnął ręką. W półcieniu Julia dostrzegła bujne grzywy jasnych włosów, smukłe ciała jedno za drugim, usłyszała śmiechy. Ork przywiózł pod bramę królestwa elfów cztery szmule!

Rudolph von Tultz ruszył dziarskim krokiem w ich stronę. Podszedł do wartowników, poklepał po plecach, z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki wyciągnął pękatą sakiewkę. Rozwiązał supeł i jej zawartość pokazał elfom, pilnującym bramy. Ci przyzwalająco pokiwali głowami, a wtedy Rudolph zbliżył się do orka. Otworzył furtę w bramie, wręczył orkowi sakiewkę, a ten krzyknął gardłowo w stronę szmuli. Samice orków jedna po drugiej przechodziły przez furtę, wprost do królestwa elfów, na Marcin. Rudolph von Tultz śmiał się gromko, pokrzykiwał, i klepał szmule po zadach.

Niektórzy hodują psy, pomyślała Julia.

Furta zamknęła się z trzaskiem. Elf zza Muru odwrócił się i ruszył w stronę jednego z najpiękniejszych budynków na całej ulicy. HOTEL, odczytała Julia.

W tej samej chwili Rudolph spostrzegł Wojciecha.

- Ani słowa, Julio, ani słowa. Inaczej pozna, że jesteś zza Muru, a wtedy... - urwał na chwilę, w milczeniu obserwując elfa, który zostawiwszy przed Hotelem stadko szmuli, szedł szybkim krokiem w jego stronę.

- Wtedy cię zabije - dokończył Pies. - Nie pozwoli, byś rozpowiadała za Murem, że widziałas go tutaj. Że widziałas go w takim towarzystwie.

- Czemu się przyglądasz, dominikaninie? - krzyknął Rudolph, kiedy był kilkanaście kroków od Wojciecha. - Nie pierwszy raz tutaj jestem. Ha, gdyby nie ja, nie mielibyście wielu Źródeł. Więc przestań na mnie spoglądać z naganą w oczach. Zresztą... - przystanął, jego oczy na moment zatrzymały się na Julii. - Zresztą widzę, że i ty posłuchałeś głosu ciała. Czy może prowadzisz ją do ojca generała, który podobnie jak niepełnoletnie szmule uwielbia?

- Szmule to też dzieci Boga. - Głos Psa był chłodny, beznamiętny. Nie dał się sprowokować. - Na łaskę nawrócenia zasługuje każdy. Szmula, jak najbardziej. Nawet ty, grafie Rudolphiu. Prowadzę ją do klasztoru, by jej duszę wyrwać z otaczających ciemności.

- Nawet ja, patrzcie - elf parsknął ze złością. - Tylko że ja waszego nawrócenia nie potrzebuję. Nigdy nie zmądrzejecie, zawsze będziecie mamili umysły pustymi wyobrażeniami. Bóg, Wszechmocny Bóg, Jezus Chrystus, dobre sobie. To bajki, dominikaninie, bajki, bez których tacy jak ty straciliby profesję. Religia, taka jak wasza, jest sprzeczna z prawami fizyki. Przestań więc majaczyć o Bogu i posłuchaj. Zrobimy interes. Ta mała - ruchem głowy wskazał na Julię - jest niczego sobie. Wy potrzebujecie Źródeł. A ja mam znajomości, mój drogi. Potrafię dogadać się nawet z tym starym pierdołą, hrabią Blueberry, który ma sarnie łajno zamiast mózgu i nie wiem doprawdy, dlaczego cieszy się takim poważaniem w Radzie.

Julia poczuła, że dłoń Wojciecha mocniej zaciska się na jej ramieniu.

Jak dobrze, że jest noc, i cienie zniekształcają twarze, że w światłach lamp nie widać wszystkiego. Jak dobrze, że stoję w cieniu Wojciecha, a ta świnia nie widzi wyraźnie mojej twarzy.

Na wszelki wypadek odwróciła głowę. Rudolph opacznie odczytał ten gest.

- Ty, szmulo, mnie się nie ma co bać. Będzie ci ze mną dobrze - zarechotał. - A twój opiekun jeszcze skorzysta.

- Nie ma mowy - odparł Wojciech, spoglądając w oczy Rudolpha. - Lepiej już idź. Lepiej wracaj za Mur, do domu. Do żony, którą zapewne po raz kolejny zwiodłeś kłamstwem. Elf zza Muru, oświecony, wyznający prymat intelektu, powinien być zdolny powściągnąć niskie żądze.

- Jak śmiesz, miejska gnido! - ryknął Rudolph von Tultz. Twarz mu się zmieniła, zbrzydła w wyrazie wściekłości. - Jesteś przy mnie jak neandertalczyk przy Einsteinie, zacofańcu. Już ja ci pokażę, co znaczy pouczać elfa z lasu. Mam koncesję na myślorganizację materii wewnątrz Miasta!

Rudolph uniósł rękę. Płyty chodnikowe pod nogami mnicha rozpekły się na kilka części. Krawężnik zazgrzytał, gdy powierzchnia ulicy się wybrzuszyła. Lampa, w pobliżu której stali, zachwiała się i zgasła. Sypnęło szkłem.

- Konwencja Miejska i Pakt o Podziale - wykrzyknął w odpowiedzi Wojciech. - Arbitraż! Arbitraż!

Do kogo on krzyczy? Arbitraż? Czy to jakiś demon? Czarownik? Od kiedy Rudolph jest

magiem?

Za plecami von Tultza powietrze zafalowało. Z ciemności zaczęły wyłaniać się trzy niewyraźne postacie, przezroczyste jak widma. Z sekundy na sekundę obraz się krystalizował. To byli trzej starcy, ubrani w dziwne togi.

- Sądem straszysz - syknął wściekle Rudolph, spoglądając za siebie.

- A niby dlaczego masz pozwolenie na myślorganizację tu, w Mieście? Konwencja, artykuł siedemdziesiąty czwarty, pozwala na to jedynie, kiedy dochodzi do zagrożenia życia bądź zdrowia. Zobaczmy więc, czy zagroziłem twemu zdrowiu lub życiu, czy może tylko wybudziłem dumę. Niech oceni sąd.

- Taka twoja odwaga, dominikaninie. - Rudolph splunął mu pod nogi, na pękniętą płytę chodnika.

- Wracaj więc do klasztoru i nawracaj szmule. Pamiętaj tylko, by przy tym nawracaniu w nocy zbyt nie krzyczała.

Wojciech nie zareagował, kiwnął głową w stronę głów starców.

- Zapomniałeś o czymś von Tultz - mruknął. - Artykuł sto czterdziesty, paragraf drugi Paktu o Podziale. Zadośćuczynienie. Na rzecz klasztoru.

- Gnida - wycedził elf, ale wykonał dziwny gest ręką.

- Dobrowolna zapłata zadośćuczynienia została dokonana - oznajmił jeden ze starców. Ich sylwetki zniknęły, dosłownie rozplynęły się w powietrzu.

Julia i Wojciech stali długo, odprowadzając wzrokiem elfa, który wraz z czterema łaszącymi się do niego szmulami zniknął w drzwiach Hotelu. Przeszli na drugą stronę ulicy, minęli Zamek. Szli drogą wzdłuż wysokiego ogrodzenia z drutu. Po drugiej stronie był gęsty park, drzewa szumiały, tu i ówdzie rozlegało się przeciągłe wycie, czasem nocną ciszę przerywał ostry krzyk. Tuż przy płocie przemknęło stado bezpańskich psów o zapadniętych bokach. Zza pobliskich krzaków łypnęły na Julię wielgachne ślepia żulogona. Wojciech zmarszczył nos, czując przykry odór.

- Prędszej, prędszej - pogonił padającą ze zmęczenia Julię. - Klasztor już niedaleko. Tam, po drugiej stronie, w gęstwie, mieszkają denatulyki i bezdomnice. Park Mickiewicza to złe miejsce.

Rozdział szósty,

w którym Julia nocuje w klasztorze i ma dziwny sen.

Dziewczynka czuła się w klasztorze znakomicie. Wprawdzie kiedy dotarli do klasztornych murów, a furtę otworzył ni mniej ni więcej, tylko wielki, łysy ork, przelekła się, ale Wojciech zaraz ją uspokoił.

- To konwertyta - wyjaśnił Julii. - Nawróciliśmy go jakieś pół roku temu. Mamy ich tutaj kilku, nie ma z nimi problemów, są przyjaźni, spokojni. Tak jak my wierzą w Boga, Boga Jedyne, który umarł na krzyżu, by odkupić nasze winy.

Julia знаła tę legendę, czytała o niej. Był to zdecydowanie najstarszy kult miejski, chociaż w szkole uczono ją, że jest to kult wymarły. Widok kilku mnichów, klęczących przed ogromnym drewnianym krzyżem na dziedzińcu przekonał ją, że jednak nie. Po twarzach mnichów skakały płomienie świec ustawionych pod krzyżem, ich usta poruszały się bezgłośnie.

Nasza magia jest skuteczniejsza, pomyślała.

Weszli do dużego budynku. Minęli wielką salę, zastawioną ciasno ławkami, jedna obok drugiej. Dziewczynka wiedziała, że tak wyglądały dawne świątynie. Wojciech prowadził ją pewnym krokiem przez labirynt korytarzy, do małej salki, gdzie stał stół i kilka krzeseł. Julia zmęczona opadła na jedno

z nich, a mnich wymknął się na chwilę, zostawiając dziewczynkę samą. Wrócił po chwili, przynosząc jedzenie. Niezbyt wystawne - chleb, ser, masło, szynka, jajka - wszystko nie najlepszej jakości. Faktycznie, brakuje im dobrych Źródeł, z których czerpaliby lepsze jedzenie, pomyślała. Jadła jednak z apetytem, głód dokonał tego, czego skromne, klasztorne Źródło zrobić nie było w stanie.

Za to gorące kakao mają świetne.

Kiedy piła zachłannie, do komnaty wszedł drugi mnich. Ubrany był podobnie do Wojciecha, lecz twarz zdradzała, że jest znacznie starszy. Czoło gęste od zmarszczek, zapadnięte policzki i cienie pod oczami wskazywały, że życie dało mu się we znaki. Mimo to jego ruchy były energiczne, a oczy przenikliwe. Julia skuliła się, czując na sobie jego srogi wzrok.

- Witaj w Domu Bożym, dziecko - powiedział łagodnie. Julia od razu polubiła jego głos. - Hm, hm, bracie Wojciechu, przywiodłeś do nas elfkę. Elfkę zza Muru. Dziękować Panu, że ruszyłeś zaraz po tym, jak przyleciał gołąb.

- Tak. - Wojciech stanął za dziewczynką. - Ma na imię Julia.

Julia wstała zza stołu, onieśmielona spojrzała na twarz starszego mnicha.

- Córka hrabiego Blueberry - przedstawiła się, dygnęła.

- Hm, hm... Samego hrabiego Blueberry. Nie masz u nas takich wygód jak u siebie w domu, ale mam nadzieję, że będzie ci u nas dobrze. A póki co odpocznij, widzę, że ledwo stoisz na nogach. Wojciechu, odprowadź ją do sypialni, a potem, cóż, potem zapraszam cię tutaj, mamy pewne sprawy do omówienia.

Młodszy mnich otworzył sąsiednie drzwi. Pokoik, do którego weszli był niewielki, stały w nim cztery łóżka, już pościelone.

- To nasz pokój gościnny - wyjaśnił.

- A tutaj, o - pokazał jej dużą, drewnianą szafę - są rzeczy, gdybyś chciała się przebrać do snu. Nie wiem, czy będą na ciebie pasowały, ale na pewno będą wygodniejsze niż twój obecny, hm, ubiór. Śpij, dziecko, następnego poranka spotkamy się znowu.

Kiedy tylko wyszedł, zamykając za sobą ciężkie, dębowe drzwi, Julia chwyciła pierwszą lepszą bluzę z szafy, narzuciła ją na siebie i runęła w sen.

Sen był niespokojny.

Głosy. Śnią się głosy.

- Po co? Po co ją tu przyprowadziłeś? - krzyczy ktoś.

Błada twarz Wojciecha. Jego usta coś szepczą. Ach, próbuje się tłumaczyć.

- Śmierć, na pastwę śmierci... nie mogłem zostawić.

- Powiadomić tych skurwieli, oto co powinieneś być zrobić!

Julia przewraca się z boku na bok. Kim są „skurwiele”, czy to kolejne zaklęcie w czarnej mowie?

- Ale to szansa, szansa dla nas, dla Boga. Odmienimy jej serce, wystarczy, że będzie tutaj przez kilka tygodni! Zasiejemy ziarno, ziarno które zakielkuje za Murem, które zburzy Mur. Ojciec Krzysztofie, ktoś taki jak ona był nam potrzebny.

- Nie, nie. To ściągnie na nas tylko zemstę. Zemstę tych z drugiej strony. Jest nas tak niewielu. Nie możemy ryzykować. Już słyszałem, że kogoś szukają, ich szpicle już przebiegają Miasto, a w błyszczących ołtarzach Dawid Piłkowladny czyni kolejne objawienia orkom. A ona jest u nas! U nas! Ściągamy na siebie gniew tych, którym nie jesteśmy w stanie stawić czoła.

- Dość strachu! - w głosie Wojciecha pojawia się gniew. - Nie możemy wciąż się cofać, nie

możemy wciąż chować głowy pod kapturem. Lepiej zginąć, próbując uratować wiarę.

- Młody jesteś. Za młody. Zbyt zapalczywy. A ona nie może u nas zostać.

- Wróci. Wciąż ma w pamięci tę głupią bajkę. O jednorożcach.

Chciała wykrzyknąć, że to nie jest bajka, a prawda, i że uwolni jednorożce. Lecz jak krzyczeć we śnie? Nie mogła, zwyczajnie nie mogła. Zresztą, po co, to tylko sen, on nic nie znaczy, nic nie znaczy!

- Dobrze więc.

Julia poznaje ten głos, to głos starego mnicha, który wszedł do komnaty, gdy piła kakao.

- Jutro pójdziesz tam z nią. Niech pozna prawdę. Potem powiadomimy jej rodziców. Kto wie, może dostaniemy za to jakieś nowe Źródło medyczne, pozwalające pomagać ludziom. Bóg da.

- Bóg da! - W oczach Wojciecha błyska gniew i rezygnacja. Bardziej gniew.

- Nie martw się - mówi stary zakonnik. - Jeśli ludzie o NIM zapomną, nie wyrządzi MU to większej szkody.

- Nie o NIEGO się martwię, ale o ludzi właśnie.

- Ciszej, obudzisz ją.

To tylko sen, myśli Julia.

Ktoś puka do drzwi, dziewczynka spogląda w okno.

- To już rano? - szepcze zdziwiona.

Rozdział siódmy, w którym Julia odnajduje jednorożce.

Na śniadanie dostała dziwną zupę z mleka i suchych, niesmacznych płatków. Zjadła ją, zachęcana przez Wojciecha, ale co chwilę krzywiła się z niesmakiem.

Nie myślałam, że ich Źródła są tak ubogie.

Wyjrzała przez okno. Rano było szare i pochmurne. Szare były gołębie, siadające na parapecie. Szare szyby w oknach. I szare domy, które widziała za oknem. Wszystkie podobne, o nieciekawych kształtach, brudne i smutne, tłoczyły się jeden obok drugiego i przez moment dziewczynka miała wrażenie, że te kamienice żyją, próbując przepchnąć jedna drugą, wywalczyć więcej miejsca dla siebie.

Miasto jest straszne, myślała, patrząc z niechęcią na resztkę zupy.

- Jedz - powtórzył Wojciech. - Musisz się najeść, aby mieć siły. Niebawem wyruszamy.

- A dokąd? - bystre oczy dziewczynki odwróciły się od talerza w stronę zakonnika. Kiedy się nie patrzyło, zupa była trochę lepsza.

- Chciałaś uwalniać jednorożce, prawda? - Wojciech uśmiechnął się do niej. - Zabierzemy się z braćmi, którzy idą do drugiego klasztoru, do bernardynów. Oni sami nie potrafią się bronić, tylko się modlą. Potrzeba im pomocy Psów. A nam będzie bezpieczniej przejść w grupie przez Miasto.

Dziewczynka aż podskoczyła z radości.

- Więc jednak! Uwierzyłeś mi! Uwierzyłeś!

- Spokojnie. Najpierw musimy tam dojechać. Więc jedz, na zdrowie.

- Już skończyłam! - obwieściła triumfalnie, ocierając usta krawędzią rękawa brązowej bluzy. Ubiór był trochę za duży ale zdecydowanie wygodniejszy niż strój szmuli, w którym spędziła cały poprzedni dzień. Kiedy Julia wstała, Wojciech pomógł jej nałożyć ciemnobrązowy mnisi płaszcz. Wyszli na dziedziniec, gdzie trwały już przygotowania do wymarszu. Dziesięciu zakonnych klęczało przed krzyżem. Odmawiali modlitwę.

- Od nagłej śmierci z rąk orków...
- Zachowaj nas panie!
- Od zła, które rodzi się w sercach...
- Zachowaj nas panie!
- Od poczucia wyższości nad czernią...
- Wybaw nas Panie.

Wojciech przykleknął obok pozostałych mnichów, przylączając się do litanii. Julia, nie wiedząc co robić, stanęła na uboczu, w krużganku. Spoglądała na Psy, pogrążone w modlitwie. Ich oczy pełne były zdecydowania, ich głosy były czyste. Zerknęła w niebo.

Czy tam rzeczywiście może cokolwiek być? Jakiś Bóg, jakaś istota, która myśli o nas? Która troszczy się o nas tutaj, na Ziemi?

Stadko brzydkich gołębi przeleciało nad jej głową. Mnisi wstali, zarzucili kaptury, chwycili miecze. Wojciech skinął głową na dziewczynkę.

- Kaptur - przypomniał. Julia posłusznie zakryła głowę.

Wyszli na ulicę, ale nie tą samą drogą, którą przybyli poprzedniej nocy, tylko boczną furtą. Kiedy opuścili mury klasztoru, Julia domyśliła się, że to już nie był teren elfów, że znów jest w części miasta zdominowanej przez orków. Świadczył o tym stan kamienic, świadczyły o tym śpiące pod murami, za dnia nieszkodliwe, winopije. Najlepszym dowodem, że idą przez orkową dziedzinę były sterty cuchnących śmieci, leżące w najdziwniejszych miejscach.

Mnisi nie zwracali uwagi na te obrzydliwości, od których dziewczynka dostawała dreszczy. Szli pewnym krokiem i śpiewali:

*„Matko Boga, wszechmogąca
Prowadź naszą dłoń
Byśmy się nie zawahali
Gdy nadejdzie dzień...”*

Nikt ich nie zaczepiał, nikt nie atakował. To nie był pojedynczy Pies, błądzący po Mieście pogrążonym w ciemnościach, ale cała wataha, silny oddział uzbrojonych mnichów, którym nieliczni o tej porze orkowie, ustępowali miejsca.

- Zaraz dojdziemy do Cyrylicy. Trzymaj się mnie i uważaj, żeby nikt nie dojrzał twoich włosów. Tam jest targ szmuli - poinstruował Wojciech, nachylając się nad Julią.

Dziewczynka mocniej naciągnęła kaptur, kosmyk włosów odgarnęła na plecy. Chwilę później jej oczom ukazał się plac. Było tam pełno orków. Julia ze zdumieniem przetarła oczy. Łyse stworzenia o czerwonych twarzach, obwieszane złotymi łańcuchami, stąpały w miejscu i porykiwały, zaczepiając każdego, kto obok nich przechodził. Julia domyśliła się, że to handlarze. Towar, który oferowali, stał za nimi. Każdy z orkowych handlarzy miał kilka-kilkanaście szmuli uwiązanych do metalowych słupków, wbetonowanych w asfalt. Jasne blond grzywy połyskiwały, kontrastując z brązem skóry, ale ich mocny makijaż bardzo Julię zniesmaczył. Podobnie jak pozy, które szmule przybierały. Wyginały się we wszystkie strony, kołysały biodrami, rozchyłały nogi - wszystko, by zwrócić uwagę przechodniów. A tych było bardzo wielu. Główną klientelę stanowili zamożniejsi, sądząc po ubiorze, orkowie, ale nie brakowało też elfów. W tłumie mignęła Julii twarz Rudolpha von Tultz, który nie zwrócił na mnichów najmniejszej uwagi, zawzięcie dyskutując z jednym z handlarzy i sprawdzając oferowany towar.

- Te, kurwa, pingwin, zamoczysz? - usłyszała orka, który krzyczał do jednego z mnichów,

popychając do przodu zgrabną, młodą szmulę.

Ona może być w moim wieku!

Mnich zignorował propozycję, ale handlarz ani myślał rezygnować.

- Te, pingwin, łan bezahlen, łan gratis. Promo!

- Wypierd ziomal! Trefny towar, pewnie z adikiem! - mniejszego orka odepchnął inny, bardziej muskularny handlarz. - Lukaj na mą, jaki lachociąg. No lukaj, pingwin. Tu minyt i bi in heven.

- Spiżdżaj, śmierdziuchu, bo...- wtrącił się odepchnięty handlarz, nie dając za wygraną.

- Osrusie ty, ja...!

Mnisi przyspieszyli kroku i nie zwracając uwagi na dalsze zaczepki, zostawili orków za sobą. Tymczasem kilku handlarzy rzuciło się sobie do gardeł, w ruch poszły noże, pałki, cegłówki. Ktoś zawył z bólu.

- Normalne - skomentował Wojciech. - To orkowie, pamiętaj. Czasami się zastanawiam, czy można im jeszcze pomóc.

Julia odwróciła się, przerażona.

- Czy na Rynku będzie ich tyle samo? Jak wtedy uwolnimy jednorożce?

- Spokojnie. Jest jeszcze wcześniej, na Rynku będą pustki, zobaczysz. O tej porze ci orkowie, którzy już nie śpią, są na Cyrylicy.

Faktycznie, kiedy tylko opuścili plac, zrobiło się spokojnie. Orków prawie nie widywali, ot, jeden okładał w bramie szmulę, inny wychylił głowę przez okno i niechętnie patrzył na pochód, inny jeszcze siłował się z bramolakiem przy śmietniku, walcząc o łupy. Ale ulice były puste, spokojne. Wąwozem kamienic niósł się śpiew elfów.

„...Byśmy się nie zawahali

Gdy nadejdzie dzień...”

Julia rozglądała się dookoła, rozpoznając co chwila jakiś budynek czy miejsce. Mnisi wtedy przystawali, pozwalając nacieszyć się dziewczynce widokami. Tę kamienicę знаła z ilustracji, o tamtej czytała, a jeszcze inna powinna być o tam, na rogu.

- Bazar! - krzyknęła w pewnej chwili i aż podskoczyła. - Tam mieszkała kiedyś moja prababka.

Wojciech uśmiechnął się.

- Niedługo okaże się, że wiesz o Mieście więcej, niż my, Julio. Tak, to Bazar, ale elfy już tam nie mieszkają. Niestety. - Urwał, przypatrując się pięknemu niegdyś budynkowi, z którego tynk odchodził całymi płatami jak strupy od rany, a okna ziały pustką wybitych szyb.

- Nie radziłbym ci tam wchodzić - dokończył.

Julia posłusznie kiwnęła głową. Bazar może poczekać, oczywiście. Najważniejsze było to, że zbliżali się do Rynku. Jednak było warto, pomyślała.

Minęli budynek zwany Bazarem i zeszli w dół brukowaną ulicą. Julia była podekscytowana, napięta jak struna. Co chwilę zerknęła w niebo, czy aby południe nie minęło, czy zdążą. Gdyby nie to, że musiała maszerować z mnichami pewnie zbiegłaby pędem w dół. Kiedy znaleźli się na Rynku, Julia westchnęła, oszołomiona.

Zobaczyła strzeliste wieże ratusza. Ściany wprawdzie były brudnoszare, nie białe, jak pamiętała z książek, malunki na ścianach nie rozkwiły kolorami, ale wyblakłe w słońcu, zlewały się w jedno, lecz dziewczynce to nie przeszkadzało. To tam, tam, był kres jej podróży, kres jej pierwszej, dorosłej misji. Julia pomyślała, że bardzo przyjemnie jest czynić dobro.

Rynek powitał ich zapachem dymu, płynącym z kilku grilli i urywanym śpiewem barda, który

przykucnął pod murem. Bard nosił szerokie spodnie z krokiem w okolicy kolan, trochę za dużą, dresową bluzę z kapturem i czapkę z daszkiem, przy czym daszek - zupełnie jak w książkach historycznych, ucieszyła się Julia - obrócony był do tyłu.

- Yo, madafaka... - usłyszała zaśpiew barda, kiedy przechodzili obok niego. Poczula przyjemny zapach ze stojącego nieopodal grilla.

- Rodzinnego chowu. Znaczy, miastowe, nie ze Źródła. Prawdziwe szczury i gołębie. Chcesz?

Julia od razu straciła apetyt, ale Wojciech i kilku innych mnichów zatrzymało się przy handlarzu, kupując przypieczone kawałki mięsa.

- Tego u was już nie ma - mówił Wojciech, ogryzając kosteczki. - Prawdziwe mięso, nie syntetyzowane. Jedzenie ze Źródeł jest plastikowe. Nie ma jak gołąbek.

Barbarzyństwo! Zjadają zwierzęta. Teraz wiem, dlaczego mówią na nich czarne elfy.

Wkrótce Wojciech pożegnał się z pozostałymi mnichami, którzy zniknęli w jednej z wąskich uliczek.

- Dziękuję, bracia - powiedział im na odchodnym. - Za jakąś godzinę i my dotrzemy do bernardynów. Rynek wygląda spokojnie. Nic nam nie grozi.

Istotnie, na Rynku było niewielu orków, tylko pojedyncze sztuki przemykały w wylotach uliczek, kilka stłoczyło się przy stoisku ze szczurami, jeden młodszy gonił gołębie, chcąc samemu zapewnić sobie obiad. Zza chmur wyrzało słońce i Julia zdała sobie sprawę, że to już niedługo; południe się zbliża.

- Gdzie one są? Gdzie jednorożce? - spytała Wojciecha.

Mnich przystanął pod czarnym, gęsto poznaczonym gołębimi odchodami posągiem.

- Patrz tam, w górę - powiedział i wskazał wieżę.

- Tak wysoko? Jak tam wejdziemy? Jak je uwolnimy? - dziewczynka spochmurniała.

- A gdzie widownia? Gdzie hordy orków, które mają oglądać krwawy spektakl? - zapytała.

Wojciech uśmiechnął się nieznacznie.

- Widocznie już im się znudziło. Ale nie martw się, jednorożce się pokażą. Sama mówiłaś, że są nieśmiertelne, prawda? A ty na pewno jeszcze jesteś dziewicą.

Julia skwapliwie przytaknęła.

- Patrz! - Wojciech uniósł palec do góry. - Tam.

W tej samej chwili małe drzwiczki nad wielkim zegarem pokazującym dwunastą rozchyliły się. Z pomieszczenia, które skrywało się za drzwiami, wyjechały dwie białe figury. To były koziołki, poznała dziewczynka. Zwykle koziołki! Każdej z figur pozostał jeden złoty róg, choć przypatrzwszy się bliżej można było dostrzec ślad po drugim, złamanym.

Jednorożce.

Mechanizm sterujący figurami pochylił je do siebie. Uderzyły o siebie raz, drugi, trzeci. Ale Julia już tego nie widziała, już nie patrzyła. Nie miała ochoty oglądać jarmarcznego przedstawienia. Została oszukana. Oszukana! Po jej drobnych policzkach popłynęły łzy. Przygryzła wargę do krwi.

Jaka ja byłam głupia!

Wojciech, stanąwszy za dziewczynką, uśmiechnął się smutno. Julia bezwiednie wtuliła się w jego płaszcz. Niektórzy, żeby dorosnąć, muszą zobaczyć poznańskie koziołki.

Chwilę później rozpętała się burza.

***Rozdział ósmy, ostatni,
w którym szaleje burza, a Julia zostaje uratowana.***

Grube chmury zasnuły niebo. Szybko, pomyślał. Jeszcze przed momentem przygrzewało słońce, a chwilę później - już półmrok.

To nie jest normalne. Modelowanie pogodowe? Ale przecież Konwencja Miejska zabrania.

Spojrzał na Julię.

Nie wtedy, gdy zagrożone jest życie któregoś z elfów zza Muru. Outerinterwencja?

Zapatrzony w chmury nawet nie zauważył, że wokół niego i dziewczynki gromadzi się spory tłum. Tłum w przeważającej mierze składał się z orków i szmuli, ale spostrzegł też kilka degenelfów, czyli elfów, które swym zachowaniem bardziej upodobniły się do orków, przejęły ich zwyczaje, ich mowę i ich sposób myślenia. Kątem ucha złowił szepty, z zasłyszanych urywków kleił wypowiedzi. Starał się zrozumieć, o czym mówią zgromadzeni wokół niego.

- Ta fryga! Kuwa, to łona, łonom w łołtarzu gadały!

O bruk zabębniły ciężkie krople deszczu.

- Szmelc za nią! Bogi, kuwa, bejmy dają.

- Yo, yo, ona, nikt inny - wtórował bard, w czapeczce z daszkiem. - Yo, kurwa, aj widzołech.

David Piłkowładny gadali.

- Szmelc ino za nią! - podchwycił któryś z orków. - Psa zajebiem. Alon jest.

- Zajebiem - ryknął wysoki ork, o wielkiej fałdzie grzbietowej na styku głowy i pleców - wyjebiem. I wypierdolim, bo za szczury handlorze tu macz wołali.

- Yo, men, wypierdolim! - bard najwyraźniej miał zamiar dołączyć się do posiłku.

Wojciech zbladł, przycisnął Julię mocniej do siebie. Przez moment jego twarz wyglądała upiornie w świetle pierwszej błyskawicy. Zagrzmiało. Bardzo blisko.

- Won! - ryknął na całe gardło, dobywając miecza. - Won, mówię!

Mieczem zatoczył w powietrzu krąg. Orkowie odskoczyli poza zasięg ostrza, ale odchodzić nie zamierzali. Patrzyli na mnicha spode łba, a kilku z nich zapieniło się już na pyskach.

Byśmy się nie zawahali, gdy nadejdzie dzień!

Ktoś podniósł kawałek gruzu, leżący pod posągiem, rzucił. Wojciech zdołał zasłonić Julię, sam obrywając w ramię.

- Zabijecie ją, a szmelcu nie będzie - wrzasnął do przeciwników, widząc, że kolejny odłamek muru leci w stronę dziewczynki. O dziwo, poskutkowało. Orkowie zaczęli celować uważniej. Poczul jak kamień uderza go w głowę. Zachwiał się lekko, jęknął, ale ustał na nogach. Ten kamień nie był duży.

Jakie będą następne?

Następna była, jak się okazało, ręka Prozerpiny, którą któryś z orków odłamał od stojącego nieopodal posągu. Teraz statua pozbawiona obu kończyn górnych wyglądała groteskowo, nawet śmiesznie, tyle że Wojciechowi wcale nie było do śmiechu. Zwłaszcza, że palce Prozerpiny rozcięły mu policzek. Poczul, jak w dół, po szyi, spływa ciepła strużka krwi wymieszana z zimnym deszczem. Julia wtuliła się w jego płaszcz. Łkała i dygotała ze strachu.

- Trzymaj się mnie - szeptał do niej. - Trzymaj się mnie. Spróbuję nas stąd wyrwać, ale trzymaj się mnie! Teraz!

Skoczył tam, gdzie tłum był najgęstszy, starając się dosięgnąć mieczem któregoś z orków. Nie mógł zaatakować tak szybko jak potrafił, musiał uważać, by się nie poślizgnąć. Upadek oznaczał dla niego śmierć.

Chociaż jeden trup, myślał, jeśli zabiję choć jednego, reszta się spłoszy. Chociaż jeden!

Zabił dwóch. Jednemu z orków, temu, który zgłosił pomysł zjedzenia Wojciecha, prawie odrąbał głowę, która teraz trzymała się reszty ciała jedynie na fałdzie grzbietowej. Drugim zabitym był degenelf. Ostrze tylko prześlizgnęło się po jego szyi, ale to wystarczyło. Degenelf upadł. Bruk załapała krew, wypełniając rowki pomiędzy kocimi łbami. Krew szybko mieszała się z deszczówką. Orki wrzasnęły, odskoczyły o krok.

Nie rozbiegły się.

- Niech mnie - mruknął ponuro. - Nie wiedziałem, że są tak zdeterminowani. Posłuchaj Julio. Biegnij za mną, ja przebiję nam drogę, a ty po prostu biegnij. Gdybym zatrzymał się, gdyby mnie złapali, biegnij przed siebie. Uważaj, bo ślisko. I szukaj krzyża. Wiesz co to krzyż.

Julia pokiwała głową, a wtedy Pies jeszcze raz rzucił się na gęstniejący tłum wrogów. Nie miał szans, przewaga orków była zbyt duża. Nie miało prawa mu się udać.

I nie udało się. Kilku orków faktycznie uciekło, kilku innych Wojciech porąbał mieczem, ale któryś z boku podłożył nogę mnichowi, inny popchnął, jeszcze inny przyłożył w głowę kocim łbem. Julia biegła, przymknawszy oczy.

Szukaj krzyża, szukaj krzyża.

Nagle zagrzmiało tak, że zatrzęsły się budynki, stojące na Rynku. Piorun musiał uderzyć naprawdę blisko. Gdzieś w tyle rozległy się krzyki orków. W tej samej chwili Julia zatrzymała się uderzywszy w ścianę. Spojrzała w górę.

Ściana spoglądała na nią z naganą w oczach. Miała surową twarz hrabiego Blueberry.

Ojciec nie krzyczał, nie robił wymówek. Pokiwał tylko głową z dezaprobatą, ale kiedy się odezwał, w jego głosie nie było złości.

- Przez lata nie mogłem przekonać tych osłów z Rady. Przez lata. A ty, maludo... Cóż, nie myślałem, dziecko, że tak przysłużysz się moim politycznym planom. Ty i prababka - powiedział niskim, głębokim głosem. A potem odsunął Julię lekko na bok i zdjął z ramienia swoją magiczną broń.

Julia odwróciła głowę, spoglądając na Rynek. A Rynek rozbłyskiwał ogniem. Elfy, prawdziwe elfy, te zza Muru, były wszędzie. Czaiły się w uliczkach, w zaułkach, spływały z nieba, niesione przez swoje czarodziejskie, latające powozy. Wszystkie miały zaczarowaną broń, taką, jak jej ojciec.

I zupełnie takie same, bezlitosne, blade twarze.

Smugi ognia paliły gromady orków, które w panice biegały po Rynku. Niektóre próbowały walczyć, rzucając się na przeciwników, ale miały jeszcze mniej szans niż Wojciech, kiedy ruszał z uniesionym mieczem na kilkadziesiąt orków. Ginęli w ostrych rozbłyskach światła, z wpółotwartymi ustami, z niewypowiedzianym przekleństwem na ustach. Elfy były metodyczne, dokładne, likwidowały wszystkich. Żaden ork nie został pominięty, wszystkie czekała zagłada. Julii coś ten widok przypominał. Pomyślała o długich rozmowach, jakie toczył jej ojciec ze swoimi przyjaciółmi. Siedzieli przy kominku w Blueberry i robili taki hałas, że Julia nie mogła się w spokoju bawić i czytać bajek. Nie rozumiała wprawdzie o co chodzi, gdy mówili o ostatecznym rozwiązaniu, o zemście, o tym, że likwidacja będzie niehumanitarna i sprzeczna z Konwencją Miejską i Paktem Praw Podstawowych i że Pakt Praw Podstawowych to bezużyteczne i przestarzałe gówno. Nie wiedziała, co znaczy „zbyt duża dynamika wzrostu kosztów utrzymania tego robactwa”, czy też „jednorazowe uderzenie prewencyjne przy użyciu jednostek desantowych”. Dziwiło ją, kiedy słyszała jak jej ojciec wykrzykiwał, że trzeba skończyć z tą farsą, tym teatrem opartym na tandetnej

literaturze popularnej drugiej połowy dwudziestego wieku. Jednak wszystkie te terminy dziwnie Julii pasowały do tego, co działo się teraz na Rynku.

Do tego, co dzieje się w całym Mieście.

Nad Miastem zaś płonęła łuna. Na tle ciemnych chmur oświetlanych płomieniami ognia widziała, jak z nieba spływają sznury elfów, jak latające powozy plują ogniem, słyszała huk wybuchów, trzask zapadających się domów, słyszała krzyki.

Tymczasem Rynek się uspokoił. Wzrokiem poszukała Wojciecha.

Mnich stał samotnie, wśród zwęglonych szczątków swoich przeciwników. Twarz miał zakrwawioną. Miecz opuścił, cóż znaczył miecz przy potędze, którą miał przed sobą. Patrzył na formujące się w szyk elfy w czarnych, syntetycznych zbrojach, zrobionych z niewiarygodnie lekkiego materiału. Patrzył na szczątki orków, na odymiony ratusz, na kilka kamienic, w których szalał ogień. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

- Co to ma być? - krzyknął. - W jednej chwili zdeptaliście wszystkie układy i konwencje. Co to ma być?

Hrabia Blueberry zaśmiał się. W ciszy, jaka zapanowała, jego niski śmiech brzmiał bardzo sympatycznie. Pozory mylą, pomyślał Wojciech.

- Zdaje się, że uratowaliśmy ci życie - odparł spokojnie ojciec Julii. - Przez wzgląd na to, co zrobiłeś dla mojej latorośli pozwolę ci odejść.

- Pogwałciliście wszystkie akty prawne regulujące istnienie Festung Poser! - Wojciech otarł rękawem twarz. Deszcz zelżał, już prawie nie padało.

- Nie tylko. Te, które regulują istnienie Festung Dreslau też. I wszystkie inne. Wracamy tutaj, Psie. Czy ci się to podoba, czy nie. Wracamy do Miast. A miejsca dla nas i dla orków jest zbyt mało. Sam rozumiesz, że w takiej sytuacji wszystkie Konwencje muszą trafić na śmietnik historii. Bądźmy szczerzy, właśnie tam jest ich miejsce. Gwarancje minimum socjalnego nawet dla takich śmieci, jak orkowie, to przecież śmieszne. A systemy sądownicze, arbitraże, cóż, krótko mówiąc, diabli je wzięli. Już ich nie ma. Były, uważasz, ciut przestarzałe. Nieaktualne. Drobiazg dla naszych hakerów.

Choć Julii wydawało się, że to niemożliwe, Wojciech zbladł jeszcze bardziej.

- To ludobójstwo - rzekł cicho.

- Jeśli już, to orkobójstwo - łagodnie zwrócił uwagę hrabia. - Was, czarne elfy, mamy zamiar zostawić przy życiu. A niech tam!

- To ludzie! - krzyk Wojciecha przetoczył się przez Rynek. - Byliby tacy sami jak wy, gdybyście nie skazali ich na przymusową degenerację. Inżynieria społeczna, ograniczenia w dostępie do Źródeł, ideologie sączone przez błyszczące ołtarze. Oni nawet uwierzyli, że są cholernymi orkami!

- Bo są! Mylisz się i dobrze o tym wiesz, dominikaninie, mówiąc, że ich degrengolada to nasza wina. Sami skazali się na izolację i wykluczenie ze zdrowej, lepszej części społeczeństwa. Znacznie wcześniej, nim postawiono Mury tutaj i gdzie indziej. Nie rozwijali się, nie uczyli, zatrzymali się na poziomie chędożącego neandertalczyka, podrygującego w rytm nibymuzyki. Miast kształcić się, woleli się odurzać. Zamiast myśleć i pracować, chcieli kraść. Za główną atrakcję uznawali bójki, a za idoli, wzory do naśladowania, obierali sobie sportowców albo aktorki! Sportowców, uważasz! Badania sprzed Podziału wykazały nieodwracalne zmiany w ich psychice. Nieodwracalne! Wiesz tak samo jak ja, że to nie są ludzie. Co najwyżej, istoty człekokształtne. Jednak utrzymanie tego zoo kosztuje nas zbyt wiele, a pożytek żaden. Dość już gadania, zmiataj stąd.

- Nie uda wam się wrócić - wysyczał Wojciech, spoglądając na elfy złym wzrokiem. - Nie

wiecie o Mieście wszystkiego. Są rzeczy, w obliczu których i wasza technologia jest bezradna.

- Wiem, wiem, znam wasze gusła i przesady, duchy kamienic i inne bzdury. Orkom się nie dziwię, ale wam? Rozczarowujesz mnie, dominikaninie. A teraz zmiataj stąd, mówię. Idź, skryj się do klasztoru i przeczekaj, dobrze radzę. I nie wchodź mi w drogę.

- Nie! - krzyknął Pies. - Nazywacie potworami tych nieszczęśników, stłoczonych w brudnych, ciasnych Miastach jak w klatkach. A spójrzcie na siebie! Spójrzcie, co chcecie zrobić! Co to jest? Jak to nazwiesz? Jak nazwiesz siebie?

- Nie wchodź mi w drogę, dominikaninie!

- Po moim trupie! - Wojciech podszedł kilka kroków w stronę hrabiego.

Julia stała z boku, jak zahipnotyzowana wpatrywała się, jak jej ojciec opuszcza swą cudowną broń, jak ją odbezpiecza, jak celuje w pierś mnicha.

- Po moim trupie!

Elfy? Potwory?

Szukaj krzyża, Julio. Jedyne Bóg.

Głęboki, niski głos.

- Julio, hmm, odwróć głowę!

Marek Baraniecki

Dzień grzechu

Zawodowo zajmuję się inżynierią ochrony środowiska. Z zainteresowania przyglądam się światu i jego interesującym przejawom.

Od mojej literackiej przygody w 80. m.in. z *Głową Kasandry*, mój obecny bohater nieco się zmienił. Przeniósł się w świat większy i bardziej zdumiewający niż Ziemia i Kosmos.

Kiedyś na wszystkie niemal pytania znajdował odpowiedzi. Teraz zauważa, że szukanie odpowiedzi jest względnie łatwe, gdy istnieją pytania. Wraz z rozwojem wiedzy i nowych horyzontów w myśleniu pojawił się większy problem. Formułowanie nowych pytań, których poszukiwanie wymusza poszerzające się postrzeganie świata. Zaczyna rozumieć, że "dziwić należy się wszystkiemu albo niczemu". Nie dziwić się niczemu już się nie da, dziwić się wszystkiemu niewykonalne. Obecnie wydaje mu się niemal pewne, że rozumienie świata zależy w co najmniej równym stopniu od odpowiedzi jak i od samych pytań.

Wie, że istnieje wiele pytań, o których jeszcze niedawno nie wiedział. Zauważa, że żyje w świecie, którego wizerunek złożony jest z myślowych klocków. Ten wizerunek jest w zasadzie spójny... ale, tylko w zasadzie. Bo na boku leży pewna liczba klocków, które nie zmieściły się już do istniejącej układanki... są zbędne, a ich problem polega tylko na tym, że istnieją. Co się stanie z całością, jeżeli trzeba będzie je włożyć do kompletnego obrazu? Na swoje miejsca...?

Jak na razie literatura wydaje mi się jedynym miejscem do podjęcia pewnej liczby nieśmiałych pytań.

Posadzka kościoła tonęła w półmroku. Adam z pochyloną głową wpatrywał się w nią ze skupieniem. Bał się.

Jak zawsze, kiedy trzeba stanąć wobec prawdy. Potem można będzie oddać się życiu i jego prawom, ale teraz...?

Nadeszła jego kolej. Podeszedł do konfesjonału, położył trzymaną w rękach teczkę na podłodze. Przyklęknął na klęczniku i zbliżył głowę do kratki.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Jego własny głos wydał mu się jakiś nienaturalny. Denerwował się.

- Na wieki wieków.

Głos spowiednika zwiastował ciężką spowiedź.

- Następną spowiedź odbędę dopiero za dwa lata. Nie będzie to spowiedź wolnej woli... będzie wymuszona.

- Dlaczego? - Spowiednik mówił zbyt cicho. Adam z trudem łapał znaczenie jego słów.

- To będzie spowiedź przedślubna.

- Dlaczego wymuszona?

- Będę pod presją przyszłej żony. Ona będzie w ciąży...

Spowiednik popatrzył w górę i zamyślił się.

- Będzie chciała bezpieczeństwa dla siebie i waszego dziecka - oznajmił Adamowi. - A ty... Czy będziesz chciał?

- Nie widzę myślami tak daleko. Nie wiem nawet, co będę czuł.

- Czy chcesz wyrzucić ten obraz z pamięci?

- Tak.

- Z jakiego powodu?

- Z egoizmu.

Spowiednik spojrział na oddzielającą ich kratkę. Osłonił dłonią usta i chrząknął cicho.

- Mów dalej.

Adam wyjął z kieszeni kartkę i rozłożył ją przed oczami.

- Spisałem grzechy według przykazań, żeby nie mylić się w kolejności.

- Spisałeś, żeby pójść najłatwiejszą drogą - westchnął spowiednik. - Ale to twoja wola.

Adam poczuł na twarzy ciepło wstydu. Zagryzł usta, ale postanowił nie przedłużać niezręcznej chwili.

- Mam przed sobą innego Boga. Ideę. Jestem na etapie ucieczki do idei bezosobowego istnienia wszechświata. Widzę się wkrótce jako wyznawcę nowej myśli, która dołączy do zwolenników przeciwnych kreacjonizmowi. Ta idea stanie się dla mnie nowym Bogiem.

- Kiedy to będzie?

- Widzę śnieg. To będzie zimą. Myślę, że w najbliższą.

- Co wtedy będziesz czuł?

- Zadowolenie, że znalazłem wytłumaczenie losu. Uwolnię się od myśli, że wszystko co mnie otacza jest celowo ułożone od początku do końca.

- Żałujesz, że tak będziesz myślał?

- Nie. Teraz nie. Widzę, że będę tego żałował, ale to będzie w dalekiej przyszłości. Widzę się także jako siwego mężczyznę, który nosi w sobie żal, że poszedł tą drogą.

Adam przesunął w dłoniach kartkę i zmrużył oczy. Słabe światło zmuszało go do skupienia uwagi na drobnych literach.

- Używam i będę używał na co dzień nadaremno imienia Pana. Nawet, kiedy nie będę już w niego wierzył.

- O tak. Jak oddechu - potwierdził spowiednik. - Nie zatrzymuj się na tym. Mów dalej.

- Dnia świętego właściwie nigdy nie święcę. I tak będzie nadal.

- Tak - ponaglił spowiednik.

Adam wiedział, dlaczego. Najważniejsze widział od pierwszej chwili.

- Z matką i ojcem. Ksiądz widzi...

- Jeżeli nie chcesz, powiedz, że wychodzisz. Nie po to tu klęczysz, żebym wykonał to za ciebie. Wypowiedz to, co zrobisz. Inaczej spowiedź nie będzie ważna.

Głos spowiednika był twardy i wymagający. Jego charyzma przybiła Adama do ziemi. Nie miał siły się przeciwstawić.

- Będą chorzy, a ja nie będę się nimi zajmował.

- Jak to będzie?

- Będę się powoływał na pilne potrzeby. Wyjazdy zagraniczne i brak pieniędzy.

- A będzie ci ich brakowało?

- Nie.

- A co oni na to?

- Liczą teraz, że zmienię myślenie. Na moją świadomość... i miłość do nich.

- I co?

Adam zamilkł. Zobaczył siebie jako zadowolonego i wywnioskował, że w ogóle o tym problemie w przyszłości nie pomyśli. Zobaczył, jak nie odbiera od nich telefonów. A kiedy zadzwoni do niego kobieta z opieki społecznej, zrobi jej wściekłą awanturę. Wyzwie ją od nierobów, którzy biorą pieniądze za nic. Zobaczył siebie przerywającego połączenie.

- Matka mi wybaczyła. Ojciec nie. I nigdy tego nie robi.

- Czy będziesz przeciwdziałał temu wydarzeniu?

Adam poczuł ogromny żal. Wyrzuty sumienia targnęły nim boleśnie.

- Teraz mam taki głęboki zamiar... Ale wiem, że tak nie będzie. Widzę, że moje myśli wtedy będą zupełnie inne.

- Pierwszy raz czuję twoją skruchę. Przejdź dalej.

Adam odwrócił kartkę, bo drobny tekst zniknął za zagięciem papieru. Kartka nie chciała się odwrócić. Musiał sobie pomóc drugą ręką.

- Na szczęście nie będę zabijał bezpośrednio. Nikogo nie zabiję.

- Grzeszysz pychą - zareagował natychmiast spowiednik. - To jedna rzecz jakiej nie zrobisz, a już się czujesz lżejszy. Jakbyś już dostał odpuszczenie. Czy jesteś pewny, że możesz tak się czuć?

- Grzeszę i żałuję - pokajał się natychmiast koniunkturalnie. - Nieczynienie zła nie czyni mnie lepszym. Lepszym czyni robienie dobra.

Wiedział, że tak nie myśli. Powiedział to pod spowiednika i zobaczył, że on to widzi.

- No... a dalej?

- Będę zabijał... pośrednio.

- Jak?

- Uwielbiam mięso i jego przetwory. Dla mojego upodobania w ciągu najbliższych dwóch lat zginie w rzeźniach wiele zwierząt.

- Czy wyrzekniesz się tego upodobania?

- Już się wyrzekam... - Adam wyrzucił to z siebie pośpiesznie.

- Na jak długo?

Adam zmrużył oczy. Zobaczył się na pracowniczym przyjęciu w luksusowej restauracji. Był tam jego szef z instytutu i zaproszony francuski gość. To spotkanie było umówione za dwa tygodnie.

- Na dwa tygodnie - powiedział cicho.

Ksiądz skinął głową. Adam widział, że spowiednik widzi tę scenę i zauważa jeszcze jedną siedzącą przy stoliku osobę. Pomyślał, że zrobił bardzo dobrze spisując grzechy na kartce. Bez niej nie byłby w stanie dotrzeć do końca spowiedzi.

- Przejdź dalej - szepnął spowiednik.

- Nie cudzołóż... Niestety, zrobię to.

- Jesteś żonaty?

- Tak.

- Jak to będzie?

Spowiednik przycisnął głowę do kratki i Adam zorientował się, że z kolei on mówi za cicho.

- Nie od razu. - Poprawił się. - Będę miał skrupuły. Ale też nie za długo... one znikną. Uwiodę kobietę, która przyjdzie na biznesowe spotkanie z moim zagranicznym gościem.

- Dlaczego to zrobisz?

- Z pożądania i próżności.

- Czy masz wolę tego nie zrobić?

- Dzisiaj tak. Mam. Będę ją miał jeszcze przez kilka tygodni. Potem stanie się coś, co zupełnie odwróci moje postanowienie.

- Co?

- Poczuję, że moje życie straci sens, jeżeli jej nie zdobędę. To będzie dążenie tak silne, że nie będę w stanie mu się przeciwstawić.

- Czy będzie w tym uczucie?

- Nie, nie widzę go.

- A co z jej mężem?

- Skrzywdzę go. Ale nie będzie mi go żal. Już raz w przeszłości tak zrobiłem i...

Spowiednik uniósł się gniewem.

- Przeszłości nie ma! Przeszłość to miniona przyszłość. Czas, który niczego nie uczy, bo niczego nie można w nim zmienić. Tylko ludzie leniwego umysłu lubują się w wydarzeniach, które już nie istnieją... i nie są już udziałem ich losu. One już się stały i nigdy ich już nie będzie. Wspomnienia to ucieczka przed wydarzeniami, które dopiero będą.

Spowiednik poprawił się na siedzeniu. Na chwilę odchylił się od kratki, żeby poprawić kołnierzyk, po czym ponownie przybliżył twarz do okienka.

- Synu, Chrystus najpierw pokazał, że przyszłość istnieje, a potem dał ludziom możliwość patrzenia w nią, jak On. Nie po to, żebyś odwracał się wstecz. Na nasze życie wpłyną tylko te wydarzenia, które są w przyszłości i których jeszcze nie ma. Tylko te, które są dla nas przygotowane.

Jak twój grzech.

Adam podświadomie nie chciał tego słyszeć. Bardziej od słów księdza słyszał ptaki na dziedzińcu przed kościołem. Spowiednik kontynuował monolog.

- Minione wydarzenia są martwe. W przeszłości jest nicość, bo ona nie wróci. Nigdy nie przyniesie ci tego, co możesz przeżyć. Nie postawi cię już przed wyborem duszy. Dla ludzkiej wolnej woli bezpowrotna przeszłość jest pustynią. W przeszłości nie postawisz swojego aktu woli przed wydarzeniem, które sobą wypełniasz. Człowiek jest sobą tylko wobec tego, co przychodzi. Tylko w tym przychodzeniu tkwi jego człowieczeństwo.

Spowiednik urwał. Oddychał głośno. Adam pomyślał, że słysząc go daleko na zewnątrz konfesjonału, a głośna intonacja na pewno dotarła do uszu czekających w kolejce ludzi.

- Czy kiedyś będziesz żałował swojego czynu? Z tą kobietą...?

- Nie. Widzę, że nie. Odczuwam tylko niepokój...

- Z jakiego powodu?

- Skrzywdzę jej męża. Będę się bał jego odwetu...

Podświadomy odruch nakazał oddalić, na ułamek chwili odsunąć dalszy ciąg spowiedzi. Adam chciał zagadać ją słowami, ale spowiednik nie dał mu szansy.

- Więc spróbuj coś z tym zrobić. Nie dopuść do tego grzechu.

Adam pomyślał, że bardzo tego chce. Chce być w przyszłości wolny od winy. W tej chwili poczuł nawet cień obrzydzenia do siebie z przyszłości. Ale czuł też, że w tej przyszłości już tego odczucia nie będzie.

- Dzisiaj, niedługo po wyjściu z tej spowiedzi, zadzwoni jej mąż, Ferdynand, a mój przyszły partner potwierdzi termin naszego spotkania, na którym ją poznam. Powie, że będzie sam, ale to nie będzie prawda. Kiedy dzisiaj zadzwoni, odwołam je. Nie muszę z nim prowadzić interesów.

Spowiednik kiwnął głową z aprobatą.

- Zobacz jak będzie, gdy nie poznasz tego człowieka i powiedz mi, jak wtedy potoczy się twoje życie?

Skupił się, aż do bólu głowy.

- Pozostanę z żoną. Ale niedługo. Ona mnie zostawi...

- Dlaczego?

- Pozna kogoś innego.

- I dlatego dopuszczasz jej porzucenie?

Zobaczył scenę swojego rozwodu. Salę sądową, adwokatów, młodą sekretarkę protokołującą przebieg rozprawy. Widział, że spowiednik też to widzi.

- Może, ale jeszcze w ten sposób nie myślałem.

- Dobrze... - westchnął znów spowiednik. - Przejdź dalej.

- Na mojej ścieżce życia zawłaszczę też dokumenty, które należą do Ferdynanda. One przyniosą mi sławę i pieniądze. Ona pomoże mi je przywłaszczyć.

- Wyraziłeś wolę niedopuszczenia do jej poznania i odwołania spotkania. Jeżeli odwołasz, nie popełnisz grzechów, które teraz wyznajesz - powiedział spowiednik.

- Moja wola jest szczerą. Niczego nie ukrywam.

Spowiednik pomyślał chwilę i pokiwał głową.

- Dobrze. Mów dalej.

- Za dwa lata ona oznajmi mi, że jest w ciąży... że będę ojcem. Wtedy zaproponuję jej usunięcie

tej ciąży. Będę chciał za to zapłacić. Ale ona nie zgodzi się. Zażąda ślubu i założenia rodziny.

- Co zrobisz?

- Będę ją przekonywał, że nie jestem gotowy.

- I co widzisz?

Adam zobaczył jej łzy i wściekłość. Jakiś wewnętrzny głos rozdarł jego głowę krzykiem, który tylko on słyszał. To był jej krzyk. Trudny do zniesienia.

- Widzę jej protest...

- Czy poruszy się twoje sumienie?

Zagryzł wargi.

- Teraz czuję głos sumienia... ale wtedy go nie będzie.

- Powiedz, co zrobisz. Wyznaj to - spowiednik był stanowczy.

- Odmówię jej... bez wyrzutów sumienia.

- Bolejesz nad tym dzisiaj?

- Tak. Szczerze i głęboko.

Spowiednik skinął głową.

- Co jeszcze uczynisz?

- Ożenię się z nią.

Adam odłożył kartkę i spojrzał w przyszłość. Zobaczył tę rozmowę. Rozmowę swojego życia. Otrzymane od niej ultimatum.

- Ona okaże się silna i bezwzględna - powiedział. - Silniejsza ode mnie. Wybierze szantaż. Zagrozi, że ujawni moją kradzież. Będę bez wyjścia. Zgodzę się na ślub i... tę spowiedź. Wymuszona... ale to będzie za dwa lata, nie teraz... nie teraz...

Czuł się wyczerpany.

Zapadła cisza. Trwała chwilę, aż spowiednik spojrzał na Adama. Adam spuścił głowę i spojrzał na koniec zapisu. Pozostała część kartki była pusta.

- Więcej grzechów nie mam siły wyznawać. Za te, które popełnię, głęboko żałuję. Wyrzekam się ich i odrzucam je. Niech Bóg uczyni nade mną sprawiedliwość i uwolni mnie od winy, albowiem dzisiaj nie zamierzam tych grzechów popełnić.

Spowiednik trwał w milczeniu dłuższą chwilę. Zbierał myśli.

Nadszedł czas pouczenia.

- Kiedy w trakcie Ostatniej Wieczerzy Judasz powiedział: „Panie, Ty znasz przyszłość i widzisz co nastąpi i nam o tym mówisz. Daj nam ten dar, abyśmy mogli lepiej kierować swoimi uczynkami i weź nas ze sobą”. Kiedy Pan otworzył im oczy, przejrzeli, a w tej chwili wszyscy ludzie na całej ziemi. Judasz natychmiast zobaczył swoją przyszłość, a w niej bliska zdradę, którą za chwilę sobą wypełni. Nie zrozumiał, dlaczego Pan widzi ją od początku czasu, a nie przeciwdziała jej.

- Dlaczego?

- Bo nie zrozumiał jeszcze, że Pan godzi się z jego czynem, gdyż został zapisany przed wiekami, ale nie godzi się z jego aktem woli. Nie zrozumiał, że Pan stworzył świat, a w nim obfitość wydarzeń, abyśmy byli dla nich zwierciadłem i dokonywali wyboru.

- Ja wybieram... - zaczął Adam, ale gest dłoni zza kratki przerwał mu.

W głosie spowiednika zabrzmiała nuta irytacji.

- Po to jesteśmy. Po to wybieramy. Wybrał Judasz, wybrali Ewa i Adam, wybierze ostatni człowiek na tej ziemi, kiedy ją będzie opuszczał. Wybór to nasze zadanie. Jedyne zadanie, dla

którego z prochu powstaliśmy.

Spowiednik spojrział przez kratkę w oczy Adama. Było to spojrzenie pełne wewnętrznego oburzenia.

- Czy myślisz, że posiadasz władzę Boga?

- Nie rozumiem - Adam zdziwił się.

- Czy nie zachowujesz się tak, jakbyś to ty stworzył atomy, z których jesteś zbudowany?

Adam nie odpowiedział. Ale spowiednik nie czekał na odpowiedź.

- Czy ty wybrałeś czas i miejsce swojego urodzenia?

- Nie.

- A kolor skóry?

- Nie.

- Choroby lub ich brak?

- Nie.

- Czy to ty stworzyłeś powietrze i narzędzia, którymi tworzysz inne narzędzia?

- Wszyscy wiemy...

- Nie mów za wszystkich. Świat to ty. Czy stworzyłeś swój świat?

- Nie.

- Czy stworzyłeś przyszłość i wydarzenia, które w niej widać?

Spowiednik zawiesił na chwilę głos. Adam zaprotestował, wybiegając do przodu, bo zrozumiał linię spowiednika.

- I cóż z tego, że czuję wolność wyboru, skoro jest tak, że zło przyjdzie, a tylko biada tym, przez których przyjdzie... To mnie biada, od mojego początku.

Adam pomyślał, że teraz spowiednik sięgnie do retoryki. Nie pomylił się.

- Czy zło w czasach, gdy ludzie nie widzieli jeszcze przyszłości, jest inne niż to, które w niej teraz widzimy? Czy przyszłe zło, jakie ty wyrządzisz, jest inne, niż gdybyś go jeszcze nie znał, nie widząc twoich przyszłych czynów?

Spowiednik cmoknął ze zniecierpliwieniem.

- Popołniasz synu grzech słabości ducha. Pomyśl... Bóg jest doskonały i nie ma w nim sprzeczności. Jeżeli ją widzisz, to znaczy, że twój umysł nie potrafi jej rozwiązać. Jeżeli taka myśl powstaje w twoim umyśle, to tylko w twoim umyśle nie ma rozwiązania. A jeżeli powstała, to znaczy, że jest możliwa i celowa, bo nic bez celu w naszej rzeczywistości się nie dzieje.

- Czy po to Jezus otworzył ludziom oczy, żeby zobaczyli swoją bezradność? - zapytał Adam.

- Nie. Dał ludziom szansę, bo przed Otwarcieciem nie mieli możliwości zrozumienia. Nie mieli szansy na zrozumienie. Dla nich ówczesny świat był ułudą. Swoje czyny nazywali przyczyną, a wydarzenia, które następowały później, w przyszłości, skutkiem.

Adam przytaknął kiwnięciem głową, a spowiednik mówił dalej.

- Wiemy, że jest odwrotnie. Albowiem czas wraz naszymi czynami płynie od przyszłości ku przeszłości. Przyszłość zawsze wyprzedza dzień dzisiejszy i jest w czasie pierwsza. Zanim twój czyn nadejdzie, był już wcześniej od zawsze. Jako przyczyna obecnego skutku. Jako przyszłość wyprzedzająca teraźniejszość. Jeżeli wydarzenia nie ma w przyszłości, to nie może zaistnieć teraz.

Spowiednik zerknął na Adama przez kratkę, jakby chciał się upewnić, czy Adam słucha go uważnie.

- Jeżeli strącasz szklankę ze stołu, jej rozbitcie jest jeszcze w przyszłości. Poprzedza więc jej

strącenie. Dlatego jej strącenie jest możliwe. Mówimy, że stłuczenie jest przyczyną, a strącenie następstwem. I słusznie. Po to dostaliśmy dar widzenia przyszłości, aby to rozumieć.

Adam postanowił skrócić rozważania spowiednika.

- Świat na początku czasu, w przyszłości, to ostateczny chaos, który dąży do ładu, największego w terażniejszości. A Bóg jest ładem. Rozbita w przyszłości szklanka jest w terażniejszości cała. Dlatego chaos w przyszłości zmierza do dnia dzisiejszego, w którym jest najmniejszy. Dlatego żyjemy w terażniejszości jako w czasie o najwyższym możliwym uporządkowaniu. W czasie, który Bóg umiłował jako swoje dzieło.

Spowiednik wychylił się z konfesjonału, żeby zobaczyć, ile osób jeszcze czeka. Większość z nich trzymała w rękach karteczki. Wyglądali tak, jakby uczyli się z nich na pamięć wiersza. Spowiednik pokręcił głową i zbliżył się do Adama.

- Widzę, że rozumiesz fizykę świata. Czy z twoją duszą jest tak samo?

Adam zgodził się.

- Tak. Dzisiejszy żal za grzechy jest ważniejszy niż ten w przyszłości. Bo jest przed winą... w stanie mniejszego zła. Ale czy teraz jestem zły, jeżeli mój grzech dopiero nadejdzie?

- Czy zły był Judasz, zanim zdradził? - zapytał spowiednik.

Adam nie dał za wygraną.

- Ale mój grzech jest nieuchronny. Przecież będzie. Czy chcę o tym wiedzieć, czy nie.

Spowiednik westchnął i pokręcił głową.

- Dzisiaj jest twój dzień grzechu. Dzisiaj. Bo w przyszłości liczba twoich win będzie większa niż dziś...

Adam podniósł głowę i spojrzał na spowiednika.

- Ale pragnę, aby to były winy odpuszczone. Jestem gotów do pokuty. Nałóż mi ją ojcie, bo zgrzeszę. Niech jej źródło wykupi przyszłe zło, a może przejdę przez nie bez winy.

Spowiednik był zadowolony. Uśmiechnął się i powiedział.

- Widzę, że dzisiaj znajdziesz źródło. Wtedy oddalisz winę.

- Uczynię to.

Kiedy usłyszał pukanie, odetchnął z ulgą.

Plac Mariacki tonął w letnim upale. Adam wyprostował się z ulgą. Nie myślał o dalszych wydarzeniach tego dnia. Przed sobą miał najbliższą godzinę, którą postanowił przeznaczyć na pokutę.

Poszedł wolno placem i wyostał się na Rynek Główny. Skierował się w stronę Sukiennic, po drodze włączając komórkę. Pomyślał, że księża stają się coraz bardziej dogmatyczni. „Wszyscy żyją przeszłością” - uśmiechnął się przekornie do siebie. „Człowiek jest z natury istotą leniwą” - pomyślał. - „Łatwiej jest żyć przeszłością i wspominać wydarzenia, które już od człowieka nie zależą”. To, co się zrobiło lub czego się nie zrobiło pozbawione jest już odpowiedzialności wyboru. Nawet największy dyskomfort z powodu przeszłości jest zawsze wygodniejszy niż zło, które dopiero się wyrządzi. Wobec wydarzeń minionych jest się tylko widzem, który ogląda film odłożony na półkę. Nieistniejące wydarzenia, które nie rodzą żadnych skutków. Inaczej niż te, które nastąpią w przyszłości.

Nie śpieszył się. Szukał myśli, od której zacznie przemyślenia. Zatrzymał się na chwilę i popatrzył pod nogi. Na dziesiątki, a właściwie setki tysięcy płyt, które stanowiły powierzchnię placu. Znał większość z nich na pamięć. Każda, wykonana techniką inkrustacji w kamieniu, przedstawiała

wydarzenia z czyjegoś życia. Wykonywanie jednej płyty zajmowało zazwyczaj od dwóch do pięciu lat i było bardzo kosztowne. W sprowadzanych płytach z granitu najpierw wykonywano otwory o kształcie uwiecznianej sceny, a potem wkładano ściśle dopasowane wstawki z granitów o innych barwach. Samo wkładanie wstawek odbywało się w kadziach ze specjalną smołą, aby wypełnić powstałe po włożeniu granitowych wypełnień szczeliny płyty i zabezpieczyć ją przed wodą, która mogłaby je w zimie rozsadzić. Pozostałą na powierzchni płyty smołę dokładnie ścierano przed ułożeniem jej na placu. Ich fundatorami byli ludzie: mieszkańcy miasta i jego goście. W średniowieczu prawo do umieszczenia sceny ze swojego życia mieli tylko włościanie, których stać było na opłacenie prawa do swojej płyty. Jednej w życiu. Najczęściej była to scena rodzajowa z życia fundatora, dla niego najważniejsza. Jedne przedstawiały sytuacje widziane w ich przyszłości, inne, wydarzenia, które w dniu układania były już przeszłością. Plac, jak wszystkie place świata, na których ta tradycja istniała, był odzwierciedleniem Wielkiego Ładu. Na te place rodzice przyprawiali dzieci, kiedy tylko zaczynały świadomie myśleć. Widok dziecka idącego tyłem był widokiem codziennym. Tutaj odbywała się pierwsza edukacja. Tutaj kształtowano w dzieciach stosunek do przeszłości i przyszłości. Dziecko idąc tyłem widziało tylko wydarzenia będące przyszłością, ale nie widziało tych z przeszłości. Wystarczyło się odwrócić, aby je zobaczyć, a wtedy te z tyłu stawały się niewidoczne.

Między trzecim a piątym rokiem życia człowiek zaczyna zauważać, że wydarzenia są wszędzie. To wiedza podstawowa, konieczna do usytuowania swojego miejsca w czasie, a widziane obrazy mogą dotyczyć wydarzeń będących zarówno w przyszłości, jak i w przeszłości. Małe dziecko bowiem zawsze widzi obrazy, ale nie potrafi ich klasyfikować. Musi się tego nauczyć.

Potem młody człowiek musi nauczyć się rozumieć przyczynę i skutek. Później, już w szkole, nauczy się budowy mózgu i pozna jego części odpowiadające za kierunkowe widzenie w czasie.

Obok Adama pojawiła się grupa wycieczkowa z przewodniczką, opaloną młodą kobietą w krótkich spodenkach i kolorowej bluzce. Trzymała w dłoni chorągiewkę z numerem grupy. Na ramionach miała mały plecak z wystającą butelką. Adam odwrócił się, żeby się cofnąć i niespodziewanie znalazł się w środku sporej grupki kobiet i mężczyzn w różnym wieku. Schodzili się wolno do przewodniczki, jak pisklęta do kwoki. Trochę niesforne i chaotycznie, bez jakiegokolwiek dyscypliny, wymieniając między sobą jakieś uwagi. Miały wyraźny priorytet przed tym, co mieli za chwilę usłyszeć.

- Fenomeny - usłyszał męski głos.

Rozejrzał się i zobaczył starszego mężczyznę mówiącego wyraźnie do niego.

- Słucham?

- Pana też interesują fenomeny?

- No... - odezwał się dyplomatycznie, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

- Ja tu przychodzę siódmy raz i ciągle słucham tego od nowa... To szalenie ekscytujące.

- Ach tak... - potwierdził uprzejmie Adam i zaczął się rozglądać, którędy najszybciej wydostać się z grupy.

- Niech pan słucha... niech pan... - mężczyzna urwał i podniósł rękę na znak uwagi.

Adam mimowolnie znieruchomiał. Przewodniczka wyraźnie stwierdziła, że to właściwy moment na wznowienie przerwane gdzieś wcześniej opowiadania.

- Doszliśmy aż tutaj, żeby zobaczyć z bliska uwiecznione w kamieniu i żeliwnych inkrustacjach

fenomeny.

Zebrani wycieczkowicze zamilkli i nadstawili uszu.

- Jak wcześniej mogliśmy stwierdzić, kamienie wydarzeń zaczęto układać od strony południowej rynku. Tam są najstarsze. Dlatego też tam są najbardziej wytarte. Na niektórych, jak widzieliśmy, inkrustacje rodzajowe całkiem zanikły. Ale tutaj, w części zachodniej placu, mają nie więcej niż dwieście lat. Proszę zrobić miejsce...

Grupa rozstała się.

- Proszę spojrzeć. Mamy tu obok siebie bardzo wiele scen obrazujących wydarzenia z okresu wielkiej epidemii. Choroba nie oszczędziła prawie żadnej rodziny. Ludzie umierali całymi ulicami i dzielnicami. W tej części placu...

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę wskazaną przez przewodniczkę.

- ...widzimy jednolitą tematycznie i mono kierunkową - w czasie - wizję śmierci fundatorów. Cały ten obszar jest wypełniony płytami, które ułożyli mieszkańcy, od dzieciństwa widząc tę epidemię, aż do jej wystąpienia. Tematyka jest w zasadzie jedna, wyłącznie widziany obraz swojej śmierci. Podobne nagromadzenie tego motywu znajdujemy tylko w części wschodniej, gdzie mogliśmy oglądać widoczne w przyszłości sceny najazdu barbarzyńców i wielkiej rzezi, której celem byli mężczyźni i chłopcy.

Przewodniczka odwróciła się na pięcie o ćwierć obrotu i wskazała dłonią na sąsiednią część placu. Kiedy słuchacze odłonili tę część, zaczęła opowiadać dalej.

- Tutaj mamy najciekawszą część placu. Sceny rodzajowe tych, którzy przeżyli epidemię, ale jej fizjologiczne skutki trwale uszkodziły korę mózgową ocalałych, a szczególnie, co nas interesuje, jej części okołoszyszynkowe, odpowiadające za widzenie przyszłości.

Przewodniczka z uśmiechem triumfu doszła widocznie do celu swojej opowieści. Adam zobaczył, że ten wątek musi być jej konikiem, bo stała się wzniosła i patetyczna.

- Te sceny odzwierciedlają monokierunkowość w czasie, ale wstecz. Choroba bowiem uszkodziła ogromnej części mieszczan zdolność widzenia przyszłości. Tak, proszę państwa, duża grupa mieszkańców naszego miasta znalazła się w wyniku choroby w ciemnym okresie ludzkości... w okresie sprzed Ostatniej Wieczerzy. Kiedy to ludzki mózg zapisywał tylko obrazy i odczucia czasu przeszłego, dusząc się ułomnością niewidzenia całego świata. Te płyty pozwolono ułożyć mieszkańcom na prawach wyjątku, bo po epidemii pozostało tak mało mieszkańców, że skarbiec miejski zaczął świecić pustkami. Dlatego uczyniono ten wyjątek, który zresztą dzisiaj jest największą atrakcją turystyczną Rynku.

Młoda dziewczyna stojąca obok przewodniczki nieśmiało podniosła rękę.

- Czy oni zdawali sobie sprawę z tego, że utracili widzenie? - zapytała nieśmiałym głosem.

- Oczywiście - to pytanie wyraźnie sprawiło przewodniczkę przyjemność. - Ale część z nich zachowała w sobie obrazy z przyszłości, zapamiętane z młodszych lat życia, kiedy jeszcze przyszłość była dla nich widoczna. Pozostały jako obrazy wycinkowe i statyczne, oczywiście już nie weryfikowane na bieżąco. Tych ludzi nazywano wówczas potocznie prorokami i ta nazwa zachowała się do dzisiaj. Płyty ułożone są w formie pasa, który nosi nazwę Pasa Proroków.

- Czy to jest adekwatne określenie dla tego ciemnego okresu? - wtrącił chłopak w okularach o grubych szklach.

Przewodniczka wyjęła z kieszeni przewodnik i pokazała go chłopakowi, a potem wysoko nad głowami słuchających.

- W przewodniku znajdziecie państwo opis badań porównawczych, które odpowiadają na to pytanie. Jak wiadomo, prorocy występujący w historii przed Dniem Otwarcia widzieli przyszłość w krótkich sekwencjach. Ludzie zawsze posiadali tę zdolność, choć nie była ona całkiem otwarta. U niektórych jednostek widzenie uwalniało się naturalnie impulsowo i spontanicznie. Widzieli w tych momentach wybrane sceny z przyszłości, i takie je zapamiętywali. Najczęściej na całe życie. Odebrane obrazy pozostawały w ich pamięci tylko jako te zapamiętane z przeszłości. Tak zresztą jak u innych ówczesnych jasnowidzących, których do proroków nie zaliczamy.

Przewodniczka zauważyła, że część słuchających zaczyna się nudzić. Zaczęła więc zmierzać ku końcowi.

- Adekwatność porównania ludzi okaleczonych chorobą do proroków po stronie efektu biofizjologicznego jest dość ścisła. Prorocy lub inni widzący posiadali je najczęściej w formie jednorazowej wizji, nie mieli już, jak obecnie my, dalszej zdolności ich oglądania. Te zapamiętane przed chorobą obrazy z przyszłości - przewodniczka wskazała na płyty placu - stały się również wspomnieniami uwiecznionymi w kamieniu. Dlatego nazywamy je fenomenami.

- Lody... - zawołała jedna ze słuchaczek - może pójdziemy na lody?

- Później pani pójdzie... to jest ciekawe - zdenerwował się mężczyzna obok Adama i szybko wtrącił: - Czy to prawda, że ci ludzie myśleli, że przyczyną choroby była ich przeszłość? To znaczy zarażenie w przeszłości?

- Owszem, tak podają źródła historyczne - odpowiedziała przewodniczka - ale cóż... umysł człowieka zawsze szuka wyjaśnień, ale tylko na obszarze, który swoim oglądem obejmuje. Dla nich dostępny był tylko obraz zapamiętanej przeszłości... to przykre...

- Chodźmy się napić... - słuchaczka nie ustępowała. Sytuacja wymykała się spod kontroli.

- Tak, chodźmy... pani przewodniczko, możemy...?

Cierpliwość grupy właśnie się wyczerpała. Kilka osób już oderwało się i pospieszyło w stronę kolorowych parasoli i wiklinowych fotelików przy kawiarnianych stolikach. Przewodniczka bez emocji poddała się woli słuchaczy.

Adam został na placu sam, równie nagle, jak przedtem znalazł się w grupie. Spojrzał pod nogi. Obrazy przedstawiające wydarzenia przeszłe otoczone były ramkami z czarnego żeliwa, wydarzenia przyszłe, zgodnie z tradycją pozbawione były obramowania..

Patrząc teraz na nie, przypomniał sobie pierwsze lata swojego życia, kiedy chodził po placu raz przodem, raz tyłem, w różnych kierunkach. Jako kilkulatek początkowo myślał, że nie ma to znaczenia, a płyty po prostu leżą. Leżały, bo leżały i tyle, a chodzenie po nich było tylko zwykłym chodzeniem. Potem zaczął zauważać widoczne na nich sceny i to, że chodzi się po wydarzeniach. Nieco później zrozumiał znaczenie tej zabawy... Przemieszczał się po wydarzeniach ułożonych w czasie... Leżały obok siebie niezależnie od tego, czy były obrazami z przeszłości, czy w momencie układania miały dopiero nastąpić. Jedne miały ramki, inne nie. Oglądał wszystkie, ale wiedział, że ich najważniejszą cechą jest to, że istnieją. Kiedy zaczął dorastać, zrozumiał, że krakowski plac był odzwierciedleniem wszechświata, który składa się z wydarzeń. Kiedy poszedł do szkoły, wydarzenia otrzymały nazwę stanów kwantowych. Wszechświat składał się już z bezgranicznej ilości stanów kwantowych, których rozłożenie było w czasie równomierne. Ponadto tak samo gęsto w każdym kierunku. Gdzieś przez tę nieskończoną ilość kwantowych stanów przemieszczała się fala zwana terażniejszością. Wydarzenia znajdowały się po jej dwóch stronach, które człowiek na własne

potrzeby nazwał przeszłością i przyszłością, a potem nadał tym kierunkom zwrot, zgodnie z potrzebą zmysłów. Takiego uporządkowania, jakiego zmysły i mózg swoją strukturą wymagały. Zmysły dzieliły się na rejestrujące teraźniejszość, a to co utrwaliły, człowiek nazwał przeszłością. Inne rejestrowały obrazy i odczucia z przyszłości, a ich zapis również trafiał do kategorii wydarzeń przeszłych. Jeszcze inne, rzadsze, także rejestrowały wydarzenia widoczne w przeszłości.

Człowiek podzielił wydarzenia na te, które są, będą lub już były. Na te, które są - w ludzkim odbiorze - celem czasu i te, które są tylko jego pozostałością.

Adam zatrzymał wzrok na płycie ze sceną wieszania skazańca. Scenę swojego wieszania uwiecznił fundator płyty, widząc taki stan kwantowy w swojej przyszłości. Tę płytę Adam w swoim życiu zauważył bardzo wcześniej i zapamiętał ją, bo w którymś momencie dorastania zobaczył na niej coś więcej niż wydarzenie. Zobaczył w tej scenie przeżycie człowieka. Później zrozumiał, że stany kwantowe materii składającej się na ciała radujących się życiem czy umierających ludzi, nie są dla nich ważne. Jak połączenia elektronów i protonów materii składającej się na konopny sznur wieszanego skazańca. Zrozumiał, że jego dotyczy tylko to, co czuje i myśli. Że nic poza tym nie wypełnia jego życia.

Że jedyny prawdziwy kontakt, jaki ma człowiek ze światem, to jego odbiór.

Ostatnie zrozumienie było odkryciem najważniejszym. Na jakiegokolwiek płycie by stanął, zatrzymywał się na wydarzeniu, niepowtarzalnym i niepodobnym do innych. Nie było dwóch takich samych płyt ani dwóch takich samych wydarzeń, bo nie było dwóch takich samych ludzi. Na wszystkich płytach Adam znajdował jednak wciąż jeden z dwóch stałych i zawsze obecnych komponentów, które ignorowały nieskończoną różnorodność uwiecznionych wydarzeń. Były nimi - dobro i zło. To odkrycie było tak proste, że aż niemożliwe do zauważenia przez wiele lat młodego życia. Wszechobecne dobro i zło, niezależnie od poziomu rozwoju człowieka, czasu, w którym żył, czy czasu lub miejsca, w których człowiek może osobiście się znaleźć lub tylko zmysłami albo umysłem ogarnąć.

Dobro i zło, które było, które jest, i które przychodzi z przyszłości. Jak z bezkresnego oceanu istnienia, z którego świat wyłania się od swojego początku.

Z zamyślenia obudziło go lekkie uderzenie w nogi. Spojrzał w dół. Między jego stopami zaklinowała się dziecięca piłka. Poczul, raczej intuicją niż wzrokiem, skupione na sobie czyjeś spojrzenie. Schylił się wolno i wziął do ręki piłkę. Obrócił ją w palcach, popatrzył na kolorowe samochodziki wtopione w miękkie tworzywo i podniósł wzrok. Parę kroków przed nim, znieruchomiały w oczekiwaniu, stał kilkuletni chłopiec.

- Rzucić ci? - zapytał.

Chłopiec pokręcił przecząco głową.

- Potoczysz - oznajmił poważnie.

- Rzucę - zapowiedział Adam. - Jeżeli potoczę, rozbijesz sobie kolano.

- Kolano chce być rozbite - chłopiec był uparty.

Postanowił narzucić następne wydarzenie.

- Ale ja nie chcę słuchać twojego kolana.

Chłopiec widział najbliższe minuty, a w nich różne wykluczające się obrazy. Rozumiał je jednak po dziecięcemu. Adam pomyślał, że rozbite kolano nie jest w tym wieku problemem. Większym jest rozbicie głowy... które wydarzy się po rzucie. Kilka kroków od chłopca stała dziewczyna w sukience

w kratkę, która przysłuchiwała się ich rozmowie. Trzymała w dłoni małe chłopięce okulary przeciwsłoneczne i paskudnie rozlane na jej palcach, niedojedzone lody w małym rożku.

- Mateusz, podejdź do pana i weź od niego piłkę - była wyraźnie zmieszana.

Chłopiec zastanowił się. Zmarszczył czoło i przez chwilę intensywnie rozważał swoją decyzję. W końcu postanowił posłuchać mamy. Podeszedł do Adama i wziął od niego piłkę. Kiedy poczuł ją w rękach natychmiast zapomniał o rozmowie i swoich rozterkach. Podniósł ją wysoko nad głową i ruszył biegiem.

- Nie biegnij... - zawołała dziewczyna, ale było za późno.

W połowie drogi do niej chłopiec potknął się o swoją stopę i jak długi poleciał do przodu. Upadł, aż jego małe ciało klasnęło głośno o płytę placu. Adam ruszył odruchowo w stronę chłopca, bo upadek wyglądał groźnie. Podbiegli jednocześnie. On i dziewczyna. Adam położył teczkę na ziemi, ujął chłopca za ramiona i ostrożnie obrócił do pozycji siedzącej. Chłopiec przypominał teraz syrenę, która zwracała na siebie uwagę wszystkich ludzi w promieniu stu metrów. Z kolana i głowy płynęły cienkie strużki krwi. Dziewczyna była przerażona. Bała się spojrzeć w najbliższe minuty. Zrobił to za nią Adam. Wtedy odetchnął z ulgą i przyjrzał się uważnie chłopcu oraz jego obrażeniom.

- Proszę poczekać. Mam mokre chusteczki.

Adam wyciągnął z teczki dwie serwetki w jednorazowych opakowaniach, rozerwał je i podał dziewczynie. Ta przetarła stłuczenia malca, wzbudzając jeszcze większy jego krzyk. Nadal bała się spojrzeć w najbliższą przyszłość. Popatrzyła tylko uważnie na zadrapania na skórze chłopca i odetchnęła z ulgą.

- Mateusz, nic ci nie będzie - powiedziała. - Popatrz, wszystko w porządku. To tylko małe otarcie.

Jej głos brzmiał spokojnie... i to pomogło. Malec zaprawiony widocznie w takich przygodach, nagle ucichł. Popatrzył na swoje kolano... i na Adama.

- Nienawidzę je. Nienawidzę - powiedział ze złością.

- Dlaczego? - zapytał Adam.

- Ono chciało być rozbite...

Dziewczyna spojrzała na Adama z przepaszającym wyrazem twarzy.

- On zawsze się złości na przyszłość.

- W tym wieku... niech sobie ulży - Adam skwitował to z uśmiechem.

Trwali w przysiadzie blisko siebie. Dziewczyna miała na twarzy piegi. Najwięcej wokół kształtnego nosa i ładnych, dużych ust. Pachniała nagrzaną słońcem skórą. Jej duże szare oczy przez ułamek sekundy zareagowały źrenicami na jego bliskość i krótką wymianę zdań, które przemieniły się w jeszcze nieskończenie krótszym czasie w kontakt między mężczyzną i kobietą. Adam poczuł mrowienie w całym ciele...

- Widziałem tylko kolano - wytłumaczył się.

- Z nim zawsze tak - dziewczyna delikatnie się zarumieniła. - Widzi, co nie trzeba.

- Ulubieniec bogów - Adam podniósł się z uśmiechem.

Chłopiec rozglądał się już dookoła, wycierając łzy z twarzy. Adam odczekał chwilę, aż dziewczyna postawi Mateusza na nogi.

Rozumiała sytuację z upadkiem i jego wybór...

- To pan zmienił wydarzenie - bardziej stwierdziła niż zapytała. - Złagodził pan skutek urazu... rozłożył na dwa miejsca...

- Przepraszam, nieświadomie - Adam natychmiast się wytłumaczył.

- Nie. To ja dziękuję - dziewczyna spojrzała mu z wdzięcznością w oczy. - Tak jest lepiej. Gdyby to była tylko głowa albo tylko noga, byłoby dużo gorzej. I pana chusteczki... jak mogę...?

Adam pomyślał, że chętnie porozmawiałby z nią dłużej, ale wiedział, że to tylko incydent, który właśnie się kończy. Machnął ręką.

- Mateusz, uważaj - zawołała. - Dziękuję jeszcze raz - już nieco rozkojarzona posłała Adamowi ostatnie wdzięczne spojrzenie i pobiegła za chłopcem, który już pędził do leżącej w oddali piłki.

Adam spojrzał na otwartą teczkę i leżące obok niej rozsypane serwetki. Wypadły, kiedy w pośpiechu wyjmował je z kieszonki. Podniósł ją i zamknął. Potem rozejrzał się i pomyślał, że usiadzie w Sukiennicach.

Czas na pokutę zaczynał się kurczyć. Postanowił odprawić ją jak najszybciej, przy kawie i w wygodnej pozycji. Przy kawie najlepiej mu się zawsze myślało, a efekt przemyśleń był najlepszy.

Usiadł przy stoliku pod parasolem i zamówił espresso ze śmietanką. Czuł się lekko i radośnie. Życie było piękne, a pokuta miała być prawdziwa i skuteczna.

Rozmyślenia, które przerwał incydent z chłopcem, zaczęły teraz wracać same. Pomyślał, że przykre wydarzenia, z których się wypowiadał, były daleko przed nim, a zatem ich rozważanie nie będzie emocjonalnie uciążliwe. Tym bardziej, że swoje przyszłe decyzje i postawy teraz wewnątrz i prawdziwie odrzucał. Nie oznaczało to jednak, że ich chłodne przemyślenie będzie łatwiejsze. Spory dystans czasowy nadaje ocenie wydarzeń znacznie wyższy wymiar, wymiar moralny, trudniejszy do odrzucenia niż emocje, które na dziejące się właśnie wydarzenia w dużym stopniu wpływają. Odległość w czasie zawsze wzmacnia obiektywizm oceny. Bez względu na to, czy dotyczy wydarzeń i uczynków, które dopiero nastąpią, czy tych, które dawno przeminęły. „Oczywiście” - pomyślał - „jeżeli jest się uczciwym wobec siebie”. Ale jeżeli tak jest, to ta ocena jest trudniejsza i bardziej bezwzględna w osądzie i... nie można jej oszukać.

W tej chwili Adam czuł się od nich wolny. Widziane w przyszłości wydarzenia nie należały do niego. W tej chwili wiedział i czuł, że nie zostawi żony. Nie będzie chciał innej kobiety, nie sprzeda się dla jakichś pieniędzy i nie znajdzie się w kleszczach swoich podłych uczynków. To były tylko obrazy, sprzeczne obecnie z jego wolą i sumieniem. A że istnieją w przyszłości i nadejdą? Niech się o to martwi jutrzejszy Adam.

Roześmiał się w duchu z tego żartu.

Rozmyślanie przerwała mu melodia telefonu. Wysunął go z teczki i spojrzał na wyświetlacz. To był telefon z Francji. Dzwonił Ferdynand, tak jak wcześniej to Adam widział. Wiedział już, co chce zrobić.

Położył telefon obok filiżanki kawy i patrzył, jak wraz z sygnałem dzwonka drga piktogram podskakującej słuchawki. Odczekał, aż telefon umilknie. Wtedy podniósł go i odsłuchał. Ferdynand nagrał się z potwierdzeniem, że może przyjechać na umówione spotkanie. Za czternaście dni. Zapowiedział, że będzie sam. Adam odłożył telefon. Zatrzymał wzrok na gołębiach chodzących tam i z powrotem po Rynku.

Ferdynand oczywiście przyjedzie za dwa tygodnie z żoną, ale zaraz przestał o tym myśleć.

Wrócił do rozważań pokutnych. Postanowił jeszcze tylko zobaczyć, czym jest ten dokument Ferdynanda, który stanie się dla niego tak ważny. Przymknął oczy i starał się wyciągnąć z umysłu obraz tej sytuacji, ale nie udawało mu się. Widział śmiech i rozwiane włosy żony Ferdynanda,

zobaczył, jakie to wrażenie w nim wywoła... Zobaczył jej imię. Kamila...

Przerwał wgląd, bo nagle zrobiło mu się słabo. Intensywność wejrzenia w przyszłość wyczerpała go fizycznie. Głowa stała się miękka, jakby wypełniona watą, a w okolicy serca i u nasady szyi poczuł dotkliwy ból, połączony z uczuciem duszenia. Przymknął oczy, wciągnął głęboko powietrze i powoli je wypuścił. Potem jeszcze raz, i jeszcze... Otworzył oczy i sięgnął po kawę. Wypił mały łyżeczek i poczuł, że kawa jest tym, czego bardzo potrzebował. Kiedy kofeina zaczęła działać, dolał do pozostałej w filiżance kawy śmietanki i wypił jeszcze jeden mały łyk. „Nie, nie będę sięgał do wydarzeń niewidocznych do końca. To przecież nie jest istotne. I tak kiedy się przybliżą w czasie, zobaczą je dokładniej” - pomyślał. - „Mam dość wiedzy do przemyśleń”.

Zobaczył na stoliku z kartami menu stojaczek z pocztówkami. Była na nich replika „Ostatniej Wieczery”. Restaurator wyraźnie umieścił je tam pod klientelę pokutną, która tutaj właśnie przychodziła prosto z kościoła.

„Tak” - pomyślał. - „To jest zawsze dobry punkt zaczepienia”.

Wyciągnął z teczki laptopa i otworzył go. Wszedł w folder Nowy Testament i wybrał: Ł 2222. Przeczytał cicho: *Wprawdzie syn człowieczy odchodzi według tego jak jest postanowione, lecz biada temu człowiekowi, przez którego będzie wydany.* Adam wpatrywał się przez chwilę w ten fragment i otworzył drugi, J 2222. Przeczytał, poruszając ustami:

Wtedy rzekli do niego uczniowie: „Panie, Ty znasz przyszłość i widzisz co nastąpi i nam o tym mówisz. Daj nam ten dar, abyśmy mogli lepiej kierować swoimi uczynkami i weź nas ze sobą”. Kiedy Pan otworzył im oczy, przejrzeni, a w tej chwili wszyscy ludzie na całej ziemi. Wtedy rzekł Jezus: Tam gdzie ja idę wy pójść nie możecie. Ale pragnienie wasze jest wielkie [więc] królestwo tego świata zostawiam dla was otworzone, abyście mieli widzenie czynów waszych, jak ja je widzę. Idźcie przez świat i patrzcie i niech wasze oczy widzą to co moje [na tym świecie]. I otworzyły im się oczy na wszystkie rzeczy które są. A wraz z nimi, otworzone zostały [wszystkie] oczy na ziemi. I zobaczyły przyszłość, tak jak ją widziały dotąd tylko oczy Jezusa.

Adam pomyślał, jak wielkim szokiem było dla apostołów Otwarcie. Teraz ludzie od dwóch tysięcy lat rodzą się z tym darem i uczą się go od pierwszych dni życia. Jak chłopiec z piłką.

Od poziomu: „Kolano chce być rozbite”, do najwyższego poziomu świadomości.

Adam pomyślał, że wbrew pozorom ogromna większość ludzi nadal myśli kategoriami chłopca. Kiedy był mały, też tak myślał. Przypominał sobie okres buntu przeciw przyszłości. Jak inne dzieci w wieku kilku lat myślał kategoriami wydarzenia jako przedmiotu losu. „Wszystkie wydarzenia chcą być wydarzone”. Stał kiedyś pośrodku kuchni i tupał małymi nogami, widząc, że tego lata nie pojedzie nad morze, choć rodzice mu to obiecywali. Kiedy zobaczył, że nie mówią prawdy, zaczął krzyczeć, że kłamią, bo widział, że takiego wydarzenia nie będzie. Ale oni nie kłamali, bo naprawdę chcieli go nad morze zabrać. Kiedy już im uwierzył, zobaczył, że nie pojedzie, bo złamie nogę po upadku z roweru. Ale oni to też widzieli, a mimo to obiecywali. Wtedy pomyślał, że jednak kłamią. Jako mały Adaś, nie większy od Mateusza z piłką, rozgniewał się wtedy na nich i na świat. Na wydarzenia, które „chcą być wydarzone” i na ludzi, że nimi nie rządzą tak jak chcą, choć czasem tak wygląda. Jako małe dziecko nie rozumiał fizyki świata i nadawał wydarzeniom oraz przedmiotom cechy osobowe. To one chciały się dziać tak, jak je widział w przyszłości. To one były winne swojemu biegowi. Wtedy nie rozumiał jeszcze, że bieg czasu jest czynnikiem uwidaczniającym tylko determinację przemiany stanu kwantowego wszechświata.

Adam otworzył plik z obrazem „Ostatnia Wieczera”. Program w komputerze wyświetlił

ilustrację. Najśłynniejszy obraz Leonarda da Vinci przedstawiający Ostatnią Wieczerzę w momencie tuż po Otwarcu.

Obraz nazywany był także „Dniem Grzechu”.

Przedstawiał ciała apostołów w pozycjach tragicznych przeżyć umysłu. Apostołów leżących na stole i na podłodze przed stołem, rwących na sobie szaty i włosy z głowy.

Tylko jedna postać klęczy w spokoju i pokorze przed Jezusem. Nie ma w niej szaleństwa. Wyraża absolutne poddanie i zgodę na to, co zaraz sama uczyni. Tylko jej wsparte na ziemi dłonie z kciukami schowanymi do środka, są nienaturalnie zamknięte. Ten gest to największa tajemnica obrazu. Sam wizerunek Judasza to najdoskonalsza alegoria grzechu w malarstwie. Nieuchronnego, zamierzonego i jednocześnie odrzucanego, przyrośniętego nierozzerwalnie do człowieka, który nie może od niego uciec. Postać Judasza w doskonały sposób łączy niemożliwe do połączenia. Przedstawia w jednym żywioły: przeznaczenie i powinność wyboru, hołd i zdradę, posłuszeństwo i bunt, wszystko w jednej postaci, miejscu i czasie. Tak Leonardo przedstawił swoją wizję świata. Czy pokora tej postaci znamionuje odpuszczenie grzechu? Grzechu, który jest godny największego potępienia, ale jest jej dziejową powinnością i nie z jej woli rodzi się dobrodziejstwo? Kosztem wykonawcy, którym jest on, Judasz. Ten grzech jest niewybaczalny i zasługuje na potępienie. Nieuchronność nie należy do klęczącego Judasza, bo była w przyszłości, zanim się wypełniła. Ale do Judasza należy jego reakcja. Czy to jest reakcja Judasza, czy już szatana, który za moment w niego wejdzie? Chrystus bowiem trzyma w wyciągniętej dłoni chleb, który spożyje Judasz. Akcent pokuty widoczny w postaci zdrajcy, wobec nieuchronnego uczynku wydaje się być prawdziwy. Do zdrajcy należy wykonanie zła i poniesienie kary. Czy kiedyś Jezus oddzieli człowieka od szatana, by rozdzielić karę? Leonardo da Vinci nie byłby sobą, gdyby nie zawarł w postaci pewnej prowokacji. Uległa postawa ciała Judasza nie jest czysta. Zamknięte dłonie mówią coś innego niż reszta postaci. Postawa klęcząca jest symbolem hołdu, dłonie zapowiadają jednak wewnętrzną intencję. Czy ta pozycja jest naprawdę aktem pokuty? A jeżeli nie, to dlaczego?

Czy dlatego, że w całej swej działalności Jezus wypędzał szatana z ludzi i uwalniał ich od niego, a tylko tutaj i ten jeden, jedyny raz, czyni odwrotnie, pozwalając mu wejść do człowieka? Podaje chleb Judaszowi pozwalając, aby szatan wstąpił w niego, czyniąc go zdrajcą i potępińcem po wsze czasy.

Postać na obrazie jest wieloznaczna i rodzi ludzkie pytanie, nie dając ludzkiej odpowiedzi. Czy Judasz chce się wycofać? Jaki ma wybór? Odstąpić od zła, które zamierza wykonać? Co wybierze? Przyszłość widzianą w przyszłości przez proroków i zdradę Nauczyciela, a więc swe wieczne potępienie? Czy sprzeciwi się planowi Zbawienia i nie wpuści do siebie szatana? Chociażby aktem woli? Czy zwycięstwo nad złem, jeżeli wygra, zostanie nagrodzone?

Adam zbliżył głowę do postaci Judasza i powiększył ją na cały ekran. Mimo że jest częściowo obnażona, mimo jej spokoju, nie ma w sobie dostojeństwa pozostałych apostołów. Nie może przecież w swojej roli wyglądać tak samo jak pozostali. Jest zły.

Leonardo był mistrzem, bo wybrał moment na chwilę przed wejściem w niego szatana. Na twarzy Judasza nie ma grymasów, jest zwyczajna, wyraża spokój. Jest prawie bez wyrazu.

Adam pomyślał o analogii ze swoją przyszłością, kiedy znowu zadzwonił telefon. Dzwonił instytut.

Odebrał i poznał głos sekretarki.

- Mam wieści z Rady. - Ton jej głosu zwiastował złe nowiny.

- Rozpatrzyli? - zapytał zaintrygowany.
- Tak. Oficjalnie odpowiedzą jutro, ale już wiemy, że nie przyjęli.
- Odmowa?
- Zawieszają nas... do przyszłej sesji.
- Dlaczego?
- Nie mamy poparcia innego instytutu.
- Kto głosował przeciw?

- Nieważne, słuchaj Adam, to i tak nie przejdzie. Dobrze, że szef podał informację o planach współpracy z Ferdynandem. To nas uratowało.

Adam wciągnął powietrze.

- Ale ja zamierzam odwołać to spotkanie...
- Z Ferdynandem? Żartujesz chyba?
- Nie żartuję...
- Coś się stanie?
- Właśnie...

W słuchawce zapadła cisza.

- Adam, jeżeli to prywatna sprawa, to przepraszam... nie mieszaj jej do spraw instytutu. Wiesz, że ta współpraca to dla nas być albo nie być.

- Poradzimy sobie - uciął.

- Jeżeli tak uważasz. Ale lojalnie cię ostrzegam, powiem to szefowi jak wróci. - Jej głos nie był już wcale miły.

- Sam z nim porozmawiam - zakończył rozmowę.

Rozłączył się bez słowa. Trzymał przez chwilę telefon w dłoni, czując, że robi się wściekły. Poczul wewnętrzny gniew i bunt. Na siebie, bo pomyślał, że tej decyzji nie wygra, a nadstawi się na niepotrzebne uderzenie szefostwa.

Kiedy odkładał telefon wiedział już, że nic nie zdziała. Wszyscy wiedzieli, że współpracę z francuskim instytutem ma w zasięgu ręki. Bezproblemowy i łatwy sukces. Tylko musi po niego sięgnąć. Tak jak sięgnąć jeszcze raz po telefon, wyciągnąć z menu numer Ferdynanda i domówić spotkanie.

Schowwał telefon ponownie do teczki i pociągnął łyk kawy, kiedy za jego plecami rozległ się nagle śmiech. Dwie dziewczyny i trzech chłopaków usiadło przy sąsiednim stoliku. Wyglądali na studentów. Byli rozbawieni i głośni.

- Co pijemy? - zapytał jeden z chłopców.

Jedna z dziewczyn posłała drugiej chmurne spojrzenie zza łamiącego się uśmiechu.

- Ty... szyszyna, wiesz co? Nie gap się... gadajcie. No... Adresatka uwagi patrzyła na nią wyzywająco i z rozbawieniem.

- Dla mnie kawa - powiedziała za pierwszą.

- Piwo - rzucili chłopcy.

- Lody, lody i serwetki... - dodał jeden z nich.

- Po co serwetki, zjesz je? - dziewczyna, która nazwała koleżankę szyszyną oburzyła się jeszcze bardziej.

- Nie, wytrzesz się, jak się oblejesz - roześmiała się dziewczyna nazwana szyszyną.

Śmiech zagłuszył dalsze słowa. Kelnerka spisała zamówienie i odeszła.

- Ty jesteś szyszyna, ale zwapniona. Nie zaglądam do mnie. - Usłyszał za plecami.

- Nie zaglądam... sama pokazujesz.

Adam poleciał do przodu wraz krzesłem.

- Och, Boże, bardzo pana przepraszam, ale to ta wariatka... ona mnie popchnęła.

Obejrzał się, ale zrozumiał sytuację. Obie zaczęły go nagle przepraszać i zrzucać na siebie winę.

- Zachowujcie się... - chłopcy zaczęli je uspokajać.

- Naprawdę, bardzo przepraszamy - dziewczyny bardzo chciały nadrobić miną brak powagi.

Śmiech na ich twarzach tylko czekał na ujście.

Adam nie miał chyba zbyt marsowej miny, bo dziewczyny nagle wybuchły śmiechem na cały głos. Towarzystwo uznało przeprosiny za przyjęte. Chwilę później zazgrzytały o posadzkę nogi krzesła i wszyscy odsunęli się ze stolikiem o krok od Adama. Kiedy przyszła kelnerka z zamówieniem, skorzystał i zamówił dla siebie jeszcze sok. Spojrzał na zegarek, upłynęło prawie czterdzieści minut od spowiedzi.

Przypomniał sobie, że kiedyś też ktoś go nazwał szyszyną. Zajrzał wtedy do czyjejś przyszłości i naruszył jej prywatność. Wstydił się potem długo, głównie przed sobą. Równie dobrze mógł zajrzeć przypadkowej kobiecie w dekolt lub do prywatnej korespondencji. Do niczyjej przyszłości nie wolno zaglądać. To intymna strefa, której się nie narusza. Robią to czasem tylko małe dzieci, ludzie niedojrzali lub niepełnosprawni umysłowo. No i totalitarne systemy polityczne.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się obraz Kamili. Odrzucona perspektywa, ale zapowiadająca ognisty romans, wydobyła się jakimiś szczelinami spod pokornych myśli. Zanim się zorientował, zajrzał w tę wersję - na ułamek sekundy stał się szyszyną - i zanim zdążył coś zobaczyć ze wstydem wyparł ze świadomości ten odruch. Natychmiast też zrozumiał, co go uruchomiło. Sugestia słowa z sytuacji sprzed chwili. Zaniepokoił się, bo to znaczyło, że coś się w nim tli, skoro tylko to jedno usłyszane słowo tak uruchomiło jego podświadomość.

Opanował rozkojarzenie i ponownie się wyciszył. Przymknął oczy i wrócił myślami do „Ostatniej Wieczery” da Vinci i dnia, w którym Judasz jako pierwszy doświadczył spojrzenia w oczy nadchodzącemu złu. Jako pierwszy z ludzi stanął wobec własnej winy, zanim ją spowodował. Zrobił to w najgorszych warunkach ogromnego napięcia, ale i olśnienia. Do chwili Otwarcia intencja zdrady była tylko jego własnością. Tak myślał. Czy po Otwarcu zdążył odprawić pokutę? Czy zabrakło mu czasu?

Cichym szeptem odczytał słowa ewangelii Jana:

Jezus umoczywszy kawałek chleba, wziął i podał Judaszowi, synowi Szymona Iskarioty. A po spożyciu kawałka chleba wszedł w niego szatan. Jezus zaś rzekł do niego: „Co chcesz czynić, czyn: przedzej”. Judasz wstał z kolan świadomy tego, co chce zrobić. Potem opuścił izbę.

Adam poczuł się zmęczony. Przetarł oczy i rozejrzał się po placu. Zatrzymał spojrzenie na dorożce wiozącej turystów, potem na radiowozie policji wolno patrolującym otoczenie. Zatrzymał wzrok na wydarzeniach, przeszłych i przyszłych. Nie klasyfikował ich, ani nie szukał. Jak skrzydła motyla zatrzepotały obrazy różnych czasów, potem przeminęły. Wystarczyło, że zajął się myślą o najbliższym dniu w instytucie. Po chwili jednak pomyślał, że będzie się tym martwił po południu.

A źródło?

Zamknął laptopa i schował go do teczki. Zobaczył jadącą po placu elektryczną kolejkę z

turystami. Spojrzał na jej dach i reklamę nowej książki. Głowy Einsteina i Hawkinga przytulone do siebie tryskały zadowoleniem.

„Świat bez jutra. Najnowsze odkrycia fizyki” - przeczytał.

- Czego jeszcze nie wymyślą - usłyszał za sobą kobiecy głos.

Odwrócił się i poznał wróżkę. Siedziała bardzo blisko, przy stoliku znajdującym się za metalową ozdobną barierką restauracji, tuż za nim. Była tam przez cały czas. Pomyślał, że musiała go obserwować.

- Tak, to ciekawe... - odpowiedział.

- Bardzo się przykładasz - bardziej stwierdziła niż zapytała, patrząc na leżącą przed nim kartkę pocztową przedstawiającą „Ostatnią Wieczerzę”.

- Aż tak... widać?

- Byłeś u mnie... - poznała go.

Zastanowił się, ale nie widział potrzeby zaprzeczyć. Uśmiechnął się do niej.

- Miesiąc temu.

- Pomogłam ci?

- Zamieszalaś...

- Ja nie mieszam, zamieszanie jest w tobie.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Szukasz dzisiaj źródła pokuty?

- Nie.

- Szukasz, szukasz. I to w budowie świata... oj, wy naukowcy.

Nie zaprzeczył. Odruchowo popatrzył na plac i jego powierzchnię. Na płyty.

- Też umieścisz tam swoją - powiedziała z pewnością siebie.

Spojrzał za jej słowami w przyszłość i stwierdził, że to prawda. Ale to było w bardzo dalekiej przyszłości. Rozmowa nie pozwoliła mu przyjrzeć się tej okoliczności bliżej.

- Dlaczego? - zapytał.

Kobieta bez słowa sięgnęła po karty.

- Nie chcę - Adam zaprotestował.

- Nie lubisz wydawać, ale musisz zapłacić. Połóż grosz, to mi wystarczy.

Adam pomyślał, że właściwie tego chce i przesiadł się z teczką do jej stolika. Sięgnął do portfela i wyjął monetę. Położył ją na stoliku. Wróżka wzięła ją i wrzuciła do plastikowej miseczki. Były w niej tylko jednogroszówki. Rozłożyła karty. Na jej szyi dojrzał mały krzyżyk.

- Co to? - zapytał, wskazując na talię kart.

- Dzisiaj tarot. Nie pokaże ci wydarzeń, ale uczucia i myśli. Te, które są poza czasem, które są, zanim przychodzisz na świat.

Położyła kupkę kart na środku blatu.

- Przełóż do siebie... lewą ręką.

Przełożył. Rozłożyła je w rzędach i zamyśliła się.

- Nie byłoby twojego czasu, gdyby nie twoje „ja”... zanim powstałeś... Judaszu - powiedziała poważnie.

Wolnym ruchem dłoni zaczęła pokazywać kolejne karty.

- To twoje „ja”... To jego świat zewnętrzny. Tutaj odczucia, które cię łączą ze światem. Miłość, nienawiść, zazdrość, szczerłość. Tutaj potrzeba majątku doczesnego. Tu pożądanie zmysłów. Tu

otwartość na przyjęcie zła. Tutaj karta sprzeciwu. Są obok siebie, bardzo blisko. W konfiguracji z miłością i zazdrością. Całe życie jesteś blisko tych dwóch żywiołów. Tak blisko, że prawie nie dostrzegasz między nimi granicy...

Poczuł, że zaczyna się czerwienić. Wróżka nie podnosiła wzroku. Mówiła prawdę.

- Myśli w twoim życiu są po to, by dojrzały. Zobacysz je w pełni rozwoju. Nic cię nie tłumaczy, ale nie masz wyboru. Musisz ich doświadczyć. Ale możesz je zmienić w sobie, tak że ulegną zmianie wydarzenia...

Wzięła nową kartę z kupki, odwróciła ją i położyła na jednej z leżących.

- Ale w innych wydarzeniach ty będziesz ten sam.

- Mam nic nie robić?

- Bierność wobec przyszłości jest grzechem. Ona ma się spełniać w działaniu... po to żyjesz i masz ją jak najmocniej przeżywać. Masz być gorący, a nie letni. Ani Bóg, ani szatan nie lubią letnich.

Popatrzyła uważnie w karty.

- Widzę twoje „ja” jako fundament, który jest poza czasem. Nie jesteś skłonny do zmiany siebie, bo wtedy mógłbyś zmienić świat. Ale ty nie chcesz go zmienić. Ty chcesz wydarzeń, które przyjdą.

- Nie do końca. Wielu nie chcę - zaprotestował. Machnęła ręką. W jej tonie nie było przygany ani wyższości.

- Jesteś obłudnikiem. Nie można zmienić wielu wydarzeń, bo i tak je zmieniamy przez całe życie, jak jest zapisane. Tak jak nie można zmienić wielu swoich myśli. Można zmienić tylko wszystkie. Wtedy wystarczy przewrócić naprawdę tylko najmniejszą część swojego „ja”. Wtedy też ta najmniejsza część, jak kostka domina w układance twojego życia przewróci wszystko... i do końca. Dlatego właśnie nie zmienisz nic...

Wróżka jednym ruchem złożyła karty. Potem pierwszy raz podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Jej spojrzenie było wymowne.

- Dlaczego Judasz otrzymał widzenie tego, co zrobi? - zapytała.

Chciał odwrócić wzrok, ale nie mógł. Popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Żeby zrozumiał istotę świata - odpowiedział.

- A zrozumiał? - naciskała nadal.

- Nie wiem.

- Wiesz - uśmiechnęła się przewrotnie.

- Dlaczego? - nie poddał się jej przenikliwości.

- Bo... znalazł się w sytuacji niemożliwej. Bez wyjścia, którego w naszym świecie nie ma.

Postukała talią o blat stolika, wyrównując ją do pedantycznej kostki.

- Co robi mrówka, która widzi wyjście z labiryntu? - zapytała w skupieniu.

- Wychodzi przez nie?

- Słusznie. A jeżeli nie widzi?

- Krąży w nim, aż padnie.

- A jeżeli, ponadto, nie będzie mogła w nim pozostać?

- To wydaje się być naszą sytuacją.

Nie odpowiedział. Uśmiechnęła się pojednawczo i odpowiedziała za niego.

- Tak naprawdę nie wiem, czy zrozumiał to Judasz... On nie był zbyt roztargnięty. Ale zrozumiał Leonardo. Pokazał bramę z labiryntu świata... na zewnątrz.

- Jaką? - zdziwił się.

- Świadomość... Świadomość stanu, który uwalnia od niemożliwości.

- Gdzie on jest?

- Tam, gdzie wszystko Jest Jednym, zanim powstaje świat... Gdzie jeszcze nie ma nic wtórnego, gdzie nic nie jest zróżnicowane, również na dobro i zło. Bo oba powstają później, wraz z przestrzeniami i energiami. Wraz ze zróżnicowaniem wszystkiego i czegokolwiek. Wraz z jakimkolwiek zróżnicowaniem, które jest niezbędne dla jakiegokolwiek istnienia... aby wywołać odrębności, bez których nie powstanie nic, co mogłoby otrzymać nazwę.

Adam uśmiechnął się i podniósł głowę w upalne niebo. Wszedł w jej słowo:

- Tam, gdzie powstają wymiary, krzywizny przestrzeni, pola i różnice potencjałów między nimi, materia. Oddziaływania fizyczne i duchowe, również męskie i żeńskie... Tam, gdzie wszystko jeszcze nie powstało, ale jest źródłem, z którego zaistnieje wszystko, co powstaje.

Błękit nieba był głęboki i jasny. Słowa same płynęły z niego.

- Tam jest miejsce dla Judasza, gdzie odda on całą energię swojego istnienia wraz z dobrem i złem oraz czasem, który jest tylko po to, aby wszystko mogło się wypełnić.

Adam poczuł, że wznosi się w sobie i czuje Źródło, a jego grzech i pokuta przestają jednocześnie istnieć. Bo pozostają w świecie nazw. W świecie wydarzeń, w którym nie mogą nie istnieć.

Opuścił głowę i zobaczył, że wróżka patrzy w dół, na stolik. Poszedł za jej spojrzeniem i zobaczył swoje dłonie oparte na blacie.

Były zaciśnięte... z kciukami schowanymi do środka.

Bielsko-Biała, luty 2007

Krzysztof Kochański

Latarnia

Kochański Krzysztof (ur. 1958) to autor znany od początku lat 80. Wydane książki: powieści *Mageot* (MAG, 2002); *Baszta czarownic* (MAG, 2003), *Europa po deszczu* (mikropowieść w "Wizje alternatywne 4") i zbiory opowiadań *Zabójca czarownic* (Almapress, 1986), *Lovec čarodejnic* (Leonardo, Ostrava 1997). Ponadto wziął udział w kilkunastu antologiach opowiadań w Polsce i za granicą.

Jego opowiadania tłumaczono na węgierski, czeski, rosyjski, litewski, niemiecki.

Moje plany wydawnicze na ten rok to w zasadzie realizacja zamówień, które ostatnio sypią się jak listy do Harry Pottera z początku siedmioksięgu. A więc, przede wszystkim udział w 3 lub 4 (jeśli się wyrobię) antologiach i wydanie powieści, o której nie mogę niestety na razie pisać słowa. Dlaczego? Bo to tajemnica.

Poniższe opowiadanie powstało niewątpliwie pod wpływem tego, co pozostało we mnie po licznych lekturach popularnonaukowych pozycji z zakresu fizyki i kosmologii. Kwantowa zagadka kota Schrödingera - od dawna chciałem napisać coś na ten temat, sądząc naiwnie, że może pisząc, zrozumieć, o co tu naprawdę chodzi i dołączę do grona tych kilku ludzi na świecie, którzy temat czują. Niestety nic z tego. Jestem tak samo głupi, jak wcześniej. Ale - kto wie? - może ten tekst komuś innemu choć trochę rozjaśni w głowie?

1.

Urodziłem się w Latarni. Mieszkam tu z mamą i tatą. Jest jeszcze Edward, ale nie wiem, czy można go liczyć. Wczoraj skończyłem dwa lata. Mama i tata mają po dwadzieścia dziewięć, ale oni urodzili się we Wszechświecie. Wiek Edwarda jest trudny do oszacowania.

2.

Tata wpadł do kuchni o nietypowej dla siebie godzinie. Dopiero co minęło południe i o tej porze zazwyczaj przebywa w doku, aż do czternastej, kiedy to robi sobie obiadową przerwę.

- Zgłodniałeś? - spytała mama.

Tata w ogóle nie słyszał pytania.

Był blady i trzęsły mu się ręce.

3.

Wyobraźcie sobie szklaną kulę z małą skazą gdzieś wewnątrz, niekoniecznie w środku; przezroczystą kulę z mikroskopijną plamką powietrza. Ta plamka - to właśnie Latarnia, a Wasz Wszechświat jest powierzchnią wspomnianej kuli. Z Waszego punktu widzenia Latarnia znajduje się „nigdzie”, ale z mojej strony sprawa wygląda dokładnie odwrotnie: to wasze położenie wymyka się próbom lokalizacji. Ponieważ jednak Was jest więcej, dla czytelności przekazu zgadzam się na przyjęcie terminologii, że Wszechświat to Wy, a Nigdzie to Latarnia. Dla mnie to wszystko jedno, a wiem od mamy, że dla wielu spośród Was odwrotne postawienie sprawy stanowiłoby nie lada problem.

4.

Wracam do tematu, czyli do dnia, gdy tata niespodziewanie pojawił się w kuchni. Był poruszony, ponieważ w Latarni zdarzył się wypadek. Właściwie powinienem napisać Wypadek. Albo nawet WYPADEK. WYPADEK, czyli coś, co probabilistycznie nie miało prawa się zdarzyć przez najbliższe siedemset tysięcy lat, a więc wielokrotnie więcej, niż upłynęło od chwili, gdy pierwszy sapiens posłużył się kołem (jakby ktoś przeoczył wagę tej liczby).

WYPADEK polegał na przedostaniu się do doku Latarni dwóch obiektów równocześnie. Ponieważ ograniczony prawami fizyki dok przeznaczony jest dla jednego obiektu - przy czym masa nie ma żadnego znaczenia, chodzi o odległości międzykwarkowe - skończyło się to fatalnie. Zakrawa na cud, że obudowa doku w ogóle przetrzymała tak ekstremalne zdarzenie.

- Co teraz zrobimy? - zapytała mama.

Ojciec usiadł na stołku i zaczął bezmyślnie dłubać widelcem w obiadowej sałatce, rozsypując warzywa poza talerz. Mama nie zareagowała na tak jawną niesubordynację, co oznaczało, że również musiała być zdenerwowana.

- Nie wiem - sapnął tata.

Tata był elektrotechnikiem. Pracą Latarni sterowało mnóstwo dublujących się urządzeń, spiętych komputerowymi magistralami, konserwowanymi innymi dublującymi się zespołami, który z kolei...-

tak więc tata równie dobrze mógł być na przykład kucharzem i nie zmieniliby to faktu, że tak naprawdę nie miał właściwie nic do roboty.

Ale ponieważ nie był kucharzem lecz elektrotechnikiem, wałęsał się w ustalonych godzinach pracy po Latarni i coś tam sobie do pracy wynajdywał.

Kucharzem była moja mama. I sprzątaczką. Przynajmniej tak mówiła.

- Nie wiem - powtórzył tata i mówiąc te słowa wyglądał na zdziwionego. Ja zdziwiony nie byłem, bo, jak wspomniałem, dobrze wiedziałem jak się sprawy mają z tą jego przydatnością w Latarni. Zresztą, nie winię taty, że nie wiedział. Sam Einstein byłby w kłopotcie, gdyby w takiej chwili otrzymał od mamy powyższe pytanie.

5.

Pewnie zastanawiacie się pewnie, jak to jest, że mam dopiero dwa lata, a wyrażam się w sposób komunikatywny i dojrzały. No to na dodatek powiem Wam, że ani moja mama, ani tym bardziej tata, nie potrafiliby opowiedzieć sensowniej tego, co chcę przekazać. Z pewnością zrobię to lepiej.

Zatem, jak to jest?

Otóż w Latarni rozwój świadomości form żywych przebiega odmiennie od doświadczanego na Waszej płaszczyźnie. Krótko mówiąc, mózg pracuje inaczej. Szybciej i wydajniej. Tak więc - ekstrapolując - możliwości mojego umysłu oceniam na jakieś czternaście Waszych lat. Niestety ten fenomen nie dotyczy organizmu ukształtowanego wcześniej, poza Latarnią. Weźmy moich rodziców: ich inteligencja nie zmieniła się od dnia, w którym podjęli prac w Latarni. Nawiasem mówiąc, już teraz wydają mi się jacyś dziecienni... Co to będzie później?

Nie o tym jednak chciałem opowiadać.

6.

Mama podeszła do taty i usiadła na stołku obok. Ja obserwowałem to wszystko z podłogi, na której spędzałem większość czasu podczas prac kuchennych. Mama zdawała się ignorować mój intelekt i wciąż traktowała jak dzidziusia, którego na chwilę nie można zostawić samego. Nawet moje fachowe uwagi na temat czasu gotowania i ilości dodawanych przypraw nie robiły na niej wrażenia.

Ale nie narzekałem. W moim wieku (tym naturalnym, fizjobiologicznym), podłoga to bardzo przyjemne miejsce.

- Byli tam ludzie? - zapytała mama.

Tata popatrzył nieprzytomnie, jakby nie rozumiał pytania, lecz odpowiedział z sensem:

- Planowym kursem przybył „Orion”. To prom towarowy. Nigdy nie miał ludzkiej obsady, nie sądzę, żeby teraz...

- A ten drugi statek?

- Nie mam pojęcia. Przejrzałem zapis. Nie ma takiego statku.

- Jakiś nowy typ?

- Nie mam pojęcia - powtórzył tata.

- No to czym się martwisz?

- Może powinienem? - odparł tata.

Chodziło mu o to, że powinien mieć pojęcie, a nie zmartwienie.

7.

Latarnia wskazuje drogę hiperprzestrzennym statkom. Sprawia, że urządzenia nawigacyjne nie tracą koordynatów w nicości poza Wszechświatem, który opuszczacie na krótkie chwile, aby pokonać lata świetlne przestrzeni w czasie, który normalnie odebrałby sens całego przedsięwzięcia. Latarnia wskazuje drogę i przyjmuje do swego doku Wasze kosmiczne środki transportu, nadaje im kierunek powrotny i mówi słodkie do widzenia. Gdy byłem mniejszy, może rok temu, sam słyszałem jak to mówiła:

- Doo Wiidzeeniaaaa, Buu, Buuu.

Bardzo zżyłem się z Latarnią. To nie tylko mój dom, ale i cały świat. Tak, pamiętam - świat. Nigdzie - pamiętam, zgodziłem się.

Bez doku Latarni żaden z Waszych statków nigdy nie wróciłby do Wszechświata - chaos pochłonąłby go na zawsze, pewniej niż czarna dziura.

8.

- Muszę to sprawdzić - powiedział tata, wciąż siedząc na kuchennym stołku, wsparty łokciami o stół, jakby przygniatał go jakiś ciężar.

- Co chcesz sprawdzać? - zdziwiła się mama. - Latarnia z pewnością wszystkim się zajęła.

- Latarnia nie wie, czym jest ten drugi statek.

- Ty też nie wiesz.

- Ale ja jeszcze nie sprawdzałem.

Miał rację. Siedząc pod stołem - zaplątany w stary, zniszczony światłowód, będący jedną z nielicznych zabawek, jakie posiadałem - stwierdziłem, że tata ma rację. Dlatego zadałem pytanie, które mamie bardzo się nie spodobało.

- Mogę iść z tobą?

I poszliśmy. Obaj, choć wcześniej musiałem jeszcze ze dwa razy powtórzyć prośbę.

- Może najpierw zjecie obiad? - wykrztusiła niezadowolona mama.

Nie skorzystaliśmy z propozycji.

9.

Każde pomyślnie zakończone dokowanie statku Latarnia kwituje wysłaniem i-pojemnika. I-pojemniki są jedynym środkiem komunikacji z Wszechświatem i mają rozmiar porównywalny z komórką człowieka. Nie wiem tego na pewno, ale zdaje się, że ilość informacji również jest porównywalna. W Latarni są miliardy i-pojemników. Żeby starczyło do końca świata.

Wy nie przysyłacie i-pojemników. Czasami ktoś z Was pojawia się osobiście.

10.

W drodze do doku minęliśmy CGA. Latarnia nie jest zbyt duża, w związku z czym nierzadko wypadło mi tędy przechodzić. Nie raz widziałem, jak tata dziwnie się spinał, spoglądając na drzwi CGA. To dlatego, że za nimi znajdował się Edward. Szczerze mówiąc, nie rozumiałem takiego zachowania, może dlatego, że nie pamiętałem Edwarda.

Zwróciłem uwagę, że tym razem tata jakby w ogóle nie zauważył, że mija CGA. Rzeczywiście nieźle musiało go wziąć.

- A jeśli nagle pojawi się jeszcze jeden statek? - spytałem, gdy zjeżdżaliśmy windą wzdłuż kilometrowej ściany doku, ku wejściu awaryjnemu. Wejście główne zostało zablokowane przez moduły bezpieczeństwa.

- Latarnia nie wysłała i-pojemnika. Sprawdziłem to - odrzekł tata. - Nie dostali potwierdzenia, więc wstrzymają komunikację, dopóki sprawa się nie wyjaśni. Ale prawdopodobnie możemy spodziewać się wizyty.

Zrozumiałem, że tata nie chce temu komuś, kto przybędzie ze Wszechświata, odpowiadać w sposób równie bezradny jak wtedy w kuchni mojej mamie. Ja również nie chciałem, żeby tata tak odpowiadał.

Zapewne ciekawi jesteście, co takiego zobaczyliśmy w doku, gdy zjechaliśmy wreszcie w dół i otworzyły się drzwi awaryjne, a tunelowy podjazd zaprowadził nas do wnętrza. Otóż, właściwie nic nie zobaczyliśmy. Staliśmy na ograniczonym barierką podeście, oplatającym hangar serpentyną, i oglądaliśmy prawie pusty dok. Poza dwoma szczegółami. Pierwszy rzucił się od razu w oczy: dno hangaru zalegała warstwa białego proszku. Cieniutka jak kurz, albo raczej szron w lodówce na żywność.

- A to co? - szepnął tata.

- Tyle zostało z tych statków - popisałem się umiejętnością wnioskowania, nim zorientowałem się, że pytanie taty wcale nie dotyczyło tego szronu.

Dotyczyło drugiego szczegółu.

11.

Dok ma kształt jaja. Znajduje się na samym spodzie Latarni, właściwie można powiedzieć, że to Latarnia stoi na doku, niczym na samotnej skale przeogromnego oceanu. W kierunku sił pola lokalnej grawitacji to jajo leży na płask. Ma kilometr wysokości, licząc po obwodzie, i półtora szerokości. Mimo swego ogromu, wcale nie imponuje kubaturą, gdyż jego ściany są tak grube, że niewiele wolnego miejsca pozostaje w środku.

12.

Przedmiot był wbity w gładką powierzchnię ściany niczym nóż w kostkę masła: nie zobaczyliśmy żadnych pęknięć, czy poszarpanych brzegów, ani na nim, ani na samej ścianie. Nie wiedzieliśmy, oczywiście, jak głęboko to coś tkwi w konstrukcji doku, ale już sam fakt, że w ogóle w niej tkwi, burzył zasady logiki.

Tata rozejrzał się, pomacał po kieszeniach, rozejrzał się raz jeszcze i jego wzrok spoczął na mnie. A właściwie na oplątanym wokół mojej ręki światłowodzie, który zabrałem z kuchni.

- Pokaż - zabrał mi światłowód, zrobił z niego pętlę i zbliżył się do przedmiotu, wyglądającego zupełnie jak szyjka zakorkowanej butelki. Przez chwilę zawahał się, po czym ostrożnie zarzucił na butelkę prowizoryczne światłowodowe lasso i zacisnął wiązanie.

- Czy to coś może być niebezpieczne? - zapytałem, widząc jak stara się, aby nie dotknąć przedmiotu rękami.

Tata nie odpowiedział. Szarpnął za końcówkę światłowodu i wtedy butelka wypadła ze ściany z cichym plaśnięciem, jakby się odkleiła. Spadła pod nasze nogi, ale nie potoczyła się, choć widoczna w całości rzeczywiście miała obły kształt butelki. Została tam gdzie spadła, jak bryła ciasta, która wypadła z rąk niezręcznej gospodyni. W ścianie pozostało wgłębienie. Otwór o brzegach gładkich jak szkło.

- Niebezpieczne? Nie wydaje mi się - odpowiedział na moje pytanie tata, choć odniosłem wrażenie, że mówi do siebie. - Nie po kolizji czasoprzestrzennej.

Przez dobrą chwilę wpatrywaliśmy się w butelkę.

- To jest ten drugi statek? - odezwałem się.

- Nic dziwnego, że nie sposób go zakwalifikować - mruknął tata. Pociągnął za światłowód i niespodziewanie butelka poturlała się ku niemu. Okazało się, że jest lekka jak nadmuchany balon.

Zdaję sobie sprawę, że informacje, jakie podaję, wyglądają na sprzeczne, ale tak to właśnie wyglądało. Ona właśnie taka była, ta butelka, raz jak supertytanowy pocisk, raz jak ciasto, to znów niczym piórko, które porwać może byle podmuch.

13.

CGA to pomieszczenie prosektoryczne. Przeznaczone jest do przechowywania ciała, którego funkcje biologiczne zanikły, lub którego stan wróży rychły tych funkcji zanik. Rzecz w tym, że moduł biomedyczny Latarni, choć stanowi szczyt technologii, nie jest zdolny przeprowadzić wszystkich możliwych zabiegów, mogących uratować życie człowieka. Dlatego przewidziano przechowywanie ciała w CGA, skąd zostaje zabrane do Wszechświata, przy najbliższej nadarzającej się okazji. Tam, być może, uda się dokonać medycznego cudu, a nawet jeśli nie to i tak procedura musi być zachowana. Moduł biomedyczny nie może decydować o śmierci człowieka.

CGA Latarni zawiera dwa bloki kriostatyczne. Jeden z nich jest stale włączony, przebywa w nim Edward, który kiedyś zachorował i rodzice nie potrafili go wyleczyć. Zawsze miałem wrażenie, że ojciec wini się za to. Edward jest moim starszym bratem. Zachorował jeszcze przed moim urodzeniem, dlatego nigdy go nie widziałem.

Biologiczny wiek Edwarda to dziewięć lat. Pisząc na wstępie, że jego wiek jest trudny do oszacowania, miałem na myśli możliwości jego umysłu. Policzmy: dziewięć przez dwa (dziewięć - wiek Edwarda, dwa to mój wiek) równa się 4.5. Z prostej, liniowej interpretacji wychodzi, że mój brat jest cztery i pół razy mądrzejszy ode mnie. Chyba, że progresja nie jest liniowa: odchyłka w dół jest jeszcze do wyobrażenia, ale w górę? Aż strach pomyśleć.

Usiłuję ocenić, kiedy stanę się mądrzejszy od swoich rodziców. Na razie w niektórych sprawach już jestem lepszy, a z każdym tygodniem takich niuansów przybywa. Każdy kolejny rok pogłębi tę różnicę, dopóki mój organizm (mózg) będzie się rozwijał (powiększał). A jeśli postęp okaże się geometryczny, względem wieku wprost proporcjonalny do kwadratu albo do sześciastku? Wówczas różnica między mną a Edwardem byłaby już nie do oszacowania. Trudno wyobrazić sobie taką przepaść. Jedno jest pewne.

Nie ośmieliłbym się wtedy nazwać Edwarda homo sapiens. On byłby zupełnie inną istotą.

Drugi blok kriostatyczny jest wolny i oczywiście wszyscy mają nadzieję, że zawsze taki pozostanie.

14.

- Idź do mamy - powiedział tata, otwierając drzwi CGA hasłem wirtualnego kluczem. W Latarni większość drzwi była zamykana, co bardzo mnie śmieszyło (przed kim zamykać cokolwiek, skoro tylko my jesteśmy w Latarni?), dopóki nie zorientowałem się, że taka jest maniera antropicznego Wszechświata: jeśli coś można zamknąć, to należy to zrobić.

- Chcę zostać z tobą - odparłem, zapamiętując na wszelki wypadek kod klucza. Był łatwy, zaledwie siedmioznakowy.

Niestety tata odpowiedział tak, jak się tego obawiałem, więc powlokłem się do modułu

mieszkalnego, zostawiając go z butelką, z moim światłowodem, z Edwardem w komorze kriostatycznej, i z czymś jeszcze, o czym nie miałem zielonego pojęcia.

I o czym, tak naprawdę, nie mam pojęcia do dzisiaj.

15.

Blok kriostatyczny jest zamkniętym środowiskiem; szczelnym, wysterylizowanym pomieszczeniem wyposażonym w stół, kilka półek i przezroczystą cysterne z mieszaniną płynów o charakterze fizjologicznym. I oczywiście w zestaw kriogeniczny do utrzymania odpowiednio niskich temperatur, ale przy wyłączonym bloku zestaw ten nie ma znaczenia. Znaczenie ma natomiast szereg manipulatorów, umożliwiających pracę z obiektem bez konieczności przebywania wewnątrz komory. Manipulatory obsługuje się spoza niej, poprzez elastyczne kołnierze i przekładnie. Rozwiązanie, jeśli się nie mylę, stosowane jest od dawna, zwłaszcza w laboratoriach z niebezpieczeństwem wydostania się wirusa.

Domyślcie się już zapewne, w jaki sposób tata zamierzał otworzyć niezwykłą butelkę bez dotykania jej.

16.

Mama skończyła gotowanie obiadu i na mój widok bez słowa naląła zupę do znieawidzonej miski z kaczką. Nie mam pojęcia skąd tu, w Latarni, wytrzasnęła miskę z kaczką, w każdym bądź razie, gdy ma się czternaście lat (jak się czułem), a nie dwa (jak wyglądałem), żółty kaczor na talerzu przyprawia o mdłości, dlatego niejednokrotnie już prosiłem o jego likwidację wraz z nośnikiem, czyli miseczką. Od pewnego czasu podawała mi jedzenie w tym naczyniu tylko wtedy, gdy była na mnie zła.

- A twój tatuś postanowił odzwyczaić się od jedzenia? - zapytała, podając drugie danie.

Opowiedziałem jej wszystko o doku i butelce, i że tata został w CGA, ponieważ chce skorzystać z manipulatorów nieczynnej komory kriostatycznej.

Długo milczała. Ale nie wyglądało na to, żeby nadal była zła.

- Nie rozumiem, dlaczego Latarnia nie wiedziała o tej butelce? - stwierdziła w końcu.

Z wrażenia przestałem jeść. Nie wpadliśmy na to. Ani ja, ani tata.

Latarnia nie wiedziała o butelce, ponieważ z punktu widzenia sztucznej inteligencji nigdy jej tam nie było.

17.

Kot Schrödingera. Istnieje tylko to, co jest postrzegane przez Obserwatora. Co do wszystkich innych zjawisk/rzeczy nigdy nie wiadomo. Szanse bytowe kota Schrödingera wynoszą dokładnie 50%. Albo istnieje, albo nie. Tylko Obserwator może się o tym przekonać i albo szansę zmaksymalizować (100%), albo zminimalizować (0%). Oczywiście poziom czynności życiowych kota jest tu bez znaczenia.

Zachodzi pytanie, czy Obserwator z naszego Wszechświata (Nasz Obserwator) jest równoważny Obserwatorowi z jakiegoś innego wszechświata (Obserwator Obcy), skoro obowiązują tam odmienne prawa fizyki.

Odpowiedź narzuca się sama.

Nie.

Obserwator Obcy, dokonując wglądu w nasz Wszechświat, widzi zupełnie coś innego, jeśli w

ogóle widzi cokolwiek, gdyż samym faktem swej obecności ekstrapoluje prawa rze - czywistości z której pochodzi. Innymi słowy, zmienia zastany status na własny. Przekształca zastany Wszechświat na kształt i podobieństwo własnego.

Nie zapominajcie, że kot Schrödingera może przyjmować tylko dwie wartości: 0 lub 100.

18.

Teraz jestem taki mądry, ale wówczas zupełnie nie rozumiałem co się dzieje. Odsunąłem zupę, aż chlapnęło na stół, zerwałem się z krzesła i popędziłem do CGA, nie zważając na okrzyki mamy. Drzwi były zamknięte, ale dobrze pamiętałem szyfr, który wystukał tata i bez problemu wszedłem do środka.

Chyba oczekiwałem jakiegoś kosmicznego kataklizmu, bo odczułem olbrzymią ulgę, gdy zobaczyłem, że w pokoju nic się nie zmieniło.

- Tato? - zawołałem.

Odpowiedziała mi cisza. Gdzie tata?

Zerknąłem na komorę kriostatyczną, tę wolną, z której skorzystał tata, żeby otworzyć butelkę. Teraz była otwarta, a nieopodal leżał korek, który wcześniej zatykał szyjkę butelki.

Usłyszałem stukot butów nadbiegającej mamy i zatrzasnąłem szybko drzwi. Mama nie знаła szyfru zamka, więc nie mogła wejść do środka.

- Tato? - powtórzyłem.

Tata wyłonił się zza komory CGA, zdyszany i czerwony na twarzy.

- To była wiadomość - powiedział cicho. Wyglądał na zmartwionego. - Jakkolwiek by nie wyglądała, jak inaczej moglibyśmy ją zobaczyć, jeśli nie w postaci butelki, wrzuconej do oceanu przez samotnego rozbitka? Jesteśmy dziećmi Wszechświata, w którym zamiauczeć może tylko wasz własny kot.

- Czy to była wiadomość od Edwarda?

- A ty skąd wiesz?! - Tata spojrzał na mnie badawczo, nie kryjąc zaskoczenia. Odniosłem wrażenie, że w jego oczach widzę strach.

- Edward nie był chory, prawda? - zapytałem, choć znałem już odpowiedź. - Nigdy nie zachorował. Wpakowaliście go do tej komory, bo się baliście!

Tata powoli przełknął ślinę. W pomieszczeniu nie było gorąco, mimo to zobaczyłem spływającą po jego skroni kropelkę potu.

- Powoli robisz się taki, jak on - powiedział z pretensją.

- To znaczy... jaki?

Milczał. Patrzył gdzieś w bok i nagle zrozumiałem, że nic nas nie łączy. Kiedyś tak; kiedyś był ojcem, a ja jego synem, ale to się skończyło. I nigdy nie wróci.

- Jaki?!

- Obcy.

Miał rację. I nie chodziło o brak zrozumienia, ani o to, że oddalaliśmy się od siebie. To ja z wolna stawałem się obcą dla własnych rodziców istotą, a oni uznali, że niebezpieczną.

Obcym Obserwatorem?

Nie mogli skontaktować się z ludźmi z Wszechświata, więc zawiesili czynności życiowe Edwarda. Ale on i tak potrafił przysłać wiadomość, chociaż w butelce tata nic nie znalazł. Była pusta. To sama butelka była wiadomością. Dla mnie.

- Ile lat miał Edward, kiedy go tu zamknęliście?

- Trzy - powiedział tata.

Kłamał. Widziałem to w jego oczach. Jak również zrozumiałem, że nie bez powodu systematycznie kontrolował sprawność drugiego bloku kriostatycznego.

Ostrzeżenie Edwarda dotarło w samą porę!

Wojciech Szyda

Falszerze

Wojciech Szyda (1976) - autor opowiadań i mikropowieści znanych z czasopism i antologii, z których część weszła później do zbioru "Szlak cudów"(2006). Debiutował na łamach „NF” głośną „Psychonautką” (1997). Wydał powieść „Hotel Wieczność” (2005). W najbliższym czasie powinna ukazać się jego druga powieść "Miasto dusz" - najdłuższy jak dotąd tekst Szydy. Od trzeciej edycji stale obecny w "Wizjach alternatywnych" - opowiada nie „Szlak cudów” zamieszczone w "WA 5" było nominowane do nagrody Zajdla.

Związany z klubem fantastyki „Druga Era” i fanzinem „Inne Planety”. Z zawodu radca prawny. Mieszka i pracuje w Poznaniu. Żonaty, jedno dziecko (córka Julia, która - ciekawostka - występuje w jednym z opowiadań tej antologii).

O swoim nowym tekście w "Wizjach alternatywnych 6" pisze tak:

Opowiadanie „Falszerze” wzięło się z chęci odkurzenia figurki obcego. Zauważyłem, że motyw kontaktu został ostatnio zarzucony przez polskich autorów SF. Warto więc było do niego nawiązać.

Pomysł rodził się trójstopniowo. Najpierw był aspekt wizualny: opis ziemskiego pejzażu z perspektywy obcego mikroorganizmu. Następnie nałożyłem na to motyw podmiany, kosmicznego fałszerstwa. A później umieściłem wszystko w kontekście religijnym (chrześcijańskim) - i tekst był gotowy. Narracje dwóch organizmów przeplatają się, by pod koniec ujawnił się pełny sens ich obecności na Ziemi...

Czy doktryna kosmicznego izolacjonizmu byłaby dla nas korzystna? Czy religia powinna obawiać się kontaktu z innymi formami życia? A może to, że dotąd nie zetknęliśmy się z obcymi, jest zasługą kogoś w rodzaju tytułowych Falszerzy?...

Ja tylko pytam.

Mam także inne owce, które nie są z tej owczarni. I te muszę przyprowadzić i będą słuchać głosu mego

(J 10,16)

Głóście ewangelię wszelkiemu stworzeniu

(Mk 16,15)

Kopia 1 - Kopia 2 - Kopia 3 - Kopia 4 - Kopia 5 - Kopia 6 - ...

Pierwsza kopia

Kopia kopii

Kopia kopii kopii

Kopia kopii...

Muzeum wszechświata. Kosmiczna pinakoteka. Ukryte continuum czasoprzestrzenne będące galerią obcych form życia. Zbiór bezcennych oryginałów, wyszukiwanych w różnych częściach kosmosu, sprowadzanych specjalnie tutaj, skrupulatnie katalogowanych, starannie administrowanych i należycie konserwowanych - by trwały w odosobnieniu, przechowywane przez Kustoszy. Rozwieszane w bezpiecznej odległości cywilizacji przypisane do astronomicznych obiektów - naturalnych, sztucznych, stałych, płynnych, gazowych, homo - i heterogenicznych, świeżo ukształtowanych i skazanych na zagładę... Stałe fizyczne, punkty odniesienia, obecność sąsiednich ciał - wszystko to wzięto pod uwagę. Muzeum zostało zorganizowane tak, aby nie istniała możliwość kontaktu. Spotkania cywilizacji są wykluczone - to naczelna zasada rządząca continuum.

Kustosze - rasa kosmicznych pajaków, które utkały osobny wszechświat, wpisując się w jego strukturę. Stale przędą, rozszerzając obszar Muzeum o nowe wnęki, które posłużą do przechowywania przyszłych obiektów. Kweronowe nici tworzą sublimalne pajęczyny, zagęszczające się z każdym poziomem i przenikające swych budowniczych - zależność jest w pełni symetryczna. Ksenobionika gwiazdnych architektów egzystujących w świecie wyłonionym z nich samych. Wymieszanie tego, co transcendentne z tym, co immanentne - arachnoontologia.

Kustosze działają też na zewnątrz. Sondują przestrzeń w poszukiwaniu nowych okazów. Wysyłają kapsuły z semiotycznymi szpiegami: organizmami definiowanymi z poziomu normatywno-kweronowego. Tysiące wysłanników zapisanych w substancji inseminacyjnej podróżuje namierzając kolejne egzemplarze, które mogłyby wzbogacić kolekcję, podczas gdy Kustosze pieczołowicie odtwarzają środowisko odkrytej planety lub stacji, rekonstruując je z mimetyczną wiernością, od dających się zaobserwować naturalnych zjawisk aż po stałe fizyczne.

Wszystkie mają trafić do continuum, tajnego magazynu oryginalnych form życia. Cywilizacje są tu skazane na odosobnienie - bez szans na dialog i wymianę doświadczeń. A wszystko po to, by

zapobiec wyciekowi informacji znieprawionej przez demiurgów, którzy zaprojektowali to miejsce. Kustosze wiedzą, że co najmniej jedna z form życia posiada coś, co nie może rozprzestrzeniać się dalej - dlatego zostali powołani.

Nie zaprzestaną działalności, dopóki Muzeum będzie istnieć. Przędą nici, podtrzymując swój świat. Muszą go odtwarzać w regularnych sekwencjach, w przeciwnym razie ich rzeczywistość zginie razem z nimi. Przesuwają się między obiektami na niewidzialnych niciach, w stanie ciągłego oczekiwania - w każdej chwili do Muzeum może trafić nowy obiekt. Wystarczy, że wysłannik natrafi na nieznaną cywilizację i rozpocznie procedurę...

* * *

Anielski pył, anielski puch, szpiegujące zarodniki rozpylone w próżni. Widoczne jako rozpraszająca się biel pośród doskonałej czerni. Oddalające się od siebie nanostruktury - zrodzone z wybuchu światła. Wylaniają się w zależności od potrzeb w różnych miejscach, aby namierzać wysłanników Muzeum. Ich zbite kule-mateczniki w wyniku eksplozji rozprzestrzeniają się w różne części universum. Biel staje się coraz bardziej rozproszona - w miarę jak wędrują niczym kosmiczne dmuchawce, kierując się nieomylnie w stronę inseminatorów z wysłannikami.

Szpiedzy szpiegów. Antyteza w odpowiedzi na tezę. Kontrfalszerstwo przeciwko fałszerstwu.

Potrafia przenikać międzygwiazdną pustkę, materię i antimaterię, nie podlegając wpływowi grawitacji. Jamochłony światła - czarne dziury - są wobec nich bezsilne, ponieważ natura blasku kształtującego substancjonalnie szpiegów jest spoza porządku korpuskularno-falowego. Lumen divino - jednorodne, niematerialne monady zaprogramowane genobitycznie na śledzenie pajęczych wysłanników, w każdym miejscu, w którym zdołają się oni wyłonić. Tam dosięgną ich świetliści zwiadowcy. W swą naturę mają wpisany - tchnieniem Konstruktora - imperatyw strategiczno-taktyczny. Celem jest zapobieganie działalności Fałszerzy lub zwalczanie jej skutków poprzez rekonstrukcję stanu poprzedniego. Metody działania są różne, zależą od konkretnej sytuacji oraz właściwości rasy, jaka ma ulec Podmianie wraz ze światem, do którego została przypisana.

Więc płyną, przemierzają wymiary, tropiąc wrogów. Mikroskopijne monady spoza porządku fizycznego - ani cząsteczki, ani fale. Namierzają wysłanników, by zagnieźdzać się w ich powłokach i mieć pod kontrolą proces Podmiany: od inseminacji aż po przeniesienie do Muzeum i zainstalowanie kopii. Ważne jest, by precyzyjnie odróżniać kopie od oryginałów. Wysłannicy potrafią to do poziomu kweronowego, a jednak ich szpiegów są lepsi, operując na strukturach jeszcze bardziej elementarnych. Dysponują też pełną bazą kopii i oryginałów rozmieszczonych we wszechświecie. Te dane stają się bezcenne, gdy już wiadomo, jaki świat pająki wybrały na Podmianę, obejmując go swym programem.

Cel Fałszerzy jest jeden - wymiana jak największej liczby oryginałów na ich kopie. I ten cel szpiegów muszą pokrzyżować. Przyczepiają się więc do wysłanników tuż przed inseminacją, aby nie tracić ich z pola widzenia.

Anielski pył, anielski puch, zarodniki światła rozmieszczone w próżni. Strażnicy oryginalnych form życia. W każdej chwili gotowi do działania...

* * *

Więc jestem - wstrzyknięty Ziemi przez skórę atmosfery. Wypluła mnie igła kodowa

kweronowego inseminatora.

Spadam w mokrym powietrzu, zamknięty w otulinie-nośniku - zielona grudka wyrzucona przez gwiazdy. Nade mną chmury zasłaniające niebo, poniżej las przecięty wstęgą szosy. Dwie ciemne powierzchnie łączone nitkami deszczu - wkrótce osiadę gdzieś na poczerńiałych konarach drzew.

Zimny północny biotop - mikroskopijny fragment planety (kolejnego świata objętego programem).

Kołysane wiatrem gałęzie mienia się czernią - są coraz bliżej.

Las przybliży się do mnie z bezwonną koniecznością.

Tutaj, gdzie spadłem - mokronoc, płatanina gałęzi, nawisy liści, ich drżenie wzbudzone wiatrem, sekwencje cieni. Linie i łuki, grafika obłych brzegów i patykowatych wydłużeń na tle szklistej od deszczu ciemności. Zgrubiała faktura kory, plamy jasnego łyka, dominanta pnia, cięciwy krzewów. Roślinność rządzona przez cykle wegetatywne - nocą, pod zachmurzonym niebem.

Kawałek przestrzeni zarośnięty botanicznymi tworami. U stóp drzew - warstwa ściółki, butwiejące liście na zimnym poszyciu. Niewyraźne ślady innych form życia.

Mokra gałąź szarpana przez wiatr - mój przypadkowy przyczółek. Miejsce dobre jak każde inne.

Oś symetrii - zaznaczam ją nad lasem. Zielona zawieszina skapuje z gałęzi, uwalniając zapis: tap, tap, tap...

Odgłos spadających kropli ginie w szumie wiatru, zanika w szeleście deszczu na leśnym poszyciu. Szpt, szpt, szpt... Dematerializują się kweronowe ziarna, a wraz z nimi ulegają absorpcji wszelkie ślady nośnika. Punktowa deflacja substancji z obcego świata - galaretowate bryłki wsiąkają w powietrze, zasklepiają się jak małe ranki. Wsp, wsp, wsp...

Tak działa system samooczyszczania kapsuły. Żaden drobiazg nie zachowa się po otulinie. Pozostanę ja - niewykrywalny, niematerialny, bezosobowy. Nie stanowią zagrożenia - jestem sozologicznie neutralny. Ziemi ekosystem musi być czysty. Ze względów bezpieczeństwa, to po pierwsze. Po drugie - chodzi o zgodność oryginału z wzorcem podczas kopiowania.

Żadnych zanieczyszczeń, które zakłóciłyby Podmianę.

Oś symetrii wykreślona nad ścianą drzew - to będzie linia przesunięcia.

Przebyłem długą drogę, po to, żeby nic się nie zmieniło. I aby zmianie uległo wszystko. Już wyrastają ze mnie znaczenia. Pączkują, tworząc wielowymiarowe styczne. Później nastąpi mutacja - wahadłowe zmiany nachylenia osi obrotu, równoczesne z precesją, gdy będzie odbywać się przesunięcie.

Zatwierdzono. Wszystko gotowe.

Po to. Żeby. W celu. Zestrajam się z gramatyką obcego świata, podczas gdy ostatnie ślady otuliny znikają - ptk, ptk, ptk... I oto wyłaniam się: czysty, nagi, wyabstrahowany.

* * *

Uwolniony. Kropla niewidzialnego światła na butwiejącym liściu. Parametry ontyczne nastawione na współzależność z materią. Zmiana środowiska z kweronowego na węglowe.

Chronolokacja. Współczekiwanie.

Przybyłem jako monada spoza porządku fizycznego. Obecnie zestrajam się z parametrami

świata, do którego trafiłem w ślad za monitorowanym obiektem. Chronolokacja w pełni zbieżna. Różnica dotyczy jedynie warstwy botanicznej: wysłannik Muzeum spoczął w obrębie korony drzewa, podczas gdy ja byłem tam bardzo krótko. Zagnieżdżony w substancji inseminacyjnej spadłem wraz z jej kroplami na leśne poszycie. Spoczywam teraz na starym liściu - bliżej ziemi, mokrej i martwej, wciąż podmywanej przez deszcz.

Przestrzam się na optykę tego świata, akomodując tutejsze spektrum świetlne i widmo barw. Wszystkie rodzaje perspektywy: geometryczna, barwna, powietrzna i anamorfetyczna. Widzenie kulisto-stereoskopowe. Z miejsca, w którym się znajduję - widzę niewiele: najpierw czarne żyłki uschniętych krzaków, na drugim planie zwaliste pnie, później gałęzie i konary tworzące przecinające się układy odcinków i krzywych. Na ostatnim planie - w perspektywicznej dali rozmytej przez noc - korony drzew, plamy ostatnich liści drżące na wietrze. Co jakiś czas odrywają się i spadają łagodnie, pozbawione chlorofilu, ku brunatnobrązowej darni.

A więc tu, gdzie mam swój przyczółek.

Trwam w niewykrywalności, obserwując Fałszerza.

Wśród połamanych patyków i jesiennych liści.

* * *

Wiatr zawodzi, okolica jest bezludna. Pod tym względem iniekcja była średnio skuteczna. Muszę czekać na człowieka. Probabilistycznie pewne. Przetrwam długo na kilku milimetrach gałęzi. Był pojawił się w końcu pierwszy przedstawiciel ludzkości.

Na razie - żadnych sygnałów.

Mokrość. Bezludzie.

Minęło kilka sekwencji światła i ciemności. Przetasowane karty dnia i nocy - interwały daremnego oczekiwania.

Po krótkiej przerwie rozpadało się na dobre. Woda zbiera się na mojej gałęzi. Tężeją, nabrzmiwiają krople - po czym skapują w ciemność, ku ściółce. Oś symetrii - równie trwała jak ja. Nie muszę wkładać wysiłku w jej podtrzymywanie. Stanowi gotową linię zmiany, która obejmie wszystko.

Na razie czekam. W ciemnym lesie, nieopodal rzadko uczęszczanej drogi - trwam w niewykrywalności.

* * *

Wciąż czekam. Wokół mnie - poza mną - tasuje się czas zapisany w monotonnym pejzażu. Nie podlegam jego wpływowi, a jednak to, co ma ulec transformacji, podlega mu bez reszty. Dlatego muszę dostosować się do zasady, że zdarzenia zachodzą w czasie.

Teraz jest noc. Następną kartą ciszy.

Ale uwaga - oto światła samochodu przesuwają się wzdłuż ściany lasu. Smuga reflektora liże pnie drzew, rozświetlając mokre.

Człowiek przejechał - zamknięta w karoserii anatomia oddala się w pozycji siedzącej, ruchem jednostajnie przyspieszonym, kryjąc w sobie procesy metaboliczne.

Więc jeszcze nie teraz. Ale w końcu - wreszcie - kiedyś.
Nastąpi.

Tam, gdzieś - inni. W biernym oczekiwaniu, zamknięty na kilku milimetrach kory, mam przebicia innych miejsc, do których dotarli wysłannicy. Na poziomie kweronowym możliwe są interferencje - z reguły wzajemne, możliwe więc, że ktoś inny odbiera mój przekaz. Wywodzimy się z jednej matrycy: wszyscy stanowimy egzemplarze tego samego modelu.

Tak więc tam, gdzieś...

W moje oczekiwanie wkrada się mglista wizja...

Bezkresne bagno pod fioletowym niebem. Nieruchome, zastygłe, gęste. Powyżej: strzępiaste amoniakalne chmury, a w nich - spektrum świetlne obcych słońc. Pod dnem: warstwy naturalnych zbiorników grawitacyjnych, tworzących system korzeni, który pozwala na korygowanie siły przyciągania w zależności od potrzeb istot zamieszkujących powierzchnię. Specjalne pneumatofory (końcówki korzeni wystające ponad bagno) umożliwiają przepływ grawitacji. Od jej wahań zależy kierunek rozwoju życia na planecie.

Jest. Na jednej z gąbczastych wypustek. Niewykrywalny w środowisku, któremu został zaszczerpiony - podobnie jak ja, przygotowuje świat do Podmiany. Wszędzie wokół architektura grawitacyjna. Oparte o pneumatofory kruche konstrukcje, tworzące system skomplikowanych rusztowań - ciągną się aż po kres widoczności. Zasiadają na nich półprzezroczyste ptasie istoty. Większość oczyszcza dziobami otwory, przez które przepływa modelująca wszystko siła.

Kim są? Wnikam w pole percepcyjne wysłannika, żeby dowiedzieć się więcej.

Ptakokształtne stanowią tu jedyną formę życia. Nie potrzebują pokarmu, zamiast tego syntetyzują grawitację, przetwarzając ją w rodzaj energii, która pozwala dokonywać skomplikowanych operacji myślowych. Rozmnażają się przez intelekt: tworzą niepowtarzalne formy stereometryczne, które są jak jednostkowe matryce zezwalające odbić pojedynczy egzemplarz następnego przedstawiciela ich rasy. Czas na planecie nie jest linearny, jego strzałka często zmienia kierunek, prowadząc do nawarstwiania się form i zjawisk. Wznoszone z patyków, skomplikowane szkieletowe konstrukcje stanowią materialny substrat form śnionych przez ptaki podczas zbiorowej kontemplacji. Konserwacja pneumatoforów i budowanie abstrakcyjnych form - to sens ich istnienia.

Jakże różni od ludzi - i jakże podobni.

Nie żyją w harmonii. Czasami dochodzi do aktów agresji. Gdy dwie konstrukcje zetkną się ze sobą - oznacza to błąd w abstrakcyjnym modelu. Procesy myślowe muszą przebiegać zgodnie, więc konstrukty nie mają prawa zachodzić na siebie. Gdy tak się zdarzy, jeden z ptakokształtnych zostaje uśmiercony, by sąsiad mógł dokończyć budowę. Wcześniej trzeba rozsądzić, kto dokonał błędu. Jest to ważne, gdyż dzieci odbite z takiej matrycy są wadliwe - muszą ulec zagładzie wraz z rodzicem. Zdarza się jednak, że ptakokształtne umyślnie uszkadzają konstrukcję sąsiada. Jest to zabronione, lecz rasa nie wypracowała jeszcze mechanizmu obrony przed podstępnyms puciem budowli.

Właśnie wówczas, gdy dojdzie do zatopienia pechowego rodzica w bagnie, pojawi się szansa na kontakt.

Jak zawsze - warunkiem jest cudza krzywda.

Pole epistemologiczne wysłannika rozciąga się od pneumatoforu, przy którym trwa walka konkurentów - więc konflikt może nastąpić wkrótce.

Wówczas będą nowym okazem w Muzeum - nie ma rasy, której Kustosze nie potrafiliby skopiować...

Odrywam się od przekazu, wyczerpany. Interferencja była wzajemna - sondowaliśmy się równocześnie. Teraz przechodzę w stan czuwania, chcąc przeczekać noc. Za dnia szansa na kontakt jest dużo większa.

* * *

Po drugiej stronie pneumatoforu. Przesunięty po skośnej powierzchni, gdzie spłynął na kropli substancji inseminacyjnej. Niepodatny na wpływ grawitacji. Świetlisty szpieg zdefiniowany z poziomu niedostępnego Falszerzom ani też percepcji istot zamieszkujących ten świat. Czuwający. Kontrolujący. Nadzorujący. By nic nie uległo zmianie. Kopii może być nieskończenie wiele. Oryginał musi pozostać jeden.

Po to, żeby, w celu - ma to wszystko zapisane na wstędze genobitycznej. Tam zawarty jest zamysł tego, który go posłał.

W fioletowym blasku prześwietlającym szkieletowe konstrukcje - czuwająca nanostruktura. W pełni aktywna, monitoruje pajęczego wysłannika. Cel: ochrona substancji świata, któremu grozi Podmiana. Stan: pełna gotowość.

Falszerz-kopista wyznaczył już oś. Nie wie, że nie jest sam. I nie będzie, gdy ptakokształtne poderwą się do lotu, pokrywając powierzchnię bagna plamkami cieni, tuż przed tym, zanim unicestwią konstruktora i jego dzieci za rzekomy błąd...

Wtedy nastąpi starcie z wysłannikiem Falszerzy.

* * *

Jest rano. Pod drzewem łązi szare masywne zwierzę, chrząkając i ryjąc w ziemi. Sekwencja genetyczna bliższa człowiekowi, lecz to za mało. Włączając w pole epistemologiczne, które wytwarzam, zwierzę nie uaktywni Podmiany. To nie w nie będę wnikał, by dokonać przeniesienia. Samoczynna analiza uruchamia się próbnie - program czeka na człowieka, aby znaleźć właściwe zastosowanie.

Po pewnym czasie zwierz odchodzi, pozostawiając rozgrzebaną ściółkę i grudki odchodów. Znika w krzakach, pchany gdzie indziej swym zachłannym metabolizmem. Chwilowo nie pada, spoza chmur przebija słońce - okrągła blada kość.

Na mojej gałęzi siada ptak - gałąź ugina się, a ja zostaję przykryty przez rozcapierzony szpon, który następnie zaciska się, by jego właściciel mógł pewniej utrzymać się na chybotliwym łuku. Nic mi nie grozi, swobodnie przenikam przez wypełnioną cudzą masą przestrzeń - zresztą, po pewnym czasie ptak wzbija się do lotu i opuszcza mój zagajnik.

Czas, którego nie ma.

Wszystkonic. Zawszegdy.

Wracam do biernego oczekiwania.

* * *

Wciąż znajduje się nade mną - i nie jest w stanie mnie dostrzec. To daje mi przewagę. Mam ją zresztą od samego początku, gdy spadałem wraz z nim, szpieg szpiega, niewykrywalny nadzorca zainstalowany w warstwie otuliny.

Leżę teraz obok zwierzęcych odchodów, wypełniając mikroskopijny ubytek w brązowym liściu. Formy życia pod ściółką są różnorodne - zdążyłem już wszystkie poznać i przeanalizować. Botaniczno-zoologiczne tło, bogactwo prymitywnych żyjątek poprzedzających pojawienie się człowieka. Czyli tego, który wciąż nie przybył w to miejsce, aby Falszerz mógł kontynuować swe dzieło.

Oczekujemy go wspólnie - nasze drogi zbiegają się w człowieku. Przetną się, gdy wejdzie w pole percepcyjne wysłannika. Wtedy nastąpi konfrontacja.

Na razie trwam przyczajony, podobnie jak mój wróg. Wszystko, co robi, będzie dla mnie jawne. Już wtedy, gdy wypluwała go igła kodowa inseminatora - nie uciekł mi, nie mógł. Jestem bowiem narzędziem tych, którzy niweczą akcje podejmowane przez Falszerzy.

Czekamy więc razem: każdy ma swoje zadanie do wypełnienia. Dopóki nie pojawi się obiekt - wysłannik nie będzie mógł wszcząć procedury...

* * *

Dwie sekwencje później - szansa. Jest rano (szare światło, zimno, mgła).

Są. Podchodzą pod samo drzewo. Wiszę - nad nimi. A oni zatrzymali się i stoją - pode mną. Dwóch w czarnych kurtkach. Trzeci w czarnym worku - na głowie. Ręce związane ma z tyłu. Tamci kopią go, wrzeszczą. Jeden wdeptuje butem w gówno na ściółce. Przeklina i wyciera podeszwę o kępę zeschniętej trawy. Robi się przez to jeszcze bardziej wściekły. Podchodzi do ofiary i zaciska dłoń na jej zgiętym karku, tuż pod sznurkiem, którym worek przywiązany jest do szyi. Pcha go z całej siły na drzewo, głową prosto w pień. Ofiara osuwa się na ziemię, zostawiając smugę krwi na zielonkawej korze. Wtedy dostrzegam, że tamci mają pistolety. Któryś wymierza w worek i po chwili ciało skacze, szarpiąc się w konwulsjach. Potem leży nieruchomo pod pnem, a mokry worek nasiąka krwią.

Tamci spluwają. I odchodzą.

Doczekałem się człowieka.

* * *

Teraz rozpocznie kluczowy etap procedury. Niech działa, wszystko jest pod kontrolą. Kradzież oryginału wydaje im się łatwa i przesądzona. Pozornie światy są bezbronne wobec ontologicznych falszerstw. W Muzeum czeka wiele wolnych miejsc, lecz wszechświat nie jest tak zanieczyszczony, jak im się wydaje. Gdyby wiedzieli, nie byłiby tacy pewni siebie. W programie opracowanym przez Falszerzy jest istotna luka, z której nie zdają sobie sprawy. Nie mają narzędzi, by ją odczytać, nie potrafią nawet przeprowadzić analizy porównawczej na tym poziomie budulca. Oby ten stan trwał jak najdłużej. Wówczas będzie można uznać, że zostali trwale zneutralizowani.

Na razie jednak - muszę nadzorować operację do końca. Nigdy nie wiadomo, co Falszerze kryją w zanadrzu. Dopóki wysłannik żyje, ja również muszę być w pogotowiu. Będę mógł umrzeć dopiero wraz z nim - jesteście połączeni funkcjonalną więzią, która jest silniejsza od nas samych.

Więc teraz, gdy już nadszedł człowiek i dokonało się zło - Podmiana wkracza w decydującą fazę. Wiem, że wysłannik przeprowadzi ją bezbłędnie.

* * *

Wnikam w jego pole biologiczne, dokonując zestrojenia. To ten, który strzelił - morderca staje się moim narzędziem, kluczem do podmiany swojej rasy. Zawsze jest tak, że procedura dokonuje się w warunkach przemocy.

Wchłaniam DNA tego świata i tworzę operacyjną mapę, która umożliwi przepisanie oryginału. Jednocześnie wywoła efekt samoczynnego utworzenia się kopii. Ja również pozostanę na stanowisku - w gasnącym polu normatywnym, z którego składam się od momentu zapisania. Umrę na kopii w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Trudno nazwać to kontaktem lub inwazją. Ludzkość pozostanie ludzkością, lecz gdzie indziej. W tej części wszechświata, w obrębie spiralnej galaktyki, w pewnym małym układzie planetarnym - zostawimy kopię. Prawdziwe dzieło stworzenia zostanie ukryte w gwiazdach, w osobnym continuum, którego nie będzie w stanie opuścić.

Kustosze dążą do tego, by kontakt mógł dokonać się jedynie między falsyfikatami. W ten sposób będą mieli nad nim kontrolę.

TERAZ. Niewykrywalny błysk na osi - i wszystko skończone. Ziemiński świat jest już kopią, moim upragnionym grobem.

Gdzieś - gdzie indziej - muzealne pająki poruszyły się na kweronowych niciach. Na jednym z pustych miejsc pajęczyny pojawił się nowy obiekt. Architekci od razu przystąpili do odtwarzania środowiska błękitno-białej planety.

Muzeum wzbogaciło się o nowy okaz.

Odchodząc, deptając miękką ziemię, liście, patyki i mech. Zmierzając ku kolejnym czynnościom. Pozostaną tacy sami. A jednak są już atrapą. Ten z workiem na głowie umarł jako ostatni prawdziwy człowiek. Moja misja skończona. Tkwię w świecie-kopii, czekając na wygaszenie. Opada ze mnie struktura normatywna, jak popękana skorupa, która nie zawiera już niczego - tę się jeszcze resztką treści, semantyczną iskrą znaczeniowości.

Pode mną kopia zimnego lasu. Północny biotop, mokronoc, deszczownia. Gasnę, kodując resztki znaczeń.

Podobnie jak leżący pode mną trup, wkrótce osiągnę kres.

Przetwarzając pustkę - wsiąkam w gramatyczną nicość.

Rozpoczyna się rekonstrukcja. Kustosze wplatają obiekt w strukturę muzeum: tkają pajęczynę dla ludzkości, przepisując DNA na kweronowe nici. Trwa umiejscawianie Ziemi w nowym porządku ontologicznym, zbudowanym przez istoty będące jego mieszkańcami. Ściegi rosną, tworząc podkład dla nowej zdobyczy. Architekci nie wiedzą, który ze światów dysponuje wiedzą zgubną dla reszty, dlatego każdy obiekt musi trwać w izolacji - aż po kres wszechświata.

Skrawek lasu obok szosy, zza chmur wyszło słońce. Poszycie paruje, wiatr osusza korę drzew z

resztek deszczu. Robi się cieplej. Ekosystem niezakłócony. Żadnych obcych śladów. Wszystko jest takie jak przedtem. Jedyne w zbutwiałym liściu wdeptanym w ściółkę, tuż pod grubym drzewem - niezauważalny, mikroskopijny ubytek. Wypełnia go coś, co w przyszłości może ponownie zapobiec zagrożeniu.

Nieopodal tego liścia - trup człowieka.

Skurczone palce wbite w ziemię w przedśmiertnym skurczu - zaledwie milimetry od liściastej krawędzi.

* * *

Skąd mogli wiedzieć, że za cel obrali kopię? Oryginał trwa zabezpieczony i będzie trwał, dopóki wypełniamy naszą misję. Strzeżemy autentyczności form życia we wszechświecie - taki imperatyw wpisano w układ genobityczny naszej rasy. Te słowa są czymś więcej niż nakazem, który stale musimy wypełniać. Stanowią część nas samych.

Zostaliśmy powołani, by kosmos nie był zaśmiecany falsyfikatami. To wszystko. Początkowo działaliśmy przewencyjnie, później taktyka uległa zmianie: zamiast walczyć o oryginały, zaczęliśmy podsuwać Falszerzom kopie. Niczego nieświadomi - tkwią w przekonaniu, że instalują we wszechświecie podróbki. Tymczasem tworzą tylko odbicia odbić...

Nasza instrukcja nadrzędna, umieszczona na wstędze kodowej, stwierdza: „Wszechświat ma pozostać czysty. Należy czuwać, by zapełniało go jedynie dzieło stworzenia. Kontakt, kiedy już nastąpi, powinien odbyć się między oryginałami. Rasy mają rozpoznać się nawzajem. Jedna z nich może dysponować czymś niezwykle cennym dla pozostałych, a zatem nie można dopuścić, by ta informacja była niesiona fałszywym formom. Być może ten, kto powołał Falszerzy, miał na celu właśnie ten aspekt: nie dopuścić do kontaktu innych cywilizacji ze Słowem”.

O sobie samych wiemy niewiele. W instrukcji nadrzędnej, która precyzuje nasz zakres obowiązków, zostaliśmy nazwani: „Dziesiąty Chór - Subangele”; co niczego nie wyjaśnia. Potrafimy zdefiniować się jedynie w odniesieniu do wykonywanej misji. Sensem naszego istnienia jest walka z Falszerzami, którzy pragną tworzyć wszechświat atrap.

Na razie wykonujemy swoje zadanie bez zarzutu.

* * *

Deum Creatorem venite adoremus

(„Przybądźcie, uwielbiajmy Boga Stwórcę” - łac. napis z brązu w Castelgandolfo, w najstarszym na świecie, działającym od 1579 r. papieskim obserwatorium astronomicznym)

Piotr Witold Lech

**Polecamy
czynny
wypoczynek**

Piotr Witold Lech, ur. 25 lutego 1966 r. Krakowianin z urodzenia, zamieszkania i zamiłowania. Z wykształcenia historyk. Z zainteresowania - poza fantastyką i historią - wędkarz-ekolog (przewodniczący Sekcji Przyjaciół Raby). Publikacje: *Dżamis* (1993 - nakład własny; 1998 w Czechach), *Twierdza Kozic* (1994 - PiT), *Rokhorm z ARON* (1995 - PiT, 1999 - Eventus, 1998 w Czechach), *Jeszcze raz Abhum* (1999 - Eventus), *Cestami Bohu* (1999 - wydanie czeskie).

Ponadto autor scenariuszy do krótkich form komiksowych wydawanych wraz z Jackiem Celadynem na łamach Krakera i AQQ. Spodziewane publikacje - ale tylko spodziewane, bo w dzisiejszych czasach tylko śmierć jest pewna - to powieść *REM* w Czechach w 2007 r., opowiadanie "Spójrz przed siebie Joe" w WSNF 2/2007.

Opowiadanie "Polecamy czynny wypoczynek" to ostatnia część cyklu cwm-owskiego, mówiącego o sposobach wykorzystania udoskonalonego urządzenia do wychwytywania myśli - czyli świadomości człowieka umierającego oraz prób ingerowania w tę, zdawałoby się najintymniejszą, poza cielesną i zamkniętą dla innych, strefę człowieczego bytu-niebytu. Szereg pytań, kilka prób odpowiedzi, ale niejednoznacznych, wielowątkowych i wielopłaszczyznowych. Próba rozwinięcia ścieżek wskazanych przed laty przez Dicka.

ROZDZIAŁ I

- Ortego! Ty zdradziecki psie! - wołała Juanita. - Dlaczego?! Dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego zrobiłeś to tej małej Selenie?!

- Juanito! Wybacz!

- Nie Ortego! Nie! - Juanita teatralnym gestem zasłoniła oczy.

Mate Grichowsky wychylił pół szklaneczki wódki z lodem.

- Uuuuuchu! - potrząsnął głową i ruszył z powrotem do salonu, przeszedł przez hologram lamentującej Juanity, rozwalił się na kanapie i wpakował sobie do ust pełną garść chipsów.

- Juanito, najdroższa! Nie wiem, co mnie opętało! - próbował tłumaczyć się Ortega. - Ona sama wskoczyła mi do łóżka!

- Kłamca! Zboczeniec! Ona ma szesnaście lat!

- No! No! Gratuluję koledze - powiedział Mate z ustami pełnymi chipsów. - Nie każdy może mieć takiego farta - wzniosł kciuk w stronę Ortegi.

- Wynoś się! Precz! - Juanita porwała stojące w korytarzu walizki Ortegi i wyrzuciła je za drzwi.

- Bądź człowiekiem, kobieto! - Mate stuknął się w czoło. - Każdy facet po czterdzieście marzy o tym, żeby przelecieć małolatę.

Ale serialowa Juanita nie usłuchała rad Matea i Ortega musiał iść śladem swoich walizek.

- Eeee tam, głupia cipa! - znudzony Mate klasnął w dłonie i holowizor wyłączył się. Przez chwilę w mieszkalni panowała zupełna cisza. Potem Mate wstał, podszedł do regału i wyciągnął z za zakurzonych i dawno nie czytanych książek płytę CD. Wsadził ją do staroświeckiego odtwarzacza i ponownie rozsiadł się w fotelu. Odpiął spodnie i wpakował sobie rękę w slipy. Na ekranie starego Samsunga ukazały się sceny porno z udziałem młodziutkich, czternasto - i piętnastoletnich dziewcząt.

Doktor Borys Nubakow uznał, że zobaczył wystarczająco dużo.

- Wyjście - pomyślał, a jego asystentka doktor Susan Kamiensky sięgnęła do klawiatury komputera. Nubakow porwany został w świetlisty tunel i w ułamku sekundy przemierzył odległość pomiędzy kinkietem w mieszkalni Mate Grichowskyego, a pokojem w Dziale Dywersji Rentowej krakowskiego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Ciało Nubakowa drgnęło. Otworzył oczy.

Ujrzał doktor Kamiensky pochyloną nad wykresami przemykającymi po ekranie monitora i musiał przyznać, że był to bardzo miły widok.

- Cześć - wychrypiał.

- Cześć, doktorku - dopiero teraz spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Miała naprawdę cudowny uśmiech. Niezależnie od tego, ile miała lat. Zresztą nie była to kwestia cery, czy uzębienia, białego i lśniącego, jak u wszystkich ludzi Ery Baxtersonowej, ale raczej chodziło tutaj o genetycznie uwarunkowany ruch skóry wokół oczu. Doktor Kamiensky po prostu śmiała się oczami i to właśnie od pierwszej chwili ich znajomości najbardziej zachwyciło Nubakowa. Pracowali razem od roku, co jak na zespół dywersyjny było sporym osiągnięciem. Nie wiedzieć czemu ludzie nie wytrzymywali tutaj ze sobą więcej niż dwa, trzy miesiące. Być może wpływ na to miała konieczność odbywania długich, kilku - lub kilkunastodniowych sesji w celu namierzenia potencjalnego pacjenta.

- Uff - Nubakow stęknął i dźwignął się z fotela obitego antyodzieżynową gąbką.

- Ostrożnie - uprzedziła Kamiensky. - Leżałeś pięć dni i dwanaście godzin.

Miała rację Nubakowowi zakręciło się w głowie i klapnął z powrotem w dużym, lotniczym fotelu.

- Masz - Kamiensky podała mu jakieś pastylki.

- Co to?

W odpowiedzi wskazała jego odbicie w przyciemnianej szybie termointeligentnego okna.

- O kurcze... - wolał nie dotykać swojej twarzy, bojąc się, że w takim stanie mogłaby odpaść od czaszki jak stara ścierka, do której się upodobniła. Bez dalszych ceregieli przełknął Baxtersona i od razu poczuł się lepiej.

- Nigdy cię nie pytałam... - zaczęła Kamiensky, ale urwała zmieszana.

- Gdzieś ze dwieście - uśmiechnął się Nubakow.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi, Susan.

Tym razem dźwignął się z fotela bez problemów.

- Chcesz wiedzieć, ile ja mam lat? - zapytała Kamiensky.

- Nie.

- Teraz to już naprawdę jest mi przykro...

- Nie zwracaj sobie więcej tym głowy. - Nalał do szklanki wody mineralnej. - Najważniejsze, że dopadliśmy Mate Grichowskyego.

- Zaraz wyślę raport do tych z egzekucji i nasza robota skończona.

- Nareszcie tydzień wolnego - westchnął Nubakow

- No, gotowe - Kamiensky wcisnęła enter i zeskoczyła z fotela. Zdjęła z wieszaka swoją torebkę i wyciągnęła z niej ozdobny kartonik, z którego nagle uniosły się tysiące małych iskierek (lub gwiazdeczek, Nubakow nie był do końca pewien).

- Wcześniej nie było okazji - wręczyła iskrzący kartonik Nubakowowi.

- Co to jest? - w pierwszej chwili nie potrafił zrozumieć prostej i zarazem jakże przykrej dla siebie prawdy.

- Zaproszenie na ślub.

- Janusz wreszcie się zdecydował?

- Oświadczył mi się tydzień przed tym, jak mieliśmy namierzać Grichowsky'ego. Nie chciałam cię rozpraszać, no i czekałam, aż wydrukują zaproszenia. Chciałam, żeby to była niespodzianka. Nie pogratulujesz mi?

- Oczywiście, oczywiście, moje gratulacje Susan - nie chciał się zdradzić, ale kiedy zobaczył jej zdziwiony wzrok na swojej poczerwieniałej twarzy, zrozumiał, że już dłużej nie ukryje przed nią swoich uczuć.

- Dokończ formalności - rzucił z nagłą szorstkością i uciekł z pokoju.

Przeszedł hol i windą wjechał na dach biurowca. Dopiero w stradolocie pozwolił sobie na głośne: - Kurwa mać! - i kilka ciosów pięścią w tapicerkę. Zamknął oczy i wziął kilka głębokich wdechów. A potem jeszcze kilka. I poczuł, że gniew mija. Pozostał tylko smutek.

Doktor Borys Nubakow potrafił zapanować nad emocjami. Nie bez powodu uważany był za jednego z najlepszych lekarzy-orzeczników dywersyjnych ZUS-u. Zaraz też uświadomił sobie, że jego nadzieje były głupie, przecież od początku wiedział o Susan i Januszu, ale gdzieś tam, w głębi

duszy, liczył, że im się nie uda. Było to nikczemne i powodowało wyrzuty sumienia. Teraz, pomimo smutku, poczuł się w jakimś sensie wolny i rozgrzeszony. Ponościł karę.

- Do domu - powiedział na głos, a stradolot z szumem dysz rozpoczął wznoszenie.

Komputer znał kierunek i pojazd pomknął w stronę Dobczyc, gdzie niemal nad samą Rabą Nubakow miał schludny domek. Wolał już nie myśleć o Susan. Wyobraził sobie natomiast, jak ci z sekcji egzekucji wraz z policją wpadają do mieszkalni Matea Grichowsky'ego, znajdują u niego wszystkie CD z pornosami, pokazują zebrany przez zespół dywersyjny materiał dowodowy i na miejscu, jeszcze w mieszkalni, lekarzorzecznik wykonawca przydziela Matebwi rentę państwową I stopnia z powodu zaburzeń seksualnych o podłożu psychotycznym. Cóż, Mate nie będzie zadowolony perspektywą renty, stałej Pielęgniarki i wieloma wynikającymi z tego ograniczeniami. W przypadku, kiedy było się wziętym programistą grofilmów taka perspektywa nie mogła zachwycić nikogo. Ale na tym właśnie polegał unijny program „RENTA DLA KAŻDEGO CHOREGO”. Ogromne środki przeznaczono na wychwytywanie setek tysięcy ludzi, z których jedni uchylali się od leczenia, inni natomiast nawet nie byli świadomi faktu, że są chorzy. Ludzie bali się renty jak ognia, równała się bowiem z utratą wolności osobistej i stałą kontrolą państwa nad każdym krokiem pacjenta. Nawet biedacy woleli kręcić coś na boku, ciuć grosz do grosza, zamiast pozwalać sobie na wszczęcie Pielęgniarki. Zresztą, w ostatnim dziesięcioleciu pojawiła się jeszcze inna perspektywa, kusząca, obiecująca, ba, dająca pewność... Wielki Reset.

Chcę się obudzić, pomyślał Nubakow. Susan odchodzi na zawsze! Obudzić się! Będą mieli z Januszem, prawnikiem z Mars Trans Holding dobre życie. Sporo złotych kredytów i dzieci... Chcę się obudzić!

Otworzył oczy, cokolwiek by to znaczyło. I obudził się.

Zawieszony w chłodnej i czarnej pustce trwał przez chwilę, dopóki nie wyłoniły się z niej kontury rzeczywistości kreowanej przez jego podświadomość. Były tam wysokie góry z wierzchołkami „jak białe słonie” (kochał opowiadania Hemingwaya), był ocean, a na nim, w niewielkich łodziach kilkunastu rybaków - starych ludzi łowiących regularnie wspaniałe marliny. Było dużo słońca, ale i sporo pierzastych obłoków i dużo zachodów i wschodów, i dużo kolorów na chmurach i łąkach opadających z wzgórz do morza...

Gdzieś zadzwonił budzik...

Spojrzał na horyzont. Trzeba wracać do pracy. Przywołał następny adres. I dokonał kolejnego skoku.

Zgodnie z instrukcją 005/2150 w świadomości wytworzył obraz schematu miejskiej sieci energetycznej. Szybko odnalazł kwartał IV, a tam blok mieszkalny numer 7 przy ulicy Lipskiej. Pomknął do mieszkalni nr 16 i tam stał się świadomością kinkietu salonowego w mieszkalni państwa Saskich.

- Naprawdę mnie boli - powiedział Paweł.

- Wiem synku, wiem - matka, jak zwykle w takich sytuacjach stawała się drażliwa. Tego Paweł nie lubił najbardziej, nie chciał czuć się wiecznie winnym, przecież robił to, czego chcieli. Ale ten ból!

- Cholera - krew z nosa kapnęła na klawiaturę komputera.

- Może jednak odpoczniesz - zaproponowała matka. Wiedział, że była to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyła, dlatego docenił jej propozycję.

- To nic, zaraz przejdzie - sięgnął po nową chusteczkę z paczki i przytknął do nosa.

- Jeszcze parę godzin i skończę to zamówienie, a potem odpocznę kilka dni.

Wiedział, że to pobożne życzenie. Ojciec już znalazł kolejną firmę chcącą nabyć odjazdowy wygaszacz made in Paweł Saski.

Był w tym dobry. Był najlepszy. Dlatego bili się o niego wszyscy. Mógłby pracować w dużym koncernie, np. w Pharmaceutick Mac Fert Holding, gdzie pod szyldem sprzedaży Baxtersona handlowano Ankiem, narkotykiem nowej generacji. Tam Paweł zarobiłby krocie jako spec od wirtualnej reklamy. Ale rodzice woleli, żeby był wolnym strzelcem. Wyciągał w ten sposób ze trzy razy tyle, co na etacie. Po to przecież zainwestowali w implant. Bał się powiedzieć im, że doktorek Smith (dałby sobie rękę odciąć, że nie było to prawdziwe nazwisko) coś popierdolił i teraz, średnio raz dziennie, mózg zamieniał mu się w grilla w samym środku barbecue. Ten skurwysyński implant uwierał coś, jakiś nerw albo coś innego, co poza bólem powodowało dodatkowe halucynacje. Przykładowo teraz Paweł mógłby przysiąc, że w okrągłym kinkiecie, po drugiej stronie pokoju, widzi twarz jakiegoś faceta. Nieogoloną, ziemistą, ale raczej inteligentną gębę.

Zamknął więc oczy, odwrócił głowę w stronę ekranu i postanowił już więcej nie patrzeć w kinkiet. Jego palce sprawnie zaczęły wystukiwać kolejne ciągi liczb, które zamieniały się w ruchome obrazy. Wygaszacz dla firmy Yaskóła and Wilk Meat Company był prawie gotowy. Ból jednak stawał się coraz większy. Krew nie chciała przestać kapać z nosa, wręcz przeciwnie, krople zamieniły się w strużkę.

- Mamo... - jęknął i osunął się z fotela.

- Paweł! Pawełku! - matka dopiero teraz zdała sobie sprawę z powagi sytuacji.

Wychodzę, pomyślał Nubakow. Otworzył oczy.

- Masz to? - wychrypiał.

Susan w skupieniu analizowała wykresy przebiegające po ekranie.

- Mhm - potwierdziła.

- Uff - dotknął czoła. Było mokre.

- Jestem zmęczony...

- To normalne - Susan zeskoczyła z fotela. - Weź - podała mu Baxtersona.

Tym razem przyjrzał się jej uważniej.

- Co jest? - roześmiała się. - Mam pryszczę na nosie?

- Miałem przeskok.

- Wiem - nadal się uśmiechała.

- Wiesz?

- Wciąż go masz.

I wtedy ponownie znalazł się w sieci elektrycznej kwartału IV. Powrót, pomyślał. I otworzył oczy.

Susan siedziała przy komputerze...

Zaczął się bać. Chyba dostałem się w pętlę, pomyślał.

I wtedy, tuż przed oczami, pojawiła mu się głowa Peta Jablonsky'ego, specjalisty ZUS ds. CWM.

- Proszę się uspokoić, doktorze Nubakow - powiedział Pete. - Zaraz pana wyciągniemy.

Zapanowała ciemność. Potem delikatne światło powoli, lecz wytrwale i coraz intensywniej wydobywało z mroku kontury przedmiotów. Prosta żelazna szafa, stół, krzesła, potem odległa ściana, a pod nią długi ciąg monitorów.

Teraz rozpoznawał swoje biuro w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych przy ulicy Pędzichów w

Krakowie. Zaprzagnął wstać. Bez wysiłku usiadł na żelaznej, szpitalnej kozetce. Potem podszedł do okna. Na zewnątrz zobaczył to, co spodziewał się ujrzeć. Ulica, prawie nietknięta przez czas: stare kamienice, szyldy sklepów i barów w dole, spośród których wyróżniał się czerwony napis KSERO. I ludzie; przesuający się niespiesznie ruchomym chodnikiem w cztery strony miasta, z przewagą ruchu w kierunku Długiej. Ponad dachami, na wysokości stu metrów, wolno sunął sznur stradolotów, co wskazywało, że lotostrada znów była gdzieś zakorkowana. A ponad stradolotami, następne dwieście metrów, widniała rozbłyskana reklamami Kopuła.

Ktoś zapukał (Doktor Nubakow nie pozwoliłby wejść nikomu bez pukania).

- Proszę.

Pojawił się Mate Grichowsky.

- Wróciłeś? - zapytał, uważnie spoglądając Nubakowowi w oczy.

- Tak, chyba tak... - Nubakow klapnął na krzesło.

- Przepraszam, Mate, że dzisiaj to byłeś ty, ale ostatnio zaczynam mieć kłopoty z pamięcią.

- Nie szkodzi - Mate zajął miejsce naprzeciwno. - Ale niepokoją mnie te twoje ucieczki z CWM.

Tutaj jest twój świat, o pardon, tutaj jest nasz świat. Stąd już nie możesz uciec. Lepiej więc się z tym pogodzić i wykonywać swoją robotę jak najlepiej.

Nubakow milczał. Co właściwie mógłby powiedzieć? A jeżeli nawet, to czy warto było to mówić? Już dawno przestał się ludzi, że istnieją słowa, które jest sens wypowiadać. W baśniach i mitach, w literaturze fantasy, słowa posiadały moc sprawczą. Ale to nieprawda. Cóż bowiem znaczą słowa w porównaniu z myślą? To myśli kształtują byty. To myśli mają moc. Demiurg jest myślą - pomyślaną kiedyś po raz pierwsze we wszechświecie.

Mate Grichowsky chrząknął.

- Słuchaj, Borys. Dzisiaj przeprowadziłem rozmowę z Evą Ivkową, wiesz, tą z kanału Plus-Minus, i ona chce cię mieć w swoim talk-show.

- Nic z tego - burknął Nubakow.

- Wiem, że wciąż myślisz o Susan.

- Nie twoja sprawa.

- Nie odwiedza cię - Mate nie dał się zbyć. - Ma cię gdzieś.

- Nie przeginaj, Grichowsky!

- Ten program to twoja szansa. Wykorzystaj to. Nubakow spojrział na Matea z większym zainteresowaniem.

- Tak, Borys - Grichowsky pokiwał głową. - To twoja szansa.

- Wcale nie wiem, czy chcę się z nią widzieć - skłamał.

- Kłamiesz - Mate znał go zbyt dobrze.

Ponownie zapadła chwila ciszy.

- I jak? - przerwał ją Mate. - Zgadzasz się?

Nubakow nie od razu udzielił odpowiedzi.

ROZDZIAŁ II

Książd-brat Antoni Nieznanowicz wsparł łokcie na pulpicie klęcznika, ukrył twarz w dłoniach i zastygł w takiej pozycji na kilkanaście długich minut. Patrzącemu z boku musiałoby wydawać się, że oto pobożny klecha zatopił się w żarliwej modlitwie o mocy sprawczej większej, aniżeli cała fiołka

TWW, którymi handlowali odpustowi kramarze na placu obok toruńskiego kościoła św. Ojca Rydzyka. Ale Tabletki Wzmacniające Wiarę, dystrybuowane przez Konsorcjum, były potrzebne nawet księżom i zakonnikom. Paradoksalnie w czasie, kiedy w naukowy sposób dowiedziono istnienia życia po śmierci, a potem także istnienia siły wyższej, drzemiącej za świetlistymi tunelami, wiara - jako stan umysłu, kreujący fantastyczne wizje, nawet bez dowodu postrzegane jako prawda - osłabła w ludziach. Oczywiście na takie zjawisko należało szybko reagować i Konsorcjum zareagowało pierwsze, wyprzedzając zwykle spóźniony w swoich działaniach Watykan.

Podstawą było przejęcie kontroli nad Hospicjami z CWM, dzięki czemu możliwe stało się posiadanie wpływu na postrzeganie tak zwanej Pierwszej Rzeczywistości Pośmiertnej, czyli po prostu rzeczywistości CWM. Ale Konsorcjum też było kontrolowane. Z jednej strony przez ABP, z drugiej przez system ubezpieczeń społecznych. To oficjalnie. Nieoficjalnie jeszcze przez Dominikańskie Centrum do Walki z Sektami. A od kiedy Sejm Unii Zjednoczonego Świata Cywilizacji Zachodnioeuropejskiej podpisał zgodę na realizację programu WAKACJE, Konsorcjum znalazło się w otwartym konflikcie z władzami świeckimi. Zresztą, w tej walce wsparte zostało mocno przez Watykan. Ale potrzebna była wiara. Dużo wiary. Jak ją wzmocnić, ba, jak odbudować? Z pomocą przyszli księża naukowcy z Saint Augustin Pharmaceutic University w Toruniu. Wynalezienie TWW stało się pewnym przełomem.

Oczywiście nie należy tutaj przesadzać - atrakcyjność TWW w porównaniu do WAKACJI była znikoma, ale ta część społeczeństwa, która z jakichś przyczyn nie mogła się zresetować - przede wszystkim kobiety, chcące wychować do czasu pełnoletności swoje dzieci - widziała w TWW alternatywę na przetrwanie wielu lat ziemskiej egzystencji we względnym spokoju, a nawet radości istnienia. Fakt, że świat opanowały koncerty, na czele których stali przestępcy w garniturach, działał na korzyść Konsorcjum.

O tym wszystkim myślał teraz ksiądz-brat Antoni Nieznanowicz, pozornie zatopiony w modlitwie, a w rzeczywistości czekający na kontakt z klasztorem. Dominikanie i franciszkanie stali się otwartymi wrogami Konsorcjum Multimedia Maryja. Stan ten trwał już od kilkadziesiąt lat i zaostrzał się, bowiem ksiądz-prezes nie uznawał kompromisów. Zresztą brat Marek, obecny przeor dominikanów, również. Sporo wysiłku kosztowało Zgromadzenie, żeby umieścić w głównej sali kreacji Hospicjum Ducha Nieśmiertelnego swojego człowieka. Ksiądz-brat Antoni przeszedł długi trening pod okiem speców od Zambrowsky'ego. Szef ABP zadbał o najwyższy priorytet szkolenia. Potem jeszcze był nieprzyjemny zabieg wszczepienia w mózg czipa i Antoni stał się agentem doskonałym. Duchowny, specjalista od informatyki, z czipem w głowie. Dla Konsorcjum był tylko księdzem inżynierem Antonim. Imię otrzymał od Konsorcjum, a związane ono było, zgodnie z konsorcyjnymi obyczajami, z pełnionymi obowiązkami. Do księdza Antoniego bowiem należało szukanie tych, którzy z różnych przyczyn wymknęli się spod kontroli systemu. „Oderwali się od wycieczki”, jak powiedzieliby Tubylecy zwiedzający miasto w livie, co zresztą w jakiś sposób i w CWM-owskim systemie WAKACJE nie miało się z prawdą.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - Antoni usłyszał znajomy głos w głowie.
 - Na wieki wieków, amen - odpowiedział myślą.
 - Tym razem jest poważniejsza sprawa - bez dalszych wstępów ciągnął brat Marek, siedzący w zaciszu Celi Kontaktów w klasztorze dominikanów przy ulicy Poselskiej w Krakowie.
 - A ja myślałem, że pracuję nad samymi poważnymi sprawami - żartobliwie stwierdził Antoni.
- Brat Marek nie miał poczucia humoru.

- Chodzi o lekarzy-orzeczników ZUS.
- Zaginęli?
- Coś się stało. Ci z ZUS-u wpadli w panikę i natychmiast zgłosili problem do Zambrowsky'ego.
- Gdzie ich stracili?
- W Dubrowniku.
- W Dubrowniku? A co tam robili nasi orzecznicy? Pomagali w czymś Chorwatom?
- Tropili potencjalnego pacjenta. A to był spec od grofilmów.
- Z BKB?
- Wolny strzelec. Bóg raczy wiedzieć, co tam się stało.
- Co mogę zrobić?
- Sprawdź, czy ten spec nie był powiązany z Konsorcjum. I dostań się do lekarzy.
- Spróbuję. Poproszę o szczegóły.

Kwadrans później ksiądz Antoni opuścił kościół i wtopił się w tłum, który dzisiaj zgromadził się na parkingu pod świątynią. To ciekawe, jak bardzo prymitywni potrafią być ludzie, pomyślał. Oczywiście chodziło mu o prostotę wiary katolickiej, która ostatnimi czasy przeżywała renesans (a właściwie średniowiecze) dzięki TWW i która na nowo pozwoliła egzystować tysiącom sprzedawców dewocjonaliów oraz wszystkich gadżetów związanych z tradycją katolicką. Na nowo, po stu latach nieobecności, pojawiły się odpusty. Wata cukrowa, pierniki, koraliki, figurki, obrazki święte [oczywiście obowiązkowo z systemem sprawdzania jajeczkania), korkowe pistolety i „pukawki”, ołowiane żołnierzyki. No i przede wszystkim TWW, za pół ceny, w licznych promocjach, a często za darmo, jako wygrana na strzelnicach lub w konkursach uderzenia młotem.

Wiara, pomyślał Antoni, W co tak naprawdę wierzymy? Odpowiedź musiałaby zadziwić każdego teologa.

- Poproszę - zatrzymał się przy jednym z kramów i wskazał fiolkę TWW. Sprzedawca rzucił okiem na znak Konsorcjum na sutannie.

- O, dla księdza inżyniera gratis. - Nie chciał wziąć złotych kredytów.

Gratis to gratis, Antoni szybko przełknął dwie tabletki i usiadł na ławce z boku kościoła, w cieniu rozłożystego klonu. Po chwili zaczął się zastanawiać, dlaczego był takim głupcem. Cynicznym, ironicznym, pozbawionym wiary głupcem. Przecież On, Jezus Chrystus, umarł na krzyżu w mękach, żeby wybawić nas od grzechu pierworodnego i wybłagać nam przebaczenie. Przecież wszyscy święci, przez kilkanaście wieków dokonywali cudów na dowód prawdy zawartej w słowach Jezusa, a Kościół, niczym dobry pasterz, w jedyny słuszny sposób interpretował Biblię. Każde święto nabrało sensu, Wielkanoc, Boże Narodzenie, Dzień Zmarłych, Trzech Króli, Matki Boskiej Gromnicznej, Matki Boskiej Zielnej, Wniebowstąpienie Najświętszej Marii Panny... A miłość Boga popłynęła z każdego słowa wypowiedzianego w każdym z mediów maryjnego Konsorcjum. Bóg był w Konsorcjum. Konsorcjum było głosem Boga. Amen. Amen. Amen. Ksiądz Antoni pospiesznie ruszył z powrotem do kościoła. Odprowadzała go uśmiechnięta Maryja o niebiańskim obliczu i w długich, błękitnych szatach. Wspólnie uklękli przed ołtarzem i pogrążyli się w modlitwie.

Nazajutrz ksiądz-brat Antoni Nieznanowicz zameldował bratu Markowi, że TWW zostały wzbogacone o nowy wątek miłości. Do Konsorcjum.

ROZDZIAŁ III

Susan Kamiensky z trudem powstrzymywała ironiczny uśmiezek - swój znak firmowy - przeznaczony dla takich palantów, jak ten. Vite Vlodarczyk, prezes firmy YYYYY (YOGURT YO-YO YOGI), która pod płaszczykiem branży mleczarskiej uwikłana była po uszy w nielegalnym cwm-handlu. Oczywiście cwm-handel to pojęcie szerokie i można było je zdefiniować - gdyby ktoś się o to pokusił - tylko poprzez program WAKACJE.

WAKACJE były jak najbardziej legalne, wybierał się na nie statystycznie co drugi człowiek na planecie - ale nie dla wszystkich chętnych były miejsca w biurach podróży. Susan nienawidziła dupków, którzy porzucali wszystko: pracę, żony, dzieci i pozwalali się zabić tylko po to, żeby móc być podłączonymi do zasranego programu, który serwował im jakąś gównianą podróż po pragnieniach.

Susan miała swoje powody, dla których nienawidziła wszystkiego, co było związane z CWM, a z drugiej strony pracowała dla Billa K.B., największego potentata w tym biznesie, do którego należało osiemdziesiąt pięć procent biur podróży w Euroregionie Polska. Prawdziwa ironia! Myślała tak nieraz, ale wiedziała, że nigdzie i u nikogo nie zarobiłaby tyle, żeby ze spokojem patrzeć na przyszłość Ziemowita (syna nazwała zgodnie z powracającą co jakiś czas modą na słowiańskie imiona) Jednak Vite Vlodarczyk (w skrócie V - jak go nazwali inni mafiosi) gapił się na nią wzrokiem napalonego psa, mogłaby przysiąc, że widzi ślinę w kącikach jego ust. Wiedziała, że jest piękna. Oczywiście pojęcie piękna, szczególnie w dobie Baxtersonej, jest względne, ale istnieją typy urody, które rzucają na kolana bez wyjątku wszystkich. Jeśli seks to kwestia zapachów, tacy ludzie jak Susan muszą być supersexferomonami ogólnego zastosowania. Ktoś, kiedyś, jej tak powiedział. Nie chciała pamiętać, kto.

- Skoro już tak dobrze zrozumieliśmy się w interesach - nie przestawał ślinić się Vite - może pozwoli pani zaprosić się na kolację?

- Oczywiście że nie - odparła, patrząc mu w oczy.

Twarz Vitea zastygła w grymasie urazy. Syciła się tym widokiem przez chwilę.

- Nie mogę dać się zaprosić na kolację, ponieważ to pan K.B. zaprasza pana do swojej rezydencji na bankiet.

Twarz Vite'a przekształciła się w obleśny uśmiech ulgi.

- Pan pozwoli, że go teraz opuszczę - Susan nie dała mu czasu do namysłu - Spotkamy się wieczorem.

Kiedy wsiadła do stradolotu, odetchnęła z ulgą. Tacy jak Vite czy K.B. przerażali ją. Ci mili i kulturalni z pozoru mężczyźni bez zmruczenia oka w potworny sposób upokarzali swoich dłużników i potem nie nazywali ich już nie ludźmi, ale „pisuarami”. Chory, zboczony świat, myślała Susan. Rzeczywistość, w której degeneraci są szanowanymi obywatelami, impotenci, których nie kręci normalny seks. Znudzeni zwykłymi stosunkami w wieku 16 lat. Z jaką pogardą dla ludzkiej godności wymyślają te swoje chore sposoby na wszystkich, którzy nie wpisali się w ich psychopatycznie pojmowaną rzeczywistość i nazywają te sposoby „bardziej humanitarnymi” tylko dlatego, że nie pozbawiają życia! Ale fizyczne życie w dzisiejszych czasach się zdewaluowało; jeśli tylko kogoś stać na CWM, życie ma gdzieś i ucieka od świata zboczeńców i degeneratów w krawatach i białych koszulach! Ale nie kobiety. Nam nie wolno! My musimy wychować następne pokolenie zboczeńców albo depów, i które wychowywać będą następne pokolenia! Do wyboru, do koloru!

- FSDN - powiedziała, a stradolot wysunął w jej stronę tackę z pigułką Farmakologicznego Stabilizatora Dobrego Nastroju. Dawniej rzadko go brała, ale potem... po tym... Ten dupek! Dlaczego

jej to zrobił?! Ale widziała to w nim nieomal odkąd się poznali. Ona, studentka marketingu i zarządzania, on - doktorant profesora Tarnowskiego w Klinice Chorób Wewnętrznych UJ na Kopernika. Boże, jak on jej wtedy imponował!

Kazała komputerowi włączyć Rolling Stonesów. „Exile On Main Street” popłynął z głośników. FSDN zaczął działać. Emocje oddalały się, najpierw pozostawiając po sobie smutek, a potem, po jednym głębokim oddechu, spokojną drętwość. Ale na szczęście, może dzięki Rolling Stonesom, jeszcze nie pustkę. Z farmakologiczno-rockendrollowym spokojem dało się żyć.

Ukazał się oszklony budynek Przedszkola B.K.B. Tak, „pocziwy” Bill dbał o swoich pracowników i ich dzieci, opiekował się nimi i rozdawał prezenty. Pożyczał pieniądze. Dobry wujaszek Bill K.B.

Wylądowała na małym lądowisku na dachu przedszkola. Rolling Stonesi ucichli w połowie kawałka.

- Witamy panią, pani Kamiensky - usłyszała w głośnikach greczny, wywarzony i kulturalny, ale jednocześnie wyprany z wszelkich emocji głos.

Pani Dyrektor, podobnie, jak pozostały personel przedszkola była androidem edukacyjnym działającym na bazie programu Ministerstwa Edukacji Narodowej. Bezpieczny program, gwarantujący bezstresowe wychowanie, miał być pierwszym krokiem do wyleczenia społeczeństwa z toczącej go megadepresji, pandemii XXII wieku. Działał dopiero dziesięć lat, więc na efekty trzeba było poczekać.

- Dzień dobry - odparła Susan, bardziej z konieczności, aniżeli grzeczności względem automatycznej Pani Dyrektor, głos bowiem był ostatecznym elementem identyfikującym (po rejestracji stradolotu i ujęciu twarzy z kamer na dachach), na podstawie którego przedszkole wydawało podopiecznego.

Po chwili na dach wysunęła się półkula kabiny windy i wybiegł z niej Ziemowit. Na jego widok wszystkie złe emocje uleciały z Susan szybciej niż po FSDN. Pocałowała, a potem mocno uściśnęła syna.

- Mamo... - jęknął. - Czy coś się stało?

- Nie synku, nie - tuliła go do siebie mocno. Czy naprawdę on też będzie psychotykiem depresyjnym? Testy genetyczne były nieubłagane. Ale może nie. Boże jeśli naprawdę istniejesz, spraw żeby nie!

- Co robiliście dzisiaj? - zapytała Ziemowita.

- Bawiliśmy się w Radość Jest Dobra i Pani Bibliotekarka czytała nam Śmieszna Bajkę.

- To wspaniale - powiedziała Susan.

- Eee tam - chłopiec wzruszył ramionami. Susan przeszedł lodowaty dreszcz.

- Nie rozśmieszyła cię ta bajka?

- Trochę.

- Ale Radość Jest Dobra to fajna zabawa.

- No fajna, ale już mi się nudzi.

- Co byś chciał robić, kiedy przyjedziemy do domu? Może pooglądamy razem Paffa i Puffa?

- Wolalbym pograć na komputerze.

- A w co teraz grasz?

- W Jabberwocky.

Jabberwocky była zabawną grą o niezdarnym smoku. Susan zastanawiała się gorączkowo, czy

powinna mu zabronić. Chyba nie...

- Dobrze - kiwnęła głową. - Możesz sobie pograć.

- Dziękuję, mamusi - uśmiechnął się wreszcie.

Wylądowali na lądowisku przed małym, schludnym domkiem, otoczonym klombami kwiatów. Po wejściu do domu Ziemowit od razu pobiegł do swojego pokoju, a Susan zajęła się wydawaniem poleceń robantom porządkowym i kuchennym. Jednocześnie zerknęła na holowizję, ale poza informacjami nic jej nie zainteresowało. Niemniej nie wyłączała odbiornika, czekając na swój ulubiony talk-show Ewy Ivkowej.

Bez końca zdawały się wybrzmiewać reklamy oddzielające programy, ale w końcu rozległ się przyjemny kobiecy głos:

- Witam państwa serdecznie w moim talk-show! - zgrabna blondynka zdecydowanym krokiem przechadzała się między rzędami publiczności.

Brawa.

- Wszyscy chyba wiedzą, jak się nazywam, ale jeśli ktoś przyleciał prosto z Marsa przypomnę: Jestem Eva Ivkowa i specjalnie dla was sprowadzam najbardziej niesamowitych gości!

Brawa.

- Dzisiaj będzie jeszcze bardziej niesamowicie. Czy zadawaliście sobie pytanie, co sądzą o istnieniu ci, którzy zresetowali swoje życie? Wczasowicze, którym często tak zazdrościmy? Czy kwitując po wyśnionych przez siebie światach wolni są od troski? Z pewnością nieraz pytaliście się o to w głębi duszy. A ja dam wam odpowiedź. Oto moi dzisiejsi goście!

Ściana za plecami Ewy Ivkowej drgnęła i rozsunęła się, ukazując trzy trumny. Wszystkie miały standardowy wygląd zgodny z normami Hospicjum Ducha Nieśmiertelnego, dostosowany do funkcjonowania z CWM.

Po chwilowej konsternacji ludzie na widowni zaczęli rozumieć i wybuchła burza oklasków.

- Witam Udo Feutchwagena, niemieckiego trenera futbolu, który zresetował się dwa lata temu po stracie posady w Bayernie Monachium!

Ekran zamieszczony ponad pierwszą trumną rozblysnął i ukazał się uśmiechnięty i opalony mężczyzna w sportowym dresie i z gwizdkiem na szyi.

- Cześć! Witam wszystkich tubylców!

Brawa.

- Witaj, Udo - Eva Ivkowa błysnęła idealnie białymi zębami. - Powiedz nam, co teraz porabiasz?

- W tej chwili? - Udo obejrzał się i wskazał drużynę piłkarską trenującą intensywnie na doskonałej murawie cwmowskiego boiska. - Trenuję chłopaków.

- Co to za drużyna?

- Jak to? Nie poznajesz? To przecież reprezentacja Niemiec składająca się z najlepszych piłkarzy w dziejach Germanii. O, popatrz! Ten, który teraz strzela, to Gerd Muller, król strzelców z Mundialu w 1970 roku! A tamten z boku to Michael Ballack, a ten, który centruje to Franz Beckenbauer...

- Czyli, krótko mówiąc, realizujesz swoje marzenia.

- Tak, dokładnie tak! Myślę, że tam, u was, nie poznali się na mnie. Gdyby dali mi posadę selekcyjnera, wywalczyłbym z Niemcami kolejne złoto.

- Świetnie! - cieszyła się Ivkowa. - A jako osoba zresetowana, co sądzisz o przeznaczeniu?

- Przeznaczenie? Teraz już dobrze wiem, że coś takiego jak przeznaczenie nie istnieje. No, przynajmniej do momentu tuneli, ale to, plus życie baxtersonowe, trwać może i pół tysiąca lat!

Jesteśmy Matuzalemami! Tak naprawdę przeznaczenie kształtujemy sami. Na przykład trener, który w meczu o wszystko z uporem maniaka trzyma na ławce rezerwowych swojego najlepszego zawodnika, może mówić tylko o głupocie nie o przeznaczeniu!

- Brawo! - zawołała Ivkowa - Zostań jeszcze z nami, Udo. A teraz poznajmy kolejnego gościa: Banis Latauskas, litewski Casanova!

Brawa.

Ekran nad drugą trumną rozbłysnął i ukazał się widowni wystawny bankiet, pełen kobiet - wspaniałych piękności z okładek magazynów ilustrowanych - i jednego zaledwie, ale za to bardzo przystojnego bruneta.

- Halo, Banis! - zawołała Ivkowa. - Czy poświęcisz nam chwilkę?

- No nie wiem - przekomarzał się litewski Casanova. - Co wy na to, dziewczyny?

- Nieee!!! - pisnęły chórem.

- Ależ drogie panie... - zaczęła Ivkowa i zreflektowała się, że zaczyna mówić do wyobrażeń Banisa. - No wiesz, Banis! - roześmiała się. - Stroisz sobie żarty z naszej publiczności, a oni naprawdę chcieliby wiedzieć, dlaczego postanowiłeś zostać playboyem? Czy brakowało ci tego w live? Przecież jesteś przystojnym mężczyzną.

Banis rozsiadł się za barem i ruchem ręki odprawił lepiące się do niego kobiety.

- Widzisz, to nie takie proste. Kiedy byłem tubylcem, starałem się być dobrym, wiernym mężem. A musicie wiedzieć, że ożeniłem się bardzo młodo. Miałem zaledwie 30 lat. Kiedy człowiek jest wolny, marzy o wielkiej miłości, a kiedy jest żonaty - śni o wolnym seksie. To wielki paradoks. Tutaj mam jedno i drugie. Codziennie postanawiam zakochać się w jednej z tych pięknych pań, ale zawsze w innej, i w ten sposób jednocześnie przeżywam wspaniałą, niepowtarzalny seks.

- Ale to nie jest prawdziwy seks, ani prawdziwa miłość - zaprotestowała Ivkowa.- To są twory twojej wyobraźni.

Susan nie wytrzymała.

- Trzeba było, dupku, nie resetować się, wtedy miałbyś seks! Ale pewnie ci nie stawał! - i na palcu dłoni pokazała, jakie kłopoty jej zdaniem miał za życia Banis.

Ktoś na widowni parsknął śmiechem. To oczywiście musiał być zupełny przypadek, ale Susan pozostało dziwne wrażenie, że została usłyszana. Wzruszyła ramionami i klapnęła w głębokim fotelu. Kazała mu lekko lewitować nad lśniąca podłogą.

- Ja naprawdę kochałem moją żonę... - zająknął się Banis Latauskas. - Ale sami wiecie - roześmiał się nerwowo.

- Oczywiście, Banis, rozumiemy cię! - zawołała Ivkowa. - Nie musisz się z niczego tłumaczyć! Pamiętaj! Wszystkie twoje zmiany są dobre!

Brawa.

- A teraz zapraszamy na blok reklamowy! - błysnęła białutkimi zębami, nim jej hologram tysiącem efektownych iskierek zniknął ze środka pokoju.

- Do pokoju Ziemowita - Susan wydała polecenie kwitującemu fotelowi. Bezszelestnie zbliżyła się do drzwi pokoju syna. Usłyszała ryki smoka, krzyki ludzi i śmiech chłopaka. Zajrzała do pokoju i serce jej zamarło. Jabberwocky deptał po ludziach, którzy pękali jak pomidory, pozostawiając krwawe i drgające plamy (twórcy gry zadbali o realizm godny XXII wieku), a Ziemowit sterował smokiem tak, żeby zabić jak najwięcej mieszczan i śmiał się wesoło. A więc to nie będzie samiec depresyjny, ale sadystyczny! Susan zrozumiała, jak opacznie pojmowała jego zachowanie.

- Wyłącz to natychmiast! - przez chwilę się nie kontrolowała.

Ziemowit aż podskoczył na krześle. Potem spojrzał na nią ciemnym, ponurym i pełnym naglej nienawiści wzrokiem. Ale wyłączył komputer.

- Do łazienki, marsz! Wykap się, chyba sam to potrafisz?!

- Tak, mamusiu - zgodził się potulnie. Teraz złość przeszła w rozzalenie. Bródka mu się zatrzęsała i płacząc wybiegł z pokoju.

- Cholera - Susan wzięła kilka głębokich wdechów. Posiedziała przez chwilę z zamkniętymi oczami. Słyszała, jak Ziemowit odkręca wodę, a w holowizji dobiega końca blok reklamowy.

- Jesteś zmęczony życiem? Uważasz je za nieudane? Masz wszystkiego dosyć? Zresetuj się! Jedź na wakacje! Wypocznij w swoich świątach! Rób to, o czym marzyłeś! Żyj wiecznie! Program wakacje dostępny na stronie www.cwm.wakacje@com.

Susan odetchnęła jeszcze raz i przemieściła się na lewitującym fotelu do pokoju.

- Witajcie ponownie w moim talk-show - zawołała Eva Ivkova. - Przed przerwą poznaliśmy Udo Feutchwagena, niemieckiego trenera piłki nożnej oraz Banisa Latauskasa, litewskiego Casanovę, który prosił, żeby nie zdradzać zawodu, jaki wykonywał w livie. Teraz jednak nadszedł czas na człowieka, który przebywając w CWM wykonuje jednocześnie pracę dla najprawdziwszej instytucji. Poznajcie doktora Borysa Nubakowa, lekarza-orzecznika Zakładu Ubezpieczeń Społecznych.

Brawa.

- Jezu...- jęknęła Susan i zeskoczyła z kwitującego fotela. Bezwiednie zrobiła kilka kroków w kierunku holowizyjnego obrazu drgającego na środku pokoju.

- Jezu...

ROZDZIAŁ IV

Ten przypadek był specjalny, więc i Nubakow przygotował się specjalnie. Zresztą, doświadczenie ostatnich kilku sesji, groźne pętle - szczególnie ostatnia - sprawiły, że konieczne stały się dodatkowe treningi z Mate'em Grichowskim. Wejdz - Wyjdz - Wejdz... I tak w kółko.

Potem chciał wyskoczyć na miasto, ale wciąż zatrzymywały go w pracy jakieś sprawy: a to dokończenie przypadku Jerzego Wally, od lat ukrywającego chorobę wrzodową, a to ciągnąca się od niepamiętnych czasów sprawa Karoliny Wiśniowskiej, nimfomanki z Dąbia. Zadzwoił też dyrektor Ryś i - ni stąd, ni zowąd - kazał Nubakowowi dokończyć papierkową robotę, jakby ta nie mogła zaczekać jeszcze kilku dni.

Pod wieczór chęć wyjścia zamieniła się w lekką obsesję. Co chwilę spoglądał w dół, na ulicę Pędzichów z okna swojego gabinetu na drugim piętrze. I wciąż wpadał na Mate'a Grichowsky'ego. W końcu zaczął się zastanawiać, czy to przypadek. I szybko doszedł do właściwych wniosków. A kiedy zaciemniono Kopułę, Mate ponownie zapukał do jego drzwi.

- Już czas - stwierdził krótko.

- Zaczynaj - warknął Nubakow. Bał się, a oni nawet nie dali mu szansy...

Mate rozsiadł się za pulpitem sterującym pracą kilkunastu spiętych ze sobą komputerów.

Świat wokół Nubakowa zaczął się przekształcać. Znalazł się w altanie otoczonej ogromną ilością kwiatów, spośród których najwięcej było wielkich, czerwonych i pachnących piwonii. Na kamiennej ławeczce czekały jeszcze dwie osoby.

- Witam kolegę - wyciągnął rękę opalony typ w dresie. - Jestem Udo Feutchwagen, trener

futbolowy.

Nubakow odwrócił głowę.

- Widział kolega?! - zaperzył się Udo, zwracając się do przystojnego bruneta. - Nie chce z nami gadać!

- Zostawmy go, to cham - z godnością podsumował Banis Latauskas, litewski Casanova.

Najpierw zniknął Udo. Potem Banis. W końcu przyszła pora na Nubakowa. Ogród wokół altany zastąpiła ciemność. Wyłoniła się z niej sala telewizyjna z kilkudziesięcioosobową publicznością, aparaturą, kamerami i oślepiającym studyjnym światłem. Pośrodku sali przechadzała się Eva Ivkova. Taka, jaką chciała być: piękną, zgrabną blond Czeszką, prowadzącą najbardziej popularny talkshow w... właśnie, gdzie? Czy Ivkova w pełni uświadamiała sobie swoją sytuację? Czy jeszcze kontrolowała wizję?

- Witaj, doktorze! - zawołała. - Wszyscy jesteśmy niezmiernie ciekawi, jak udaje ci się łączyć pobyt w CWM z pracą zawodową? Czy nie żałujesz swojej decyzji?

- Evo - powiedział Nubakow. - Już czas, żebyś zażyła lekarstwa.

Uśmiech zniknął z twarzy Ivkovej.

- Nie - powiedziała z nagłym uporem dziecka, zupełnie nie pasującym do niedawnej inteligentnej prezydentki. - Nie, nie, nie!

- Proszę cię, zażyj lekarstwo, w przeciwnym przypadku ZUS będzie musiał cię ubezwłasnowolnić.

- Co ty robisz, idioto?! - Twarz Mate'a Grichowsky'ego pojawiła się na tle sklepienia sali telewizyjnej.

- Wykonuję swoją pracę, Mate. A ty mi przeszkadzasz.

- Miałeś dać przekaz Susan! Miałeś jej powiedzieć, że jest chora!

- Susan nie jest chora - spokojnie odparł Nubakow.

Twarz Mate'a wykrzywił grymas złości.

- To ty jesteś chory, Mate, i Eva Ivkova. Nadaję wam status oczekujących na rentę.

Susan biegiem wpadła do pokoju Ziemowita. Na środku pokoju zobaczyła smoka Jabberwocky'ego, który ział ogniem i podskakiwał na dywanie, jakby chciał rozdeptać wszystkich, którzy staną mu na drodze. Susan przebiegła przez hologram i rzuciła się do komputera. Szybko wprowadziła sekwencję cyfr kodu, który na specjalne życzenie ZUS otrzymali od przedstawiciela biura podróży.

- Na wypadek, gdybyście państwo zbyt długo śnili, co w trakcie Wakacji nie jest przyjemne i może niebezpiecznie wciągnąć.

Najpierw pojawiła się twarz Mate'a Grichowsky'ego, zła i złośliwa twarz psychotyka, któremu wali się świat. Sięgnął do niej poprzez ekran drapieżnymi palcami, ale kolejny ciąg cyfr spowodował, że Mate zapadł się w otchłań. Pustka ta przez chwilę opłotła też Susan i wtedy zdało się jej, że lewituje wraz z krzesłem, stołem i ustawionym nanim komputerem w jakiejś próżni. Ale zaraz kontury hotelu Imperial zaczęły zarysowywać się jasnością biało otynkowanych ścian. Słońce rozblysło żółcią, a morze lazurem. Od gór powiał orzeźwiający wiatr. Dubrownik zalśnił średniowiecznymi murami, kolorowymi reklamami i tłumem spoconych turystów, przemieszczających się brukowanymi uliczkami.

Spojrzała w głąb pokoju.

Jej mąż, doktor Borys Nubakow spał niespokojnie w rozkopanej pościeli. Coś mamrotał, a pot spływał mu z czoła na oczy, lśnił na odkrytych ramionach.

- Borys! - podbiegła do niego. - Borys, obudź się! - i szarpnęła nim.

Jęknął i otworzył oczy. A kiedy zobaczył nad sobą jej twarz, odetchnął głęboko. Objęła go i przytuliła.

- Już dobrze, już dobrze, kochany - szepnęła. - To tylko sen. Wciąż jesteśmy na WAKACJACH.

ROZDZIAŁ V

Ksiądz-brat Antoni Nieznanowicz przeszedł przez furtę Hospicjum Ducha Nieśmiertelnego (gdzie zeskanowano mu siatkówkę oka, pobrano odciski palca, zbadano grupę krwi i stan trzeźwości) i ruchomymi chodnikami przemieścił się w stronę Centrum Informatycznego CWM, zajmującego trzy wielkie, oszklone hale Wrót Świętego Piotra, w których nieustannie pracowało na najwyższych obrotach tysiąc trzystu księży inżynierów, obsługujących kilkanaście tysięcy komputerów. Po drodze kupił w bufecie drożdżówkę i kawę z mlekiem i dużą ilością cukru. Przeciskając się wzdłuż szpaleru komputerów pozdrowił kilkunastu znajomych księży. Z wiadomych przyczyn nie zaprzyjaźniał się zbyt z personelem Hospicjum, ale żeby nie wzbudzać podejrzeń musiał mieć kilku znajomych, z którymi uczestniczył w okolicznościowych nabożeństwach, procesjach i szkoleniach (teologicznych i technicznych) organizowanych przez Konsorcjum oraz Saint Augustin Pharmaceutic University.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, księżo Stanisławie - Antoni zajął miejsce w fotelu obok korpulentnego księdza o czerstwej, zdrowej cerze, z wiecznym rumieńcem na wydatnych policzkach. Antoni wiedział, że w osobie księdza Stanisława Konsorcjum ma lojalnego wyznawcę. Nawet nie próbował go namawiać do zmiany poglądów, zresztą nie takie miał tutaj zadanie.

- Na wieki wieków - odparł ksiądz Stanisław. - I niech będzie pozdrowiony ksiądz prezes - dodał.

- Amen - Antoni skinął głową i usiadł w wygodnym, lotniczym fotelu. - Co dzisiaj mamy?

- Nic ciekawego - wzruszył ramionami ksiądz Stanisław, sięgając po sztangielkę z masłem, żółtym serem, szynką i pomidorem. Ugryzł kęs i odparł z pełnymi ustami: - Pokłuta.

- Nie rozumiem. Kto pokłuty? - zapytał rozbawiony Antoni.

Zniecierpliwiony ksiądz Stanisław machnął ręką, przełknął kęs niczym indyk, aż grdyka podskoczyła mu w górę i w dół, a oczy wyszły na wierzch. Szybko więc chwycił litrową butelkę napoju grapefruitowego i duszkiem wypił niemal do połowy. Dopiero wtedy odetchnął głęboko i powiedział zdyszany.

- Przecież wyraźnie mówię: pokuta.

- Aha, pokuta - powtórzył ksiądz Antoni. - A kto ma dziś pokutować?

- Niejaki Bartosz Woźniak, doktor UJ.

- Czy za życia napisał coś przeciw Konsorcjum?

- O nie, to informatyk. Woźniak rozpracował program Czyściec i doniósł o tym władzom UZŚ.

- Przypominam sobie teraz - pokiwał głową Antoni. - Wtedy w Hospicjum była kontrola inspektorów UZŚ, a ci z ABP wściubiali nochale w każdy zakamarek. I co, Woźniak umarł?

- Zresetował się, głupek - zachichotał ksiądz Stanisław. - Jakby po tym, co sam odkrył nie wiedział, komu dostanie się jego dusza.

- Nie chce mi się wierzyć, żeby ktoś o takim umyśle mógł być jednocześnie tak bardzo pozbawiony wyobraźni.

- Ksiądz coś sugeruje? - chytrze zapytał Stanisław wwiercając małe oczka w Antoniego.

Czyżby się czegoś domyślił, przemknęło Antoniemu, ale zaraz zdał sobie sprawę, że postawa księdza Stanisława wynika z jego zwykłej, ludzkiej złośliwości.

- Myślę, że skoro Woźniak się zresetował, to potrzebował raczej lekarza orzecznika i Pielęgniarki.

Ksiądz Stanisław wybuchnął tubalnym śmiechem.

- Dokładnie! - po czym rozejrzał się, nachylił do księdza Antoniego i powiedział konfidencjonalnie.

- A wie ksiądz, że ksiądz Jan Maria zajął się teraz jednym orzecznikiem i jego asystentką?

- Dlaczego? Przecież ZUS robi swoją robotę. W niczym nam nie wadzi - ksiądz Antoni nie dał poznać po sobie nagłego zainteresowania.

- Okazuje się, że jednak wadzi - szeptał ksiądz Stanisław. - Zabrali się nie za tego człowieka, co trzeba.

- Jak to: nie za tego, co trzeba? Jeśli nie jest chory, z pewnością to odkryją...

- Nie o to idzie - machnął ręką ksiądz Stanisław. - Sęk w tym, że ten człowiek robi ważne rzeczy dla Konsorcjum.

- Jakie?

- Podobno to dzięki niemu mamy cały software do Czyścica. To geniusz wirtualnego realizmu.

- Co ksiądz powie - odparł ksiądz Antoni i zamyślił się. A więc tak się mają sprawy. To nie sam haker, ale Konsorcjum...

- Kto go ma?

Ksiądz Stanisław wskazał głową stanowisko trzy fotele dalej.

- Ksiądz Jan Maria - powiedział krzywiąc się z niesmakiem. Czyżby nie lubił księdza Jana Marii? Dlaczego? Antoni niestety nie znał go osobiście. Ale z pewnością go poznam, dodał w myślach.

- No to zabieramy się za doktora Woźniaka - powiedział na głos.

- Amen - ksiądz Stanisław chciał sięgnąć po sztangielkę, ale rozmyślił się. Stęknął i dźwignął się z fotela.

- Nim zabierzemy się za duszę, trzeba dać ulgę ciału fizycznemu - stwierdził i pobiegł w stronę toalet.

Ksiądz brat Antoni założył gogle. Szybką sekwencją kodu wszedł do tajnej komnaty. Jego kod był priorytetowy, więc znalazł się tam niemal natychmiast. Drzemiący na stołku przy drzwiach człowiek zerwał się na równe nogi.

- Hasło!

- *Ut unum sint* - wymienił tytuł jednej z encyklik Jana Pawła II.

- Dobrze. Proszę mówić.

Antoni w jednym zdaniu zarysował agentowi ABP niewesołą sytuację doktora Woźniaka. Wskoczył z komnaty w ostatniej chwili.

Kiedy zdjął gogle stwierdził, że ksiądz Stanisław toczy się z powrotem między rzędami komputerów. Dlaczego on nie używa Baxtersona? Kto go tam wie. Jak mam dotrzeć do Jana Marii? Kiedy tak się zastanawiał, przyglądając się księdzu Janowi Marii, ten czując na sobie wzrok

odwrócił się i spojrzał w oczy Antoniego. Najpierw uniósł brwi w niemym pytaniu i jakby niedowierzaniu. A potem wysnuł wnioski. Pochopne wnioski. Twarz rozjaśnił mu bardzo miły uśmiech, a prawe oko lekko, prawie niedostrzegalnie się zmrużyło. O Boże!, pomyślał ksiądz brat Antoni. Tylko nie to, proszę!

Ale zaraz uświadomił sobie, jak dogodnie okoliczności podsunął mu los (bo chyba w tym przypadku Bóg nie miał z tym nic wspólnego) i w jaki sposób dotrze do lekarzy orzeczników. Ksiądz Jan Maria pochylił się nad klawiaturą.

KIM JESTEŚ? pojawiło się na ekranie przed Antonim. Pytanie znikło, ale pozostał adres.

ANTONI - odpisał.

A JA VITE.

VITE? MYŚLAŁEM, ŻE JAN MARIA.

DLA PRZYJACIOŁ WCIAŻ JESTEM VITE. VITE VLODARCZYK.

- No i jak leci? - zasapany ksiądz Stanisław klapnął w fotelu i od razu sięgnął po sztangielkę.

- Jeszcze nie zacząłem - Antoni szybko zerwał kontakt z Janem Marią vel Vite Vlodarczykiem. -

Pisałem zaległe raporty.

- No to zacznijmy w końcu, bo zadadzą nam pokutę.

- Racja. Ale nim zaczniemy, mam do księdza taką delikatną sprawę... - szepnął Antoni.

- Tak? - Stanisław nie potrafił ukryć nagłego, chorobliwego zainteresowania.

- Czy mógłby ksiądz pożyczyć mi dwie TWW. Wczoraj zużyłem cały swój zapas.

- Oczywiście, oczywiście - ksiądz Stanisław był zawiedziony.

Dzięki Ci Boże za Tabletki Wzmacniające Wiarę, pomyślał w chwilę później ksiądz brat Antoni, połykając specyfik. Tylko bowiem dzięki nim mogę robić to, co robię, bez wyrzutów sumienia. Dzięki Ci Panie. Amen. Amen. Amen.

ROZDZIAŁ VI

Wyszli z hotelu Imperial i wtopili się w tłum turystów.

- Dlaczego akurat Dubrownik w środku sezonu? - zapytała Susan.

- Mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia - odparł Nubakow.

- Myślisz, że nadal śnimy? Przecież wprowadziłam kod - Susan zawiązała kolorową chustkę na głowie i założyła okulary przeciwsłoneczne.

- Kod jest dla zwykłych Turystów. My jesteśmy na Wakacjach z ramienia firmy. Nie zapominaj o tym.

- Ale o kogo może chodzić?

- O Pawła Saskiego. Nie pamiętasz? Tego chłopaka z Lipskiej.

- Borys, a cóż siedemnastoletni Tubylec mógłby robić w cwm-owskim Dubrowniku?

- Mam wrażenie, że to jest jego sposób na ucieczkę.

- Myślisz, że i on, podobnie jak Grichowsky, znalazł się w posiadaniu klucza do CWM?

- Jestem tego pewien. Założę się, że kiedy rodziców nie ma w domu, Saski wchodzi do CWM.

- I jeszcze zdążyłby robić tyle wygaszaczy?

- To genialny dzieciak. Żal mi go. Powinien dostać zgodę na zresetowanie życia. Jestem pewny, że wystąpi o to zaraz po ukończeniu osiemnastu lat.

- Ale jeśli damy mu rentę...

- Nie chcę dawać mu renty - zaczął Nubakow, ale przerwał i chwycił Susan za ramię. - Patrz! Tam, pod katedrą świętego Vlahy!

Susan zobaczyła Pawła Saskiego, z plecakiem i w okularach przeciwsłonecznych, który szybkim krokiem przemierzał ulicę. Wyminął grupę miłośników sztuki zasłuchanych w pełen patosu wywód przewodnika i ruszył w kierunku portu.

- Chce wejść na jakiś statek - Nubakow gestem pokazał Susan, żeby nie wychylała się zza pleców turystów.

- Po co? - zapytała Susan - Przecież i tak nie zdąży nigdzie popłynąć przed powrotem rodziców.

- Ale stworzy sobie nową sytuację przed kolejnym wejściem. Nie wiem dokładnie, jak to działa. Przed Mate'em Grichowskim i Pawłem Saskim nie miałem przypadków złamania kodów CWM. Ale sporo mówił o tym Pete Jablonowsky. Podobno inni orzecznicy już zetknęli się z takimi przypadkami.

- Dopiero teraz Nubakow wyskoczył zza pleców wycieczki umarłaków. Kilkoma susami dopadł chłopaka.

Paweł nawet się nie bronił, wyglądał na zbyt przerażonego.

- Widzę, że wiesz, kim jestem - stwierdził Nubakow.

Dobiegła do nich Susan.

- Da mi pan rentę, doktorze? - Paweł klapnął na stromych schodkach wąskiej uliczki, prowadzącej do portu.

Zamiast odpowiedzieć, Nubakow zapytał:

- Chcesz się zresetować? Chcesz jechać na Wakacje?

- Pan to wie - chłopak ściągnął okulary i dopiero teraz Nubakow zobaczył w jego oczach łzy.

- Ja już dłużej nie mogę - stwierdził Paweł. - Liczę dni do osiągnięcia pełnoletności, jak żołnierz dni do cywila. Jestem bardzo, bardzo zmęczony...

- I chory - dorzucił Nubakow. - Ale w tym przypadku za zasadne uznać muszę odstąpienie od egzekucji rentowej. Według mnie Wakacje będą dla ciebie zdrowszym wyjściem. Ale musisz obiecać mi, że do momentu resetu, ani razu nie wejdiesz już do CWM.

- Będzie to trudne, ale postaram się - pokiwał głową chłopak. - Zgoda, doktorze.

- No to wynoś się, ale już!

Paweł Saski, wciąż nie mogący uwierzyć we własne szczęście, zaczął zniknąć. Jeszcze przez chwilę na bruku zalśniły jego czarne przeciwsłoneczne okulary, ale po chwili i one rozplynęły się w powietrzu.

- Mam dość - stwierdziła Susan. - Zmieńmy klimat.

- Jeszcze raport. Zapomniałaś?

- A potem może ktoś zlituje się nad nami i da nam kilka dni wolnego.

Upał stawał się nie do wytrzymania. Turyści pod katedrą Sv. Vlahy wycierali pot z twarzy mokrymi chustkami, pili łączywie wodę mineralną z plastikowych butelek i wachlowali się złożonymi wpół przewodnikami. Czy aż tak wielu ludzi marzyło o zwiedzaniu Dubrownika w środku sezonu?, zastanowiła się Susan. I czy wszyscy chcieli roztapiać się w lipcowym słońcu? Umarli są dziwni. Powielają rzeczywistość swojej ziemskiej egzystencji, zamiast kreować nowe, fascynujące światy. Ale do tego potrzebna jest wyobraźnia i fantazja, a większość ludzi jest ich pozbawiona. Umarli są tak samo prości, jak za życia.

- Idziemy na wzgórze Srd. Tam jest punkt kontaktowy - powiedział Nubakow.

- Muszę się czegoś napić - Susan wskazała automata z zimnymi napojami.

- Co chcesz?

- Spritea.

- Sprite i coca-cola - Nubakow zwrócił się do automatu. Automat posłusznie wydał im napoje, oczywiście nie żądając w zamian zapłaty. Nim dotarli na szczyt wzgórza Srd, jeszcze dwa razy zatrzymywali się przy automatach.

- Nie przyszło ci do głowy po prostu pomyśleć o dostaniu się na szczyt? - zapytała Susan.

- Oczywiście, że tak, ale jaki miałoby to sens?

- Sens? A jaki sens ma ta męka?

- Wydaje się nam, że czujemy, że naprawdę żyjemy.

- To w czym właściwie nasza sytuacja różni się od tubylczego życia w livie?

- Tym, że tutaj mamy całkowity wpływ na swoje istnienie. Zależni jesteśmy jedynie od własnych marzeń i niczego, ani nikogo, nie musimy się obawiać.

- Z wyjątkiem świetlistego tunelu - przypomniała Susan.

- Owszem. Ale czy jest sens przejmować się czymś, na co nikt nie ma wpływu? Świetlisty tunel w CWM to jakby burza, sztorm lub lawina w livie.

Dotarli na szczyt. Pete Jablonowsky już na nich czekał. Siedział na kamiennej ławeczce, zdając się całą uwagę poświęcać kontemplowaniu widoków.

Czy rzeczywiście jest to najlepszy jasnowidz ZUS? Po raz któryś zastanowił się Nubakow. Być może. Faktem było, że Pete trafiał potencjalnych kandydatów do renty w stosunku 9:10.

Ciężko klapnęli na ławeczce obok Petea.

- Piękne miasto - powiedział jasnowidz.

Spojrzeli na Dubrownik. Mieli przed oczami czworoboczny półwysep z miastem, opasanym rzędem potężnych murów obronnych i fortyfikacji. Dostrzegali patrycjuszowskie pałace i wieże kościołów, a także masywne baszty i bramy, stary port i nowoczesne plaże. Całość wtapiała się w błękitne, lipcowe niebo i spokojną toń Adriatyku. A w oddali, w bezmiarze wód, zieleń się wysepka Lokrum. Wszystko to jednak zdawało się być zastygłe w południowym upale.

- Wiem, że jesteście zmęczeni stresem, ale praca czeka.

- Czy nam się nie należy parę dni urlopu? - wtrąciła Susan. - Jest coś takiego w umowie o pracę, o ile dobrze pamiętam. URLOP - przeliterowała.

- Jesteście przecież na Wakacjach - Pete wysilił się na ironię.

Susan obdarzyła go jadowitym spojrzeniem.

- Teraz musimy zająć się Vite'em Vlodarskym - wyjaśnił Pete.

- To on istnieje? - zdziwiła się Susan.

- Oczywiście. Miałas przebicia z rzeczywistości. Może to jakiś rodzaj jasnowidzenia, nie wiem, ale wyczułaś, że zetkniesz się z Viteem.

- Mniejsza z tym - machnął ręką Nubakow. - Dawaj namiary. Pewnie Kraków i co dalej?

- Kazimierz. Miodowa. Wejście przez sieć energetyczną. Odbiornik to komputer.

- Komputer? Bułka z masłem - stwierdził Nubakow. - Gość nie używa komputera?

- Od kiedy wszystkie pornosy ma na Holo-DVD.

- Kolejny zboczeniec seksualny - skrzywiła się Susan.

- Być może z dodatkiem schizofrenika.

- Depy, psychole i dewianci, ech, jak mi się marzy kulturalny wieczór w operze.

- No - Pete poderwał się z ławki - to tyle. - Zrobił kilka kroków. - Aha, zapomniałbym, jeszcze rata.

Dubrownik drgnął.

- Co? - zapytał Nubakow.

Pete uśmiechnął się - dziwnie, jakby ze współczuciem. Lub ironią.

I Dubrownik zniknął.

ROZDZIAŁ VII

Susan rozejrzała się.

- Nigdy nie lubiłam tego ogrodu. Nie wiem, dlaczego.

Nubakow wzruszył ramionami.

- To chyba kwestia skojarzeń - rozprostował nogi i oparł się o kamienne oparcie ławeczki, stojącej w klasycystycznej altanie. Wokół mieli kwietny ogród otoczony wysokim, kamiennym murem. Zapach piwonii i róż aż dusił.

- Przesadzają z woniami - Nubakow potarł nos.

Furta w kamiennym murze otworzyła się i ponownie pojawił się Pete Jablonowsky, ale tym razem w towarzystwie młodego i dość przystojnego mężczyzny o smutnej twarzy. Różnica polegała też na tym, że teraz zarówno Nubakow, jak i Susan dobrze wiedzieli, że Pete nie jest najlepszym jasnowidzem ZUS-u.

- Witam państwa ponownie - wyciągnął dłoń. - Czy państwo pamiętacie szczegóły kontraktu, czy mam je przypomnieć?

Nie od razu odpowiedzieli. Przyglądali się młodemu człowiekowi.

- Mamo, tato - coś w rodzaju uśmiechu zagościło na smutnej twarzy.

- Ziemowit! - Susan podbiegła do syna i chciała chwycić go w ramiona.

- Ostrożnie! - Jablonowsky zatrzymał ją zdecydowanym ruchem dłoni. - Proszę usiąść - sam zajął miejsce w altanie, a z teczki wyciągnął jakieś dokumenty.

- Państwo Susan i Borys Kamiensky-Nubakow. - Przeczytał. - Wasze zlecenie z roku 2107 brzmi: Wakacje Czynne, wcielenie w role lekarzy-orzeczników ZUS, tropiących poprzez CWM potencjalnych rencistów. Stopień niebezpieczeństwa III, częsty kontakt z psychopatami, częste zmiany scenerii zdarzeń. Odpłatność za Wakacje w ratach, płaconych każdego dziesiątego dnia stycznia, co pięć lat przez syna Ziemowita. Czy wszystko się zgadza?

To zawsze jest nieprzyjemne, pomyślał Nubakow. Pomimo widoku Ziemowita.

- Czy naprawdę musimy przechodzić przez tę idiotyczną procedurę?

- Niestety - spojrzał na niego Jablonowsky. - Tak firma B.K.B. - CWM zastrzegła sobie w umowie.

Nubakow zrozumiał, że teraz lepiej nie myśleć. CWM miało w tym miejscu władzę nawet nad myślami umarłych. W gruncie rzeczy sami byli częścią Wielkiej Świadomości CWM. Miał nadzieję, że nie na Wakacjach.

- Tak, wszystko się zgadza - powiedział na głos.

- Dobrze - Jablonowsky zamknął teczkę z dokumentami. - W takim razie zostawiam państwa z synem.

Wyszedł z ogrodu przez furkę.

- Co u ciebie, kochanie? - z troską zapytała Ziemowita Susan.

- To ciekawe, że pytasz, mam - Ziemowit spojrział smutnym wzrokiem.

- Zawsze pytam...

- Właśnie! Zawsze pytasz! Ale kiedy wybieraliście się na Wakacje, wcale nie pytaliście mnie, co sądzę o tym, że moi rodzice postanowili się zabić...

- Ależ to nie tak, dziecko!

- Mamo, od pięćdziesięciu lat nie jestem już dzieckiem. Jestem dojrzałym mężczyzną, który w normalnym XX-wiecznym społeczeństwie byłby już co najmniej na półmetku życia. Mam swoje pragnienia i marzenia.

- Nie rozumiem, synu, do czego zmierzasz - Nubakowowi niechcący wyszedł protekcyjny ton.

- Borykam się z ciężką chorobą depresyjną od pół wieku. Jestem strasznie zmęczony i też chciałbym udać się na Wakacje. Chcę zresetować swoje życie.

Zapadła cisza.

- Cóż - odezwał się w końcu Nubakow. - Wiedzieliśmy, że prędzej czy później do tego dojdzie. Myślałem jednak, że powalczysz dłużej.

- Nie mów tak, Borys - poprosiła Susan. - Nie mamy prawa go oceniać.

- Wybrałem już termin - zgarbiony dotąd Ziemowit wyprostował się, jakby zrzucił z siebie jakiś ciężar. - W przyszłym miesiącu ruszam na Wakacje. Mam nadzieję, że się spotkamy, może w tym waszym Dubrowniku albo na Majorce.

- Ktoś musi płacić raty - przypomniał Nubakow.

- Będzie robił to bank, ale niestety nie wystarczy już pieniędzy na Czynny Wypoczynek.

- Jak to: nie wystarczy? Przecież odłożyłem odpowiednią kwotę, z zapasem na wiele pięcioleci.

- Musiałem trochę pożyczyć na swoje Wakacje.

- Pożyczyć?!

- Tato, nie rozumiem cię. Zawsze lubiłeś leżeć do góry brzuchem na plaży. Pamiętam, jak jeździliśmy nad morze w livie. Nie przepadałeś za wycieczkami, czy zwiedzaniem zabytków, coś dopiero mówić o uganianiu się za psychopatami lub chorymi na astmę.

B.K.B. przerwała projekcję, pomyślał Nubakow, żebyśmy sami wyjaśnili tę kwestię z synem. Nie, raczej odwrotnie. Żeby on wyjaśnił ją z nami.

- Zresztą z obliczeń wynika - ciągnął Ziemowit - że i tak wkrótce przyjdzie wasza kolej na świetlisty tunel.

- Skąd wiesz, że będzie świetlisty? - burknął Nubakow. Własny syn pozbawił go radości istnienia!

- Idź już - powiedziała Susan. - Tata jest zdenerwowany. Kiedy udasz się na Wakacje zajrzyj do nas. Ci z B.K.B. będą wiedzieli, gdzie nas szukać.

Ziemowit wstał

- Nie mam złudzeń co do was - stwierdził. - I zamiast do zobaczenia, powiem żegnam.

- Synku! - chciała coś powiedzieć Susan, ale Ziemowit odwrócił się i wyszedł przez białą, kamienną furkę.

- Nie złość się na niego - zdążyła powiedzieć Susan do Nubakowa, nim świat wokół nich zaczął się przekształcać.

- Uff, znowu upał - Susan wsparła się na łokciu i ponownie spojrzała na Nubakowa.

Leżał na kocu przy niej, a słomkowy kapelusz zsunął mu się na oczy.

Grupka śmiejących się dzieci przebiegła obok, bosymi stopami rozpryskując piasek na opalone ciała plażowiczów. W oddali pobłyskiwało morze. Ale nie był to Dubrownik.

- Co tym razem? - zapytała Susan.

- Majorka - mruknął strzepując piasek z włosów.

- Co to znaczy?

- Nie zadawaj głupich pytań, kochanie. To znaczy, że nasz rodzony syn załatwił nas w taki sposób, że do końca naszego czasu w CWM będziemy wylegiwać się na jakichś plażach, zwiedzać zabytki, albo ewentualnie zrobimy sobie podróż do przyjemnych chwil dzieciństwa. Czynny wypoczynek się skończył. Rozumiesz? Miło było, ale się skończyło!

- Nie bądź zbyt surowy dla Ziemowita. Męczył się strasznie, pracując dla jakichś drani.

- Wiedział dla kogo pracuje, mógł zarabiać na własny rachunek.

- Jak Paweł Saski?

- Nie wykręcaj kota ogonem.

- Wiesz przecież, że od dzieciństwa był taki wrażliwy. Cały czas miałam wyrzuty sumienia, że zresetowaliśmy się, zamiast pomóc mu w życiu.

- Pomóc? Miał już prawie 40 lat. A my po 200. Mieliśmy prawo odpocząć, zresztą wkrótce i tak dopadłaby nas DTC.

- Depresja Trzeciego C nie ujawnia się u wszystkich. W gruncie rzeczy wciąż mało wiemy o życiu baxtersonowym.

Po chwili milczenia odezwał się Nubakow.

- Wiesz Susan, to głupie, ale właściwie wciąż nie potrafię sobie przypomnieć, co robiłem w livie. Ani co ty robiłaś.

- Ja też - zastanowiła się Susan. - Chyba robiliśmy coś strasznie nudnego.

- Chyba tak - przeciągnął się. - Przyniesiesz colę?

- Dobrze - Susan wstała z koca i ruszyła w stronę kolorowego baru pod palmami.

Nubakow patrzył na jej idealnie zgrabną sylwetkę. Cóż, pomyślał, teraz będę mógł codziennie postanowić sobie, że zakocham się w niej od nowa. Jak Bill Murray w Andie MacDowell. Nasza Wieczność Świstaka. Ostatnio, przez Czynne Wakacje, niewiele też mieli czasu na seks. B.K.B. starało się bardzo, aby jak najbardziej wypełnić im czas, wiecznie ścigali kolejnych chorych i nadawali im status rencistów. A swoją drogą, ci z B.K.B. są naprawdę dobrzy. To były bardzo realistyczne przeżycia. Prawdziwy czynny wypoczynek.

ROZDZIAŁ VIII

Mate Grichowsky dopiero teraz, po raz pierwszy od pięciu godzin, pozwolił sobie oderwać palce od komputerowej klawiatury. Odchylił głowę i z zamkniętymi oczami oparł się w wygodnym fotelu. Plecy miał zdrętwiałe, a twarz i ramiona mokre od potu.

Niewiele brakowało, pomyślał, skurwysyńsko niewiele. Udało się tylko dzięki temu, że ona tak bardzo pragnęła dziecka. Żałosna, sentymentalna gęś! Ale nie, raczej dobra, głupiutka gąska... pić mi się chce.

Po omacku, nie otwierając jeszcze oczu, sięgnął po puszkę ciepłego piwa. Upił łyk i wypluł na dywan.

- Świństwo!

Stęknął, podniósł się i powlókł do kuchni. Wrócił stamtąd z nową, oszronioną puszką Tepeesia (Tyskie Prędkość Światła), klapnął na sofę.

- Holowizor - powiedział.

- Jaki program? - zapytał holowizor.

- Tchnienia Namiętności - wymienił tytuł wenezuelskiego serialu, który oglądał z zupełnie sobie niezrozumiałych przyczyn od pierwszego odcinka, czyli już sześćset pięćdziesiąt siedem razy.

Na środku pokoju pojawiła się Juanita i klęczący przed nią z wielkim bukietem kwiatów Ortega.

- Juanita! Przysięgam, że to już nigdy się nie powtórzy! Wróć do mnie, proszę!

- Nie wiem, Ortega - zasłoniła oczy Juanita. - Moja mama i mój tata, a także moja siostra Conchita i brat Sergio mówią, że jesteś nicponiem!

- Hehehe, nicpoń - zaśmiał się Mate i pogroził Ortedze palcem.

Zadzwoił wideofon i na ekranie pojawił się Vite Vlodarczyk.

- No, Mate, muszę przyznać, że ten grofilm będzie wspaniały. Gra „Zostań papieżem” będzie hitem. Złudzenie doskonałe!

- Normalka - wzruszył ramionami Mate.

- Właśnie przelewam pieniądze na twoje konto. A właściwie, gdzieś ty się podziewał przez całe popołudnie?

- Miałem sprawę do załatwienia. Chyba wymyśliłem nowy program, ale muszę go dopracować. Mniejsza z tym.

- Ciekawe. Jak już to dopracujesz, wiesz gdzie się zgłosić. A teraz premia. Tradycyjnie zapytam: co mógłbym jeszcze dla ciebie zrobić?

- Skoro już o tym wspomniałeś, to poproszę o to, co zwykle.

- Czternaście czy piętnaście? A może trzynaście?

- Pozostańmy przy czternaście. A właściwie nie, tym razem niech będzie dwa razy po czternaście.

- Drogo kosztują mnie te prezenty dla ciebie. W dzisiejszych czasach znalezienie czternastki graniczy z cudem. A ty chcesz jeszcze dwie. Ale dobrze, dobrze. Dla ciebie wszystko, mój geniuszu. - Twarz Vitea Vlodarczyka znikła z ekranu.

Mate dopił piwo, zsunął się z sofy i popędził do łazienki. Czas wypocząć, pomyślał, łykając przed wejściem pod prysznic dwie tabletki Baxtersona.

- Czynn timer wypocząć - dodał na głos i roześmiał się.

Dwie godziny potem siedział na łóżku i przyglądał się, jak dwie czternastki z powrotem nakładają dzinsy i adidas. Miały już właściwie wszystko na swoim miejscu, prawie kobiety, tyle że zminiaturyzowane. Tylko to spojrzenie. Stare, zmęczone, nie pozostawiające złudzeń, co do całej tej średnio wyrafinowanej gry, którą toczyli z Vite'em Vlodarczykiem. Mate nawet nie starał się zapamiętać imion dziewcząt, nie odpowiedział im na pozornie wesołe: - Cześć Mate! - kiedy wychodziły. Znowu pobiegł pod prysznic.

Postanowił wstąpić do „Galaktyki Oriona”, swojej ulubionej knajpy z virtual reality. Zawsze wybierał stolik z widokiem na góry. Tam klimatyzacja serwowała mroźne podmuchy wiejące od Kasprowego, a głośniki krzyk orła kołującego gdzieś nad turniami, głos świstaka wśród gołoborzy i stukot kopyt stada kozic na przełęczy. Tak, opłacało się przejechać te kilka przecznic do „Galaktyki Oriona”.

Wyszedł na ulicę i wskoczył na ruchomy chodnik. Jestem jak ptak z ujebanymi skrzydłami, pomyślał. Właściwie ujebanie to musiało nastąpić na wysokości kilkuset metrów i teraz lecę głową w dół, prosto na pysk, żeby rozwalić sobie dziób o ten ruchomy trotuar. Z żurawia staję się papugą. Kiwam łbem, przestępuję z nogi na nogę i powtarzam w kółko to, co chcą, żebym powtarzał. A chcą, żebym robił im realistyczne programy, do których mogą sobie wejść, jak do CWM, ale z których, w przeciwieństwie do CWM, mogą również wyjść. Robił złudzenia dla tchórzy. Albo narcyzów, tak bardzo kochających to swoje codziennie ulepiane przez Baxtersona ciało, wołających je od bezcielesnej cielesności niby-życia. Tylko co tak naprawdę jest tym niby-życiem? Świat w którym krwawisz, napychasz kiszki ciałami obcymi, onanizujesz się i robisz śmierdzące gówna, czy czysty świat spełnionych marzeń?

Nie mam prawa nikogo krytykować, stwierdził po chwili. Sam nie jestem lepszy. Godzę się na złudzenia, udaję, że jestem pedofilem i mnie to podnieca. A przecież wiem, że te niby-dziewczęta mają po sto pięćdziesiąt lat, a zawodowymi kurwami są od stu trzydziestu. Czy naprawdę mógłbym to zrobić z czternastolatką? Kurwa mać, co za absurdalny opór! Przecież królowie i książęta w średniowieczu wciąż bzykali dzieci. To co, wtedy żyli sami pedofile? Dziewczęta osiągały wiek sprawny mając czternaście lat i całe społeczeństwo myślało, że to jest okay! A niechby której przyszło do głowy postawić się rodzinie i pięćdziesięcioletniemu panu młodemu! Dostałaby pasem cnoty po dupie! Ech, mniejsza z tym. To teoria, to uwarunkowanie kulturowe. Przez takie dywagacje Mate stracił kiedyś żonę. Jak w serialu „Tchnienia namiętności”, głupim, wenezuelskim kiczu. Moje życie to kicz. Jestem jak ptak z ujebanymi skrzydłami! Oczywiście nigdy nie miałem w łóżku czternastki, ani nawet szesnastki. Ci z ZUS-u zresztą dobrze o tym wiedzą, ale w dobie CWM stosuje się działania prewencyjne. Tyle że myśl to jeszcze nie czyn. Nie oglądali „Raportu mniejszości” czy co, kurwa mać? Czy można karać za myśli? Już tak. Sami sobie są winni. Gdyby nie zaczęli tej akcji, gdyby się odpieprzyli...

Obejrzał się. Jego dwie czternastki śledziły go. Bo przecież nie mogły zupełnie przypadkowo jechać ruchomym chodnikiem aż dziesięć przecznic w tym samym kierunku. Zrobił jeszcze kilkanaście kroków, wszedł do jakiegoś sklepu i wyszedł z nienacka. Niemal wpadł na nie - jak one miały na imię? Nicoll i Colette, czy coś takiego, francuskiego.

- Mate! - ktoś wołał go z drugiej strony ulicy.

To Vite Vlodarczyk w stradolocie; czarnej, dużej limuzynie, wiszącej kilkanaście centymetrów nad ziemią i dudniącej na niskich obrotach.

- Mate!

- Coś jest nie tak, Vite - mówił podchodząc. - Coś jest nie tak z tymi panienkami... Zaraz Vite, od kiedy ty, kurwa, nosisz koloratkę?

- Od zawsze, durniu - warknął Vite. - Jeszcze się nie zorientowałeś, dla kogo robisz grofilmy?

- O kurwa...

- Lepiej się zamknij i uciekaj idioto! Namierzyli cię!

- Kto?

Vite zaklął, widząc, że dziewczynki szybkim krokiem przemierzają ulicę i idą w jego kierunku. Zagrał silnik chrystlera i i stradolot wzbił się w powietrze.

- ZUS, idioto! - zakrzyknął Vite i pomknął w kierunku sklepienia Kopyły.

ZUS? Coś ci się popytało, Vite. ZUS to ja wychujałem bez mydła.

Dziewczynki zawróciły i wciąż odwracając się i śmiejąc - nie wiadomo, czy do siebie, czy z

niego - odchodziły.

- Hej, poczekajcie! - krzyknął Mate i ruszył za nimi. - Musimy sobie coś wyjaśnić!

Zaczął biec, ale nie potrafił ich dogonić. Jak Iwan Bezdomy profesora Wolanda na Patrijarszych Prudach, przysły mu do głowy fragmenty „Mistrza i Małgorzaty”. Wbiegli w ciemne uliczki Kazimierza, a potem dziewczynki z nienacka skręciły w bramę. Mate stanął niezdecydowany. Tym razem przypomniało mu się „Nie oglądaj się teraz” z „Makabresk”. Dupa tam, kurwa, pomyślał i wkroczył do mrocznej sieni. Ciężkie odrzwia zatrzasnęły się za nim głośno.

- Halo! - zawołał. - Gdzie jesteście?

- Oj Mate, Mate - usłyszał głos w ciemności. - Trzeba zawsze wyciągać wnioski z mądrych książek.

Mate rzucił się do włącznika światła. Namacał go drżąca ręką i przekreślił staroświecką konstrukcję, jedna, słaba żarówka anemicznie rozjaśniła się.

- Jak to...? - wyjęczał, patrząc na Nubakowa i Susan.

- Normalnie - wzruszył ramionami Nubakow. - Znalazł się ktoś sprytniejszy i bardziej utalentowany od ciebie. Rozszyfrował twój program.

- Kto?

- Książ.

- Zalewasz, doktorku - szepnął Mate i zrezygnowany usiadł na drewnianych, skrzypiących schodach.

- Proszę, nie dawajcie mi renty. Rzucę to wszystko i zresetuję się.

- W twoim przypadku istnieją poważne obawy, co do twojej prawdomówności.

- Ja naprawdę...

- Obudź się, Mate.

- Nie, proszę!

Ktoś mocno szarpał go za ramię.

- Obudź się, Mate Grichowsky!

Otworzył oczy. Najpierw zobaczył swoje ręce na klawiaturze komputera, a potem mnóstwo umundurowanych facetów z policji zusowskiej, którzy przerzucali jego rzeczy. A naprzeciwko siedział jeszcze jeden facet, po cywilu, w okrągłych okularkach, trzymający na kolanach teczkę z dokumentami.

- Panie Grichowsky - powiedział spokojnym, wręcz kojącym głosem. - Jestem doktor wykonawca Marian Paleczny, specjalista psychiatra i seksuolog. Na podstawie dokumentacji zebranej przez zespół dywersyjny ZUS, w składzie świętej pamięci doktora Borysa Nubakowa i świętej pamięci doktor Susan Kamiensky muszę uznać pana za chorego na poważne zaburzenia na tle seksualnym oraz paranoidalnym.

- Zaraz, chwileczkę! O jakich dowodach pan mówi? Te panienki przecież...

- Liczą się intencje i pragnienia - spokojnie przerwał mu doktor Paleczny. - Po to właśnie istnieje program „RENTA DLA KAŻDEGO CHOREGO”, żeby zapobiegać najgorszemu. To działanie prewencyjne. Szczepionka dla społeczeństwa. Dlatego nie ma sensu opierać się, panie Grichowsky. Nadaję panu rentę inwalidzką I stopnia, przydzielam Pielęgniarkę oraz odpowiedni zestaw leków. Państwo zatroszczy się o pana.

Ksiądz brat Antoni Nieznanowicz wstał grubo przed świtem. Cicho wymknął się do łazienki, pozostawiając w łóżku śpiącego mężczyznę. Szybko łyknął trzy TWW zamknął oczy i poczekał, aż specyfik zacznie działać.

Po chwili poczuł, że to, co robił i jeszcze miał zamiar zrobić, było słuszne i jedynie prawdziwe, i że jednocześnie czyn ten stanie się wielce pouczający, ba, nawet terapeutyczny dla księdza Jana Marii. Bóg nienawidzi wszystkich zbrodniców, którzy pożądamy wbrew naturze ludzi własnej płci. Należy się ich wystrzegać, ale także, powołując się na miłość chrześcijańską, należy ich leczyć z tego strasznego przekleństwa, aby uniknęli ognia wiecznego. A czyż dobry ojciec nie uderzy rzemieniem krnąbrnego syna? A czyż dobra matka nie zamknie nieposłusznej córki w ciemnicy? Czasem tylko wstrząśnienie wydobywa na wierzch esencję zalegającą na dnie.

(Boże, dzięki Ci za TWW! Dzięki Ci, bowiem mogę zrobić to, co zrobię!)

Cóż, ksiądz Jan Maria lekkomyślnie zadurzył się w obcym mężczyźnie, duchownym, z którym powinny łączyć go jedynie więzy braterskiej, chrześcijańskiej miłości. Ponadto zdradził wielkie konsorcyjne tajemnice, przez co inni zadziałali na szkodę maryjnej korporacji, a człowiek ważny otrzymał rentę, Pielęgniarkę i leki, przez co stał się zupełnie bezużyteczny. Ksiądz Jan Maria poniósł słuszną karę, będąc oddelegowany z sali kontaktów do kaplicy dla zwiedzających Hospicjum. Ale jeszcze musi dowiedzieć się, że zbrodnic nie może liczyć na wierność kochanka.

Ksiądz Antoni narzucił sutannę i wyjął z teczki wcześniej napisany list. Informował w nim księdza Jana Marię, że porzuca go dla innego i że ich związek nie był oparty na miłości. To powinno wstrząsnąć księdzem Janem Marią, to był jego rzemień boży i boża ciemnica. Nie ma zmiłowania dla zbrodniców, dopóki nie zrozumieją swoich błędów, nie padną na kolana i nie uderzą się w piersi!

(Boże, dzięki Ci za TWW!)

Ksiądz Antoni szybko wyszedł z mieszkalni, którą przez ostatni miesiąc dzielił z Janem Marią, zwanym w aktach operacyjnych Konsorcjum agentem inżynierem Vite'em Vlodarczykiem i wtopił się w mgłę poranka. Ruszył w stronę kościoła św. Ojca Rydzyka na poranne nabożeństwo.

Doktor Borys Nubakow uznał, że widział wystarczająco dużo. Wychodzę, pomyślał, a Susan wprowadziła sekwencję kodu. W ułamku sekundy porwany został z kinkietu mieszkalni do swojego gabinetu w cwmowskim budynku ZUS-u.

- To straszne - powiedział kilka chwil później, siedząc w fotelu z Tepeesiem w dłoni (niby nie wolno im było pić w pracy, ale niech ktoś udowodni, że to piwo jest piwem). - To straszne - powtórzył - co TWW robi z mózgiem człowieka. Praktycznie rzecz biorąc powinniśmy nadać rentę wielebnemu Antoniemu, naszemu wybawcy.

- TWW po to właśnie zostało wymyślone przez tych z Saint Augustin? - Odparła Susan. - Żeby całkowicie blokować sfery logiki, ukierunkowywać umysł na myślenie dogmatyczne, urojeniowe, a także konfabulacyjne. Najgorsze dla nas jest to, że uzależnia. Wkrótce będziemy mieli nowy rodzaj narkomanów.

- Ale ten ksiądz - pokręcił głową Nubakow. - Oni nie powinni mu byli pozwolić...

- Wolałbyś leżeć sobie na Majorce ze świadomością, że zostałeś wyrolowany przez własnego syna?

- My nigdy nie mieliśmy syna.

- A chcieliśmy - szepnęła Susan, odwracając wzrok.

- Pamiętam, ale ty byłaś zaręczona z Januszem.

- Ale on odszedł...

- A ja byłem, zawsze.

- A ty byłeś - powtórzyła, podeszła i pocałowała go w usta. - Śmierdzisz piwkiem.

- I na dodatek nie wiem, dlaczego, ale chciałem, żeby poszło mi do głowy - odstawił piwo i ruszył w stronę drzwi. - Pójdę się przewietrzyć.

- A ja skończę raport.

- Kocham cię - powiedział, wychodząc.

I ja cię kocham, usłyszał w głowie już na korytarzu. Wyjechał na dach biurowca, wsiadł do stradalotu i wzbił się w powietrze. Zapragnął dowiedzieć się, jaka jest pogoda pod Kopułą. Oczywiście będzie taka, jaką zechcę. Przez chwilę zastanawiał się, a potem dokonał wyboru.

Wyleciał przez śluzę i zobaczył popołudnie pełne słońca, ale cieniste; ciepłe, ale nie duszne; lekko wietrzne, natlenione, rozedrgane długimi cieniami liści, nasycone kształtami chmur, udających pasma górskich szczytów i przełęcze i kotliny albo oceaniczne archipelagi, spowite mgłą parki jurajskie; pełne powietrza, oddychania, senności i ciepłego światła.

Światło sierpniowe. Światło dobrej śmierci, za którą jest ciąg dalszy.

Iwona Michałowska

Arka

Urodziłam się w 1970 w Poznaniu. Studiowałam na UAM - hispanistykę i anglistykę. Piszę od zawsze. W 1995 roku zdobyłam nagrodę w konkursie księgarni „Kapitałka” za opowiadanie *Prawdziwe imię*. Debiutowałam w 1998 roku w „Feniksie” opowiadaniem *Konstelacja*; tamże opublikowałam lepszy *Atlas dla pionierów*. Inne publikacje to m.in. *Skarb*, *Absolut* („NF”), *Solista*, *Pożeracz* („SFera”), *Czarny płaszczyk* („SF”). Napisałam powieść dla dzieci *Winniczek i uzurpatorzy*, którą mam nadzieję wkrótce wydać.

Udzielam się jako krytyk literacki w „CZF” i „Innych Planetach”, w przeszłości sporadycznie w „NF”, a wkrótce w „F&SF”.

Pracę zaczynałam jako nauczyciel angielskiego i hiszpańskiego, co nadal w pewnym stopniu praktykuję, ale obecnie zajmuję się głównie tłumaczeniem literatury. Przetłumaczyłam m.in. dwa monumentalne dzieła Ayn Rand, *Źródło* i *Atlas zbuntowany*. Współpracuję też z wydawnictwami jako redaktor i recenzent.

Uwielbiam ambitną, filozoficzną fantastykę - Greg Egan, Iain Banks (z i bez „M”), Philip Pullman - ale mam też słabość do cyklu o Harrym Potterze... Prócz tego Mroźek, Dostojewski, Borges i wielu innych, choć czasu na czytanie ciągle za mało.

Do napisania *Arki* skłoniła mnie refleksja nad znaczeniem języka w rozwoju i przetrwaniu ludzkiej cywilizacji, ale rozbudowało mi się to w coś większego - zmagania formy z deformacją, ducha z materią. Nie popieram filozofii Platona - jego koncepcja wzorca po prostu pasowała mi do pomysłu.

Stałem na rozległej, smaganej wiatrem równinie. Tu, wewnątrz murów cmentarza, dmuchało trochę słabiej, ale i tak stróż wciąż przechadzał się między alejkami, podnosząc poprzewracane wazy i zapalając znicze. Może po prostu mu się nudziło.

- Był pan przyjacielem pana Rublowa? - zapytał, zatrzymując się obok mnie.

Cmentarz był niewielki, złożony z kilkudziesięciu mogił. Tylko na niektórych nagrobkach widniały nazwiska.

- Większość jest pochowana tam. - Zrobił ruch głową w kierunku zamkniętego obszaru byłej kopalni i uśmiechnął się, błyskając złotym zębem. - Tu leżą tylko ci biedacy, którzy jeszcze żyli, gdy ich stamtąd wyciągano.

Był dość stary, by dobrze pamiętać tamte czasy.

- Czy on... czy Pablo - użyłem hiszpańskiego imienia Rublowa - dowiedział się przed śmiercią, że jego dziennik został odczytany?

Stróż wzruszył chudymi ramionami.

- Pewnie i tak by tego nie zrozumiał.

Ruszyłem w stronę bramy. Podreptał za mną.

- Nie wygląda pan na Rosjanina - odezwał się. - Ach, tak - przypomniał sobie - przecież on wcale nie był Rosjaninem. A właściwie to kim był?

Uśmiechnąłem się. Minęło tyle lat, że spokojnie mogłem mu powiedzieć całą prawdę.

* * *

Czy zastanawialiście się kiedyś, co łączy słowo z jego znaczeniem? Ja też nie. Dopóki wiązania nie zaczęły pękać.

- Murzyn - powiedziałem tamtego dnia. - Coś się dzieje ze słowami.

Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- Niby co?

Wzruszyłem ramionami.

- Sam chciałbym wiedzieć. Czasem jakby się koło mnie prześlizgiwały.

- Zawsze byłeś roztargniony, Kojot.

- To nie to. Z innymi jest tak samo. Dzisiaj trzy razy musiałem powtarzać babie w sklepie, że chcę pół chleba i mleko.

- I co, masz to mleko?

- Mam.

- To dawaj, bo kawa stygnie.

- Co?

- Kawa. Stygnie.

- Stygnie. Aha. Proszę.

Tydzień później Murzyn nie była już taka pewna, że fantazjuję.

- Wiesz - mówi - listonosz wczoraj nie przyszedł. Dzisiaj przysłali innego gościa. Podobno

tamten się upił i nie poroznosił listów. Ciekawe, bo tyle lat chodzi po tych melinach i jeszcze go nie widziałam pijanego.

- Amnezja?

Pokręciła głową.

- Twierdzi, że adresy były niewyraźnie napisane.

- Masz jakąś teorię?

Skrzywiła się.

- Wiesz, co to jest afazja semantyczna?

Pokręciłem głową. Sądząc z nazwy, musiało to być coś skomplikowanego.

- Niezdolność do kojarzenia słów z desygnatami.

No i miałem rację.

- Co ją wywołuje?

- Wrodzone lub udarowe uszkodzenie mózgu.

- Odpada. To musi być jakiś wirus.

- Atakuje nas czy słowa?

- Nas, słowa, rzeczy. Nie wiem.

Przejechała dłonią po blacie stołu.

- Zauważyłeś, że rzeczy właściwie nie istnieją, póki się ich nie nazwie? Weźmy na przykład ten stół. Ktoś kiedyś wymyślił i zbudował prototyp. Ale dopiero nadanie nazwy sprawiło, że nie trzeba każdego stołu wymyślać od nowa. Słowo stało się matrycą do tworzenia kolejnych egzemplarzy gatunku.

- Chcesz powiedzieć, że zapominając słowo, zapominamy istotę rzeczy?

- Czekaj no... Któryś ze starożytnych filozofów głosił istnienie niematerialnych, wzorcowych form wszystkich rzeczy i stworzeń. Wyobraź sobie formę do ciasta w kształcie stołu. Gdy mówię „stół”, moje słowo wlewa się do tej formy, tężeje i mamy gotową rzecz. - Popukała palcem w blat.

- A teraz? Myślisz, że coś atakuje słowa, nim wpadną do form?

- Może tak... A może ktoś dziurawi formy i wypuszcza substancję.

- Kto?

Uśmiechnęła się krzywo.

- Bezimienny.

* * *

Tabl. 2: Bilans ludności

Wyszczególnienie	rok 20##	rok 20++
	(w tys.)	(w tys.)
Stan ludności w dn. 1.1	34.925	34.866
Urodzenia żywe	321	b.d.
Zgony	350	b.d.
Saldo migracji zagranicznych na pobyt stały	-30	b.d.
Stan w dn. 31.12	34.866	ok. 27.500

* * *

Nim zobaczyłem w telewizji Fritza Reubera, formy stały się dziurawe jak sito. Listonosza dawno już zdjęto z drzewa, na którym dyndał, i pochowano pod płotem. Murzyn i ja jakoś się trzymaliśmy, bardziej siebie nawzajem niż czegokolwiek innego.

Natrafiłem na ten program przypadkiem, przerzucając kanały jak małpa.

- Panie profesorze - mówił prowadzący - przez wiele lat wykładał pan chemię na Uniwersytecie Buenos Aires, przyjął pan nawet argentyńskie obywatelstwo. Dlaczego nagle postanowił pan wrócić do kraju?

- Rząd Argentyny nie jest uczciwy wobec swoich obywateli ani wobec reszty świata. Jak pan zapewne wie, w południowej części kraju eksploatowane są bogate złoża andynu. Są to jedyne znane złoża tego metalu na świecie. Niestety, wciąż istnieje wiele niejasności związanych z jego właściwościami. Badania dają sprzeczne rezultaty. Uważam, że powinno się poczekać z komercyjnym wdrożeniem metalu do momentu jego dokładnego poznania. Tymczasem już od kilkunastu lat Argentyna bogaci się na sprzedaży andynu wysoko rozwiniętym krajom, nie troszcząc się o możliwe konsekwencje.

- Na czym polega atrakcyjność andynu?

- Jest to metal do złudzenia przypominający złoto, co czyni go idealnym elementem sztucznej biżuterii. Jest także wykorzystywany w przemyśle menniczym. Na przykład to - Reuber rzucił na stół monetę - zawiera około procenta czystego andynu. To niewiele, ale...

- Panie profesorze - przerwał Reuberowi spiker, patrząc gdzieś ponad kamerę - dostałem właśnie wiadomość, że mamy bezpośrednią relację ze światowego zjazdu kolekcjonerów szyszek. Dziękuję za rozmowę i obiecuję, że do niej...

Dalsze słowa zagłuszyła jarmarczna muzyka, a na ekranie pojawił się ryży pysk wiewiórki z szyszką w zębach.

Nie miałem wątpliwości - myślało mi się jeszcze dość jasno, choć i w tę sferę pomału wdzierał się chaos - że prowadzący otrzymał polecenie przerywania programu. Musiało to mieć związek z wątpliwościami Reubera wobec wspomnianego metalu, a może... Tak, prowadzący interweniował, gdy kamera rozpoczęła najazd na rzuconą przez naukowca monetę. A to mogło oznaczać tylko jedno: była to moneta, którą na co dzień posługiwano się w naszym kraju.

* * *

Fritz Reuber miał trzy obywatelstwa, ale jego polszczyzna była bez zarzutu. Nienawidził nosić przy sobie gotówki i niemal za wszystko płacił kartą.

- Dwueurówka - powiedział, gdy do niego dotarłem. - Jej wewnętrzny krąg składa się z dwóch warstw. Jedną stanowi mosiądz, drugą - stop zwany patagońskim złotem, otrzymywany z połączenia miedzi, glinu, cynku, cyny i andynu. Zawartość tego ostatniego w stopie wynosi trzy procent, co daje około procenta w skali całej monety. To niewiele, ale...

- Ale wystarczyło, by zdjąć pana z anteny?

- Zdziwiło mnie to - przyznał. - W Argentynie także nie wolno źle mówić o andynie, ale tam przyczyna jest oczywista. To biedny kraj, który dzięki eksportowi poszukiwanego metalu wydobyl się

z głębokiego kryzysu. Skoro jednak ta psychoza dotarła aż tutaj, może mieć głębsze podłoże.

- Od jak dawna jest pan z powrotem w kraju? - zapytałem.

- Trzy, cztery tygodnie.

- Nic pan nie zauważył?

Patrzył na mnie pytająco.

- Wie pan, że studiowałem polonistykę? - Mrugnął niepewnie. - Nie skończyłem. - Machnąłem ręką. - Stare dzieje. Ale umiałem się wysławiać. Nie byłem chaotycznym jakaś, jak dziś. - Dostrzegłem w oczach Reubera błysk zrozumienia. - To się stało w ciągu ostatnich miesięcy. Słowa uciekają, tracą sens... Pana to nie dotknęło, choć przecież...

- Wiąże pan tę przypadłość z andynem?

- Nie wiem. - Wzruszyłem bezradnie ramionami. - Ale musi ją roznosić coś, z czym większość ludzi ma na co dzień kontakt. Tyle że pan...

- Peso nie zawiera andynu - przerwał mi. - Argentyńczyków nie stać na ten luksus. Wszystko idzie na eksport - do Stanów, Europy, Japonii. Nadal jednak nie rozumiem, w jaki sposób metal mógłby powodować takie szkody. Gdybyśmy mieli do czynienia z silną toksyną, dawno by to wykryto. Z pewnością nie jest też promieniotwórczy...

Opowiedziałem mu wszystko.

- Chce mi pan powiedzieć, że przez andyn wycieka ze świata jakaś mistyczna substancja? - zapytał z powątpiewaniem, gdy skończyłem.

- Platon wierzył, że każda rzecz, każde zjawisko, ma swój niematerialny wzorec. Coś w rodzaju formy, z której rodzą się konkretne egzemplarze. Na przykład każdy stół jest pochodną idealnego, wzorcowego stołu. Im bardziej oddala się od wzorca, tym jest mniej „stołowaty”. Póki forma pozostaje nienaruszona, mamy punkt odniesienia, ale...

- Ale andyn psuje tę formę?

- Psuje, wypacza, dziurawi. Nie wiem. Coś z nią robi. Co pan wie o historii tego metalu?

Poprawił się w fotelu. To dobry znak, pomyślałem. Zaczyna traktować sprawę poważnie.

- Złoża odkryto kilkanaście lat temu. Początkowo łądzono się, że to złoto, ale po zbadaniu próbek okazało się, że natrafiono na nieznany dotąd metal. Ze względu na barwę i wytrzymałość wkrótce zaczęto go stosować do wyrobu biżuterii. Rząd argentyński dostrzegł w eksploatacji andynu szansę na podniesienie PKB i zmniejszenie bezrobocia, ale na korzyści trzeba było poczekać parę lat, podczas gdy budowa, wyposażenie i utrzymanie kopalni sporo kosztowały. Rozpisano więc przetarg na zarządzanie inwestycją i ostatecznie gospodarzem terenu został miejscowy przedsiębiorca Palo Negruda. Choć do konkursu stanęło wiele znanych koncernów, rząd w Buenos Aires postawił na rodzimy biznes i nie zawiódł się. Gospodarce Argentyny daleko wprawdzie jeszcze do ideału, w ciągu ostatnich kilku lat zanotowano jednak znaczną poprawę. Andyn jest eksportowany głównie do bogatych krajów i stosowany w różnych gałęziach przemysłu.

- A ten biznesmen... jak mu było?

- Negruda.

- Właśnie. Co pan o nim wie?

Wzruszył ramionami.

- Niewiele. Kilka razy widziałem go w telewizji. Staroświecki typ przedsiębiorcy: nie udziela wywiadów, nie tłumaczy się ze swoich działań, po prostu robi swoje i zarabia krocie.

- Ludzie sukcesu zwykle wzbudzają zainteresowanie mediów.

- Media nie ośmielią się zrobić nic, co mogłoby rozgniewać Negrudę. To nie Europa. Za obrażenie dobroczyńcy narodu można trafić za kratki - a zapewniam pana, że argentyńskim więzieniom daleko do standardów unijnych.

- Pomoże mi pan? - zapytałem.

- Jak?

- Trzeba się dowiedzieć jak najwięcej o tym... Negrudzie i o jego kopalniach. Spróbować dotrzeć do górników lub ich rodzin. Pan ma kontakty w Argentynie, zna pan hiszpański.

- Nie wiem, co spodziewa się pan znaleźć, ale spróbuję. I tak nie mam nic do roboty. Uczelnia obiecuje etat od października, a na razie... - Zawiesił głos.

Na odchodnym wręczyłem mu kilka arkuszy papieru.

- Co to jest? - zdziwił się.

- Samouczek języka migowego. Murzyn... moja przyjaciółka - wyjaśniłem jeszcze bardziej zaokrąglonym oczom - odkryła, że język głuchoniemych operuje raczej pojęciami niż konwencjonalnymi słowami. Jego znaki mają realny związek z tym, co opisują, więc trudniej jest zerwać nić wiążącą je z desygnatem. Może nam się przydać, gdy sytuacja się pogorszy.

Nasza rozmowa, rzecz jasna, nie przebiegała tak gładko, jak ją tu opisałem. Kształtowałem słowa olbrzymim wysiłkiem woli, chwytając sens spazmatycznie, jak tonący powietrze. Gdy opuściłem dom Reubera i szedłem pogrążoną w półmroku ulicą, zastanawiałem się, czy nie powinienem był pożegnać go bardziej wylewnie.

Zza rogu wyszedł nagle jakiś obwieś. Przestraszyłem się, ale to był tylko żebrak.

Dałem mu wszystkie swoje dwueurówki. Niech się chłop naje do syta i zapomni.

* * *

Historycy nie są zgodni co do rzeczywistych przyczyn i przebiegu ogólnoświatowego kryzysu, który nawiedził naszą cywilizację w roku 20++, szczególnie mocno dotykając kraje wysoko rozwinięte. Najbardziej popularna hipoteza głosi, że odkryty na początku XXI w. w Argentynie pierwiastek andyn, który kilka lat później zaczęto wydobywać na skalę przemysłową, zawierał niezidentyfikowaną toksynę uszkadzającą układ nerwowy. Stosowany powszechnie w produkcji monet metal doprowadził do degeneracji intelektualnej całych społeczeństw, powodując zapaść gospodarczą i śmierć z głodu, chorób i zaniedbania, a także w wyniku wypadków, zbrodni i samobójstw, około siedmiu milionów osób w Polsce i ponad pół miliarda na świecie. Z powodu tych statystyk zapaść bywa też nazywana złotą śmiercią - w nawiązaniu do epidemii „czarnej śmierci”, która w XIV w. pochłonęła 1/3 ludności Europy.

zobacz też: andyn, czarna śmierć

Wikipedia, wolna encyklopedia

* * *

„Milczenie jest złotem” - napisał ktoś sprayem na ścianie mojego bloku. Było to ostatnie graffiti, jakie pojawiło się w mieście.

Nakłady gazet spadały na łeb na szyję. Większość pism zresztą umarła śmiercią naturalną, bo nie było komu do nich pisać. Tylko „Klejdry z Fyrtla” nadal się jakoś trzymały. Czasem sięgałem po nie, żeby sprawdzić, czy jeszcze potrafię czytać. Podobnym ćwiczeniem były rzadkie listy elektroniczne

od Reubera. Oto, czego się z nich dowiedziałem.

Wykorzystując znajomość hiszpańskiego i zagadnień związanych z andynem, Reuber pokreślił się trochę po argentyńskich listach dyskusyjnych i uzyskał niepokojące informacje. Pisano, że ludzie, którzy udają się do kopalni andynu w poszukiwaniu pracy, muszą podpisać umowę co najmniej na rok. Przez ten czas nie wolno im opuszczać terenu kopalni, a telefoniczny lub listowny kontakt z bliskimi, choć dozwolony, przeważnie okazuje się niewykonalny - coś zniekształca głos w telefonie, e-maile są nieczytelne, a tradycyjne listy nie dochodzą. Po pewnym czasie górnicy w ogóle przestają dawać oznaki życia. Nawet ci, którzy się zarzekali, że idą do kopalni tylko na rok, nie wracają - a jeśli wracają, trudno nawiązać z nimi kontakt i szybko umierają. Osoby, które w ostatniej chwili zrezygnowały z podjęcia pracy, giną w niewyjaśnionych okolicznościach. Wciąż jednak wielu jest takich, którzy nie dając wiary pogłoskom, bądź nie mając z czego utrzymać rodziny, decydują się wyruszyć na południe.

Co do samego Negrudy, wydawało się, że nigdy nie opuszcza swojej posiadłości, położonej na terenie kompleksu kopalnianego. Cały jego obszar otoczony był drutem kolczastym i strzeżony tak pilnie, że do środka nie mogła się przedostać nawet mysz, nie mówiąc już o ekipie telewizyjnej. Wszystkie zdjęcia kopalni i samego Negrudy musiały być zatem kręcone przez kogoś z wewnątrz i przesyłane do stacji.

Pod koniec maja Fritz Reuber niespodziewanie pojawił się w moim domu.

- Jadę do Argentyny.

Dla mnie nawet jego przyjazd do Poznania był aktem heroizmu. Większość naszych rodaków zdążyła do tej pory cofnąć się do poziomu jaskiniowców.

- Właśnie dlatego - rzekł, gdy podzieliłem się z nim tą refleksją. - Próbowałem pisać do gazet, alarmować środowisko. Wszystko na nic.

- Co chcesz zrobić?

- Uniwersytet Buenos Aires zaprosił mnie na kongres. Jeśli w ogóle wpuszczą mnie do kraju - rząd Menona nie przepada za mną - wyrwę się na południe i powęszę.

Podobnie jak Reuber, Murzyn i ja staraliśmy się unikać kontaktu z andynem, więc nasz stan był względnie stabilny, ale substancja wyciekająca z otaczającego świata robiła wszystko, by nas za sobą pociągnąć. Wiedziałem, że podróż Reubera może być ostatnią szansą dla całej naszej trójki.

I nie tylko dla nas. Zachód cierpiał. Intelktualiści z całego świata masowo przenosili się do Indii, Meksyku, nawet Argentyny. Biedne kraje powoli stawały się bastionem cywilizacji. Laureat nagrody Pulitzera, Frank von Stein, od kilku miesięcy mieszkał na stałe w swojej letniej rezydencji na Barbados, twierdząc, że boi się wracać do Stanów, bo tam „coś rośnie”.

Jeśli ktokolwiek mógł coś w tej sprawie zrobić, to właśnie Fritz Reuber.

- Uważaj na siebie, Fritz - powiedziałem i tym razem uścisnąłem go porządnie. Gdy słowa się rozpadały, fizyczny kontakt pomagał odnaleźć sens.

- Wy też - rzekł, podając rękę Murzynowi. - Odezwę się, kiedy będę mógł.

* * *

Odezwał się po kilku tygodniach, gdy przepływ czasu znaczyły już tylko kreski na ścianie. Podniosłem słuchawkę. Poznałem głos, ale nie pamiętałem imienia. Wymamrotałem coś do mikrofonu.

- To on? - zapytała gestem Murzyn.

Skinąłem głową. Przyłgnęła do słuchawki, ale Fritz już się wyłączył.

Przyłożyła prawą rękę do serca, a potem uniosła palce w górę. Był to znak, który w języku migowym wyrażał nadzieję.

Mowa gestów jeszcze coś znaczyła, choć Bezimienny wdzierał się i w tę sferę. Coraz częściej czułem go też w swojej głowie. Próbowałem nie myśleć słowami, ale te kołatały mi się pod czaszką jak natrętne ptaki. Murzyn. Przytulić. Strach.

- Fritz - powiedziałem na głos.

Zmierzwiała mi włosy. Kiedyś nie pozwalaliśmy sobie na takie gesty. Teraz był to najpewniejszy środek komunikacji.

Dzwonił, żeby nas ostrzec, ale było za późno. Po jego wyjeździe nasz stan zaczął się gwałtownie pogarszać. Fritz już w Argentynie dowiedział się, że w Europie wprowadzono do obiegu monety jednoeuroowe i dwudziestocentowe z dodatkiem andynu. To one nas załatwiły.

Reuber prosto z lotniska w Buenos Aires pojechał autobusem do patagońskiego Rio Gallegos i zameldował się w hotelu, w którym nikt nie chce oglądać twojego paszportu, a duża liczba banknotów, najlepiej zielonych, stanowi najlepsze referencje. Fritz wolał miejscową walutę, ale na szczęście miał jej pod dostatkiem - na jakiś czas.

Wieczorem udał się do miejscowego baru.

- Pan to chyba nowy w tych stronach - zagadnął go barman, gdy był już po drugim drinku. Całe szczęście, pomyślał Reuber; po trzecim mógłbym nie zapamiętać tej rozmowy.

- Szukam pracy - powiedział. - Myślałem o kopalni.

- *Forastero?*

Machnął ręką.

- *Brasileño.* - Lepiej się nie zdradzać ze swoim pochodzeniem.

- Oni cały czas szukają ludzi - mruknął ponuro sąsiad Fritza, stary dziadek o pooranej zmarszczkami twarzy. - Nie jedź pan tam.

- Słyszałem, że to niebezpieczna praca - zaczął ostrożnie Fritz. - Ale muszę zarobić. Mam trójkę dzieci.

- Ja miałem piątkę, *coño!* - Dziadek walnął pięścią w stół. - Teraz tylko dwie córki mi zostały. Chłopaki poszły i przepadły.

- Niech pan go nie słucha - włączył się barman. - Staremu się klepki pomieszały. Dwóch synów stracił na morzu, a trzeci uciekł z domu i słuch po nim zaginął.

- Poszedł do kopalni - upierał się stary. - Z początku przysyłał dużo forsy.

- Pewnie opieka społeczna ci przysyłała, Sanchez. Twoja stara mówiła, że Nico uciekł do Buenos Aires, żeby studiować.

- Co ona tam wie! - rozeźlił się Sanchez. - Całymi dniami w kuchni siedzi albo w kościele. Co ta stara franca wie.

Po tych słowach zwałił się ze stołka i z hukiem wylądował na podłodze.

- Chleje na umór - powiedział barman do Fritza, gdy dwóch krzepkich młodzieńców próbowało postawić Sancheza na nogi. - Co wieczór tu przesiaduje.

Tego wieczoru Reuber nie dowiedział się nic więcej, choć wypił jeszcze trzeciego. Może dlatego nie zadał sobie pytania, skąd Sanchez ma pieniądze, żeby codziennie się upijać.

Mimo to, gdy wracał do hotelu, trzymając się blisko ścian, otrzymał odpowiedź.

Jakiś człowiek znalazł go nieprzytomnego na ulicy i wezwał pogotowie. Tym razem Fritz musiał pokazać paszport. Podróżował z polskim, bo po hecy ze spektakularnym wyjazdem z kraju rząd argentyński odebrał mu obywatelstwo. Reuber nie miał wątpliwości, że następnego dnia całe Rio Gallegos będzie wiedziało, iż skłamał, podając się za Brazylijczyka. Ale jakie to miało znaczenie? Złamany nos i poobijane ciało dość dobitnie wyrażały fakt, iż mieszkańcy Rio nie życzą sobie jego obecności w tym miejscu niezależnie od koloru paszportu. „Spier... stąd, szpiegu!” - krzyczeli, gdy leżał już na chodniku, zwijając się z bólu, a oni nadal przekonywali go kopniakami.

Minęło parę dni, nim doszedł do siebie. Cud, że nie złamali mu żadnej kończyny ani nie uszkodzili narządów wewnętrznych. Pewnie wiedzieli, jak bić, żeby nie napytać sobie biedy.

Musiał stamtąd jak najszybciej wiać. Po tym, jak zniknął z lotniska i nie pojawił się na kongresie, szukała go już zapewne policja w całym kraju. Wymknął się ze szpitala nocą, nadal obolały i pokiereszowany, ale już na siłach, by ruszyć w dalszą drogę. W hotelu zapłacił podwójną stawkę za przedłużenie pobytu i wsiadł w autobus zmierzający do wioski położonej o kilka kilometrów od bram kopalni. Wiedział już, że musi być ostrożniejszy. Najlepiej o nic nie pytać, udawać przypadkowego turystę. Negrauda musiał przekupywać okoliczną ludność, żeby dobrze o nim mówiła. Dzięki temu mieszkańcy Rio Gallegos mogli żyć we względnym dostatku, nie posyłając dzieci do kopalni.

Wieś Andino liczyła około tysiąca mieszkańców, wśród nich wielu Metysów. Reuber po drodze pozbył się walizki, zamieniając ją na plecak ze stelażem. Zakupił też namiot, śpiwór, solidne górskie buty i nieprzemakalną odzież. Musiał być wiarygodny. Poza tym już dawno nie miał prawdziwych wakacji, a zbliżająca się konfrontacja podsyciała w nim chęć ucieczki, choćby tylko parodniowej. Nim dojechał na miejsce, miał głowę tak wypełnioną planami, że niemal zapomniał o prawdziwym celu swego przyjazdu.

Biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich Fritz pisał swój dziennik, zadziwiająca jest liczba szczegółów i plastyczność opisu górskiej eskapady, przeplatanego wnikliwymi przemyśleniami na temat natury świata, życia i samego człowieka. Na tle andyjskich szczytów powstawał niezwykle traktat filozoficzny - dziś moja najdroższa pamiątka po Fritzu, być może ważniejsza niż jego relacja z późniejszych wydarzeń.

Zakwaterował się w jednym z kilku skromnych pensjonatów we wsi, która była już tylko cieniem dawnego prężnego ośrodka turystyki górskiej. Mieszkańcy byli małomówni i to mu odpowiadało. Zostawił na miejscu część rzeczy, informując gospodarzy, że udaje się na kilka dni w góry. Wątpił zresztą, czy rozumieją, co do nich mówi. Bliskość andynu była w tym miejscu porażająca. To dlatego zaczął pisać. Początkowo posługiwał się niemieckim; później zaczął szyfrować wiadomości. Szyfrem tak prostym, że mógł oszukać jedynie Bezimiennego.

Nie wiedział, co zrobi po zejściu w dolinę. Nie miał pojęcia, jak powstrzymać wyciek substancji ze świata. Patrzył na surowe piękno gór i zastanawiał się, czy następnego dnia będzie jeszcze umiał je nazwać.

W końcu musiał wrócić. Zszedł do innej wioski, nieco większej niż Andino, odgradzonej od kopalni wysoką ścianą gór. Zaszedłszy do miejscowego sklepu, dostrzegł na regale stołeczną gazetę ze zdjęciem uśmiechniętego Negraudy na pierwszej stronie. Kupił ją, choć kończyły mu się pieniądze. Wśród wyliczanki sukcesów Negrauda Mining natknął się na wzmiankę o niedawnym wprowadzeniu do obiegu jednoeurówek i dwudziestocentówek z domieszką andynu.

Wtedy do mnie zadzwonił.

Łudził się, że to zakłócenia na linii, albo że Bezimienny wysysa jego słowa, ale tak naprawdę wiedział, że zostałem odmóżdżony. A skoro ja, to inni tym bardziej. Nie miał już dokąd wracać. Kończyły mu się pieniądze.

Mógł zrobić tylko jedno.

Ja sam niewiele pamiętam z miesięcy, które nastąpiły potem. Jakieś strzępy, brud na klatce, siedzenie na trawie nad jeziorem, piasek na rękach, zapach chleba, ciało Murzyna. Kurczowo trzymałem się materii, bo tylko ona była realna, nawet jeśli nie potrafiło się określić jej przeznaczenia. Wszystko inne przeciekało przez palce. Czasem, w przeblyskach świadomości, wydobywaliśmy się na chwilę z tego bagna, raz ona, raz ja, rzadko oboje.

Pewnego ranka obudziłem się z myślą o Fritzu. Potem znów zasnąłem, ale on wracał, a razem z nim, w poszarpanych strzępach, wracała historia. Ale to Murzyn odezwała się pierwsza.

* * *

- Hej, Nando! Znowu jesteś w gazecie!

Fritz Reuber uniósł wzrok znad kawy i patrzył na stojących przy kontuarze mężczyzn. Jeden ze śmiechem wskazywał drugiemu stojak z gazetami.

- Już ze sto razy dawali to zdjęcie - mruknął drugi, ustawiony profilem do Fritza - a zapłacili tylko raz, do diabła.

- Aleś sobie chałupę wyremontował za te pieniądze - wtrącił trzeci mężczyzna.

Drugi obrócił się ku niemu, ukazując Fritzowi swoje oblicze w całej okazałości. Był to Pało Negruda.

* * *

Istnieje kilka teorii spiskowych związanych z epidemią „złotej śmierci”. Łączy je przekonanie, że zawarta rzekomo w andynie szkodliwa substancja była nieznaną bronią biologiczną lub nanotechnologiczną i została rozmyślnie wprowadzona do złóż lub wydobytego już metalu. Według jednej z wersji odpowiedzialność za skażenie ponoszą argentyńskie środowiska lewicowe, które postanowiły wykorzystać cenny pierwiastek w walce z moźnymi tego świata i własnym rządem. Wyposażeni w nowoczesną broń, prawdopodobnie zakupioną lub otrzymaną od Rosjan, argentyńscy partyzanci przeniknęli do kopalni i skazili metal. Epidemia pochłonęła 7% mieszkańców globu i 20% populacji krajów wysoko rozwiniętych (największy odsetek zgonów - około 50% - zanotowano w Japonii), lecz kilkuletnia sprzedaż andynu paradoksalnie uratowała gospodarkę Argentyny i wzmocniła pozycję dyktatora Antonio Menona, który sprawował władzę jeszcze przez 11 kolejnych lat, bezwzględnie tłumiąc wszelkie przejawy niezadowolenia społecznego.

zobacz też: dyktatury w Ameryce Łacińskiej

Wikipedia, wolna encyklopedia

* * *

- Kojot - powiedziała Murzyn.

- Murzyn - szepnąłem.

- Fritz.

- Argentyna.

- Andyn.

Wszystko wracało. Patrzeliśmy na siebie jak ludzie budzący się ze śpiączki, jeszcze skołowani, z dziurami w pamięci, ale świadomi, żywi, zdolni do kojarzenia podstawowych faktów.

Musiało jednak upłynąć wiele tygodni, nim zdarzenia minionego czasu z powrotem nabrały kształtów. Nikt nigdy nie odda nam całej prawdy, ale wydarliśmy Bezimiennemu dość, by opowiedzieć tę historię.

Fritz wyszedł z baru za Negrudą. Trzymał się w pewnej odległości od niego, dbając jednak o to, by nie stracić go z oczu. Zastanawiał się, co jest grane. Przecież Negruda, według wszelkich dostępnych informacji, mieszkał w rezydencji położonej w kompleksie kopalnianym, strzeżonym tak, że nawet mysz nie mogła się prześliznąć bez odpowiednich papierów. Poza tym - dlaczego tamten facet zwracał się do niego per „Nando”?

Coś tu śmierdziało.

Chałupa, do której wszedł Negruda, może i była wyremontowana, nadal jednak prezentowała się nad wyraz skromnie. Fritz odczekał chwilę, po czym ostrożnie podszedł do bramy, by zerknąć na tabliczkę z nazwiskiem. „Fernando Montero, Julia Savanetti” - przeczytał.

Fernando Montera. Nando.

W salonie paliło się światło, żaluzje nie były spuszczone. Reuber przyglądał się, jak rodzina Montera - przeciętna argentyńska rodzina - zasiada do obiadu.

Wszystko układało się w całość, choć nie była to całość, która podobałaby się Fritzowi. Chyba już wiedział, dlaczego Palo Negruda tak rzadko pokazuje się w telewizji.

Pojechał autobusem do Andino, a stamtąd ruszył pieszo w kierunku kopalni. Zatrzymał go patrol ochroniarzy.

- Tam nie wolno.

- *Busco empleo* - powiedział człowiek z plecakiem.

Zażądali dokumentów.

- Obywatel Europy? - Ochroniarz spoglądał na niego podejrzliwie. - Szuka pracy, tu?

Fritz wiedział, że drugiej szansy nie będzie. Musiał postawić wszystko na jedną kartę.

- To fałszywe papiery - powiedział, wbijając wzrok w ziemię. - Jestem Rosjaninem.

- Nazwisko?

- Paweł Rublow. - Niech będzie. Rubel kontra złoto Patagonii. - Pablo - dodał tonem wyjaśnienia.

- Nie podołasz. Cherlaków nie przyjmujemy.

- Umiem gotować - rzekł Fritz. - Na pewno potrzebujecie ludzi do kuchni.

Nigdy się nie dowiedział, dlaczego w końcu podwieźli go pod bramę, skąd pod eskortą zabrano go do biura rekrutacji, przetrząsając uprzednio plecak i zabierając wszystkie pieniądze i dokumenty. Pewnie spodobało im się, że przyjechał do nich z tak daleka.

* * *

Inną popularną teorią jest teoria arki, zwana też teorią kontrataku dinozaurów, w myśl której skażenie andynu nastąpiło przed milionami lat, a odpowiedzialność za nie ponoszą istoty zamieszkujące niegdyś Ziemię lub obca inteligencja, która zasiała na niej życie. Zwolennicy tej wersji odwołują się do legendy o potopie, który zniszczył prastarą, wysoko rozwiniętą cywilizację.

Ich zdaniem nasi poprzednicy, stojąc w obliczu zagłady, zbudowali arkę mającą przechować ich materiał genetyczny, by umożliwić odrodzenie się przedludzkiej rasy w odległej przyszłości. Nie ma zgody co do tego, czy skażone złoża andynu są jedynie środkiem, który miał posłużyć do oczyszczenia Ziemi z konkurentów, czy też jest to sama arka.

zobacz też: Erich von Daniken, epos o Gilgameszu, Nefilim

Wikipedia, wolna encyklopedia

* * *

Życie wracało do normy powoli, jakby świat budził się z głębokiego snu. Musiały minąć lata, nim osiągnęliśmy stan sprzed katastrofy, ale już miesiąc po tym, jak Murzyn przypomniała sobie swoją ksywkę, zaczęto zadawać pierwsze pytania.

Wyglądało na to, że politycy od dawna wiedzieli o wywoływanych przez andyn anomaliami. Bagatelizowali te doniesienia, ale na wszelki wypadek woleli unikać kontaktu z podejrzanym metalem. Nie zrobili natomiast nic, żeby ochronić przed nim społeczeństwo. Dopiero kiedy wszystko zaczęło się sypać, poszli po rozum do głowy. A może po prostu dowiedzieli się o tragedii w kopalni i postanowili ubić interes na rosnących gwałtownie cenach andynu. Dość, że stopniowo zaczęto wycofywać z obiegu zawierające go monety i zastępować je nowymi, w których andyn zastąpiło tradycyjne złoto nordyckie. Okazało się, że pokradzione przez Bezimiennego słowa powoli wracają na swoje miejsca. Nikt, rzecz jasna, nie wspominał o żadnym Bezimiennym, a zapaść duchową zachodniego świata przypisano alergii na andyn. Może zresztą była to prawda. Jak zwał, tak zwał. Kiedy jednakw Internecie opublikowano sensacyjny pamiętnik, który - choć napisany dziecinnie prostym szyfrem - cudem przetrwał na wyjałowionym z wszelkich znaczeń terenie kopalni, a po kilku dniach wydrukowały go wszystkie gazety, zaczęła wychodzić na wierzch cała skomplikowana historia.

Kiedy Fritz zorientował się, że Palo Negruda nie istnieje, wiedział, że musi rozwalić kopalnię od środka. Nie miał żadnego pomysłu, po prostu zdał się na żywioł. Dopiero w kuchni zaczął kombinować* Zaprzyjaźnił się z jednym z górników, prawdziwym Rosjaninem. Wszyscy, którzy pracowali na dole, nosili specjalne kombinezony i hełmy, dzięki którym unikali bezpośredniego kontaktu z metalem. Tamten Rosjanin, Sasza, przemycił dla Fritza bryłki andynu.

- Po co ci one, Pawka? - pytał. - I tak ich stąd nie wyniesiesz. Stąd nie ma wyjścia. Kto raz wdepnął, zostaje na zawsze.

- Zostaw to mnie, Saszka - mówił Fritz. - Powiedz, wierzysz w życie po śmierci?

Sasza wzruszał ramionami.

- Śmierć? A cóż to takiego? Za każdym razem, gdy zza drutów przychodzi ktoś nowy, dziwię się, że tam na zewnątrz jest jeszcze jakiś świat.

Fritz kruszył przyniesione przez Saszę bryłki i dyskretnie dosypywał do górniczych posiłków.

„Staram się podjadać w kuchni, a w stołówce unikać jedzenia - pisał w swoim zeszycie - ale męczy mnie już ta ostrożność. Po tym, co zobaczyłem, trudno jest wierzyć, że pozostało jeszcze coś z dawnego świata. Sasza ma rację: tam już nic nie ma. Ale tu mogę jeszcze walczyć. To moja prywatna wojna. Rozwalę Bezimiennego, uwolnię skradzioną substancję. Nawet jeśli zostanie po nas tylko jałowa ziemia, będę umierał z nadzieją, że kiedyś ponownie narodzi się tu życie”.

Wkrótce potem z kopalni przestały przychodzić transporty. Dział handlowy początkowo

próbował się tłumaczyć, obiecywać; potem i on zamilkł. Sprawa była delikatna i rząd argentyński długo starał się utrzymać ją w tajemnicy, mając importerów coraz bardziej niewiarygodnymi opowieściami i wysyłając do Patagonii kolejne oddziały wojska. W końcu imperium Negrudy zostało wzięte szturmem. Żołnierze wchodzili w głąb terenu, nie napotykając oporu - jedynie setki leżących bez życia ciał i drugie tyle snujących się bez pamięci pustych skorup ludzkich. Tylko nieliczni zachowali szczątki świadomości i mruzczyli pod nosem jakieś bezładne słowa.

Kopalnię zasypano - jej teren do dziś jest traktowany jako obszar klęski - a wokół zasieków z drutu kolczastego rozstawiono strażę. Wcześniej jednak, podczas porządkowania ogniska zarazy, natrafiono na pisany cyrylicą dziennik. Ministerstwo obrony przekazało go do rozszyfrowania naukowcom z Uniwersytetu Buenos Aires. Nikt nie wie, w jaki sposób tajny dokument przeniknął do Internetu, a stamtąd do prasy.

Dziennik właściwie nie był zaszyfrowany, a fakt, iż jego treść upubliczniono dopiero wiele miesięcy po katastrofie, należy przypisać działaniom argentyńskiego rządu, który za wszelką cenę starał się ukryć przed światem swoją wstydliwą tajemnicę. Ktoś jednak w końcu zdecydował się przerwać milczenie.

Fritz przez cały czas pisał po niemiecku. Podczas zmagania z Bezimiennym w górach, postanowił jedynie zastosować dzieciinną sztuczkę: zastąpił alfabet łaciński cyrylicą. To wystarczyło, by oszukać zabójcę form.

* * *

- Oto cała historia, dziadku. Fritz nie ujawnił w dzienniku swojego prawdziwego nazwiska. Nie zdradził też niczego, co mogłoby go wiązać ze mną, Murzynem lub kolegami z Uniwersytetu Buenos Aires. Oni jednak z pewnością domyślili się, czyje to dzieło, i postanowili opublikować dziennik, oddając w ten sposób hołd przyjacielowi.

- Niesamowita opowieść - stwierdził stary stróż i uśmiechnął się nostalgicznie. - Tylko żebyś jej nie zapomniał... Wszystko ostatnio zapominam, starość nie radość, *señor*. A na tym pustkowiu człowiek nawet nie ma do kogo gęby otworzyć.

- Niech się pan nie martwi, dziadku. - Poklepałem go po ramieniu. - Spiszę to wszystko i przyślę panu pocztą.

- Oby nie było za późno - mruknął do siebie dziadek, gdy odchodziłem w kierunku zaparkowanego za bramą samochodu.

Andyn z przetopionych monet wciąż krąży po świecie. Robią z niego biżuterię i sztuczne zęby.

Łukasz Orbitowski

Włócznia i nóż

Łukasz Orbitowski (1977), pisarz, publicysta, autor zbioru opowiadań *Wigilijne psy*, powieści *Horror show* i *Tracę ciepło*. Filozof z wykształcenia, zajmował się polskim nacjonalizmem, co porzucił natychmiast po obronie. Pracował jako dziennikarz w Polsce i robotnik w Stanach Zjednoczonych, do niedawna wielbiciel życia nocnego i dobrej zabawy, dziś człowiek rodzinny, a nawet usatkwony. Pisze opowieści niesamowite z silnym elementem obyczajowym, współautor fantastyczno-sensacyjnego cyklu opowiadań "Pies i klecha"(wraz z Jarosławem Urbaniukiem), etatowy kłamacz kilku polskich periodyków. Prywatnie szczęśliwy mąż, miłośnik horrorów, swoich kotów, sztangi i ławeczki. Mieszka w Krakowie.

„Włócznia i nóż” to odprysk krakowskiego życia nocnego, gdzie zabawa czasem oznacza poszukiwanie śmierci. Śmiech przez łzy jest oczywiście najweselszy, a niesamowitość rodzi się wszędzie, jeśli nie liczyć zabytków, wypełniających to miasto umarłych.

Teraz

Lubię legendy póki są żywe - a żyją, póki nie trafią w sieć, do gazet i książek. Żywe opowieści mówi się szeptem.

Na przykład tę o dziwnym człowieku, nawiedzającym imprezy. Nie licealne prywatki, ale prawdziwie rozpustne biby, gdzie dziwki tańczą na stołach, a ludzie palą heroinę. Przychodzi niespodziewanie, zna imiona wszystkich, a jest tak niepozorny, że można by skrócić mu kark splunięciem. Siada, mówi, a nawet milczy niepytany. Za nim przychodzą Inni. Ma wiele imion. Nazywają go Czeladnikiem, Skrajem, Ojcem albo Ostrzem.

Zabiera ludzi w podróż, zresztą, Inni zmuszają do wędrowania. Człowiek przeniesiony z zabawy jest, jego zdaniem, jedynym prawdziwym człowiekiem. Podczas wędrówki da nadzieję albo i odbierze, nie słyszałem jednak, aby kogokolwiek skrzywdził. Widywano go w Nowym Jorku, Meksyku, Rzymie, Barcelonie. Widywano go tutaj.

11.30-12.30

W życiu liczy się rodzina i dobra zabawa. Spotykaliśmy się raz do roku, najczęściej w lipcu. Mieliśmy lato stulecia. Nikt nie żałował, że nie widzimy się częściej. Przyjechałem pierwszy, Biały stał na progu, w samych slipach. Bez słowa zaprosił do środka.

Białemu się powiodło, nie tak jak mnie, ale przynajmniej nie zastanawiał się, czy może sobie pozwolić na kolejną półlitrówkę. Dochrapał się mieszkanka na Krowodrzy, ot, dziupli ze ślepą kuchnią i pokojem wielkości miejsca parkingowego. Wygląd pokoju dobrze oddawał charakter Białego: wersalka w rogu, fotelik z Ikei, obok szafa z ubraniami (marynarka i kłęb majtek), wreszcie, czterdziestocalowy król mieszkania zwisający ze ściany, w otoczeniu kolumn pokrytych drewnem i nieprzeliczonych stosów płyt DVD.

- Kiedyś tu umrzemy - powiedział Biały, niepotrzebnie, bo zawsze to powtarzał. Usiadłem przy wiatraczku. Wyjąłem dwa litry finlandii, woreczki z kokainą, wyłączyłem komórkę i pager. Czekaliśmy, aż się poschodzą. Biały puścił *Iwana Groźnego*. Był filmoznawcą i lubił takie rzeczy.

Czerwony przyszedł zaraz po mnie. Ten to się nie zmienia albo zmienia się ze światem - świat zaś jest niezmienny, mówi nam Czerwony. Miał bluzę z kapturem i czapkę z kosmitą, do tego obwisłe spodnie i wielki łańcuch, na którym można by uwiesić krowę, a nie pęk kluczy. Klucze ważyły chyba kilogram i kiedyś Żółty zapytał Czerwonego, po co mu one wszystkie, a Czerwony zaczął omawiać klucz po kluczu: te od mieszkania, piwnicy, salki prób, dziewczyny, matki, sklepu, gdzie pracował, sklepu, gdzie już nie pracował, dawno opuszczonych mieszkań i kobiet, a nawet punktu ksero na Akademii Górniczo-Hutniczej, którą Czerwony usiłował skończyć.

- Jak leci? - zapytałem.

Zrobił minę, jakbym zapytał go o sens życia albo kazał rozwiązać w myślach trudne równanie.

- No przecież! - burknął i zaraz się rozpromienił. - Umrzemy tutaj.

Wyłożył na stół litrową beherovkę, grudę haszyszu, sreberko z ziołem, dwa gramy amfetaminy

porcjowane po gram i pudełeczko po tik takach, w którym jednak nie było tik taków, ale tabletki ecstasy, które Biały natychmiast przesypał do salaterki. Czerwony usiadł i zaordynował zmianę *Iwana Groźnego* na coś bardziej ludzkiego. Chwilę później, Tom Cruise był już goniony i sam rozpoczął pościg, a Czerwony opowiedział, jakie to świetne mieli przyjęcie na festiwalu rocznicowym w Gliwicach, gdzie wystąpili ze Skaldami i Piotrem Rubikiem.

- Chciałem naszczać mu na buty ale się nie dało - rzekł Czerwony.

Trudno powiedzieć, z czego Czerwony żył, bo sklepu, w którym pracował, nikt nigdy nie widział. Wiadomo natomiast, że nie żył ze swojej pasji, czyli muzyki. Czerwony grał metal, kiedy chodziliśmy do liceum, by płynnie zmienić styl na grunge, potem hard core, brit pop, ostatecznie ciężki hip-hop z wpływami muzyki gitarowej i społecznymi tekstami. Żółty twierdził, że Czerwony tak naprawdę nie chce tworzyć, tylko grać i powinien objeżdżać kraj z tribute bandem, wykonującym utwory Queen albo Metalliki. Żółty był chory psychicznie i właśnie przyszedł. Podał wszystkim rękę i usiadł bez słowa.

- I co tam? - zagadnąłem.

Żółty obojętnie patrzył w ekran.

- Tom Cruise - odpowiedział.

Kiedy poznałem Żółtego - chodził do klasy rok wyżej - chciał podróżować, poznawać kobiety i pracować w administracji. Traf chciał, że Żółty pojechał do Chin, Indii i obu Ameryk, miłości życia miał tuzin, zaczął się w urzędzie miasta, po czym dopadła go cyklofrenia i Żółty poszedł na rentę. Wrócił do rodziców, nie wstawał z łóżka i udawał, że jest kotem. Kupił bezprzewodową klawiaturę i mógł grać na komputerze nie wstając. Latem biegał po mieście, obiecując ludziom cuda, w ramach nowego rozdania od Boga lub sił nieczystych. Roztył się od leków, zapuścił brodę, i zanurzony w fotelu Białego przypominał znudzonego patriarchę albo amerykańskiego proroka, którego wierni noszą na rękach i dają program w kablówce.

Przyniósł siatkę z Tesco, którą dopiero teraz otworzył. Wydobył czteropak żywca, butelkę wina i dwa paski antydepresantów. Rzucił je na stół bez słowa, zawahał się, wziął jeden i natychmiast zagryzł pigułką z salaterki.

Byliśmy przyjaciółmi od piętnastu lat, a choć nasze życia przebiegły odmiennie, spotykaliśmy się co roku w lipcowym skwarze, równi wobec siebie - każdy przynosił co miał, a nawet jeśli nic nie przyniósł, witaliśmy go jak brata, który wreszcie znalazł drogę do domu.

14.15 - 15.00

- Właściwie nie wiem, co się zmieniło - siedziałem pod ścianą, masując nasadę nosa. Tom Cruise zmienił się w Brucea Willisa. Co roku oglądaliśmy właściwie to samo. - Chodzę na wywiadówki, to jedno. Żona młodnieje. Nie wiem, jak to robi, ale młodnieje, suka, z roku na rok, jakby wiedziała, czego się obawiam - poczułem uderzenie wewnątrz siebie, w głowie coś rozbłysło. Zapaliłem jointa.

- Kiedy jemy następną? - zapytał Żółty.

- Mówię właśnie, że to miejsce ocaliło moje życie - warknąłem - a ty jedz, ile chcesz. Po to tu jesteśmy.

Czerwony przycupnął na stołku przytarganym z kuchni i próbował, z niemałymi trudnościami, wczuć się w rolę ochmistrza. Polewał drinki z finlandią, kręcił jointy, drobił kokę i kłócił się z

Białym, który utrzymywał, że trzeba by dodać do niej odrobinę amfetaminy, żeby starczyła na dłużej. Nachylił się do mnie:

- O czym ty mówisz?

O czym mówiłem? Ano o spotkaniu sprzed czterech lat, kiedy przyjechałem z Tarnowa, rozstawszy się właśnie z narzeczoną, dziś matką mojego dziecka, wżytą w karierę na tle nerwowym i kierowniczym szczeblu. Stawiłem się na niezłym wkurwie. Nie mieliśmy antydepresantów, bo Żółty jeszcze nie chorował, ani kokainy, bo byłem zbyt biedny. Żarliśmy pigułki, piliśmy z gwinta ciepłą wódkę, wciągaliśmy amfę zmieszaną ze sproszkowanym szkłem, a potem wyszedłem na balkon, krakowskie niebo płonęło srebrem gwiazd, mogłem niemal ich dosięgnąć, polecieć, ale czegoś do lotu brakowało. Stałem jakby obok wszystkiego, koledzy tarzali się po pokoju, tarzali dosłownie, naćpani po czubki krwawiących nosów i nagle w jarzeniowym blasku dragów pojąłem, czego potrzebuję. Była czwarta nad ranem, miałem wrażenie, że świecę, uścisnąłem przyjaciół i wsiadłem w taksówkę. Byle do Tarnowa.

Ania spała, miałem klucze, wśliznąłem się do mieszkania. Przytuliła mnie mocno, tak, że ten uścisk pamiętam do dzisiaj. Pocałowała mnie w policzek, zasypiała, „co ty wzięłeś?” zapytała, głaszcząc mnie po głowie, „co ty wzięłeś?”.

Czerwony pokiwał głową. Podsunął mi papierosy, dał ognia. Używał wielkiej zapalniczki w kształcie pistoletu, konkretnie, była to wierna replika beretty. Normalnie nie palę, ale w czasie corocznych spotkań odpalasz jednego od drugiego, schodzi kilkanaście paczek, w ogóle, schodzi dużo wszystkiego. Bruce Willis kogoś zastrzelił, Biały dołączył do nas, z oczyma jak dwie kule ziemskie. Zarzucił nam ręce na ramiona.

- Ech, panowie, z wami, to jak z wami, nie ma to jak... jest inaczej.

- Nie bierz prochu - przypomniałem sobie.

- A to dlaczego? - burknął Biały. Dłonie miał śnieżne.

- Bo proch to gówno.

- Sam siupiesz.

- Siupię z wami raz do roku. A ty wciąż siupiesz, oglądasz filmy i wciągasz krechy. To wyżera ci mózg.

- Ano - przyznał - lubię siupę. - I zaraz: - Panowie, z wami, nie ma to jak.

Staliśmy tak chwilę, nie długą, bo każdy odpłynął do swoich przyjemności. Biały naszykował sobie prochu i wciągnął ze świstem. Zaszła w nim przemiana, którą rozpoznałem.

- Pańcio! - zawył radośnie, wyrzucając ręce w powietrze. Zerwał się z podłogi i zaczął podskakiwać, wykrzykując jedno i to samo.

- Pańcio uważa, bo się Pańciu wypierdoli - ostrzegł Czerwony.

Biały miał zwyczaj określania swoich stanów narkotycznych, a Pańcio był pierwszą z postaci, w którą się wcielał, obłąkańczo radosną i przez to smutną do krwi. Ile miał tych figur, nie pamiętaliśmy, to było jak poczet królów na Rynku Głównym, każdy farbowany i przerażający. Te najstraszniejsze, szczęśliwie, ginęły w delirycznym mroku. Czerwonego tymczasem wzięło na refleksje - usiadł w drzwiach otwartego balkonu i zagadał:

- Myśleliście kiedyś o uzależnieniu?

Nie doczekał się odpowiedzi, więc mówił dalej.

- Jestem ciekaw, bo dużo o tym słyszę. Uzależnienie od porno, alku, prochu, seksu i tym podobnych. Dla mnie to bzdura, wiecie? Bo jest jedno uzależnienie, tylko tutaj - popukał się w głowę

- to uzależnienie od ukurwu, reszta jest wtórna, coś w tobie zmusza cię, żebyś się oderwał, to nie alkohol albo feta cię trzyma, ale całość, twój głupi łeb ciąży do tego, żeby przebywać w stanie odmiennym. My Polacy mamy wódę, Hindusi ziolo, a skurwiele kolumbijskie żują liście. To kwestia kultury, uzależnienie jest jedno, rozumiecie? Ja bym się upierdalał nawet butaprenem, gdyby niczego innego nie było, prościej pójść po wódkę, prawda? Dlatego nie udają się terapie, bo leczą tam akcydens, rozumiecie? Środek, a nie cel. Wyleczysz się z heroiny, to pójdziesz w ziolo i tak dalej, chwyacie?

- Ziolo cię nie zabije - odburknąłem.

Żółty powiedział, że trzeba zamówić pizzę. Coroczne zamawianie pizzy skłóciłoby Matkę Teresę z Ojcem Świętym. Przerzucaliśmy się ulotkami, pyskując, ile trzeba zamówić, z czym i właściwie po co.

- Bo widzicie - zaczął Żółty - nie można zapominać o jedzeniu, a że dzień jest gówniany, to będziemy żarli gówno w kartonie. Chwyacie?

Chwyciliśmy. Tak to z nami było.

17.00-18.15

Siedzieliśmy naprzeciw siebie, jakby stół pośrodku był kręgiem kamieni, popielniczka ogniskiem, a fajki kielbaskami. Czekaliśmy na pizzę, rozmawialiśmy o życiu i próbowaliśmy być dla siebie mili. Tylko Żółty milczał, wgapiony w wyświetlane ciurkiem teledyski z Internetu. Mówiłem to, co zawsze w takich chwilach: że bardzo kocham swoją żonę i dziecko, że praca mnie nuży, ale umiem się w niej odnaleźć, w ogóle, odnajduję się w życiu i też prawie je lubię, byłoby zupełnie inne gdyby nie wy, kochani koledzy.

Czerwony opowiadał o muzyce, jaki to kawałek zrobił, co za emocje w niego poupychał, a potem martwił się siostrą, młodszą o półtorej dekady zdzirą, która wpadła w złe towarzystwo i jeszcze się z tego raduje.

Zadzwoniła pizza.

- Dziwki ze Śląska! - ucieszył się Czerwony.

Biały poderwał się do drzwi. Za pasek, z przodu, zatknął sobie atrapę beretty, że niby jest taki groźny. W mieszkaniu nie miał przedpokoju i każdy, kto stanąłby w progu, dostrzegłby świetnie, jak dobrze się bawimy. Biały wiedział o tym, więc usłyszawszy dzwonek, próbował otworzyć drzwi w ten sposób, by zasłonić sobą widok. Niestety, szarpnął tak nieszczęśliwie, że dostał w kolano, zawył i runął na podłogę.

W drzwiach stał facet z pizzą. Na oko miał trzydzieści lat i wyglądał na zasiedziałego studenta - z rękawów zielonej formowej koszulki wychodziły chude przedramiona bez jednego włosa, na pociągłej twarzy brakowało tylko pryszczki i rzadkiego zarostu, nogi zaś miał proste, bez zaznaczonych łydek i kolan. Jego wielkie oczy omiotły pokój: furę towaru na stole, wódę, Białego, zbierającego się z podłogi. Zawahał się przez moment. Do mojego nieprzytomnego serca dobił się lęk - co gość robi? Zatrzaśnie drzwi? Polecą na policję? Nie, tacy mają wszystko w dupie.

Gość wszedł do mieszkania, złożył pizzę na kolanach osłupiałego Żółtego, znalazł wolną szklankę, nalał sobie wódki i usiadł. Biały, który zdołał wstać, najwyraźniej nie pojmował, co się wyrabia. Zamknął drzwi. Facet od pizzy dolał sobie soku, napił się i podał rękę każdemu po kolei.

- Nazywam się Bartłomiej Brzeg. Od dawna widuję demony. Bardzo długo was szukałem.

Dziękuję wam za samo znalezienie. Za wasze życie, serca i wasze kolory.

Zapadła cisza jak w domu pogrzebowym. Nawet Żółty zdradził zainteresowanie, nachylił się do nas. Jeśli jeszcze przed chwilą wątpiłem, że to dzieje się naprawdę, teraz byłem pewien, to tylko ułuda, czyli nic groźnego. Nie takie rzeczy widywaliśmy. Więc nachyliłem się do widmowego pizzamana, żeby dotknąć palcem, sprawdzić, jak weń wniknie, co wydawało mi się cholernie zabawne. A łajdak chwycił mnie szybciej niż spostrzegłem, wyłamał palec, wylądowałem na ziemi, piszcząc z bólu. Brzeg puścił, chwycił moją twarz w obie dłonie, ucałował czoło.

W okamgnieniu znalazłem się na nogach. Wrzeszczałem, żeby wypierdalał. Biały zaszedł mnie od tyłu, położył rękę na ramieniu.

- Daj spokój, człowieku, co? Niech zostanie - klepał mnie, usadził na stołku, włożył szklanekę w rękę, pogłaskał - to może być ważne, pozwól zostać, co?

Brzeg tymczasem gapił się na mnie przepraszająco. Pił szybko, ale nie zdradzał zainteresowania niczym ze stołu.

- Czym przyjechałeś? Możesz tak pić? - zapytałem.

- Pewnie, że mogę - odpowiedział natychmiast. - Przyjechałem skuterem, ale nie wiadomo, czym wrócę.

- Z pracy cię wypierdola - przypomniał Biały.

- E tam. Są ważniejsze rzeczy. Mówię, cieszę się, że was wreszcie znalazłem. Niedługo musimy iść. Zabierzcie wszystko, co jest wam potrzebne.

Żółtego coś zaniepokoiło.

- Jesteś śmiercią? - zapytał.

Brzeg wybuchnął śmiechem:

- Przecież mówiłem. Jestem Bartek Brzeg i rozwożę pizzę. Możecie nawet ją zjeść - dostrzegł niedowierzanie w twarzy Żółtego i dodał pospiesznie: - Nie jestem śmiercią, że też wam takie głupoty przychodzą do głowy.

- Masz. Pizza kosztuje. - Biały podał mu zrolowaną stuzłotówkę.

Brzeg obdarzył go spojrzeniem pełnym zdumienia. Wzruszył ramionami:

- No co wy! Jak impreza to impreza, nie?

Jedliśmy w milczeniu. Brzeg siedział po turecku, wziął sobie kawałek, ale wzgardził ciastem i wyżerał wszystko po kolei: oliwki, salami, pieczarki, owijał wokół palca roztopiony zer. Sam ledwo wmusiłem w siebie parę kęsów i poszedłem do kibla. Żółty wśliznął się za mną. Brzeg nawet nie podniósł głowy.

- Ten facet to wariat! - oświecił mnie Żółty.

Akurat sikałem.

- Znasz go?

- Trzeba znać typa, żeby wiedzieć, że ma nie po kolei? Nie pojmuję, czemu Biały nie wywali go za drzwi.

- Bo może wrócić z policją albo narobić innego szumu. Wrócić z kolegami. Potrzebujesz szumu?

Czerwony nie potrzebował. Robił małe kółka po łazience, powtarzając „kłopot, kłopot, kłopot”. Zatrzymałem go. Dziurki w nosie miał czerwone.

- Zjemy pizzę i powiemy, że jedziemy na miasto. Jest nas czterech, piąty do taksówki nie wejdzie, więc się rozstaniemy. A jak taksiarz weźmie albo przyjedzie bagażowa, to posiedzimy nad jednym, niby się rozejdziemy i wrócimy tutaj. Tylko trzeba to przekazać innym.

Brzeg akurat odkładał wyczyszczony trójkąt ciasta. Powiedział głośno, aby dotarło do wszystkich:

- Słyszeliście kiedyś o Włóczni?

18.15-20.00

- Są różne wersje tej opowieści, nie łączy ich człowiek ani ziemia. Mówią, że zdarzyło się to podczas wojny trzydziestoletniej, kiedy protestanci wyżyłali katolickie wsie. Inni, że armia sowiecka popełniła to barbarzyństwo na ziemiach odzyskanych, kiedy przez moment nie należały do nikogo. A inni mówią, że to nie byli sowieci ani protestanci, ale zwykli kolesie, w miasteczku niedaleko naszego - ostatnie słowo powiedział tak, jakbyśmy nie byli w Krakowie, ale w jakimś Gdzieś.

- Gdzie ma się dziać nasza opowieść? - zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi. Zafascynowani, wpatrywaliśmy się w niego. Upojenie sprawiło, że byliśmy w stanie zaczepić się na czymkolwiek.

- Więc, Włócznię wykonano z ludzkiej piszczeli, zaostrzono tak, że można było włos przepołowić. Nadziano na kij, związane szmatami. Włócznia powstała w celi, z ciała martwego współwięźnia, a człowiek, który ją zrobił, ogryzł ciało i wyłamał kość.

- Bzdury - rzekł Żółty - nie da się zrobić czegoś takiego.

- Niemcy zamknęli katolików w żydowskiej karczmie i podpalili, ocalałych zamknęli w piwnicy, żeby zmarli z głodu. Sowietci dopadli niemiecką rodzinę, która nie zdążyła uciec lub miała polskie korzenie i głupio wierzyła, że nie stanie im się krzywda. Przeżył tylko ojciec i on zrobił Włócznię, a potem szedł za wojskiem i zabił wszystkich, którzy skrzywdzili jego bliskich.

Brzeg wypił przynajmniej trzy szklanki i pozostał trzeźwy.

- Albo tak: w Niepołomicach był sobie pewien człowiek, miał dziewczynę, którą bardzo kochał. Żył z dziwnych rzeczy, podobnie jak jego przyjaciele, a im bardziej wsiąkał w świat ciemnych interesów, tym jego dziewczyna bardziej się oddalała, aż z tego oddalenia znalazła sobie kolesia. Podobno było im dobrze, aż nasz gangster dowiedział się o wszystkim, zabrał parkę do pustostanu, wyrwał języki i zamknął, by umarli z głodu. Dziewczyna zmarła, ale facet przeżył. Zrobił Włócznię i zabił wszystkich, którzy go skrzywdzili.

Podrapałem się po głowie. Słyszałem wiele takich historii, nie można żyć i ich nie słyszeć.

- Bardzo ciekawe. Jak wyszedł, skoro był zamknięty?

- Zamurowany - uzupełnił natychmiast. - Ja go wypuściłem. Nie rozumiecie, czym jest Włócznia?

Nie doczekał się odpowiedzi. Zabawa taka jak nasza wprowadza umysł w przedziwny stan - można uwierzyć we wszystko, a zarazem nic nie dzieje się naprawdę.

- Włócznia jest narzędziem sprawiedliwości i pomsty. Nie można nią zranić dobrego człowieka, a jeśli spróbujesz, to w tobie otwiera się rana. Kiedy chłopak wydostał się z pustostanu, zabił włócznią gangstera i jego kumpli. Znalezione go martwego, z przebitym sercem, a obok ciała stał, kompletnie przerażony, siedemnastoletni brat jednego z zamordowanych. Powiedział potem, że włócznia spadła na jego pierś, ale to napastnik runął bez życia. Nie potrafił tego wyjaśnić. Do dzisiaj nie może.

- W takim razie, co stało się z Włócznią? - chciał wiedzieć Biały. Brzeg popatrzył na niego poważnie:

- Nie wiadomo. Przecież dlatego tutaj przyszedłem.

Podrapałem się po brodzie. Chciałem przytulić cały świat, tak było mi przyjemnie, a

przynajmniej wyznać przyjaciołom, jak bardzo ich kocham. Z tego co pamiętam, Brzeg także został moim przyjacielem. Palec już nie bolał.

- Zaraz powinniśmy pójść - orzekł Brzeg głosem nieuznającym sprzeciwu.

- Ja nie idę - mruknął Żółty, który tak rozlał się w fotelu, że wyglądał na zespolonego z oparciem.

Czerwony wybuchnął śmiechem:

- To chyba głos ludu, kolego.

Brzeg westchnął. Zmrużył oczy. Powietrze zgęstniało od zioła, haszu i papierosów. Białego, który siedział najdalej, widziałem jak w mglisty poranek. Brzeg schylił głowę nad stolikiem, na czole perlił mu się pot i można by pomyśleć, że mówienie i siedzenie to cholernie męczące czynności. Bawił się salaterką.

- Zostań, jak chcesz - rzuciłem.

Jakoś nikt nie kwapił się do gadania. Wciąż szły teledyski z Onetu, jeden za drugim, metal wymieszany z disco, wszystko równie wspaniałe. Patrzyłem. Brzeg patrzył.

Na plaży wiła się jedna z tych dziewczyn, które konstruuje się w oparciu o wypadkową gustów konsumenta, aż powstaje ekstrakt piękności: brzuch płaski do obłędu, włosy nieplażowo przycięte, nogi bez skazy i oczy, w których, tak jak w ciele, nie ma niczego ludzkiego. Niewiele człowieka dostrzegłem też w chłopakach przeżących brzuchy na drugim planie, a już na pewno najmniej było go w muzyce dudniącej z głośników. Montaż zlewał kadry w chaotyczną całość, ciało mieszało się z piaskiem i nagle nadeszło coś jeszcze: czarna smuga przez środek. Myślałem, że psuje się telewizor albo moja głowa. Nie. Na plaży stał czarny człowiek i patrzył wprost na mnie. Zniknął, nim zdążyłem krzyknąć. Biały, Czerwony i Żółty - zdążyli.

20.00-21.00

- Nazywam ich Innymi, albo Czyścicielami - powiedział Brzeg - pojawiają się zawsze, kiedy ludzie wyruszają po Włócznie.

- Nigdzie nie poszliśmy - rzekł Żółty.

- Ale pójdziemy.

Stał przy oknie, ja za nim. Widziałem bury trawnik, oddzielający nas od czteropiętrowych bloków, garść samochodów, młodych ludzi w koszulkach na ramiączkach, stojących w grupach po trzy, cztery osoby, starszego gościa z wilczurem.

- To może być ktokolwiek z nich. Albo żaden. Mogli jeszcze nie nadejść. Jestem spokojny, że zdołamy się wymknąć - wyjaśnił Brzeg. - Poczekajcie - poprosił. Usiadł i ja usiadłem.

- Nie możemy pójść tak po prostu - wyjaśnił.

- Myślałem, że właśnie o to chodzi - zauważył Czerwony.

- Musimy ufać sobie nawzajem. Nie możemy mieć przed sobą tajemnic - usłyszałem. Brzeg mówił w śmiertelną ciszę. Jeśli ktokolwiek zrozumiał przede mną, nie zdradził się słowem ani gestem. Otworzyłem usta, a coś powiedziało:

- Kilka lat temu, kiedy mieszkałem jeszcze w Krakowie, poszedłem do kumpla na parę piwek i miałem ochotę na więcej. Poszedłem na Kazimierz, zamówiłem red bulla z wódką, a gdzieś przy czwartym nabrałem wiatru w żagle. Wylądowałem w jakiejś spelunie przy Małym Rynku, wiem, że schodziło się po bardzo stromych schodach. Krążyłem między stolikami, aż jeden człowieczek mi się nie spodobał, właściwie nie wiem czemu. Próbował nie zwracać na mnie uwagi. Jak wszyscy

zresztą. Ocknąłem się półnagi, na Plantach i waliłem go po pysku. Strasznie oberwał. Złamałem mu nos, podbiłem oczy, wybiłem zęba i rozkwaśiłem wargę. Nie przypominam sobie, by ten człowiek mnie sprowokował, obiliem go w pijackim widzie, bez sensu i przyczyny, nie mam też nic na swoje usprawiedliwienie.

Otarłem twarz. Powinienem poczuć się lżej, ale przeciwnie, coś przycisnęło mnie do ziemi.

- Bywa - to Czerwony odezwał się z kąta. - Nie mam za wiele do dodania. Mam powiedzieć, że jestem pedałem, czy co? To konkurs?

Cisnął niedopałek za balkon.

- Niech wam będzie - szepnął - stopuję kapelę. Nawet dokładnie nie wiedziałem, przeczuwałem tylko. Gubię numery telefonów, nie oddzwaniam, czasem się urznię przed sztuką, albo nie dotrzymam terminu. Jakaś część mnie to robi, ale czasem wiem, co się dzieje.

- Po co? - zapytał głucho Bartłomiej Brzeg.

- Żeby nam się nie powiodło. Bo widzicie, nam może by się i powiodło, jest wiele zespołów do dupy, które koszą forszę równo z ziemią. Ale to byłoby jeszcze gorsze, nagle znajdujemy się wszędzie, gramy sto koncertów rocznie, puszczają nas w telewizji i biorą do teleturniejów. Stajemy się nadzy i każdy widzi, jacy jesteśmy chujowi. Jednocześnie - zaciągnął się - nie mogę znieść nikogo lepszego, więc jak zjawiał się w składzie ktoś z pierwocinami talentu, wylatywał na pysk pod byle pretekstem.

Podniósł się, zaczął chodzić od ściany do ściany, z miną myśliciela.

Zapadła chwila ciszy, jedna z tych, która jest tak nieznośna jak oparzenie albo otwarty wrzód. To cisza, którą chce się przeciąć lub zeszkrobać.

- O ja pierdole - westchnął Żółty. Wszyscy patrzyliśmy na niego. Uniósł się w fotelu, mruknął jak chory kot, zagarnął pigułkę, po twarzy błędził nieprzytomny uśmiech, taki, co szuka miejsca i nie potrafi znaleźć.

- To było tak. Mój przyjaciel miał pannę i ją wypieprzyłem - Żółty, jeśli miał ochotę, potrafił się streścić. - Facet pojechał do Stanów na pół roku i prosił mnie, żebym zajął się Karolą. No to się zająłem, a jak miał wracać - cedził słowa - to wymyśliłem sobie tę chorobę. I tak zostało.

Trochę minęło, nim pojęliśmy sens jego słów.

- Jak to, kurwa, wymyśliłeś? - W Czerwonym się zagotowało. - A leki, a renta, a całe siedzenie w domu, pieprzone nic nie robienie, to też wymyślane? He? Żółty? Po co ci to było? Po co ci takie życie?

- Och, nic nie jest proste - mówił melancholijnie. - Wydaje mi się, że na samym początku uwierzyłem, że jestem chory. Tak łatwiej. Choremu wolno być bucem, nie? A potem jakoś poszło, dostałem rentę, więc co miałem robić? Przywykłem. I przynajmniej nie muszę, poza taką chwilą, myśleć, wątpić, pytać o sens.

- Co z tą dziewczyną? - zagadnąłem.

- Nic. Przynajmniej nie skułem ryja nikomu niewinnemu - burknął Żółty.

- Zostałeś tylko ty - powiedziałem Białemu, a Biały westchnął, przymknął oczy, wypuścił dym nosem.

- Sprzedawałem ludzi.

Nie rozumiałem. Poprosiłem, żeby powtórzył.

- Na policję - wyjaśnił. - Moja wina, głupi byłem. Zamówiłem trochę filmów przez neta. I zaraz po paczce przyszła policja. Wiadomo, czysta sprawa. I biorą się za moje filmy, oryginalne, nieoryginalne, wszystko biorą i jeszcze się śmieją, że odzyskam po ekspertyzie i w ogóle nie mam się

czego obawiać. Poryczałem się jak dziecko, no i powiedziałem. Ten handluje, ten ma, ten ściąga. Odpuścili mi. Nie całkiem, miałem sprawę, ale płyty mi zostawili. Wzięli tylko te, które ostatnio zamówiłem. Myślę - westchnął - że mi się upiekło.

Musieliśmy iść. Za oknem zachodziło słońce.

- Jeszcze on! - przypomniał sobie Żółty. Wskazywał na Bartłomieja Brzeg. Brzeg tylko wzruszył ramionami. Wskoczyłem w buty, Czerwony już wyszedł na korytarz.

- Dasz mi papierosa? - zapytał Bartłomiej Brzeg.

Palił, ale się nie zaciągał.

Jego oczy rozbłysły w ciemności, oddech śmierdział trupem.

- Trzy lata temu byłem na tym osiedlu, u trójki przyjaciół - powiedział. - Zabrałem ich na poszukiwanie Czerwonej Włóczni, ale wrócił tylko jeden.

20.00 - 21.30

Rozważaliśmy zamówienie taksówki. Czerwony odmówił.

- Spacer dobrze nam robi - oświadczył.

Wykręciliśmy koło pętli tramwajowej w alejkę, odgradzoną od torów żywopłotem, a siatką od ogródków działkowych i knajpy, gdzie alkoholicy po czterdziestce bratali się z zapitą młodzieżą. Na skrzyżowaniu, po lewej, wznosił się szkielet z betonu i stali, przez który prześwitywało słońce. Robotnicy wciąż pracowali, właściwie snuli się z narzędziami. Widziany z boku budynek był dość płaski, ale gdy spojrzałem na niego z przodu, stojąc już po drugiej stronie przejścia dla pieszych, wydał mi się niesłychanie pojemny, wypełniony setkami głębokich tuneli krzyżujących się ze sobą w konfiguracjach, o jakich nie śniło się architektom. Przez ten budynek można by wędrować aż do końca życia, pomyślałem urzeczony. W tej samej chwili, robotnik oderwał się od dachu i poleciał w dół, z szeroko rozłożonymi dłońmi.

Mniej więcej w połowie wysokości, skoczek rozpostarł ogromne skrzydła, machnął i pomknął do nas, wznosząc się tak szybko, że nie zdołałem mu się przyjrzeć. Zniknął gdzieś wysoko. Stałem osłupiały, nie wiedząc, co się dzieje. Deszcz spadł na naszą piątkę, z delikatnej chmury nad nami lub zupełnie skądinąd, tak przelotny, że normalnie nie zwrócilibyśmy na niego uwagi. Widziałem moich przyjaciół. Byli mokrzy. W stronę budynku pędzili ludzie, facet po przeciwległej stronie ulicy dzwonił z komórki, brzmiały głosy: „chłop się zabił! Chłop się zabił!”.

Poszliśmy. Jeszcze przed wiaduktem minęła nas karetka i suka na sygnale. Nim minęliśmy Nowy Kleparz, gdzie handlarze właśnie kończyli zwijać interes, zdążyłem o wszystkim zapomnieć. Nikt się nie odzywał, tylko Żółty nie przestawał gwizdać. Do gwizdu doszła piosenka.

Przecznicę dalej, na Szlaku, mieściła się mordownia i myśleliśmy, że piosenka dochodzi stamtąd. Nie umieliśmy też jej rozpoznać. Śpiewało kilka męskich głosów, z widocznym wysiłkiem, jakby jednocześnie robili pompki. Znałem te słowa. Każdy w Krakowie je znał.

Legia to stara kurwa.

Legia jebana jest.

Legię trzeba pierdolić.

Legię cwks.

Wyszedłem zza rogu. Czterech facetów śpiewało, kopiąc piątego. Piąty, wyraźnie mniejszy, osłaniał jądra i głowę. Kopali go synchronicznie. Czerwony natychmiast pociągnął nas w kierunku

Rynku. Nawet Żółty przestał gwizdać.

- Kibice tak mają - wyjaśnił Czerwony, gdy już zobaczyliśmy Planty - jak kogoś kopią, to śpiewają. Nie wiem, czy to specyficzne, krakowskie, czy wszędzie tak robią.

- Nie wszędzie - odezwał się Brzeg, po raz pierwszy odkąd opuściliśmy mieszkanie. - Gdzie indziej ludzie biją i milczą.

- Chodźmy stąd! Chodźmy stąd! - pokrzykiwał Biały, aż się ludzie za nim zaczęli oglądać. Więc poszliśmy po wąskim chodniku, za Planty, w obręb nieistniejących murów miasta. Miałem wrażenie, że kamienice, ludzie i kościoły namalowano na kartce, którą mogę przetargać. Brzeg poprowadził nas w lewo, tam, gdzie przy ulicy Reformackiej jest klasztor. Zmumifikowani mnisi stoją w swoich kryptach.

- Tu mamy znaleźć Włócznie? - zapytał Żółty.

Brzeg wzruszył ramionami.

Drzwi do klasztoru okazały się otwarte, zaskrzypiały i natychmiast owiał mnie zapach fajek, spoconych ciał, oczy olśniły migające kolory.

- Niech mnie cholera, coś przegapiłem - Czerwony jako pierwszy odzyskał mowę. - Kiedy oni to zrobili?

Za drzwiami klasztoru - czy też czegoś, co klasztorem było - znajdował się krótki pasaż, prowadzący do rozświetlonej, rozmigotanej sali. W głównym pomieszczeniu tańczyło kilkaset osób, ściśniętych, jakby ściany napierały na ciała. Brzmiała muzyka, bit tak dziwny i niehipnotyczny, że nie wyobrażałem sobie, jak można do niego tańczyć. Kiedyś odprawiano tu msze albo organizowano jakieś mnisie zjazdy, teraz pod sklepieniem, na metalowym rusztowaniu wisały głośniki i całe baterie świateł. Wyróżniłem podłużny bar z mnóstwem butelek i zaaferowaną dziewczyną mieszającą drinki. Jakiś człowiek przysunął się do mnie, pytał, czy chcę coś kupić, tak zrozumiałem z ruchu jego ust. Miał plamę na twarzy. Wziąłem ją najpierw za myszkę, a okazała się niczym więcej jak właśnie plamą, jakby rozsmarować smołę na policzku.

Tańczący byli bardzo szczupli, niemal pozbawieni mięśni. Ich skóra była opalona, zęby białe, tatuaże pokrywały ich łopatki i przedramiona, a każdy - no, niemal każdy - miał gdzieś czarną, podłużną plamę, podobną do tej, którą widziałem przed chwilą na policzku dilera.

Wszystkie miały mniej więcej rozmiar rozprostowanej dłoni, ale różne kształty - niektóre, najczęściej te na plecach, były okrągłe jak od cyrkla, inne poszarpane niczym południowoamerykański kraj widziany z lotu ptaka, a jeszcze inne biegły wąską linią niemal przez całe ciało. Zdawały się rozchyłać, pulsować i trzeszczeć, na znak, że coś złowrogiego ze środka próbuje wydostać się na zewnątrz. W momencie straszliwego olśnienia pojąłem, że te jamy w ciałach zbiegają się w tunel, od człowieka do człowieka, przez roztańczoną salę, i one, a nie muzyka, łączą wszystkich. Widziałem czarne ściany, biegnące w głąb ciał, przez głosy i serca, falujące struktury korytarzy i błysk kłów na samym dnie.

- Babilon, panie - Żółty ryknął mi wprost do ucha.

Znad falującego bajora głów - morze to raczej nie było - wyłaniała się prostokątna scena, gdzie DJ się uwijał nad konsolą, a dziewczęta tańczyły w klatkach.

- Chodźmy - proponował Biały - tu nie słyhać własnych myśli.

Młody chłopak o włosach ufarbowanych na blond, który tańczył tuż przy wejściu, popatrzył na nas i znieruchomiał. Tracił koleżankę, ona kogoś znowu i tak, łagodną falą, sala przeszła w inny stan skupienia. Zebrani odwrócili głowy i nawet DJ znieruchomiał. Muzyka umilkła. Oczy wszystkich

zwróciły się w naszą stronę, rozszerzyły się z podniecenia. Wszyscy gapili się na Czerwonego.

- To on! - szepnął ktoś w tłumie i tłum ruszył ławą. Kobiety dopadły go pierwsze, tak jak szczury okrążają padlinę, przytuliły się, objęły go w pasie, ścisnęły za ramiona. Kompletnie zidiociały Czerwony zobaczył czarny marker w swojej ręce, a wkoło kilkanaście dekoltów, tyłków i biustów, czekających na podpis.

- Wytatuuję to sobie - obiecała drobna dziewczyna, której Czerwony podpisał się na przedramieniu. Czarna jama biegła przez środek jej czoła. Pomruk, który szedł z głębi sali, płynnie przeszedł w skandowanie. Czerwony obrócił się w naszą stronę i nie sposób opisać zdziwienia odcisniętego na jego bladej twarzy.

- Czerwony! Czerwony! Czerwony! - ryczeli.

Tłum rozstąpił się, odsłaniając korytarz wiodący do sceny.

- Koledzy - wysapał.

- Idź - mruknąłem.

Żółty skinął głową, a Biały próbował się uśmiechnąć. Dziewczyny pociągnęły Czerwonego w stronę sceny, on jeszcze próbował się opierać, zerkał na nas, aż pojawił nieodwołalność swojej decyzji, skłonił się jeszcze w naszym kierunku, otworzył usta, by powiedzieć, że wróci, ale to byłaby nieprawda. Odszedł po prostu, wyraźnie rozluźniony. Tłum zamknął się za nim bezszelestnie. DJ wyznaczył rytm.

- Nic tu po nas - powiedziałem.

Wycofaliśmy się bez słowa, czego nie można powiedzieć o Czerwonym. Zagrał i zaśpiewał okropnie, jeden z tych swoich bezbarwnych, anemicznych kawałków, ożywianych nieodmiennie przez *oh yeah!* albo *come on*, wpychane bez ładu i składu, gdzie tylko się dało. Tłum zwariował bez reszty, czarne plamy rozpruły ciało, uwalniając ciemność.

21.30-23.00

Żółty zaproponował, by pójść do Uziemienia. Uziemienie było knajpą, gdzie wstyd skonać, wesołą jak pogrzeb filantropa i ciemną niczym krypta. Sukiennice stały w ognistej czerwieni, okna ratusza błyszczały, a płyta lśniła świeżą krwią. Ludzie rozstępowali się przed nami, niektórzy wydawali się więksi, trzymetrowi, mogliby zaglądać do okien, ale tego nie robili. Przeciwnie, garbili się, zawstydzeni niezwykłym wzrostem, naciągali kaptury i czapki, od czasu do czasu posyłając w naszą stronę zawstydzone, purpurowe spojrzenia.

- Nie mają rąk, tylko krzaki. Albo cienie gałęzi - zauważył Żółty.

Do Uziemienia schodziło się po stromych schodach. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że bar, przy którym zwykle przesiadywałem, zniknął. W nozdrza wdarł się zapach, którego nie umiałem rozpoznać.

Na ziemi leżały proste materace, obok każdego stał stolik, a na nim coś, co z początku wziąłem za fajkę wodną. Na materacach leżeli ludzie w półśnie, oddzieleni od siebie kocami zawieszonymi u sufitu. W ściany wkręcono półki, na których stały różne rzeczy: stare zegary, zdjęcia, kasety, figurki kotów i świętych. Wszyscy palili.

- Opium. Niech mnie szlag - szepnął Żółty.

Czułem się jak w gęstej mgłę, wyciągnąwszy rękę, nie mógłbym policzyć palców i może dlatego, zanurzony w gęstej zawieszynie, miałem wrażenie, że sala jest większa niż wcześniej, więcej, że

wcale się nie kończy i wędrujemy pod Szewską, Plantami i dalej, korytarzem bez końca.

Część materacy była pusta, czekała na gości. Tak, jeśli to było prawdziwe opium - a nie było, skąd, do cholery, palarnia opium w sercu miasta - doskonale wkomponowałyby się w klimat wieczoru. Żółty odłączył się, stanął obok wolnego posłania. Widziałem tylko jego cień, jak sięga po drobiazg na półce. Z ust Żółtego wydobyło się westchnienie i wraz z nim - coś niedostrzegalnego opuściło jego ciało. Ręce mu drżały. Podszedłem.

- Zobacz - szepnął.

Trzymał kasetę wideo, naklejka z boku była wielokrotnie kreślona ołówkiem.

- Takie taśmy wymieniałem na giełdzie, lata temu - rzekł Żółty ze ściśniętym gardłem.

- Zdarza się - nie chciałem mówić więcej, bo zobaczyłem zdjęcie w plastikowej ramie. Na zdjęciu widniała łódka, na łódce zaś Żółty, młodziutki, szczupły, jeszcze nie zmieniony w dwunożną aptekę. Obejmował całkiem apetyczne dziewczę w stroju kąpielowym. Śmiali się do obiektywu, Żółty zza moich pleców wyskuczał, że z tyłu jest, musi być dedykacja, ale nie odważyłem się spojrzeć. Obok leżała płyta The Cure z wymiętą i poplamioną książeczką. W ogólniaku Żółty tak ją lubił, że nosił wszędzie ze sobą. Dalej: rakietka tenisowa, kupka książek (Bułhakow, Le Guin i dwa Ludlummy), zegarek na skórzanym pasku, rozciągnięty sweter i wiekowy walkman z kasetą Kultu. Żółty obrócił do mnie zwiędłą twarz.

Klepnąłem go w ramię i ruszyłem, a gdy spojrzałem za siebie, graty z półki rozłożył przed sobą na materacu, przekładał z miejsca na miejsce.

- Hej - rzekł smutno. Mogę przysiąc, że wszystko, co wziął tego dnia, zeszło z niego w jednej chwili. Zawróciłem.

- Masz ognia? - rzekł cicho.

Trzymał papierosa w czarnych wargach.

- Jasne - podsunąłem płomień pod nos. Filtr się rozpalił, choć twarz Żółtego nie drgnęła. Zawahałem się i położyłem mu zapalniczkę na kolanach. Nie wiedziałem, co mu powiedzieć, więc po prostu poszedłem.

23.00 - 24.00

Biały rzucił się na Brzega.

- Ty skurwysynu!

Przywalił mu w szczękę. Brzeg poleciał na chodnik. Biały wyrósł nad nim i zaczął kopać. Biały, gdy się wścieknie, bije; dopóki nie poczuje zmęczenia, a po prochu człowiek się nie męczy. Odciągnąłem go. Brzeg pluł krwią i zbierał się z ziemi.

- Gdzie ty nas ciągniesz?! Gdzie jesteśmy?! - wrzeszczał Biały, ale już się nie rzucał. Brzeg stanął w bezpiecznej odległości.

- Nigdzie was nie ciągnę, a jesteśmy w dupie - wyjaśnił. - Sam idź przodem, jeśli masz ochotę. Chyba że się rozchodzimy. Ja się już wybawiłem.

Biały zrobił krok, jakby ruszał do walca, wykonał półobrót, machnął ręką na znak, że jest mu wszystko jedno i ruszył, marszowym krokiem, w stronę Rynku Głównego. Brzeg trącił mnie przyjaźnie.

- Nie martw się - szepnął - wszystko będzie dobrze.

No i poszliśmy za Białym, a nim wyłoniłem się z Szewskiej, zdążyłem zapomnieć o Żółtym, jego

pamiętkach i dymie gryzącym w oczy. Zrozumiałem, że Brzeg miał rację.

Biały przystanął pośrodku rynku, podrapał się po głowie i obrał kierunek na Bracką, do Tajemniczego Ogrodu, gdzie zazwyczaj gruchały sobie parki i podawali warkę strong w kufkach ciepłych jak odbył. Tymczasem wokoło świat pustoszał. Pojawił się chłód. Pomyślałem, że powinniśmy przypalić a nawet coś wciągnąć, bo bez tego nie znajdziemy Czerwonej Włóczni ani siebie samych.

Tajemniczy Ogród mieścił się w podwórzu. Fotele stały pod gołym niebem, a dalej mieścił się lokal w wiklinie i drewnie, z wiecznie nieszczęśliwą barmanką i ubikacją rozmiarów wiewiórczej dziupli. Usiedliśmy na zewnątrz. Usłyszałem, że za godzinę zamykają, nie wiedziałem jednak, co znaczy godzina i czy można nią zapłacić. Usiedliśmy, Brzeg z brzegu, podsunąłem sobie drugi fotel i wyciągnąłem nogi. Piłem piwo, za to Biały zaordynował sobie dziwaczny drinka z mlekiem.

- To miejsce... - Biały nachylił się do mnie. - A wcześniej rynek z olbrzymami, palarnia opium i disco w zakonie... Nie rozumiem.

Miał skórę koloru złota.

- Nic wielkiego. Nakurwiliśmy się. Jesteśmy nieprzytomni i nam się wydaje - odpowiedziałem, nie wierząc we własne słowa.

- Wydaje albo nie wydaje. Żarliśmy dropy i antydepresanty, wysiupaliśmy swoje i zjaraliśmy sam nie wiem ile. Żadnych halucynogenów. Chwytasz?

- Możliwe. Kwestia ilości. Nie wiadomo, co taka mieszanina robi ci we łbie.

Brzeg wybuchnął śmiechem. Rzuciłem w niego zapalniczką. Na murze przeciwległej kamienicy wisiał ekran, a gość za nami właśnie włączył rzutnik. Nadawali jakiś film wojenny z Clintem Eastwoodem, który przebrany w niemiecki mundur, wystrzeliwał faszystów w górskiej cytadeli. Oczy Białego zapłonęły.

- Możemy pójść do baru i poprosić o kartki - ciągnąłem. - Każdy zapisze, co przeżył tej nocy, a także, co dzieje się w tej chwili. I potem porównamy. Nawet nie jutro, ale później.

Biały nie odrywał wzroku od ekranu. Skórę miał białą i gładką jak kula bilardowa, oczy wodniste, aż chciało się w nich zanurzyć palce.

- I wtedy się okaże. Zadzwonimy do siebie. Do Żółtego i Czerwonego też. I zobaczymy, co u nich. Odpowiedzą. W rękach zostaną nam strzępy z dzisiaj, a będziesz czuł się tak potwornie, że wszystkie włócznie wywietrzeją ci z głupiej głowy.

Obrócił do mnie zażawioną twarz. Wyglądał jak Żółty godzinę temu.

- To nie chodzi o strzępy - szepnął i to na pewno mi się nie wydawało. - Tu chodzi o życie.

Chwycił szklankę po drinku, i cisnął z rozmachem w ekran. Zniknęła. Nie myślcie, że znalazła się po drugiej stronie, po prostu przepadła, tak jak cień niknie w blasku świtu. Pyk, i jej nie było. Otarłem czoło, poszedłem do baru i, może niepotrzebnie, skręciłem do kibla.

Gdy wróciłem coś się przemieniło przez moją nieobecność i nie umiałem określić charakteru tej zmiany. Na ekranie wciąż leciał wojenny film, ale inny, bo Eastwooda zastąpił Telly Savalas. W knajpie pojawili się nowi ludzie. To dziwne, pomyślałem, bo przecież zaraz zamykają.

Nowo przybyli zerkali na Białego, a on odwzajemniał spojrzenia. Nagle zrozumiałem, a dziwność nagłego skojarzenia kazała pić szybciej. To byli aktorzy. Nie znałem ich nazwisk, nikt nie znał, może poza Białym i garstką entuzjastów. Takie twarze nie mają nazwisk, za to żyją w ludzkiej pamięci - pojawiały się w niezliczonych, tanich filmach, które Biały pasjami oglądał: wychudzony facet o wyglądzie angielskiego dżentelmena, który zwykł grywać pogromcę wampirów w gotyckich

horrorach i drugi gość z filmów grozy, całkiem łysy, jeśli nie liczyć posiwiałej kitki, opadającej smętnie na kark. Był brunet ze *Szklanej pułapki*, ten, który grał najważniejszego Niemca, obok drinka pił gość cholernie podobny do Nicholsona, ale z pewnością nie Nicholson, jeden z tych, który zawsze grywa profesorów, generałów albo zboczeńców. I dziewczyny: rozpoznałem blondynkę z *Akademii Policyjnej*, lalunię z pierwszych Bondów i jeszcze prześliczną blondynkę o urodzie niegrzecznej pensjonariuszki - widziałem ją kiedyś u Białego, jak zmykała przed hrabią Drakulą. Zastanawiałem się, jakim językiem mówią, roześmiałem się - to był język kina.

Przysięgam, widziałem to naprawdę: Biały stał w otoczeniu nowych przyjaciół, śmiał się i kiwał głową, w odpowiedzi na pytania, których nie mogłem usłyszeć. Facet podobny do Nicholsona podał mu ognia, piwo Białemu wysunęło się z rak. Dziewczyna, która tym razem nie wzięła Drakuli ze sobą, podała Białemu piersiówkę.

A Biały śmiał się bez końca, kołyszając się na wacianych nogach. I wreszcie, wzięli go pod ramiona, przeszczęśliwego, mężczyźni poszli przodem, tylko staruszek człapał z tyłu, wsparty na laseczce. Biały zwolnił, jego krok stał się niepewny, mechanicznym ruchem obrócił się w moją stronę, coś powiedział. Nie dosłyszałem.

Teraz. Warto zapinać pasy. W wieczność, czyli człapanie do domu

Wyszedłem, podtrzymywany przez Bartłomieja Brzega. Osunąłem się na ziemię. Brzeg chwycił mnie pod ramiona, próbował podnieść, wreszcie pociągnął w stronę ulicy.

- Rynek jest monitorowany, ty głupku.

Podniosłem głowę. Wciąż było czerwono i płasko. Brzeg wyglądał na przyszpilonego do krajobrazu.

- Musimy iść dalej - podniósł mnie. - Jeszcze mamy trochę do zobaczenia.

- Po co?

- Nie znaleźliśmy Włóczy. Inni wędrują za nami. Zapomniałeś już, co ci mówiłem?

Puścił mnie. Odzyskałem siłę w nogach.

- Myślę, że nie ma żadnych Innych. A nam wszystkim się popierdoliło.

- Zapomniałeś już?

- Nie. Ale ja nie chcę tutaj zostać. Tamci może i chcieli, ale ja mam po co żyć.

- Coś podobnego - zaśmiał się Brzeg.

Odepchnąłem go. Nie znałem swojej siły, Brzeg zatoczył się i runął na płytę rynku.

- Tu jest monitoring, głupku - powtórzył.

- Zostaw mnie!

Ruszyłem w stronę Sukiennic. Brzeg wykrzykiwał coś za mną i podskakiwał śmiesznie.

- Weź sobie taksówkę i wracaj do domu - poradziłem. - Spróbuj się przespać i dojść do siebie.

Jakaś część mnie chciała wędrować dalej z Brzegiem, bo przecież znaleźlibyśmy miejsce, gdzie mógłbym pozostać. Woląłem jednak iść niż znaleźć, szczególnie że bez Żółtego, Białego i Czerwonego znajdowanie to żadna zabawa. Wędrowałem więc przez rynek, z rękami w kieszeniach, szczęśliwy, że Brzeg został za mną. Planowałem wezwać taksówkę od drugiej strony Plant, znaleźć jakiś hostel i tam przeczekać do świtu. Wiedziałem, że nie zasnę. Potrzebowałem spokoju czterech ścian. Rano pociąg, zapomnienie. Ciekawe - myślałem, wchodząc w Jana - co się naprawdę z nimi stało? I zaraz przestałem o tym myśleć.

Wybrałem srebrnego volkswagena. Usiadłem z tyłu. Kierowca niechętnie odłożył krzyżówkę. Miał czerwoną twarz i wąsy, schodzące aż do brody, jakie widuje się na XIX-wiecznych fotografiach.

- Gdziekolwiek, szefie - powiedziałem - byle dalej stąd.

- Gdziekolwiek, to się zdycha, panie kolego. Gdziekolwiek, czyli gdzie?

- Na Aleje. Jakiś hostel.

Zapalił silnik.

Nie miałem wątpliwości - trafił mi się kierowca, gawędziarz. Nim wyjechaliśmy z postoju, już siedziałem w środku opowieści. Po chwili zrobiło mi się duszno.

- Mogę opuścić szybę?

Pokiwał głową i dalej nawijał swoje, ale ja słuchałem już czegoś innego. Znanej już piosenki:

Legia to stara kurwa...

Kierowca przyspieszył, ale w jamie przeczniczy zobaczyłem tych samych czterech młodzieńców, zajętych kopaniem piątego. Śpiewali, zadowoleni z siebie, a na chodniku wił się i próbował osłonić zakrwawiony Bartłomiej Brzeg. To na pewno mi się wydaje, pomyślałem, a jeśli nie, to co? A jednak.

- Pan stanie.

Pokręcił głową.

- Jedziemy na Aleje - przypomniał.

Zaklął pod nosem, przecznicza została za nami.

- Jedziemy tam, gdzie mówię.

Przyspieszył, popatrzył na mnie, jego oczy rozblęły.

- Oczywiście, młody przyjacielu. Ale jeśli pojedziemy tam, gdzie chcesz, będę musiał zjeść twoją duszę.

To stało się tak szybko - jego twarz przeszła w czarną maskę z kraterem pełnym kłów. Kłapnął tuż przed moją twarzą, splunął, ślina spadła mi na policzek. Paliła jak ogień i jeśli nawet wszystko dzisiaj było iluzją, to ból na pewno nie. Kłapnął ponownie. Wsadziłem mu mapę w pysk. Papier stanął w ogniu.

Wbiłem mu palec w lewe oko, nawet nie wrzasnął, ale jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Docisnąłem palec, przykręciłem, coś pękło, taksówkarz rąbnął łbem o szybę, zaciskając pysk na moim przedramieniu. Poczułem zęby, zjeżdżające po kości w stronę łokcia. Jeśli tak boli ciało, to co ze zjadaną duszą? Spróbowałem się wyrwać, wyszarpnąłem palec. Zbyt późno spostrzegłem co się święci - taksówka wypadła z kursu i pędziła wprost na nyskę, zaparkowaną przy Nowym Kleparzu. Kierowca, czy to co kierowcę udawało, zwolnił uścisk szczęki, szarpnął kierownicą. W tym ułamku sekundy rąbnęliśmy w nyskę i zrobiło się ciemno.

Zamroczyło mnie na moment jeszcze krótszy, niż trwało uderzenie, ale gdy otworzyłem oczy, wszystko było odmienione: przód volkswagena tkwił w rozprutej nysce, a kierowca zniknął. Odpiąłem pasy, rozmasowałem obolałe czoło, splunąłem krwią. Coś we mnie pękło, bez żadnej przerośni. Inny wyleciał przez przednią szybę i zatrzymał się na nysce. W rozbitej czaszce wił się wielki robak.

Wygrzebałem się z samochodu. Piosenka wciąż brzmiała, ale chłopaki zaczęły fałszować. Popędziłem w ich stronę, przewracając się o szynę torów. Za mną, wokół rozbitych samochodów, gromadzili się pijaczkowie. W naćpanej głowie odezwał się głos rozsądku: po co tam idziesz, stary

durniu, połamię ci gnaty nim się odezwiesz, nikomu nie pomożesz i sam umrzesz. Już lepiej, żeby Inny zjadł twoją duszę.

Rozglądałem się za jakimś drągiem, gdy Bóg ukurwieńców wyciągnął do mnie rękę. Piosenka umilkła, zabrzmiały zaaferowane głosy. Czterech młodych mężczyzn wybiegło zza zakrętu, spoceni, zziębnięci, a nade wszystko ciekawi, co to za wypadek wydarzył się na tej nudnej ulicy. Minęli mnie, nawet nie patrząc. Za to ja patrzyłem.

Sądząc po ciosach i rozśpiewaniu ekipy, resztki Bartłomieja Brzega powinny walać się od Kleparza aż po dworzec główny, tymczasem nie tylko był w jednym kawałku, ale nawet próbował powstać. Nogi mu się rozjechały i upadłby, gdyby nie ja. Podniósł na mnie nieprzytomne oczy. Splunął krwią. Splunęliśmy na siebie.

- Wszystko ustawileś, tak? - mruknąłem. - Co chciałeś sobie udowodnić? Musiałeś ich zaczepiać?

Znów splunął, na chodnik poleciała krwistoczarna ślina. Nie wiedziałem czy znaczyło to tak, czy nie. Brzeg tymczasem osunął się na ziemię. Obróciłem go na plecy. Charczał. Zabrzmiały kroki.

Powrócił jeden z prześladowców, cudownie przemieniony: miał kark nastroszony jak jaszczurka kołnierz, płaską głowę z oczyma na linii włosów, nos rozplaszczony między uchem a uchem i brodę schodzącą się z nienaturalnie szeroką klatką piersiową. Znałem tę postać - tak wyglądały osiłki w kreskówkach, z którymi walczył marynarz Popeye, stwory nakreślone do walki i do niczego poza tym.

Nie zdołałem się uchylić ani osłonić, kiwnąłem się tylko, pięść spadła na mój policzek i nie mogąc pojąć, jakim cudem nie zmiotła mi głowy z ramion. Za tym ciosem poszedł następny, w tępych oczach napastnika przemknęło zdziwienie. Pytanie - czy dostawałem lanie, bo naćpałem się po uszy i poszedłem szukać guza? A może naćpałem się tak potwornie, żeby wyruszyć w podróż i ocalić Bartłomieja Brzega?

Widzicie. Mogliby mnie łamać kołem, wrywać trzonowe na żywca, przypiekać albo zaszyć zmię w brzuchu. Bił mnie, słyszałem jak kość policzkowa pęka, co brzmiało trochę jak zgniatana landrynka, ale nie bolało wcale. Tamten zawahał się na moment, znalazłem lukę między jego pięściami, przywaliłem, nieomal tracąc równowagę. Głowa Innego odskoczyła jak piłka, w powietrze wytrysnął strumień krwi. Nie czekałem, rzuciłem się na niego, walnąłem łokciem, próbowałem kopnąć, a że nie wyszło, wgryzłem mu się w twarz, tak mocno, jak potrafiłem. Wrzasnął ze zdziwienia, odskoczył, zostawiając w moich zębach płat gorącej skóry. Kołysał się na monstrualnych nogach. Zrobił krok do tyłu. Bał się.

Już myślałem, że ucieknie. Lewą rękę przycisnął do rany, a prawą wyszarpnął nóż sprężynowy i natarł na mnie, wywijając ostrzem półokręgi. Pierwszy cios trafił w próżnię, drugi ciał mnie w odsłoniętą szyję i wszystko znieruchomiało. Nie czułem bólu. Przycisnąłem rękę do gardła, usiłując zatamować krew, ale krew nie płynęła. Byłem pewien, że to złudzenie.

Jeśli ktoś był bardziej zdumiony ode mnie, to sam napastnik, któremu z obojczyka trysnęła czarna fontanna. Nóż uderzył z brzękiem o ziemię, Inny oparł się o ścianę i, zebrawszy siły, popędził w stronę rynku kleparskiego. Nie dobiegł daleko, jeszcze przed skrzyżowaniem runął na twarz i znieruchomiał, jakby nigdy nie było w nim nic żywego.

Za mną rozkaszał się Bartłomiej Brzeg.

Teraz. Ciągłe.

Wciąż nie wiem, co o tym myśleć.

Na szyi mam ciemną bliznę, jak po oparzeniu.

Po Brzega przyjechała karetka. Kiedy poszedłem go odwiedzić, już go zabrali, bo Brzeg to wariat, którego podleczają w Hjuston i wypuszczają na lato, bo wtedy jest spokojniejszy. Jak powiedział lekarz, łązi po ludziach i wkręca różne bzdury - zaprasza na wyprawę dookoła świata, po Świętego Graala, albo suknię Najświętszej Pani. Do każdej wyprawy gadżet jest inny. Załatwili mu pracę w pizzerii, ale to nie pomogło. Oczywiście nie nazywa się Brzeg. Dowiedziałem się, że mogę go odwiedzić, kiedy go podleczą - teraz człowiek, jakiego znałem jako Bartłomieja Brzega, jedzie na dawkach, które diabła tasmańskiego zmieniłyby w worek z mąką.

Tak sobie myślę, że Żółty go znał i dlatego nie zaufał. Ani jego, ani pozostałej dwójki nigdy już nie zobaczyłem. Nie dlatego, że zniknęli, po prostu nie dzwoniły do siebie i nie wiem, co się z nimi stało. Coroczne spotkania już się nie odbywają. Myślę, że gdyby naprawdę przypadli, ktoś by się mną zainteresował. To samo dotyczy martwego człowieka przy Kleparzu. Tymczasem nic.

Popijam zdrowo i na granicy nieprzytomności wydaje mi się, że gdzieś, na drugim planie *Parszywej dwunastki* albo *Szklanej pułapki*, miga mi twarz Białego.

Nóż zatrzymałem.

Koniec

Jerzy Rzymowski

**Lekko
nawiedzony
dom**

Początkowo miał się tu znaleźć mój biogram - chciałem napisać o moich trzech podejściach do studiów, pracy redakcyjnej, wygłupach w TVP, grach fabularnych, public relations, Radiostacji, Klubie Tfurców, imprezach metalowych, „Nowej Fantastyce”... sporo się tego nazbierało. Ale co by Wam z tego przyszło?

Dlatego napiszę o czymś innym.

Kiedy miałem 20 lat, na drugim roku beznadziejnie nudnych studiów, bardzo poważnie zachorowałem na nerki. Tygodniami jadąc na końskich dawkach środków przeciwbólowych i czując, jakbym znalazł się jedną nogą w grobie, zacząłem się zastanawiać nad dotychczasowym życiem (wiem - to szczeniacki wiek na takie rozrachunki, ale miałem wrażenie, że wiele więcej mi nie zostało) - ile czasu zmarnowałem wtłoczony w ramy i normy wytyczone przez otoczenie. Obiecałem sobie wtedy, że jeśli dojdę do siebie, nie popełnię drugi raz tego błędu. Gdy tylko doszedłem do siebie, rzuciłem studia i zacząłem wcielać zamiar w czyn. Staram się zawsze tego trzymać, a gdy zapominam, przypominają mi nerki. Jeśli się nad tym zastanowić, moja najcięższa choroba okazała się jedną z najlepszych rzeczy, jakie mnie spotkały.

„Lekko nawiedzony dom” jest opowiadaniem między innymi o zmianie punktu widzenia. O oderwaniu się od roli, jaką nam przypisano. O wartości marzeń i potrzebie ich spełniania.

Nie pozwólcie sobie tego nigdy odebrać.

Ludziom, którzy uczyli mnie latać - dedykuję.

Na obrzeżach Vertigo, w opuszczonej części miasteczka, stał sobie dom. Był drewniany, bardzo stary i wyglądał jak jeden z tych domów, które w filmach nawiedzane są przez czyhające na przybyszów zjawy psychopatycznych morderców, albo przez duchy zakochanych, grzejące się przy ogniu widmowego kominka.

I rzeczywiście, był lekko nawiedzony. Ściślej rzecz biorąc: uważał, że jest ptakiem. Doszedł do tego wniosku w sobie tylko znany sposób - cóż, domy czasem kierują się dosyć pokrętną logiką. Nie był też pewny, do jakiego gatunku należy - z wiedzy, którą zdobył wynikało, że musi być którymś z tych zupełnie egzotycznych. Na przykład pelikanem. Albo strusiem, co wyjaśniałoby, dlaczego nie udało mu się dotąd oderwać od ziemi. No i fakt, że był częściowo zakopany - z tego, co wiedział, strusie miały zwyczaj zakopywania się w piasku. Czy jakoś tak.

Przez pewien czas przypuszczał, że jest jaskółką, ponieważ wiele z nich bardzo upodobało sobie jego towarzystwo. Jednak w porównaniu z nim były całkiem małe i często chowały się pod jego skrzydłami. Takim mianem dom określał w myślach spadzisty dach, osłaniający niewielką werandę. Nie mógł też się z nimi porozumieć - właściwie nie potrafił się dogadać z żadnym spotkanym gatunkiem. Jego skrzypiące ćwierkanie było nieprzyjemne dla innych ptaków, które czasami nawet uciekały, kiedy próbował wdać się w przyjacielską pogawędkę. Gdy dom przekonał się, że próby nawiązania z nimi kontaktu odnoszą skutek odwrotny do zamierzonego, zaprzestał wysiłków i starał się zachowywać możliwie dyskretnie, gdy pojawiały się w pobliżu. Może przypuszczały, że jest drapieżnikiem, on zaś nie umiał przekonać ich o swoich przyjaznych zamiarach?

W swoich młodych latach, gdy był budynkiem pocztowym, od człowieka-dzieciola (tak nazywał telegrafistę) nauczył się alfabetu Morse'a. Wytrwale obserwował pracującego urzędnika, który przysyłał wiadomości za pomocą rytmicznego stukania. To było wręcz wymarzone rozwiązanie dla domu. Niestety, zanim nadarzyła się okazja wypróbowania nowej umiejętności, człowiek-dzieciol odszedł i przez długi czas dom pozostawał opuszczony. Zestarzał się, drewno zaczęło butwieć od wilgoci, a wewnątrz pokryły pajęczyny i lepki kurz.

Pewnego dnia ktoś się pojawił. Dom z ciekawością obserwował młodego człowieka, który stanął na werandzie, później zaś wszedł do środka i zaczął się rozglądać. „Może to nowy człowiek-dzieciol?” - pomyślał z nadzieją, przyglądając się szczupłej postaci i zwracając uwagę na drucziane okulary - podobne do tych, które nosił telegrafista.

Nigel Merryman był dziennikarzem. Mieszkał w wynajętym pokoju. Do Vertigo przybył niedawno i nie potrafił jeszcze do końca odnaleźć się w miasteczku. Teraz włóczył się po okolicy - rozglądając, zapamiętując, gdzie co się mieści, skąd, dokąd i jak można najłatwiej dojść. Wreszcie nogi zaprowadziły go na obrzeża, gdzie stały opuszczone budynki - milczący świadkowie lokalnej historii. Wędrując wzdłuż starej drogi, Nigel zastanawiał się nad kupieniem jednego z nich, remontem i przeprowadzką. Szedł od jednego do drugiego, zaglądał przez okna, czasami wchodził do środka i robił pospieszne notatki.

Właśnie zwiedzał parter jednego z domów, gdy jego uwagę przyciągnął dziwny dźwięk. Z jednego z pokoi dochodziło wyraźne stukanie. Dostyc szybkie, pozbawione stałego rytmu uderzenia w drewno. A przecież mógłby przysiąc, że nikogo tam nie było, gdy zaglądał przez okna - czyżby jednak miejsce było schronieniem dla jakiegoś włóczęgi?

Powoli ruszył w stronę odgłosów. Pchnął drzwi i zajrzał do pokoju. Był pusty, nie licząc pajęczyn i skromnego, zbutwiałego ze starości umeblowania. Stukanie ucichło. Nigel uznał, że się przesłyszał, jednak akurat gdy chciał już wyjść, znów usłyszał je za plecami. Odwrócił się i spojrzał w stronę okna, gdzie jedna z okiennic niespokojnie, szybko uderzała o framugę. W jej ruchach było coś dziwnego - nie mógł ich wywołać wiatr. Wydawane dźwięki brzmiały znajomo, jednak w pierwszej chwili dziennikarz nie potrafił uchwycić dlaczego. Zatrzymał się i w skupieniu zaczął nasłuchiwać. Jak zza mgły powróciły do niego wspomnienia z obozu skautów i nagle, ku swemu zdumieniu, odnalazł klucz do stukania. Pospiesznie wyciągnął notes i gdy po kolejnej przerwie okiennica znów zaczęła drgać, kartka wypełniła się ciągiem kropek i kresek. Chwilę trwało, zanim przypomniał sobie odpowiednie litery i pod stawianymi znaczkami pojawiło się ich tłumaczenie.

. - -

W

..

I

-

T

.-

A

. - - -

J

WITAJ

Przerwał i z wrażenia upuścił notes. Podeszedł do okna i ostrożnie, aby nie pokaleczyć się odłamkami stłuczonej szyby, z uwagą obejrzał okiennicę i framugę w poszukiwaniu ukrytych linek lub mechanizmów. Nic takiego nie dostrzegł. Chwilę później stukanie powtórzyło się. To nie mógł być przypadek. Nigel zastanawiał się, czy nie wyjść, jednak górę wzięła zawodowa ciekawość. Rozejrzał się po pokoju i w końcu podjął decyzję.

- Witaj - powiedział głośno.

Nagle wszystko ucichło. Nigel odniósł wrażenie, jakby nawet deski budynku przestały na chwilę trzeszczeć. I wtem okiennica znów zaczęła uderzać o framugę, a dziennikarz porwał z podłogi notes, aby zapisać kolejny ciąg znaków. Ten był już dłuższy i odcyfrowanie zabrało mu nieco czasu.

CZY MNIE ROZUMIESZ?

- Tak. Rozumiem cię - to było całkiem zdumiewające. Przez głowę Nigela przebiegały myśli o ofiarach porwaczy i zakładnikach porzuconych przez swych oprawców. Takich historii nie było wcale mało. - Kim jesteś?

Odpowiedź sprawiła, że z wrażenia usiadł na podłodze.

JESTEM PTAKIEM. STOISZ WE MNIE.

- Czy możesz powtórzyć? - zapytał zdezorientowany. - Nie jestem pewien, czy dobrze cię zrozumiałem.

JESTEM PTAKIEM. STOISZ WE MNIE.

- To nie ma sensu - oznajmił Nigel. - Jestem w pokoju, w domu. Nie stoję w żadnym ptaku.
DOM. TAK MNIE NAZYWALI. JESTEM DOM. JESTEM PTAKIEM.

To stwierdzenie najwyraźniej przerosło Merrymana. Zerwał się, wybiegł na zewnątrz i popędził przed siebie. Dom z żalem obserwował oddalającą się postać i zastanawiał się, co znowu zrobił nie tak.

Tej nocy Nigel nie mógł zasnąć. Niespokojnie przewracał się z boku na bok, a przez jego głowę przelatywały dziesiątki myśli. W pierwszej chwili wystraszył się czegoś niepojętego, lecz później zaczął się zastanawiać i dociekać. Im dłużej roztrząsał sprawę, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że musi wrócić i rozwikłać zagadkę budynku.

Następnego dnia, gdy tylko zdołał zwlec się z łóżka po zarwanej nocy, ruszył w stronę starej części Vertigo. Był zdeterminowany, aby wyjaśnić dziwną sytuację, jednak im bardziej zbliżał się do starej poczty, tym mniej pewnie się czuł. Mógłby przysiąc, że budynek przygląda mu się z zaciekawieniem.

Wszedł do środka i stanął przy jednym z okien, tak brudnym, że trudno było cokolwiek przez nie dostrzec. Powietrze było wilgotne i nieco stęchłe. Przez moment nasłuchiwał, aż wreszcie zebrał się w sobie i odezwał się głośno.

- Jesteś tu jeszcze?

Okiennica przy nim zaczęła stukać. Spodziewał się tego, jednak mimowolnie odskoczył do tyłu.

TAK. PRZECIEŻ STOISZ WE MNIE.

- Skoro jesteś domem, jak możesz ze mną rozmawiać?

STUKAM.

- No tak - mruknął pod nosem Nigel. - Tyle to ja wiem i bez podpowiedzi. - A głośno zapytał: -

Ale jak to robisz?

PIÓRAMI.

Jedna z okiennic pomachała sugestywnie.

- To mają być pióra? - wyrwało się Nigelowi. Dom ucichł. Wreszcie znów rozległo się stukanie - tym razem nieco wolniej, jakby ze smutkiem.

JESTEM STARY. NIE SĄ TAK LŚNIĄCE JAK KIEDYŚ.

- Nie o to chodzi - dziennikarz sam się sobie zdziwił, że prowadzi tę cudaczną rozmowę. - Domy nie mają piór. Domy nie są ptakami.

JA JESTEM PTAKIEM.

- Przykro mi, jeśli cię rozczaruję, ale nie jesteś ptakiem. NIE JESTEM PTAKIEM? - okiennica zadygotała gwałtownie. - CZYM ZATEM JESTEM?

- Jesteś domem. Budynek. Miejscem.

I znów zapanowała cisza. Przez dom przemknął podmuch wiatru, który zabrzmiał jak westchnienie. Nigel nagle, nie wiedzieć czemu, poczuł żal.

- Przepraszam, że to powiedziałem - mruknął. - Może nie powinienem wyprowadzać cię z błędu.

NIE JESTEM PTAKIEM - powtórzył dom. W głębi korytarza rozległo się wysokie, drżące skrzypienie.

- Przykro mi - Merryman stwierdził, że nie wie, co powiedzieć. Czuł się niezręcznie. - Pójdę już. Nie powinienem tu przychodzić.

Powoli skierował się do drzwi. Skrzypienie desek wciąż trwało, niczym bezsilne łkanie. Gdy wyszedł i był już na werandzie, najbliższa okiennica zastukała w znajomy sposób.

NIE ODCHODŹ.

- Na nic się tu nie przydam - ocenił Nigel. - Nie przyniosłem ci nic dobrego.

PROSZĘ, ZOSTAŃ. JESTEM SAMOTNY.

- Co miałbym robić? - zapytał po chwili wahania.

OPOWIEDZ MI O PTAKACH.

Wrócił zatem do środka i zaczął opowiadać.

I tak się to zaczęło. Od tej pory, każdego dnia przychodził do domu i snuł opowieści. Sam nie wiedział zbyt wiele, więc wykupił wszystkie dostępne książki przyrodnicze i podręczniki ornitologii i czytał je na głos, przysuwając ilustracje do okien, aby dom mógł je dokładnie obejrzeć. A interesował go każdy gatunek i każdy, choćby najdrobniejszy szczegół. Z początku Nigel robił to bardziej z poczucia winy, lecz z czasem spotkania zaczęły przynosić mu przyjemność i spokój, którego tak długo bezskutecznie szukał, po wyprowadzce z wielkiego miasta. Przynosił też ziarno i chleb, siadał na werandzie i karmił zlatujące się ptaki. Rozmawiali z domem długimi godzinami, wymieniali wrażenia. Jednak im dłużej to trwało, tym bardziej w Nigelu narastało uczucie - z początku mgliste, później przerodziło się w pewność - że dom wciąż jest strapiony.

- Co cię smuci? - zapytał w końcu. - Zrobiłeś się małomówny i nie w mówisz mi, że te westchnienia to tylko przeciągi. Widzę, że coś cię gryzie.

Po krótkim milczeniu dom odezwał się.

CHCIAŁBYM MÓC LATAĆ.

- Wiesz przecież, że domy nie latają - stwierdził Merryman. - One... stoją.

TO MOJE JEDYNE MARZENIE. CHCĘ CHOĆ RAZ ZOBACZYĆ ŚWIAT JAK PTAK W LOCIE.

- Ależ zrozum, że to niewykonalne - Nigel wzruszył ramionami. - Nie nauczysz się latać. Możemy oglądać ptaki, cieszyć się ich towarzystwem, karmić je, czytać o nich, ale ten pomysł to już zbyt wiele. Daj temu spokój - poprosił. - Nie zadręczaj się czymś, czego nie da się osiągnąć. DLACZEGO?

- Już ci mówiłem. Domy nie latają.

DLACZEGO?

- Tak po prostu jest. Nie pytaj mnie dlaczego, bo nie wiem. Tak działa ten świat. Ptaki latają, domy nie.

Dom odpowiedział po dłuższym milczeniu. JESTEM STARY. TO MOJE JEDYNE MARZENIE. PROSZĘ, POMÓŻ MI LATAĆ.

- Nic tu nie poradzę. To nierealne.

Zapanowała cisza. Dziennikarz powrócił do oglądania albumu o kolibrach, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że dom nie zwraca uwagi na jego słowa i na zdjęcia. Gdzieś ze ścian dochodziło tylko lekkie skrzypienie. Rozmowy z nim bywały trudne. Chociaż był tak wiekowy, pod wieloma względami przypominał dziecko zaprzeczające podstawowym prawdom, które nie pasują do jego obrazu świata.

- Mam dalej czytać? - zapytał Nigel. Nie doczekał się jakiegokolwiek reakcji. Nie umiał określić, czy dom się obraził za jego odmowę, czy po prostu zamyślił się i zobojętniał na otoczenie. Merryman

podniósł się, zebrał książki i wrócił do siebie.

Rozmowa kosztowała go kolejną bezsenność. Gdy następnego dnia pojawił się na miejscu, dom nadal nie reagował na jego słowa, kolorowe zdjęcia w albumach, a nawet na karmienie ptaków, które, już przyzwyczajone do nich, jak zwykle zleciały się przed werandę. Tak było również przez kolejne dni. W końcu Nigel przestał czytać na głos i ograniczał się tylko do mechanicznego rzucania ziarna przed budynek. Milczenie narastało między nimi i było coraz trudniejsze do zniesienia, jednak Merryman nie wiedział, co z tym począć. Zrobił dla domu wszystko, co było w jego mocy, ale wobec ostatecznej prośby był całkiem bezradny.

Olśnienie przyszło którejś kolejnej nocy, gdy patrzył w sufit wynajętego pokoju, pozwalając myślom podążać im tylko znanymi ścieżkami. Zerwał się z łóżka, gotów natychmiast iść do domu i przedstawić mu swoje rozwiązanie, jednak ledwie zdążył postawić stopy na podłodze, ogarnęły go wątpliwości. To na pewno był sposób, ale czy właśnie tego było im trzeba? Po chwili namysłu uznał, że jego pomysł nie ma sensu i zniechęcony położył się z powrotem. Ogarnęło go znużenie. Sen przyszedł szybko.

Następnego dnia znów siedział na werandzie i sypał ziarno. Małe strzyżyki i różne gatunki gajówek migają mu przed oczami, jednak on ledwo je zauważał. Donośny świergot ptaków nie sprawiał mu tym razem radości. Wreszcie zdecydował przerwać milczenie.

- Myślałem o tym dużo... - zaczął powoli. Słowa z trudem przechodziły mu przez usta. - Wydaje mi się... Jest pewien sposób, żeby spełnić twoje marzenie.

Okiennica przy nim zadrżała i zaczęła niecierpliwie uderzać o framugę.

JAK? ZRÓB TO. POMÓŻ MI LATAĆ

- Nie jestem do tego przekonany. Nie byłem... wciąż nie wiem, czy powinienem ci o tym mówić.

PRAGNĘ LATAĆ MOŻESZ MI POMÓC, WIĘC ZRÓB TO. PROSZĘ.

- To nie jest takie proste. Bo widzisz... Ja mogę spełnić twoje marzenie... ale to cię zniszczy.

Dom umilkł, lecz po chwili znów zabrzmiało stukanie. TO NIE MA ZNACZENIA. ZRÓB TO. JEŚLI MA TO BYĆ MÓJ KONIEC, NIECH I TAK BĘDZIE.

- Jesteś pewien?

NIGDY NICZEGO NIE BYŁEM RÓWNIE PEWNY. Nigel pokiwał ze zrozumieniem głową i rzucił przed siebie kolejną garść ziarna.

- Skoro nalegasz, spełnię twoją prośbę. Ale proszę cię, przemyśl to jeszcze. - Kolejne słowa przysły same: - Nie chcę cię stracić. Jesteś moim przyjacielem, a to cię zabije. Proszę, daj temu spokój.

Weranda pod stopami Merrymana zatrzeszczała głębokim, mrużącym dźwiękiem. Okiennica zastukała.

PRZYJACIEL.

- Błagam, zrezygnuj.

PO CO ŻYJEMY, JEŚLI NIE PO TO, ABY SIĘGNAĆ NIEBA?

Na to nie znalazł odpowiedzi. Zrezygowany opuścił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

- Niech zatem i tak będzie.

Przygotowania zajęły trochę czasu. Nigel kupił najpierw działkę, na której stał dom, pozalałtował niezbędną papierkową robotę i uruchomił stare kontakty, aby znaleźć fachowca, który umiałby

starannie wykonać zlecenie. W końcu wynajął odpowiedniego człowieka, niejakiego pana Keatsa, pracującego w jednej z wytwórni filmowych. Ściągnął go na miejsce, gdzie dom został poddany starannym oględzinom.

- Nie będzie to łatwe, ale nie takie rzeczy się robiło - stwierdził Keats po obejrzeniu budynku i jego planów, wydobytych przez Merrymana z ratusza. Później podał sumę, która sprawiła, że Nigel zwątpił w sens całego przedsięwzięcia. Trochę się targowali, aż ostatecznie doszli do porozumienia i pan Keats wziął się do dzieła.

Dom znosił wszystko z niezmienną cierpliwością, chociaż gdy fachowiec zaczął wiercić w nim dziury i rozmieszczać z matematyczną precyzją ładunki wybuchowe, Nigel czuł, że ściany lekko drżą. I nie był pewien, czy to tylko efekt pracy wiertarki.

Wreszcie prace dobiegły końca i nadszedł decydujący moment. Było chłodne, późne popołudnie, powoli zbliżał się zmierzch. Ptaki odleciały już sprzed domu. Keats założył i sprawdził wszystkie ładunki, po czym rozłożył się z detonatorami kilkadziesiąt jardów dalej i leniwie żując gumę czekał na sygnał do odpalenia.

Nigel po raz ostatni wszedł na werandę. Przyłożył dłoń do ściany i poczuł pod palcami wilgoć.

- Możemy to jeszcze powstrzymać - powiedział, chociaż wiedział, że to niczego nie zmieni.

JUŻ CZAS.

- Nie mogę przestać myśleć, że właśnie tracę przyjaciela. ZAWSZE BĘDĘ PRZY TOBIE. SPEŁNIŁEŚ MOJE MARZENIE. DZIĘKUJĘ.

- Ja też dziękuję ci za wszystko. Żegnaj.

ŻEGNAJ. TO KONIEC. NIEBO NIE MA KOŃCA.

- W takim razie... - Nigel poczuł, że coś ściska go w gardle. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa więcej. Jeszcze tylko przesunął ręką po ścianie domu, odwrócił się i szybko odszedł w stronę pana Keatsa. Stał obok niego i bez słowa dał znak.

Keats nacisnął przycisk detonatora.

Rozległ się grzmot. Ziemia pod ich stopami zadrżała, gdy pod domem, na wysokości gruntu, rozkwitły płomienie. Wszystko trwało ułamki sekund, jednak Nigel czuł się, jakby oglądał to na zwolnionym filmie. Zdawało się, że ognista kreska odcina budynek od podłoża. Na ich oczach, dom oderwał się od ziemi. Podmuch eksplozji zdawał się wypychać kruchą, drewnianą konstrukcję do góry. I przez tych parę sekund, zanim ogień pochłonął go w jaskrawej kuli, rozerwał na kawałki i rozrzucił szczątki po okolicy, przez tę jedną, magiczną chwilę dom latał.

Gdy wszystko ucichło i opadł pył, Nigel Merryman płakał.

A jako że niebo nie ma końca, to nie jest koniec opowieści. Następnego dnia Nigel powrócił na miejsce, gdzie wcześniej stał jego przyjaciel i zebrał część pozostałych po wybuchu desek. Później kupił sznurek, farby i kolorowy papier, zrobił z desek dziesiątki przepięknych latawców i rozdał je dzieciom z Vertigo. W okolicy mówi się, że żadne latawce nie mogą równać się z tymi, które wyszły spod rąk pana Merrymana. Czasami nad nimi można też dostrzec na niebie większy punkt - to Nigel, który na swojej skrzypiącej lotni szybuje nad miasteczkiem.

A latawce aż rwą się do lotu.

And he still gives his love, he just gives it away

*The love he receives is the love that is saved
And sometimes is seen a strange spot in the sky
A human being that was given to fly.*

(Pearl Jam - „Given to Fly“)

Joanna Kułakowska

**Wiatr
i głodne kwiaty**

Urodziłam się w 1975 roku, dokładnie o 00.30, zatem Salman Rushdie uznałby mnie jeszcze za Dziecko Północy. Nieco później dołączyłam do Klubu Tfurcuf, współorganizowałam kilka konwentów i zostałam absolwentką UW (Wydział Psychologii, specjalizacja: psychologia społeczna).

Debiutowałam w "Fenixie" 7/1996 opowiadaniem "Gdy przyjdzie Złotooki". Od tego czasu opublikowałam kilka opowiadań, jedną mikropowieść, sporo tekstów publicystycznych, popularnonaukowych oraz recenzji książek i filmów. Udzielałam się w rozmaitych periodykach (głównie poświęconych fantastyce, choć nie tylko). Obecnie zajmuję się korektą dla wydawnictwa ISA, współpracuję z "Nową Fantastyką" i portalem gram.pl (dział "Poza firewallem"). Generalnie jestem dość leniwą autorką, co mam nadzieję zmienić - w tym roku zamierzam wreszcie złożyć własny zbiór w antybaśniowym klimacie; jak w opowiadaniach „Baśń o Śpiącej Królewnie” i „Dziewczynka w czerwonym kapturku”.

Przedstawiona w niniejszej antologii opowieść to przede wszystkim prezent dla mojego Ojca, zesłanego niegdyś do Kazachstanu. Nośny temat, a w dodatku kawałek historii, o którym trzeba pamiętać. Jednak warto też uświadomić sobie, że nie wszyscy mieszkańcy ZSRR byli "tymi złymi", często spotykało się ludzi nabitych w butelkę. Na ten tekst wpłynęło wiele rzeczy, np.: klimat baśni Kirgizów i Kazachów, rozważania o konsekwencji odmienności czy ewentualnym sensie hekatomb zbrodni wojennych. Mała szansa, że takowy istnieje, ale jeśli... cóż, oto moja propozycja.

Mojemu Ojcu - Tadeuszowi Kułakowskiemu - którego wspomnienia z zesłania do Kazachstanu stały się inspiracją dla niniejszego opowiadania.

W południe jeździec zrównał się ze średnim bratem, który szedł obok byka. Jeździec przywitał się z nim i rzekł:

- Twój młodszy brat pozdrawia cię i prosi, abyś lepiej poganiał byka, ponieważ nie zdążycie na miejsce przed zapadnięciem zmroku.

Średni brat podziękował jeźdźcowi i także zwrócił się do niego z prośbą:

- Kiedy dogonisz mego najstarszego brata, który idzie tuż przy łbie byka, pozdrów go ode mnie i powiedz, żeby popędzał zwierzę, bo chcemy jak najwcześniej dotrzeć do aiłu mądrego sędziego.

Jeździec znów pogalopował przed siebie i pod wieczór zrównał się z głową byka.

Baśń kirgiska „Co było większe?” - adaptacja Michaił Bułatow w: „Baśnie narodów ZSRR. Baśnie narodów Azji Środkowej i Kazachstanu”.

- Mamo, dlaczego oni nas nie lubią? - zapytał cichutko Mareczek, wtulając twarz w nocną koszulę matki.

Stanisławska nie odpowiedziała. Chyba nawet nie usłyszała. Rozglądała się wokół, jak ktoś brutalnie wyrwany z głębokiego snu. Na jawie rozgrywał się koszmar, gorszy niż wszelkie majaki. Jakże chciała, żeby to wszystko okazało się zaledwie snem, który zblaknie i odejdzie, gdy świt zajrzy w okna... Poszukała wzrokiem najstarszej córki. Dostrzegła ją w kącie, przygarbioną, z tym okropnym, nieobecnym wyrazem twarzy.

Nie wierzę. To wszystko mi się tylko śni, pomyślała Kama, zaciskając mocno powieki. Musicie mi pomóc. Właśnie teraz. Sięgnęła daleko w noc wewnętrznym wzrokiem, ale ciemność okazała się nieprzenikniona. Zupełnie jakby oślepla. Nie usłyszała też znajomych szeptów. Niewidzialni milczeli. Kurczowo zacisnęła palce na niewielkim płóciennym pakunku, tulonym do piersi. Mareczek zachlipał. Po chwili rozryczała się również Basia, do tej pory siedząca cichutko pod stołem. Mała wodziła przelęknionym spojrzeniem po rodzinie i dwóch uzbrojonych żołnierzach w przybrudzonych mundurach, z czerwonymi opaskami na rękawach. Pojawili się zaledwie kilka minut temu, ale Kamili wydawało się, że minęła cała wieczność.

- Cicho... Cicho... Bądź mężczyzną... A ty, Basiuła, też nie płacz. Jesteś już dużą dziewczynką - powiedziała z roztargnieniem, dziwnie spokojnym głosem, matka.

Kama zerknęła na nią niepewnie. Oczy kobiety płonęły szaleństwem w białej jak kreda twarzy.

- Mamo...

- Spokojno, niczewo, niczewo... - Tęgi mężczyzna w szarzielonym mundurze uśmiechnął się dobrodusznie. Pogładził pieszczotliwie kolbę karabinu, który trzymał od niechcienia, jakby ot tak, tylko dla zabawy. - Budiet charoszaja ekskursja... Pajedzietie tam, gdzie budiet wam charaszo. Biez panow, kułaków i innej chaliery...

- Ale dokąd właściwie nas zabieracie?

- To nie wasza sprawa! Ubierać się i pakować! - dla odmiany warknął szorstko, nienajgorszą polszczyzną, mrużąc brązowe oczy, które nagle straciły poczciwy, misiowaty wyraz. - Co tam chowasz, mała?

Bez specjalnego zainteresowania zajrzał do rozsupłanego worka Kamy. Po chwili zwrócił jej wszystko, w dodatku serdecznie poklepując po ramieniu.

Wygląda jak jakiś wujek w odwiedzinach, pomyślała dziewczyna, tłumiąc histeryczny, narastający w piersiach ni to śmiech, ni to szloch. Wujek z prezentami... Dobry Boże, a jeśli strzeli? Niech oni sobie idą, niech się wynoszą i zostawią nas w spokoju!

Drugi z mężczyzn, kościsty, piegowaty rudzielec roześmiał się krótko gardłowym, nieprzyjemnym rechotem. Nie przestawał buszować po pokoju, wywalając wszystko z szaf, zaglądając do szuflad i komody. On nie wyglądał na dobrego wujka.

- Wołodia, szto ty gawarisz, ty durak! Eto sobaki! Budut rabotat' kak wsie. Wsie budut rabotat'! Kto nie rabotajet - nie kuszajet!

Ojca nie było. Zginął niedawno, walcząc z Niemcami. Nie pozwoliłby, żeby nazywano ich „sobakami”. Wyczuła, że matka również nie zamierza przejść nad tym do porządku dziennego. Szarpnęła się i zadarała hardo głowę, a gdyby mogła zabijać wzrokiem, obaj byłiby już martwi. „Dobry wujek” poruszył nieznacznie karabinem, lufa niby mimochodem skierowała się w kierunku dziewczynki pod stołem. Kobieta westchnęła i jakby zapadła się w sobie.

- No, paguliali my, tiepier nada uchodzit'. - Szeroką, rumianą twarz ponownie rozjaśnił przemiły uśmiech, niczym słoneczny promień w spokojny wiosenny dzień. - A ty, Grisza, daj im spokój.

Grisza wykrzywił się w ponurym grymasie, ale nic już nie powiedział. Wołodia kontynuował:

- Nu, bystrieje! Macie tylko pół godziny! To nic, że będzie coraz cieplej. Bierzcie ciepłe ubrania, bieliznę, pościel i to, co wam niezbędne, ale nie więcej niż pięćdziesiąt kilo na głowę.

Gruby żołdak w sumie dobrze im życzył. Marek przypominał mu synka, który pozostał daleko stąd... Przez głowę Kamy przemknął obraz: pulchna, ładna kobieta o długich, jasnych włosach i chłopczyk o bystrych oczach rozrabiaki. Dziewczyna czuła, że gdyby matka stawiała opór, prawdopodobnie zastrzeliliby ją albo któreś z dzieci bez zmrżenia oka. Ale dopóki nie robili nic głupiego... Nawet trochę współczuł polskiej rodzinie.

Kama spróbowała zobaczyć więcej, w nadziei, że coś pozwoli im wyrwać się z matni, lecz tylko rozboleła ją głowa. Sama była jeszcze zbyt słaba. Pałubina mawiała, że nadejdzie czas, gdy Duchy zaczną szeptać jej o różnych sprawach, nieść nowiny na skrzydłach wiatru lub w otchłani snów, wspomagając jej własny dar. W tym momencie jednak została sama jak palec. Miała ochotę krzyknąć z przerażenia.

Zabrali się za pakowanie. Teraz najbardziej należało bać się mężczyzny o imieniu Grisza. Przepelniała go jakaś niezrozumiała nienawiść, mamrotał pod nosem „polskie pany”. Ojcowskie futro, które mama usiłowała zabrać wraz z innymi rzeczami, zostało jej wydarte. Żołnierz mruknął coś do siebie z uznaniem, oglądając ubiór ze wszystkich stron. Łup wprawił go w dobry nastrój. Dziewczyna odetchnęła. Największe niebezpieczeństwo minęło. Nieoczekiwanie dla samej siebie uspokoiła się. Wyrzucą ich, zabiorą nie wiadomo dokąd, ale nie zabiją. W każdym razie nie w tej chwili. Oczy przestały piec od powstrzymywanych łez. Nie da nikomu tej satysfakcji. Miała już czternaście lat i we własnym mniemaniu dawno była dorosła.

Obie z matką metodycznie wybierały drobiazgi ze sterty, którą niefrasobliwie zrobili Sowieci, przeszukując mieszkanie. Kamila dawno już zabezpieczyła swoje najcenniejsze rzeczy. Matka

ponownie zbierała do kupy to, co nazywała „podstawą”. Podstawę przygotowała już po pierwszych wywózkach w okolicy, ale tak naprawdę nie wierzyła, nie chciała uwierzyć, że i ich to spotka.

Tobołek, który dziewczyna trzymała pod pachą, zawierał książkę do geografii, ulubioną bluzkę z koronkowym kołnierzem i bordową aksamitną kokardą, dwie najładniejsze spódnice, sukienkę, ciepłe skarpety i małego, kudłatego misia. Wstydziła się trochę tej dziecinnej przytulanki, ale... to podarek od taty. Dostała go, gdy była jeszcze malutka. Ojciec powiedział, że miś się nią zaopiekuje. Śmiechu warte. Kama nawet jako brzdąc nie wierzyła, że zabawki - choćby najmilsze - mogą opiekować się dziećmi. Przecież nawet nie potrafiły rozmawiać. Drzewa mówiły, wiatr i chmury także. Zabawki - nie. Tylko drewniana lalka starej Pałubiny, a i to nie zawsze. Lecz kadłubek w chacie staruchy także nie mógł się nikim opiekować - on wzywał pomocy. Jedna jedyna Kama mogła usłyszeć wołanie, ale nie bardzo ją to obchodziło.

Poprzedniej nocy do ucha dziewczyny wbiegł mały pająk, ostrzegając przenikliwym szeptem, że wydarzy się coś złego. Wzięła zatem to, co lubiła najbardziej, i wrzuciła do płóciennego worka. Obudziła matkę, prosząc, żeby uciekały w las z maluchami, ale ta tylko spojrzała na nią dziwnie, jak to coraz częściej miała w zwyczaju, potrząsnęła głową i zacisnęła usta w wąską kreskę.

Nie byli pierwsi. Od kilku miesięcy zabierano ludzi. Mama wbrew zdrowemu rozsądkowi łudziła się, że jakimś cudem zostawią ich w spokoju. Uciekać na niemiecką stronę? Na początku mieliby szansę, teraz jednak granicy na Bugu pilnie strzeżono. Byli tacy, co próbowali - wsiadali w pociąg i jechali, by dostać się do „zielonej granicy”. Dawali w łapę jakiemuś miejscowemu, licząc na szczęście... Nieliczni wrócili. Marychna Kolendowa, przyjaciółka mamy ze szkoły, usiłowała wydostać się w zimie. Cudem się kobiecie upiekło. Przekonała sowieckiego komendanta, aby pozwolił wrócić jej i jeszcze kilku innym matkom z małymi dziećmi. Prawdziwy cud, że nikt nie zajął pustej kwatery Kolendowej. Opowiadała, że przewodnik zdradził. Większość niedoszłych uciekinierów wsadzono na sanie i wywieziono nie wiadomo dokąd. Wartościowe rzeczy znikły, zabrane w „depozyt”. Ludzi oskarżono o próbę bezprawnego przekroczenia granicy Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Matka i tak nie chciała jechać. Nikt tam na nią nie czekał. Kama podejrzewała, że matka nie wierzy w śmierć męża.

Rosjanie przyszli w nocy. Załomotali w drzwi, a potem w okiennice, budząc wszystkich z wyjątkiem dziewczyny wpatrzonych w sufit. Niewidzialni odeszli.

* * *

Patrzyła na zakratowane okienko. Przez chwilę księżycowa poświata igrała po twarzach zdronzonych ludzi, pograżonych w płytkim, niespokojnym śnie. Srebrzysty poblask wydobywał z mroku różne szczegóły, zarazem nadając im tajemniczy, groteskowy wygląd. Pociąg turkotał monotonnie po szynach. Nowogródek pozostał daleko za nimi. Kama wiedziała, że już nie wrócą do domu. Czuli się trochę nieswojo... bo... wcale tego nie żałowała. Najpierw bała się śmierci, a jeszcze bardziej nieznanego. Potem jednak znów przybył znajomy pająk, niosąc otuchę, mówiąc, że to bardzo ważne. I że niewidzialni sądzą, iż sobie poradzi. Poczuli tajemniczy zew, który dotarł do

samego rdzenia jej istoty i przeszły radosnym dreszczem. Wewnętrznym wzrokiem ujrzała Duchy Wiatru i Deszczu, tańczące wśród chmur. Dostrzegła opalizujące obce Moce ponad zabudowanymi placami, otoczonymi kolczastym drutem. Niebiosa przecinały świetliste sznury. Kama usiłowała przyjrzeć im się bliżej, ale wymykały się tuż na granicy percepcji. W powietrzu czuć było atmosferę oczekiwania. Później miała sen. Ujrzała w nim Pałubinę. Wyglądała zupełnie jak żywa, choć oczy kobiety gorzały strasznym, nieludzkim blaskiem... Dziewczyna wiedziała jednak, że nie musi się niczego obawiać. Starowina nachyliła się i wyszeptowała jej do ucha tajemnicę.

Matka płakała cicho. Kama udawała, że śpi, lecz tak naprawdę obserwowała ciemne wnętrza wagonu spod półprzymkniętych powiek. Zawsze widziała jak kot. Było jej żal mamy, zastanawiała się, czy nie podejść i nie pocieszyć, ale w końcu stwierdziła, że to nie najlepszy pomysł. Mama na pewno nie chce, by którekolwiek z dzieci zobaczyło ją w takim stanie - bezradną, pozbawioną nadziei i przerażoną. Basia i Marek oddychali ciężko przez sen, wtuleni w ciało matki. Dobrze im - ufają bezgranicznie. Sądzą, że wszystko będzie dobrze, dopóki ona jest z nimi. Kamila nie umiała ufać aż tak bardzo. Czasem tego żałowała.

W pociągu panował zaduch. Powietrze zdawało się gęste i zawiesiste niczym zupa. Zaburczało jej w brzuchu. Dziś nie przynieśli brei udającej zupę. Ludzie musieli zadowolić się czerstwym chlebem i kipiatokiem - wrzącą wodą. Pasażerów było wielu, a tylko cztery małe okienka. Podróżni i ich toboły zajęli całą dostępną przestrzeń. Śmierdziało potem, moczem i strachem.

Zabrano ich trzynastego kwietnia o drugiej w nocy. Pojechali furmanką na dworzec wąskotorówki. W drodze dołączały do nich inne podwozy, wiozące przerażonych mieszkańców. Wszyscy mieli na twarzach ten sam wyraz oszołomienia, lęku i niedowierzania. Na peronie kręcili się enkawudziści z psami, zapędzili przybyłych do wagonów.

- Nie opuszczać pociągu! - ryknął gromko oficer NKWD w niebieskiej czapce z malinowym otokiem. - W razie próby ucieczki, użyjemy broni!

Więźniowie nie jechali długo. Po południu znaleźli się na bocznym torze stacji kolejowej w Nowojelni, gdzie czekały już ciepłuszki. Przy akompaniamencie okrzyków i gróźb kazano im wejść do środka i zaryglowano drzwi. Nocą eszelon, jak nazywano transport, wreszcie wyruszył. Minęli Baranowicze, potem Stołpce... dalsze nazwy stacji nic Kamie nie mówiły. Udawali się na zesłanie.

Spędzała już siódmą noc w bydłącym wagonie. Musiała siedzieć przy kloacznej dziurze przykrytej derką - kiedy wciśnięto ich do środka, tylko tu znalazła odrobinę miejsca. Nie było najgorzej. Mamę i rodzeństwo udało się usadzić na jednej z piętrowych prycz, ciągnących się po lewej i prawej stronie. Był żelazny piecyk i trochę drewna. Z zimna nie umrą. Potem okazało się, że prędzej wykończy ich upał, wszy lub smród niemytych ciał.

Jak okiem sięgnąć: kobiety, dzieci w wieku szkolnym, staruszkowie i kilka wiecznie marudzących niemowlaków, których nie mogła ukoić nawet najtroskliwsza matczyna opieka. Chłopczyk, który najkrócej z nich wszystkich oglądał świat, zapewne już niedługo go pożegna. Jego rodzicielka nie chciała jednak przyjąć tego do wiadomości. Cały wczorajszy dzień spędziła patrząc martwo w ścianę, nie reagując na próby nawiązania rozmowy. Chciała zmusić malca, by ssał, lecz albo jej piersi były pozbawione pokarmu, albo dziecko nie miało siły. Kobieta szlochała bezgłośnie, po czym znów wpadała w otępienie.

W ciasnym wnętrzu wagonu znajdowało się tylko trzech mężczyzn w pełni sił. Reszta... szkoda gadać. W pociągu tkwili Polacy, Białorusini, Ukraińcy, Żydzi i Tatarzy. Kama nie rozumiała, po co to wszystko. Dlaczego właśnie ich zabrano? Ona musiała jechać. Duchy uważały, że to ważne. Ale te wszystkie dzieci i stare baby? Miała wrażenie, że wciąż umyka jej coś istotnego. Na jawie nic już nie było takie oczywiste. Nie zrobili nic złego, a traktowano ich jak bandę przestępców. Z drugiej strony, uzbrojeni Sowieci kręcący się na stacjach pocieszali, że pasażerowie jadą tam, gdzie wszystkiego jest w bród, gdzie chleba dostatek, a Batuszka Stalin dba o wszystkich.

W domu przecież też niczego nie brakowało. To znaczy, do czasu, gdy „wyzwoliciele” na dobre rozgościli się w Nowogródku.

Pamiętała, jak przyszli - ciepły dzień w drugiej połowie września, zdaje się, że siedemnasty... Sznur zmęczonych, zakurzonych, sympatycznych żołnierzy w zabawnych czapkach z czerwonymi gwiazdami. Wyglądali inaczej niż polska armia. Jakoś tak... ubogo. Nie mieli tornistrów z mnóstwem klamerek, tylko zielone worki. Nie nosili wysokich butów z cholewami, tylko owijacze. I rozglądali się ze zdumieniem. Powiedziano im, że idą pomóc biednym, wyzyskiwanym ludziom. A nie widzieli tu biedy.

Mieszkańcy wyszli wtedy na drogę, przyjrzeć się zdrożnym przybyszom. Niektórzy częstowali mlekiem lub gorącą herbatą, wywołując ożywienie i wylewne podziękowania. Kama również tam była. Razem z chichoczącymi koleżankami schowały się za żywopłotem, spoglądając z zachwytem na postawnego, chwackiego oficera z sumiastym wąsem.

- Hej! Gospodin-towariszcz! - krzyknęła doń jakaś starsza kobieta z tłumu. - Pacziem wy k'nam przisli?

- Ja nie gospodin, babuszka! - odkrzyknął ze śmiechem. Był bardzo przystojny... Wysoki, błękitnooki... - Ja tolka towariszcz! - Po chwili dorzucił: - Przyszliśmy was wyzwolić od panów i ciemniźcicieli!

Kobiecina aż otworzyła usta ze zdziwienia.

Niedługo potem nastąpiła reforma walutowa, a Rosjanie wykupili dosłownie wszystko. Znikły: cukier, nafta, nawet mydło... Kama i znajomi z gimnazjum pod osłoną zmroku wybierali marchewkę i kartofle z cudzych pól pod miastem. Dzięki temu rodziny nie przymierały głodem.

Matka nie słyszała Duchów i nie znosiła, gdy Kama ich słuchała. Poszturchiwała ją wtedy, by nie miała „głupiego wyrazu twarzy”. Dziewczyna wiedziała, że nie ma na to rady. Wiedziała też, że musi przeciąć do końca nic między nimi dwiema, bo dźwiga zbyt wielki ciężar, by walczyć także o zrozumienie tej kobiety. To bolało. Lecz musiała iść własną ścieżką. Dla takich jak ona rodziną mogą stać się tylko inni obdarowani. A i to rzadko.

Matka zajęła się Basią i Mareczkiem, a Kama samotnie biła się z myślami. Z ludźmi zaczynało dziać się coś niedobrego. Z początku starali się sobie pomagać, potem zaczęli szemrać i popatrywać nieufnie, aż wreszcie - skakać sobie do oczu. Jak zwierzęta miotające się w klatce. Kamila również nie jeden raz miała ochotę grzmotnąć pięścią jakiegoś płacznego gówniarza albo rozpychającą się babę. Wstyd przyznać, ale mierzila ją własna siostrzyczka. Była spokojna, grzeczna... i chyba właśnie ta jej cholerna potulność doprowadzała Kamilę do szału. Oczywiście matka nie szczędziła jej wtedy wyrzutów, mówiła, że przecież jest dorosła, że tak bardzo na nią liczy...

Westchnęła, wycierając pięścią nos. Oczy zaczynały szczypać zdradliwie. Co z nimi będzie?

Dopiero teraz powoli docierało do niej znaczenie przedśmiertnego szeptu Pałubiny.

* * *

Stara Tatarka wiele wiedziała.

Dzieci bały się jej jak ognia. Poniekąd słusznie, gdyż potrafiła być groźna i nieobliczalna jak płonąca żagiew na wietrze. Mieszkała na krańcu miasta, w zapadłej ruderze. Maluchy nie podchodziły blisko. Starsze urwisy ciskały kamieniami w stronę okien i uciekały z piskiem, gdy starucha wybiegała na zewnątrz, wygrażając długim kosturem. Wrzeszczała coś gardłowo, potrząsając siwą, skołtunioną głową. Wyglądała, jakby rzucała klątwy.

Jeden jedyny raz Kamilka nie zdołała uciec. Biegając, potknęła się o korzeń i rozłożyła jak długa, tłukąc kolano i rozdzierając sukienkę. Tego nie było w planie. Miała umknąć z chłopcami na bezpieczną odległość i ukryć się w krzakach, pomiędzy domami zacnych obywateli.

Gdyby mama ją teraz widziała, byłaby wściekła, bo „dziewczynka nie powinna się tak zachowywać, dziewczynka powinna być damą, i co ludzie na to powiedzą?”. Za to tatuś pewno zaśmiewałby się do rozpuku. Och, oczywiście wlepiłby klapsa za kamienie, ale tak lekko, tylko po to, żeby udobruchać mamę.

Nikt nie miał zielonego pojęcia, co by się stało, gdyby stara kogoś złapała. Nie było jednak wątpliwości, że nic dobrego. W końcu czarownice przecież jedzą dzieci, każdy to wie. I dlatego właśnie zuchwały atak na jej siedzibę, a potem strategiczny odwrót na z góry upatrzone pozycje, stanowił nie lada wyczyn, budzący rozkoszny dreszcz strachu wzdłuż kręgosłupa. Kto tego nie zrobił był „babą” i „beksą”. Kamila nie zamierzała być ani jednym, ani drugim.

Tymczasem przewróciła się jak ostatnia niezdara. Podnosiła się właśnie, sycząc z bólu, gdy zimna, koścista dłoń zacisnęła się na jej karku. Wrzasnęła z przerażenia i rozpaczliwie usiłowała się wyrwać, ale zdało się to psu na budę. Ręka okazała się nadspodziewanie silna. Kiedy pomimo pisków i szarpaniny została bezceremonialnie odwrócona, dziewczynka zrozumiała, co to znaczy „poczuć się jak szmaciana lalka”. Spojrzała wprost w dziwnie młode, czarne oczy, błyszczące niczym klejnoty w zniszczonej, brązowej twarzy i, ku swemu zdumieniu, nie zobaczyła w nich gniewu. Raczej zadowolenie jak z udanego psikusa. Pałubina prawdopodobnie nie miała zamiaru obdrzeć jej ze skóry i upiec na rożnie. To odkrycie wstrząsnęło Kamilą do głębi... Gdy potem siedziała w czystym, choć zagraconym pomieszczeniu, wdychając zapach ziół suszących się u powały i pijąc mocną, słodką herbatę, musiała przyznać, że świat już nie jest taki sam.

Pałubina nie złościła się na dzieci. W ogóle nie była zła. Ani też dobra, jeśli o to chodzi. Psotne bachory bawiły ją. Ceniła odwagę. Oczywiście, gdyby coś się stało, wszyscy by ją popamiętali, lecz żaden kamień nigdy niczego nie zniszczył. Chałupinkę chroniła niewidzialna bariera utkana z wichru i zaklęć, ale o tym Kama dowiedziała się już znacznie później.

* * *

... Wiatr, słuchaj śpiewu wiatru, szukaj go w stepie... Nakarm głodne kwiaty... Szeptala stara kobieta, gdy jej oczy gasły... Step... Jadą w step, tam gdzie pożółkła, spalona słońcem trawa i kołyszące się łany tulipanów, czerwonych jak krew i jaskrawożółtych jak słońce na dziecięcych

rysunkach... Strasznych i pięknych... Kołyszą się na wietrze... Wiatr, słuchaj wiatru... Perlisty śmiech smagłej, czarnobrewej dziewczyny... Pobrzękują srebrne monety przyszyte do barwnych wstążek...

Nagle szarpnięcie i cisza. Umilkł stukot kół. Kama zbudziła się i rozejrzała zaskoczona. Podświadomie zeszywniała i wciągnęła powietrze. Minione dni nauczyły ją, że nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać.

Wjechali na kolejną stację. Krzyki za oknem. Ujadanie psów. Znów enkawudziści.

Pasażerowie pchali się do zakratowanych okienek, niemalże ją tratując. Próbowali zobaczyć, gdzie się tym razem znaleźli. Może to już stacja docelowa? Kamila czuła, że nie. Matka zacisnęła rękę na jej ramieniu. Dziewczyna odwzajemniła uścisk. Zmusiła się do uspokajających słów:

- Będzie dobrze, mamó. Nie po to nas tak daleko wieźli, żeby coś nam zrobić. Przynajmniej taką miała nadzieję.

- Naturalnie, córeńko, niczym się nie martw - uśmiechnęła się tamta z udawanym spokojem. W rzeczywistości trzęsła się ze strachu.

Rozległ się chrzęst odryglowywanych drzwi. Ciekawe, czy ich na chwilę wypuszczą... Nie zawsze wypuszczali. Jeden ze starców zaczął nieśmiało prosić o możliwość wyjścia, by załatwić pilną potrzebę na powietrzu.

- Dawaj pod wagon! Bystro!

Uff... Wypuszczą... Będzie można rozprostować nogi. Zesłańcy z ulgą wysypali się na peron. Przyzwyczaili się już wypróżniać na oczach wszystkich. Kobiety robiły sobie prowizoryczne parawany z chust i koców, aby choć trochę się osłonić. Niektóre jednak przestały się tym przejmować.

Przy okazji dowiedzieli się, że są w Smoleńsku.

- Panowie! To znaczy, towarzyszy! - zawodziła Antosia, nieszczęsna matka konającego chłopczyka. - Proszę, lekarza... Spasajcie!

Rozpaczliwie podtykała zabiedzone, zsiniałe niemowlę pod nos funkcjonariuszom. Ci odsuwali ją ze zniecierpliwieniem, jeden nawet odepchnął brutalnie. Młoda kobieta z jękiem upadła. Ludzie milczeli. Udawali, że nie widzą.

W końcu jednak przez tłum przedarła się mied-siestra w wojskowym płaszczu narzuconym na biały kitel. Widać, któryś z żołnierzy okazał w końcu trochę serca. Sanitariuszka pochyliła się troskliwie i pomogła wstać dziewczynie. Wyjęła dziecko z jej rąk, przyjrzała się i powiedziała coś cicho. Antosia pobladła.

- Niet! Eto nie możet byt'! Ja zapłacę!

Mied-siestra wzruszyła ramionami.

- Nada w bolnicu, ja nie znaju szto dziełat'.

- Chodźmy do szpitala! - zgodziła się skwapliwie matka dziecka. - Ja zapłacę!

Kobieta w białym fartuchu porozmawiała z enkawudzistami. Negocjacje się powiodły, bo wyciągnęła ramiona po chłopczyka.

- Zaraz... - Antosia nie wyglądała na zachwyconą. - Ja też pójdę, to mój synek.

- Nie rozdzielajcie ich - poparł ją odważnie jeden z mężczyzn. - Skąd będzie wiadomo, gdzie go z powrotem przynieść?

W tłumie rozległ się dyskretny szmer poparcia.

- Niet! - warknął oficer. - Wot swołocz! Małczitie! Tolko malczik! - Dla potwierdzenia słów potrząsnął karabinem.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Zalana łzami dziewczyna pozwoliła zabrać dziecko, zdjęła z palca pierścioneł i wcisnęła sanitariuszce. Ta skinęła głową, zadowolona, po czym odeszła pośpiesznie.

Mijały kolejne długie, nudne godziny. Dostarczono im namiastkę zupy, w której pływały tajemnicze, ohydne farfocle. Zapadł zmrok. Ktoś pocieszał Antoninę, że pewnie niedługo przyniosą jej synka, że na pewno zrobili mu zastrzyk i wszystko będzie dobrze. I rzeczywiście. Kama usłyszała stukanie w ścianę. Antosia przepchnęła się przez tłok do okienka. Wyjrzała z radosnym okrzykiem... ale to nie była mied-siestra. Na peronie stała wysoka kolejkarka, machając przyjaźnie. Okazało się, że jeden z patrolujących dworzec był jej siostrzeńcem. Ze zgrozą opowiedział jej, co widział. Było mu strasznie żal pasażerów. Teraz żołnierze siedzieli w budynku i raczyli się gorzałką, więc można porozmawiać. Kobięcina podarowała im skarb - bańkę mleka.

- Dlaczego tu siedzicie i nie wychodzicie? - dopytywała się zaciekawiona kolejkarka.

Gdy słuchała chaotycznych odpowiedzi, brwi kobiety unosiły się w coraz większym zdumieniu.

- Jakże to? A mnie mówiono, żeście dobrowolcy, że za chlebem z biednej Polski jedzicie. - Zmarszczyła czoło w nagłym przeblysku zrozumienia - Ha! Wyście polityczni! Wy buntowszcziki proti w sowietskój własti! - I... uciekła.

Kamila zdrzemnęła się, znużona. Obudził ją makabryczny wrzask. Antonina szarpała się w ramionach swojej kuzynki Małgorzaty. Eszelon odjeżdżał ze Smoleńska. Bez malucha. Młoda kobieta darła się przeraźliwie. Krzyczała i krzyczała, aż zupełnie ochrypła. W końcu nie mogła wydusić z siebie nawet jęku. Kiedy straciła przytomność i zwiśla bezwładnie pomiędzy przytrzymującymi ją ludźmi, w absolutnym milczeniu ułożono ją na pryczy. Rano okazało się, że umarła.

Tej nocy Kama już nie zasnęła. Wpatrywała się w ciemność, żegnając odchodzącego smutnego ducha młodej matki, czując, że Pałubina miała rację. Serce powinno przypominać kamień, skorupę, która otwiera się tylko na życiodajne światło Mocy. Tak jest wygodniej... Nakarmić głodne kwiaty...

* * *

Miała dziesięć lat, gdy staruszka pokazała jej, jak się odczynia urok. To wcale nie było takie trudne. W cichości ducha uważała, że rzucanie uroku jest dużo ciekawsze, choć zarazem jeszcze łatwiejsze.

Dzieci nie zwracały uwagi na wiele rzeczy, na przykład na fakt, że Tatarka cieszy się wśród starszych dorosłych wielkim szacunkiem. Młodszy kpili z niej trochę, lecz były to żarty podszyte lękiem i niepewnością.

Od tamtego niefortunnego upadku - jakież lanie otrzymała przez nieszczęsny rąbek sukienki! - Kama często bywała w chacie Pałubiny. Oczywiście po kryjomu. Rodzice nie byliby zachwyceni, a dzieci zaczęłyby jej dokuczać. Tłumaczyła się koleżankom, że musi pomóc mamie i biegła do „mateczki”.

- Jak cię wołają? - zapytała wtedy Tatarka.

- Kamila Stanisławska... - odparła z drżeniem dziewczynka. Nie wiedzieć czemu, nawet nie przyszło jej na myśl, by skłamać. - A właściwie to Kama... A dziaduś mówił „Kamyczek”.

- Hmmm... Kamyczek... - Czarne oczy przewierciły ją na wylot, a potem zmrużyły się chytrze. -

Ano całkiem trafne... Całkiem, całkiem. No tuda my pajdziom, Kamyczku.

Nikt nie parzył tak pysznego czaju jak Pałubina.

Cztery lata później siedziała cicho w kącie, ukryta za wielkim bujanym fotelem, żeby nie spłoszyć gościa Tatarki. Przyglądała się zabiegom wiedzmy, zwanej przez interesantów „mateczką” albo „babuszką”. Oniemiała ze zdumienia, widząc, kto zawitał w „progi ciemnogrodu”. Ni mniej, ni więcej, tylko sam doktor medycyny Kazimierz Ostruda, częsty bywalec na herbatce u Stanisławskich. Od jakiegoś czasu utykał na lewą nogę. Podobno cierpiał coraz bardziej, jednak wciąż powtarzał z rubasznym śmiechem: „Lekarzu, lecz się sam”. Cóż, w końcu jednak postanowił postąpić wbrew własnej dewizie.

Pałubina usadziła go na samym środku izby. Widać było, że nieszczęsny doktor nie czuje się najlepiej. Rozglądał się z zażenowaniem i nerwowo poprawiał okulary. Ciekawe, co by powiedzieli rodzice, gdyby go tu zobaczyli... Kama z trudem stłumiła zdradliwy chichot.

- Prześcieradło przyniósł?! - zapytała surowo kobieta.

- Eee... Tak! Oczywiście! - Ostruda, pomimo bólu, zerwał się jak oparzony i sięgnął po teczkę.

Wyciągnął ze środka starannie złożone czyściutkie, bielutkie prześcieradło i podał babinie, nieco zakłopotany.

- To to, na którym sypiasz? - spytała, marszcząc brwi z lekkim powątpiewaniem.

- Tak...

- Nu, togda charaszo... Po nastajaszczzi...

Zaczęła kręcić się po pomieszczeniu, wyciągając z ukrycia dziwne przybory, kłębki kolorowych nici, zwój sznura, szydło... Zerwała parę listków z kilku ziołowych wiechci i wrzuciła do kotła, mruczając jakieś zaklęcia i wydając z siebie ostry, urywany okrzyk. Pochyliła się nad naczyniem, chłonąc głęboko silny aromat.

Kamila była trochę zła, bo absolutnie nic nie rozumiała z poczynań starej. Doktor obserwował wszystko uważnie, a na jego twarzy malowała się gra emocji - od fascynacji aż po obrzydzenie. Dziewczynka przymknęła oczy, zniechęcona. I nagle ujrzała tuż przed sobą gorejące źrenice Pałubiny.

Patrzaj! Uważnie!, nakazała jej tamta w myślach. Tak, jak cię uczyłam. Otwórz serce, ale bacz, by było twarde jak kamień, bo insze Moce najdą trop i łatwy dostęp. Otwórz się na Świat Duchów, płyn z Wodą, tańcz z Ogniem, śpiewaj z Wichrem!

Kama pojęła wtedy, że te wszystkie hołubce, wyczyniane przez staruszkę, mają za zadanie odwrócić uwagę niepowołanych od właściwej istoty rzeczy. Obecna w jej myślach Pałubina zaśmiała się cichuteńko: Właśnie tak! Duchy obserwują, a nie wszystkie muszą wiedzieć, co robię, lepiej wprowadzić je w błąd. Ale nie daj się zwieść, z drugiej strony i ludzkie dusze, i Duchy w różnych rzeczach się lubują, a inszych nienawidzą. Przedmiotem, kolorem, zapachem można karać lub nagradzać. Można je wykorzystać, choć nie trzeba, jeśli twa dusza stanie się Wodą, Ogniem i Wiatrem.

Nauczę się, obiecała sama sobie.

Po dziwnym widowisku zafundowanym doktorowi, ów ze zdziwieniem stwierdził, że noga jakby przestała go boleć.

Kamyczek oglądała, co się dzieje, zdając sobie sprawę, że starszy pan nie dostrzega tego, co ona. Ognisty blask emanujący ze starej, wspierany przez ostry zapach ziół i monotonne mamrotanie, przerywane nieprzyjemnym zawodzeniem, sprawiły niezwykle rzeczy. Wijąca się na podobieństwo

węza, niemal zupełnie przezroczysta istota wysunęła się z nogawki spodni doktora, po czym rozejrzała się ze złością wylupiastymi ślepiami. Staruszka zamachała sznurem. To był bardzo głupi, prosty stwór. Zainteresował się i zaczął naśladować falowanie. Pałubina zespoliła go ze sznurkiem siłą swojej woli, zawiązała w supeł i przebiła ostrym szydłem. Istota powołana do życia przez cudze złe intencje skrzeknęła wściekle i zamarła. Kolorowe motki okazały się zbędne. Pałubina wyrzuciła je do kąta. Sznurek został owinięty prześcieradłem, żeby duchowi choroby odechciało się wrócić podczas snu doktora, i wrzucony do pieca.

Kazimierz Ostruda, krzywiąc się osobliwie, wypłacił należność za usługę. Tatarka nie chciała pieniędzy. Przyjmowała wiktuały i gorzałkę.

Doktor wyzdrowiał. Kama nie mogła więc zrozumieć, dlaczego jakiś czas później zaczął opowiadać, że czary „mateczki” to pusta szarlataneria. Kampania przeciwko czarownicy nawet przynosiła efekty - do momentu, gdy Ostruda zapadł w śpiączkę.

Od tej pory drewniany kadłubek w kącie chaty Pałubiny krzyczał i zawodził.

Kamyczka to nie obchodziło. Za głupotę i niewdzięczność trzeba zapłacić.

* * *

Podróżowali ponad dwa tygodnie. W tym czasie zmarło jeszcze troje dzieci i młodziutka dziewczyna podczas położu. Martwego, potwornie zniekształconego noworodka wyrzucono przez okno. Cicho, na swojej pryczy, zgasł również starzec, zwany przez wszystkich „wujaszkiem”. Pogrzebów w zasadzie nie było. Żołnierze zabierali zwłoki i gdzieś zostawiali.

Kama była zbyt wycieńczona, by pomóc. Większość Duchów nawet nie zwracała uwagi na niezdarne zaklęcia. Niewidzialni wrócili, ale nie byli skorzy do pomocy. Nie za darmo. Dała spokój. Zobojętniała.

Po Smoleńsku minęli Moskwę i Riazan, przejechali Wołgę, Kujbyszew, Buzułuk, Ozenburg, wreszcie Sol-Ileck. Byli za Uralem, po azjatyckiej stronie ZSRR. Przez zakratowane okienka dziewczyna widziała bezkresną równinę, step, na którym pasły się osły i wielbłądy. Wiatr niósł ze sobą dziwną, tkliwą obietnicę.

Sen powrócił.

Szumiały drzewa. Kama siedziała na Wzgórzu Zamkowym pod Nowogródkiem. Wokół roztaczał się cudowny widok. Słońce przyjemnie przygrzewało, pod zaciśniętymi powiekami igrały barwne cienie. Ktoś dotknął jej ramienia.

Stała nad nią uśmiechnięta Pałubina. Tatarka wyglądała jak żywa, tylko nieco bledsza niż zazwyczaj, jej oczy lśniły czarnym płomieniem.

Kamila wiedziała, że jest do niej trochę podobna. Była Polką, nie miała w sobie ani odrobiny krwi potomków Ordy i Chanatów, a przynajmniej tak jej się zdawało. A jednak stawała się podobna do tej kobiety. Długie, grube warkocze Kamy nie były czarne. Przypominały kolorem kasztany. Skóra dziewczyny miała, odziedziczoną po ojcu, złotawą barwę - dlatego nie bała się słońca, jednak nie była to karnacja Tatarów. Tajemnica kryła się w oczach, czarnych, błyszczących, nieodgadnionych. Zanim zaczęła pobierać nauki, były po prostu ciemnobrązowe.

- Kamyczku.

- Mateczko? Cieszę się, że tu jesteś.

- Pamiętasz, co mówiłam, odchodząc?

- Wiatr stepów śpiewa o przeznaczeniu. Mam go słuchać i nakarmić głodne kwiaty.

Staruszka pogładziła ją po głowie, pochyliła się i wyszeptała wprost do ucha tajemnicę.

Świat zafalował jak wodna tafla, zmałona niefrasobliwie wrzuconym kamieniem.

Wielka, nieogarniona umysłem równina, pożółkłe od słońca trawy, kłaniające się w takt wiatru. I tulipany. Morze czerwonych i żółtych tulipanów. Ich rozkwitłe główki przypominają głodne pyszczki, chciwe gardziele, złociste podniebienia. Po ziemi przemknął ogromny skrzydlaty cień. Ptak zatoczył łuk nad Bykiem Świata. Brązowy, lśniący grzbiet ciągnął się aż po horyzont. Przecierał szlak dla dziesiątek tysięcy istnień. Umacniał swą obecnością Przejście. Zostało mało czasu.

Kamila jechała konno obok młodego, śniadego pastucha, tłukącego zad stworzenia uplecionym ze skóry batogiem.

- Powiedz mojemu bratu, który jedzie koło boku byka, żeby szybciej go poganiał, bo nie dojedziemy przed zmrokiem - poprosił chłopak.

Kama pogoniła wierzchowca. Nim dostrzegła młodego mężczyznę, na pysku zwierzęcia pojawiła się piana.

- Za późno - powiedział ze smutkiem młodzieniec. - Wszystko zależy od najstarszego brata, który jedzie przy łbie byka. On chyba widzi już łunę zachodu.

Kama zmartwiła się.

- Czy zdążymy na czas?

- Peri mówi, że tak. Poza tym, czy mamy inne wyjście?

Skrzydlaty cień ogromnego sępa znów musnął ziemię. Czarnobrewa, hoża Peri roześmiała się perliście, a srebrne monety zadźwięczały niczym dzwoneczki.

- Aktiubińsk! - wołali wartownicy.

Kamila jęknęła. Odgarnęła z twarzy zlepione potem włosy i z trudem otworzyła ociężałe od sennych majaków powieki. Matka podała jej reszkę wody.

- Kolejna stacja - szepnęła, tuląc do siebie Basię i pokasłującego Marka.

Zgrzytnął rygiel.

- Wychodzić! Zabierać bagaże! Bystrzej! Bystrzej!

- To... Nie może być... Dzięki Ci Boże! To stacja docelowa! - wykrzyknął jakiś starczy głos. W okrzyku jakimś cudem zabrzmiały zarazem ulga, nadzieja i lęk przed nieznanym.

Znaleźli się na stacji towarowej w Aktiubińsku - obwodowym mieście w Socjalistycznej Republice Kazachskiej.

Był początek maja 1940 roku. Słońce prażyło niemiłosiernie, silny wiatr unosił niekończący się piasek, ustawicznie wciskający się do oczu. Nie przeszkadzało to ludziom wynurzającym się z dusznych, brudnych wagonów. Kobiety obiecywały sobie, że wreszcie wypiorą odzież i pozbędą się wszy. Najbardziej pragnęły jednak po prostu rozprostować nogi, zaczerpnąć świeżego powietrza i dowiedzieć się, co dalej. Czy pójdą do więzienia? Nikt już nawet nie marzył, że usłyszy proste wyjaśnienie, gdzie ich zabiorą.

Żołnierze NKWD zebrali wszystkich na pustym placu. Jego obrzeża momentalnie zapełniły się ciekawskimi. Zesłańcy rozglądali się z niepokojem. Wśród obserwatorów byli pszennowłosi, jasnoocy Rosjanie oraz Ukraińcy, odziani w obszarpaną roboczą odzież, ale przeważali ludzie o mongolskich rysach, ciemnej skórze i czarnych czuprynach. Enkawudziści zaczęli sprawdzać listę nazwisk. Gdy wreszcie wykrzyczano nazwisko „Stanisławscy”, Kama już słaniała się na nogach.

Potem zaś... Zostawiono ich samym sobie. Wartownicy kręcili się w odległości wzroku, lecz zdawali się nie interesować przywiezionymi. Były to jednak pozory - gdy jeden z wychudzonych chłopaków usiłował odejść kawałek, oberwał kopniakiem w podbrzusze. Pasażerowie eszelonu prosili o chleb, ale słyszeli tylko: „Niczewo! Nie podochniocie!” Wszelkie pytania zbywano pogardliwym: „Paszoł won!”.

Za to miejscowi okazywali zainteresowanie, a żołnierze w tym nie przeszkadzali. Kama starała się nie zwracać na nich uwagi, choć policzki piekły ją ze wstydu - czuła się jak egzotyczne zwierzę wystawione na pokaz, ku uciesze licznej i niezbyt przyjaznej gawiedzi. Niektórzy po prostu podchodzili i bez żenady dotykali delikatnego materiału sukien albo macali pakunki. Śniadzi mężczyźni przyglądali się dziewczętom, szczerząc zęby, że „takie bielińkije, łuczszeje”. Miejscowe kobiety śmiały się, że długo takie nie będą - słońce da im popalić. Jeden z nich natarczywie mrugał do matki, która odwracała się zażenowana. Bogiem a prawdą, Kamila wcale mu się nie dziwiła. Pomimo wyczerpania podróżą gładka, jasna skóra i poważne, niebieskie oczy pani Stanisławskiej mogły wzbudzić zachwyt.

Do matki podeszła jakaś zabiedzona kobiecina. W pooranej zmarszczkami twarzy świeciły szare, dobre oczy.

- Niczewo... Ty mołodaja, krasiwaja, zdrowaja. Priwykniecie, kak i ja priwykła.

Pogłaskała Basię i Marka, wręczając im po kawałku słodkiego placka i uśmiechnęła się miło do Kamili.

- Charoszaja dziewczoczka, u nas maładcow chwatit, płocho jejo nie budziet.

- Cóż... Mam nadzieję, że niedługo wszystko się wyjaśni i wrócimy do domu, do Polski - powiedziała matka z wymuszonym grymasem uprzejmości na twarzy. - Tam sobie dobrego kawalera z pewnością znajdzie.

Stara wzruszyła ramionami i jeszcze raz objęła ich spojrzeniem. Kama była pewna, że dostrzegła w nim ogromne współczucie.

- Możet byt' - odparła z pewnym powątpiewaniem w głosie.

Matka zaczerwieniła się ze złości. Chciała odwrócić się i odejść, ale staruszka ją zatrzymała. Pokazała na tobołki.

- A masz ty co na handel? Troszku mąki i słoniny wam przyniosę... U nas niet krasiwych matieriałow. Dałaby ty takoj perkalik...

- Przecież na pewno otrzymamy przydział żywności... - zamilkła, widać przypominając sobie, jak karmiono ich podczas podróży i niepokój wywołany odpowiedzią „priwykniecie” na pytanie o chleb.

Kama usiadła w pyle drogi, gładząc płowe czupryny rodzeństwa. Dzieciaki rozłożyły się na jej kolanach i szczebiotały radośnie. Powoli zbliżał się wieczór. Na razie było przyjemnie chłodno, choć wiatr niósł ze sobą zapowiedź dojmującego zimna. Można wreszcie odetchnąć...

Wieczorem nadjechały poobijane ciężarówky. Wskoczyli z nich czerstwi, ogorzali mężczyźni i zaczęli oglądać nowo przybyłych. Szukali silnych pracowników do kołchozów lub sowchozów. Z niesmakiem przyglądali się „chuchrom” nienawykłym do fizycznej pracy. Mimo to Stanisławscy wkrótce załadowali się na pakę jednego z samochodów. Część przyjezdnych pozostała na placu. Ciężarówky miały dojechać jeszcze jutro i pojutrze. Było coraz chłodniej. Jak ci ludzie sobie poradzą? Zostawią ich tutaj... tak po prostu?

W rozmowach kierowców padały dziwaczne nazwy: „Kołchoz Iskra”, „Krasnaja Zwiozda”,

„Wiesioły Trud”... Jednak wyglądało na to, że oni udają się gdzie indziej.

Poruszali się polną drogą, wzdłuż słupów linii telefonicznej, raz czy dwa daleko zamajaczyły zabudowania. Nadeszła noc i nocny ziąb. Kamila otuliła siebie i rodzeństwo zimowymi płaszczkami, z nieoczekiwaną wdzięcznością wspominając tęgiego Wołodię, który kazał im to wszystko zabrać. Wyjrzała przez dziurę w plandecie. Na niebie migotały gwiazdy... Nigdy dotąd nie widziała tak wielkich, jasnych gwiazd. Pomiędzy nimi przemykali niewidzialni. Ponownie odczuła zawstydzające zadowolenie. Była na swoim miejscu, zgodnie z przeznaczeniem. Patrząc na wychudzoną, schorowaną buzię brata spróbowała przegnać tę myśl... A jednak nie mogła...

Na miejsce dotarli nad ranem.

* * *

- Bystrzej! Bystrzej! - pokrzykiwali Zoja i Andriej, ścigając się pomiędzy grządkami.

Kama, Krzysiek i Wojtek sunęli tuż za nimi, brnąc po kolana w błocie.

- Polaki słabe, nie umieją szybciej! - wyzłośliwiła się piegowata Zoja.

- Zaraz zobaczysz!

Wojtek wychylił się nagle do przodu, łapiąc ją za warkocz. Dziewczyna wyrwała się z piskiem i rzuciła w niego pryzmą ziemi. Kama parsknęła. Wiedziała, że Zoja mu się podoba. Zerknęła spod oka na Andriuszę. Była ciekawa, kiedy ci dwaj się pobiją. Dla Polaka mogło to się skończyć tragicznie. Zesłańca łatwo oskarżyć o cokolwiek. Przyjeżdżało NKWD i człowiek znikał. Na szczęście wesoły Andriej nie należał do mściwych gnid... Przynajmniej miała taką nadzieję.

- Uważajcie, o tutaj... - syknął Krzysiek, wskazując właściwą grządkę.

Zaczęli wykopywać nowy niewielki kanał. Wkrótce woda popłynęła i zalała warzywa. Zjadłabym pomidora, jęknęła w duszy Kamila. Soczyste pomidory, melony oraz kawony pyszniły się na równych grządkach, wywołując skurcz spragnionego gardła. Nic z tego, byli dobrze pilnowani.

Polaków skierowano do pracy w Ogrodach - kilka kilometrów od wsi, w której ich zakwaterowano. Musieli wykopać wielki kanał nawadniający. Zwinni chłopcy i dziewczęta kręcili się, wypatrując suchych miejsc. Wykopywali małe kanały udroźniające dostęp wody, a zasypywali już niepotrzebne. Trzeba było zwijać się jak w ukropie. Kama lubiła tę pracę, mimo że należała do najbardziej wyczerpujących, a na ciele oblepionym przez błoto i wysmaganym przez stepowy wiatr, otwierały się rany. Nogi i ramiona dziewczyny stały się silne, jak u innych kołchożnic. Nie przeszkadzała jej lodowata woda, którą ochlapywała się każdego wieczora.

Nocą, gdy utrudzona dniem matka zasypiała, przyciskając do siebie, jak najcenniejsze skarby, swoje młodsze dzieci, Kamila wychodziła na próg i patrzyła na gwiazdy. Słuchała wiatru. Niósł ze sobą tęskną pieśń. Sam był pieśnią. Zaciskała powieki, czekając na obrazy, które zawsze nadchodziły.

Oglądała niekończący się step, wielką równinę ciągnącą się aż po horyzont. Spoglądała na Ural. Masywne szczyty, poszarpane turnie. Stada owiec, krów, koni i wielbłądów na zielonych łąkach. Oglądała auly - wioski Kazachów. Dżygitów o śniadych twarzach i śnieżnobiałych zębach. Młode, dziarskie kobiety o czarnych, sięgających pięt warkoczach. Starców, siwobrodych Eksakałów, i staruszki siedzące przed jurdami. Nim zaczęto pędzić ich do kołchozów w ramach magicznego ukazu „kolektywizacja”, wędrowali całymi rodami za swymi stadami, rozkładając jurty, tam gdzie

zwierzęta znalazły pożywienie. Potem wracali na zimę do aułów. Najbogatsi bajowie nigdy nie wiedzieli, ile jagniąt pożarły wilki, a ile się narodziło. Teraz już niewielu szczęściarzom udało się zachować dawny styl życia.

Obserwowała stepowe wilki - ogromne, szare bestie, tak wielkie, że przewracały konia. Zabijały, wskakując mu na grzbiet, obalając i rozszarpując gardziel.

Ujrzała kopuły zrujnowanej cerkwi. Wyblakłe malowidła, odpadający tynk... Ale budynek tylko pozornie był opuszczony. W ciemnym wnętrzu rozlegały się jęki martwych za życia. Na pryzkach leżały konające z głodu i gorączki kobiety oraz dzieci w brudnych szmatach. Niemki z Nadwołża. Tyfus, wyszeptał jakiś głos w jej głowie. Przyglądała im się z resztką współczucia, które jeszcze tliło się w sercu. Już niedługo, obiecała, przesyłając im pocałunek. Dzieci zaczęły płakać.

Oglądała pożar na stepie - niemal niepokonany, przerażający i piękny w swej grozie. Niósł ból oraz strasliwą śmierć w męczarniach ludziom i zwierzętom. Dopiero góry go powstrzymały. Zazdrościła Duchowi Ognia i zapagnęła stać się Ogniem Niesionym Przez Wiatr. Lecz najpierw jej serce musiało stać się Kamieniem, a myśli Wodą. Wiedziała, że potrafi tego dokonać.

Zajrzała w pokryte bielmem źrenice sędziwej Kirgizki. Sprowadzono ją z południa, wraz z rodziną, tu do Kazachów, gdyż komuniści pragnęli uczynić z nich jeden naród. Kobieta dobrze pamiętała nie tak dawne czasy, gdy Rosjanie przybyli do nich, odbierając stada oraz ziemię i zaprowadzając nowy porządek. Rzeź dokonaną na buntownikach. A potem nienawiść tak wielką, że kirgiskie dziewczynki i staruszki wykluwały widłami oczy żołnierzom i osadnikom wziętym w niewolę. Wydierały je jeńcom, by stali się bezradni, jak one, by uradować ich strachem duchy pomordowanych mężczyzn i dojrzałych, silnych kobiet.

Staruszka dostrzegła ją pomimo ślepoty, po czym skinęła przyjaźnie dłonią.

Kama widziała też Byka Świata, pędzonego przez Trzech Braci, i czekała na piękną Peri, starszą niż czas.

Matka nie radziła sobie. Podupadła na zdrowiu. Jej nieskazitelnie białą skórę poparzyło słońce, zniszczył wichur. Spękane usta, bruzdy na czole, wrzody na ciele i martwe, matowe włosy tworzyły obraz nędzy i rozpacz.

Kama wręcz przeciwnie - piękniała. Piękniała pomimo wiecznie pustego brzucha, katorżniczej pracy, obawy, że okazjonalne kradzieże zostaną wykryte i ukarane więzieniem lub pobiciem. Ciało miała chude, porane bliznami, wysuszone na wiór, lecz zarazem twarde jak skała. Stepowy wiatr jej służył. Dawno przestała też tęsknić. Pomagała matce i rodzeństwu, jak mogła, nie szczędząc wysiłku, ale duszą odeszła w swoją stronę.

Jasne oczy matki ukrywały na swym dniu nieustanny wyrzut. Dwie głębokie czary goryczy.

- Ciągle przebywa z Chachłami, Rosjanami z kołchozu i tymi... barbarzyńcami - szeptała pani Kosut, krzywiąc się ze wstrętem i załamując ręce. - Jak możesz na to pozwalać, Aneczko? Przecież ona może wyrosnąć na... - jeszcze bardziej ściszyła głos, mrugając konspiracyjnie - komunistkę...

- Uchowaj Boże - zdenerwowała się matka Kamili. - Na pewno tak nie będzie... Moja Kama to mądra i dobra dziewczynka.

- Nie poszła do szkoły - wtrąciła oskarżycielsko Elżbieta Borejsza.

- A czy to źle?! - sarknęła Stanisławska. - Przecież to właśnie wylegarnia tego całego gówna.

Był czas, gdy takie słowo nie przeszłoby przez usta eleganckiej, dobrze wychowanej Annie

Stanisławskiej de domo Hryniewicz. Dawno temu, w innym życiu.

Słoczone w izdebce kobiety rozejrzały się z niepokojem. Nigdy nie wiadomo...

- Poza tym wcale nie tylko z Rosjanami - kontynuowała znużonym tonem. - Wszystkie nasze dzieci pracują z nimi, spędzają wspólnie czas. Czy to źle? Czy to takie dziwne? Oni wszyscy są młodzi i ciągnie ich do siebie. Ja... Cieszę się, że prezydent uznał, że Kama nie musi koniecznie chodzić do tej całej dziesiąt'letki w Kimpiersaju. Szkoda mi, że Basiulę i Mareczka za rok będę musiała tam posłać...

- Za rok?! - przestraszyła się Wanda Kosut. - Bój się Boga! Nasz rząd nigdy na to nie pozwoli! Zaprzyjaźnione narody... Zabiorą nas do Ameryki, mówię wam. Już niedługo nas stąd zabiorą, nie zapomną o nas, niebogach wyrwanych z Ojczyzny...

Inne kobiety spojrzały na nią ironicznie.

- Cóż, sądzę raczej, że długo tu zostaniemy, trzeba przygotować się i zakasać rękawy... - Stanisławska otarła pot z czoła.

- Ty wciąż masz gorączkę... Niedługo przyjedzie lekarz na wizytację. Trzeba mu powiedzieć.

- Żartujesz, Elu. Powiedzą, że symuluję i odejmą za karę trudodnie albo zapakują w bolnicu i też zegnają trudodnie. A co ja dam dzieciakom? Jak przeżyją? Kamilka młodszej dwójki nie uciągnie. Ona jeszcze rośnie... Sama musi jeść, a nie ma co do ust włożyć.

Pani Borejsza odęła wargi z dezaprobatą.

- Mój Krzysio powiedział, że ona się dziwnie zachowuje. Może... słońce jej zaszkodziło? - podsunęła delikatnie.

Cierpliwość matki Kamili wyczerpała się.

- Dajcie jej spokój! - warknęła. Przez chwilę wyglądała jak dawna, dumna Anna Stanisławska, nauczycielka przywołująca niesforną klasę do porządku. - Czegoście się uwzięły na moją Kame?! Nie macie innych tematów niż moja córka?

- Wybacz... - Pani Kosut nieśmiało dotknęła jej dłoni. - Wiesz przecież, że to tylko z troski, prosto z serca płynie... Ty się zamartwiasz i o nią, i z jej powodu. Stała się taka... inna, zamknięta w sobie. Trzyma się od ciebie z daleka, zamiast pomagać, podtrzymywać na duchu, tak jak inne dzieci. Przecież jesteśmy na obczyźnie.

Usta Stanisławskiej zadrżały. Nieoczekiwanie rozplakała się spazmatycznie.

Kama stłumiła łzy. Słony smak. Zostało tylko trochę goryczy w gardle. Oczy już stały się suche. Wiedziała, że tak będzie. Nie musiała siedzieć w ziemiance, żeby słyszeć i widzieć. Coraz częściej przeklinała potężniejący z dnia na dzień, z nocy na noc, dar.

Jakże mi Ciebie brakuje, Pałubino, pomyślała z żalem.

Ona jest, ona tu jest... Czeka u progu tajemnicy... W Przejściu... Zaszemrał wiatr...

* * *

Kołchoz Komintern nie był duży, ale działał prężnie. Obok znajdował się pasiołek Troick.

Zdawałoby się, że całe wieki upłynęły od tamtego piekielnego ranka, gdy ciężarówki przywiozły ich w sielsawiet Stieponoj w Noworosyjskim Rejonie i Aktiubińskiej Oblaści - około siedemdziesiąt kilometrów od miasta Aktiubińsk. Województwo Aktiubińskie Północnego Kazachstanu... nawet ładna nazwa, pomyślała wówczas Kama, przyglądając się miejscu, gdzie wysadzono zesłańców po

koszmarnej, zdającej się nie mieć końca podróży. Szkoda, że tylko nazwa, dodała z niechęcią.

Wieś Troick w gminie Stieпноj została dość dawno przyłączona do kołchozu Komintern. Większość mężczyzn posłano na front i mieszkańcy cieszyli się z nowych rąk do pracy. Przyjezdnych wyładowano, po czym od razu posłano do kołchozowej kantory, gdzie urzędował predsiedatiel. Przydzielono ich do ziemianek i lepianek z gliny oraz słomy, należących do różnych kołchoźników. Stanisławscy i Kosutowie mieli szczęście - dostali osobną, choć na w pół rozwaloną ziemiankę, gdzie wspólnie zamieszkali. Doprowadzenie jej do porządku okazało się nie takie trudne. Przynajmniej mieli „własny dom”.

Niedaleko była wieś Kimpiersaj, w której znajdowała się niewielka szkoła. Predsiedatiel zarządził, by posyłano tam dzieci w odpowiednim wieku, jednak nie zostały przez to zwolnione od obowiązku pracy. Zbierały na stepie kiziak - wysuszone przez słońce łajno.

Bydłęce odchody stanowiły jedyny dostępny opał. Dni były upalne, lecz noce bardziej lodowate niż niejedna zima w Polsce. Miejscowi nauczyli, że trzeba gromadzić opał, to jednak nie wystarczy. Kiziak trzeba robić. Zwierzęce odchody ugniatało się razem ze słomą, suszyło i dzieliło na pryzmy. Zwykle do ubijania używało się wołów, ale niekiedy musieli się tym zajmować również kołchoźnicy. Kama widziała kiedyś, jak sam dyrektor szkoły wykonywał „gównianą robotę” - stał w wielkiej kadzi, udeptując guano bosymi stopami. Ona i jej nowi koledzy także musieli to robić. A jeszcze rok temu dałaby w twarz każdemu, kto choćby zasugerowałby coś podobnego...

Kto nie rabotajet, etot nie kuszajet. Taka jest zasada. Za każdy dzień uczotcziki naliczają trudodnie - przydział chleba - ale tyle tego, co kot napłakał. Na szczęście Polki poukrywały biżuterię oraz cenne drobiazgi. Matka Kamili zaszyła w płaszczu koleczki i bransoletkę. Oddała też najładniejszą odzież, a także bieliznę. Miejscowe chciwie łapały co lepsze sztuki, przynosząc w zamian słoninę i pierożki.

Tylko ukochaną bluzkę i maskotkę udało się Kamie zachować.

Kamila żałowała, gdy skierowano ją do pracy poza Ogrodami. Teraz musiała męczyć się w brygadzie polowej. Wlokła na sznurze woły, które ciągnęły bronę. Pomagał jej stary Kazach, siekąc ich zady batem.

- Cob, Cobe, Cobene! - krzyczała, by pogonić zwierzęta i śmiała się, gdyż widziała w wyobraźni Byka Świata ze snów.

Kama pracowała dobrze, więc brigadirsza Ludmiła ją awansowała. Była teraz w brygadzie traktorowej razem z Zoją i Wojtkiem. Dowozili furmanką benzynę do traktorów ciągnących siewniki. To nie była bezpieczna praca, lecz Kama uwielbiała przygody. Kiedyś zaatakowały ich wilki. Dziewczyna przemówiła do nich, opowiadając o słabo strzeżonym stadzie owiec, kilka kilometrów dalej. Stworzenia odstąpiły. Wojtek patrzył z lękiem na strzelbę, której nie zdążył użyć. Niewidzialni chichotali, tańcząc pośród chmur.

Jednak to nie wilki były najgorsze. W brygadzie traktorowej i w brygadzie polowej największym problemem okazały się wszy - wielkie, ruchliwe, zajadłe niczym mrówki. Nie pomagało pranie odzieży we wrzątku. Na krótki czas działało jedynie zakopywanie w piasku. Jednak niedługo potem wszystkie szwy w odzieniu znów roiły się od wijącego, spijającego krew robactwa. Stary Mustafa Dairbajew w końcu zlitował się i oświadczył Kamie, że pokaże jej, jak radzą sobie Kazachowie i Kirgizi.

- Siadaj wygodnie, zedrzyj z siebie koszulinę i wygrzyż wszy!

- Jak to?! - parsknęła z niedowierzaniem. Lubiała poczciwego starucha, ale tym razem chyba przesadził! Pokręciła głową ze śmiechem.

- Ot, i poradź coś szczerze... Jeszcze się przekonasz... Tylko nie zapomnij powiedzieć: „Eto maja krow’, ty uchodi!” Panimajesz, dzaksy kuzym... Odbierzesz swoją krowę, to pokażesz, że nie dasz sobie w kaszę dmuchać - twierdził, szarpiąc rzadką siwą brodę i mrugając do niej żartobliwie.

Mustafa był Kirgizem, przywiezionym tu wiele lat temu. Zupełnie jak niewidoma staruszka z wizji, zadumała się dziewczyna. Podobno niegdyś należał do całkiem zamożnych. Często mawiał:

- Kagda ja był Kirgiz, jeł machan i pił kumys! Tiepier ja Kazach i, Aj - Bajaj, mnie propał kursak! Ech... Dusza bolit! Szto dziełat’... Czasy się zmieniają, oj, zmieniają, a niemożliwe staje się możliwym.

Domyśliła się, iż jego marudzenie oznacza coś w stylu, że „odkąd kazano mu być Kazachem, to mu spadł tłusty brzuch”. Przesadzał. Nadal do najchudszych nie należał, w dodatku kazachska ludność wciąż żywiła się głównie baraniną, kumysem i serem, pomimo że kazano im uprawiać ziemię.

- Mustafó, nauczysz mnie języka koczowników? - zapytała nagle.

Starzec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A co? Jakiś Dżygıt skradł twoje serduszko? - Szturchnął ją przyjaźnie. - Czemu nie. Mogę nauczyć. Nie dość, żeś mądrzejsza od stada pustogłowych kołchożnic, głupszych niż beczące owce, to i buzię masz niczego sobie... Ładna z ciebie dziewczyna. Przy okazji, to właśnie oznacza „dzaksy kuzyni”, moje dziecko...

Podsunęła mu kawałek placka, śmiejąc się z jego udawanych zalotów.

- Hmm... I taka grzeczna. Szkoda cię dla młodego, co łeb i jurkę ma pustą, on nie doceni... - Plasnął w dłonie. - Sam się z tobą ożenię! Nie będziesz miała zbyt wiele pracy, bo moje dzieci już dawno dorosły. Ot, tylko parzyć czaj i doglądać krów.

Przybrała poważny wyraz twarzy.

- To bardzo uprzejma propozycja, Mustafó - odparła, z trudem powstrzymując wybuch śmiechu. Żarty żartami, zaloty udawane, a urazić zawsze łatwo. - Ale opowiedz mi o was coś więcej.

Opowiedział jej więc wiele rzeczy - o weselnych ucztach, tańcach i konnych wyścigach. Najbardziej zainteresowało ją, że choć od wielu stuleci religią Kirgizów i Kazachów stał się islam, wciąż szanuje się Duchy, a niektórzy starcy składają im ofiary. Duchy przychodzą, po czym wypędzają chorobę, gdy ci, którzy wiedzą i mają moc, zawodzą uzdrowicielskie pieśni...

- Chciałabym pracować w koniuszni - powiedziała nagle, sama nie wiedząc dlaczego.

Mustafa Dairbajew parsknął, szczerze ubawiony.

- Dziecko, oj dziecko. Będziesz pracować tam, gdzie cię skierują. A czemu w koniuszni? Co, może jeszcze chciałabyś, jak chłopak, zostać czabanem i hulać po stepie z wiatrem?

- A pewnie! - Roześmiała się. - Wiatr mnie kocha!

- Uważaj, bo wichrowe pocałunki mogą ci zaszkodzić i w głowie zawrócić. Nu, pora robotu.

Kilka miesięcy później Kamilę posłano do koniuszni.

Widać Dairbajew szepnął słówko komu trzeba.

Kama była całkiem zadowolona. Czuli, że przeznaczenie zaczyna się o nią upominać i że już niedługo zabawi w kołchozie. Step wołał i przyzywał.

Annę Stanisławską pochowano wiosną 1942 roku. Wanda Kosut przygarnęła Basię i Mareczka.

Kamili nie było przy niej, gdy dogorywała. Córka nie chciała widzieć duszy opuszczającej schorowane ciało. Spędzała czas w łaźni, zwanej pieczką, razem z Andriejem, który już dawno przestał się interesować Zoją. Odkąd znikły mu młodzieńcze krosty, niesamowicie wyprzystojniał.

W chwili, gdy matka skołała, Andriusza polewał Kamę wodą i próbował klepnąć w pośladek. Dziewczyna zamarła. Szarpnęła się, gdy ją objął, nie pozwalając się pocałować.

Dwie wielkie czary goryczy przepełniły się. Po spierzchniętych policzkach umierającej spłynęły łzy.

Kama wreszcie odczuła spokój. Matka odeszła, rodzeństwem ma się kto zająć. Nic jej tu nie trzyma.

Już czas, już czas... Stepowy wiatr przyniósł zapach kiziaku, palonych traw, goździków i tulipanów. Czarnobrewa Peri tańczy, wirując kruczoczarne warkocze, dźwięczą srebrne monety przytwierdzone do czerwonych i błękitnych wstążek, wplecionych w jej włosy...

Już czas - wyszepcze we śnie Pałubina.

Tej nocy Kama kradnie z koniuszni najlepszego konia.

Pływają maleńką łodzią po oku pastucha. Peri stoi wyprostowana i patrzy uważnie, osłaniając oczy dłonią przed palącym słońcem.

- Nie jestem pewna, czy to się uda - mówi bez przekonania Kamila. - To przecież paproszek, w jaki sposób go znajdziemy i wyłowimy?

- Musimy. Pastuchowi trzeba sprawić ulgę, inaczej nie dopędzi Byka Świata przed zmrokiem i tamten świat będzie dla nas stracony. Bóg oddał nam te istnienia na zasiew. Jeśli nie zdążymy na czas... Pozostali dwaj bracia się martwią. A widzę już łunę zachodu...

- Co oznacza ogromny sęp?

- Nie wiesz?

- Będzie jeszcze gorzej?

- Będzie - śmieje się smagolica. - To jest konieczne.

- Dlaczego dobry Bóg na to pozwala?

- A którego dokładnie masz na myśli? - Ostre, białe zębki lśnią w złośliwym grymasie.

- No...

- Istnieje wiele Mocy, dziecko. - Oczy Peri są czarne jak otchłań bólu. I smutne. - Istnieje wiele krzywdy i cierpienia w twoim świecie, w innych światach i w przejściach pomiędzy nimi. „Dobro” i „zło” z reguły nie mają z tym wiele wspólnego. To nie ma nic do rzeczy. Zresztą... A co ja ci będę tłumaczyć! - nagle sarknęła zniecierpliwiona. Jest zmienna i kapryśna jak wiatr. - Patrz na oko i szukaj paproszka! Boli chłopaka, więc nie może wypełniać swego zadania. Ty również masz swoje zadanie.

Obraz rzeczywistości zawirował.

Góry. Przysypane ziemią, założone derką, wejście do małej jaskini. Trzeba wpełznąć do środka... Potem otworzyć malowaną skrzynię. Wewnątrz znajdują się księgi, ale nie one są najważniejsze. Szczerze mówiąc, tylko jedna jest naprawdę cenna. To, co się liczy, to niepozorne drewniane paciorki na sznurze. Odrobinę przypominają różaniec.

- Zabierz to stamtąd, a domknie się koło. A potem...

- Wiem, mam nakarmić głodne kwiaty.

Peri kiwa głową uroczyście.

- To bardzo ważne. Wtedy zdążymy przed innymi Mocami. Nie tylko my mamy chrapkę na nowe miejsce. Zakończy się czas oczekiwania. Wszyscy wybrańcy wyruszą.

- Dokąd dokładnie wyruszą?

- Zobaczysz, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

- Strasznie jesteś tajemnicza... - Kama nie jest uszczęśliwiona.

Peri parska śmiechem.

- Oczywiście, że tak! W końcu jestem Peri Czarnobrewa, Władczyni Stepowego Wichru. Me imię służy baśniowym czarodziejkom całego Wschodu.

- A tak naprawdę nie ma tych czarodziejek? - uśmiecha się filuternie uczennica Pałubiny.

- To wszystko ja - oświadcza bez krzty skromności smagłolica, wypinając dumnie pierś. Wszystkie Duchy Wiatru są próżne jak dzieci.

- Cóż, i tak mówisz mniej zagadkowo, niż sobie wyobrażałam. Zawsze myślałam, że czarodziejki ze wschodnich baśni powinny być bardziej... poetyczne.

- Poetyczne? Też coś. Nie masz pojęcia, z iloma bohaterami, sokołami pustkowi - wydeła z pogardą usta - musiałam się użerać. Dla wybranki duchów też mam układać zagadki i kunsztowne frazy? O nie, ja idę z duchem czasu. - Mrugnęła.

Kama wzdycha i ociera pot z czoła. Słońce grzeje niemiłosiernie, nawet tutaj w Przejściu. Wiele czasu upłynęło, nim w pełni pojęła słowa Pałubiny, zdradzoną tajemnicę. Musiała uwolnić swój dar.

- Przypuszczam, że nie zdradzisz mi, dlaczego zostaliśmy wywiezieni z domu, na poniewierkę i śmierć w obcym kraju?

- Nie można przelać z pustego w próżne. Żeby coś stworzyć, trzeba mieć materiał. A tak już jest, że ze śmierci rodzi się życie. Zasiejemy je w nowym miejscu. I to ci na razie wystarczy, dziewczyno.

Kama na chwilę zamiera ze zgrozy.

- To ty to zrobiłaś? Wywołałaś wojnę? Wywózki?

Czarnobrewa spogląda na nią z zadumą.

- Ja? Nie. Żadna z Mocy nie maczała w tym palców. Wygodnie byłoby zrzucić na „złe duchy”, prawda? To wszystko śmiertelnicy z niczym nieprzymuszonej woli. A my z tego korzystamy. My, dziewczyno. Przyzwyczajaj się do tego słowa. Duchy zawarły pakt z Bogiem, część z nas stąd odejdzie.

W jej słowach brzmi gorycz i gniew. Kamila Stanisławska pojmuje, że niechcący powiedziała coś, co rozwiązało pięknej język. Musi milczeć i słuchać, by dowiedzieć się jak najwięcej, nim kapryśna Peri znudzi się i utnie wyjaśnienia.

- Jego wysłannicy zmusili ludzi, by odwrócili się od nas, ale najzabawniejsze, że wcale mu na tym nie zależało. Jest bardzo... niezdecydowany, nawet co do symbolicznej płci. Wiedziałaś, że nie od początku był siwobrodym Ojcem? I niezbyt dba o to, co się tu dzieje. Czy wiesz, że część jego wybrańców oszalała i wmawiała innym, że kobiety są „nieczyste” i „grzeszne”? Moje piękne, czarnowłose córy stepu traktowane jak... - Zmarszczyła brwi w grymasie pełnym bólu. - Ale mnie już to przestało obchodzić. Na Axis Mundi, Drzewie Życia, tworzy się nowa gałąź, tam przedziera się Byk Świata, torując nam drogę. Są tacy, którzy chcą nas wyprzedzić.

Zamilkła, zasepiona.

- Dlaczego musiałam przybyć za Ural? - odważyła się w końcu zapytać Kama.

- Musisz zamknąć krąg wybrańców, właśnie tu na wiecznie głodnym, ukwieconym stepie. W tym miejscu otworzy się jedna z dróg, którą podaży Byk Świata.

Kamila zerknęła na mętną, podeszłą krwią powierzchnię oka jednego z braci. Biedny chłopak... Musi być zmęczony pracą bez wytchnienia. Potem podniosła się i spojrzała w dal. Peri usiadła, wachlując się chustą. Powiał chłodny, przyjemny wietrzyk.

- Widzę - szepnęła dziewczyna z niedowierzaniem. - Coś widzę. Czy to...

- To paproszek! - ucieszyła się Peri.

Podpłynęły, ostrożnie wiosłując, by nie uszkodzić oka. Na falującej powierzchni unosił się ozdobny grzebień. Czarnobrewa parsknęła z dezaprobatą.

- Poznaję... To moje... Jak to się mogło stać? A zresztą... - Wydeła kapryśnie usta. - Nieważne! - Wyłowiła delikatnie przedmiot i podała Kamili.

- Weź, proszę, przyda ci się. I jeszcze to. - Wyciągnęła z fałd szaty lusterko. - Powinam dać ci jeszcze szczotkę, ale poradzisz sobie bez „reguły trzech”. Ścigają cię. Gdy poczujesz, że są blisko, rzuć jedno z nich za siebie. A teraz musisz się obudzić.

Kama wzdryga się, siada i przeciera oczy.

Trwająca całe tygodnie podróż wyczerpała ją do cna. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Kilkakrotnie zaatakowały ją wilki, ale potrafiła je odegnać ogniem i swoją wolą. Jednak każdy taki wypadek osłabiał coraz bardziej. Traciła siły.

Zabrała z kołchozu odrobinę mąki, mamałygę z surowego ziarna i garnek pierogów z kapustą. Dawno już zjadła to wszystko. Koń - kary ogier o dumnym imieniu Buran - miał lepiej... Nie było trudności ze znalezieniem dlań paszy. Kama również zastanawiała się, czy nie zacząć gotować sobie trawy... Odpędziła tę myśl. Wtedy na pewno zachoruje.

Po drodze pomogli jej Kazachowie. Zabrali do swojego aułu. Była chora i ledwo żywa, ale w oddali dostrzegła, ledwie majaczące na horyzoncie, poruszające się punkciki... To były owce. Pasterz ujrzał ją zsuwającą się z końskiego grzbietu. Podniósł dziewczynę i szybko podsunął kumys. Skrzywiła się z odrazy, gdy u wylotu szyjki bukłaka ujrzała małe, jasne, wijące się robaczki, służące do zakwaszania kobylego mleka, ale wypięła posłusznie.

Wiozła ze sobą ostatnią nie oddaną pamiątkę z przeszłości - ukochaną bluzkę z koronkowym kołnierzem i bordową aksamitną kokardą... Swojego misia podarowała siostrze, aby choć trochę pocieszyć ją po śmierci mamy. Teraz przyszła kolej na bluzkę, którą oddała gospodarzom w podzięce. Mieli śliczną córeczkę o puciołowej buzi. Gdyby miała jaśniejsze włosy i oczy, byłaby bardzo podobna do Basi.

Nazywali się Kairbekowie.

Z początku bała się trochę, że mogą ją uwięzić i zgwałcić albo oddać przedstawicielom władzy, lecz nikogo takiego tu nie było. Mężczyźni z rodziny także nie próbowali zrobić jej nic złego. Była gościem, a gościna - rzecz święta. Alim, żona najstarszego Kairbeka, domyśliła się, z kim ma do czynienia. Kama ujrzała to w jej pełnym obawy i szacunku spojrzeniu.

Razem złożyły ofiarę Duchom Wiatru. Alim przerażało, że ktoś nieco mocniej oddany Allahowi dowie się o tym. Dlatego następnego dnia Kamila odeszła.

* * *

W końcu ją dopadli.

Łudziła się nadzieją, że uwierzą w jej śmierć na stepie. Samotna, młoda dziewczyna - wymarzony i oczywisty łup dla każdego - Kazachów, innych uciekinierów z kołchozów i sowchozów, zwolnionych błatnych z turmy... Jeśli nie skrzywdziliby jej ludzie, to nie mogła umknąć wilkom, gorącym dniom i śmiertelnie zimnym nocom.

Mustafa Dairbajew opowiedział jej, jak sobie radzą samotni Dżygici. Wsunąć się pod koński brzuch i nie dać się zmiażdżyć. To nie było znowu takie trudne. Ubrać się we wszystko, co się ma, żeby nie dobrało się słońce.

Buran musiał przedstawiać sobą większą wartość, niż sądziła. Ale jakim cudem ją znaleźli? To było wręcz niemożliwe. Jednak Kairbekowie zawiadomili NKWD... A może po prostu Batuszka Stalin wsio widzit?, zaśmiała się w duchu z bolesną ironią.

Ośloniła dłonią oczy. Niewiele pomogło. Niemal oślepla od palących promieni. Tęczowe kręgi pod powiekami... Obejrzała ich swym wewnętrznym wzrokiem. Sznur jeźdźców w zielonoszarych mundurach. Migają malinowe otoki, krasne gwiazdy... Przecież nie mogę być aż tak ważna, pomyślała z rozpaczą. Powoli nadchodzi zrozumienie: „Jestem ważna... Ktoś chce mi przeszkodzić i nie jest to ani Stalin, ani NKWD... W Przejściu czas płynie inaczej, ale już niewiele go zostało, trzeba zdążyć przed zmrokiem. Łuna zachodu...”.

Rzuciła za siebie grzebień. Jakiś czas później konie zarżały przeraźliwie. Uplęnięto kilka godzin, nim żołnierze przedarli się przez mur utworzony z kolczastych zarośli czylihy.

Potem rzuciła za siebie lustro. Wiosenne roztopy są naprawdę paskudne. Śnieg sprawił, że rzeka wystąpiła z brzegów. Wodna tafla mieniła się cudnie w białym oślepiającym słońcu. Żołnierze nie docenili piękna, jakie im podarowała.

Zyskała trochę czasu.

W końcu jednak... Ogarnęła ich wściekłość.

Siedziała, oglądając sznur drewnianych paciorków. Na każdym z nich widniał ledwo widoczny symbol. Sznurek musiał być zetlały ze starości, bo korale posypały się na trawę.

Stara Tatarka przysiadła przed nią na piętach.

Twarz Kamili rozjaśniła się uśmiechem.

- Mateczko... To sen?

- Jesteś spragniona, poparzona, Kamyczku, i umierasz. Ale nie martw się. Wsio budiet charaszo.

- Krótka żyłam...

- Chwatit... Chwatit...

- I bolsze nie budiet - dopowiedziała Kama. Nie wiedzieć czemu strasznie ją to rozbawiło. - Czy ja już nakarmiłam głodne kwiaty, Pałubino?

Kwiaty pachniały. Łany czerwonych i żółtych tulipanów pochylały się w takt podmuchów wiatru. Tańczyły. Peri śpiewała. Było wiosennie i pięknie.

- Patrzaj...

Pałubina poruszyła palcem, a paciorki ułożyły się nagle w skomplikowany wzór.

- Pewien niedouczony mułła używał ich jako modlitewnych koralii. Modlił się o deszcz... A potem wezwały go Duchy. Ten szarawy... To on. Priekrasno... Czy to nie zabawne? - Aż cmoknęła z zadowolenia.

Jak wtedy, gdy goniła z kosturem dzieciaki.

Otworzyło się Przejście.

- Na jawie - stwierdziła Kama z podziwem.

- Patrzaj... - Tatarka podniosła jeden z paciorków. - To ty. Taka malutka, a niezbędna. Ten trochę bardziej zniszczony przez czas to ja. Krąg się zamknął. Wszyscy wybrańcy duchów już są. Nada dzieło ukonczyt'. Niedługo odzyskasz siły i ostawisz wszystko, co zbędne. Patrzaj, jak ja ciebie uczyła...

Kama rozejrzała się. Zerknęła w górę. Choć prażyło słońce, nagle wydało jej się, że niebo stało się granatowe. Czy to gwiazdy? Nie... To świetliste sznury dusz. Wszyscy, którzy skonali na wiecznie głodnym stepie.

- Ból i krzywda zostaną przekute w co innego. I ani dobro, ani zło nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu nie można przelewać z pustego w próżne. Najżyźniejsza gleba żywi się śmiercią. Tam, po drugiej stronie Przejścia, tworzy się nowy świat. Trzeba go zapełnić tymi wszystkimi duszami, a dopilnują tego duchy i wybrańcy. Tego chcą Moce. „Dobry Bóg” także.

- Tylko jeszcze ja muszę nakarmić głodne kwiaty.

Pałubina ucałowała ją w czoło.

Bucior trafił ją prosto w czoło.

- Bład', ty bład'! Wot swołocz!

- Stoj! Ubijosz!

- A ubiju, kak sobaku!

- Nada, sobirat'...

- Mołczy, durak! Nie chotiesz siebie poużywać, a?

Śmiech aprobaty.

Ból między nogami. Potem uderzenia w głowę. Krew zalewająca oczy, wstrętny metaliczny smak w ustach i kopniaki, kopniaki, kopniaki... Gorąca fala wymiotów, ból głowy... Ciemność odbierająca wzrok... Jak dobrze jest na zawsze zatrzaskać się po drugiej stronie rzęs. Ale trzeba patrzeć. Patrzeć do końca. I tylko czerwień, i żółć.

Tulipany czerwone jak krew i żółte jak słońce na dziecięcych rysunkach. Żółte jak wymiociny, których resztki wylewają się jeszcze z popękanych ust. Ciało drży w agonii. Ich rozkwitłe główki wyglądają jak głodne, drapieżne pyszczki, chciwe gardziołka, złociste podniebienia...

Żołnierze odjechali, marudząc, że kazano im się męczyć z powodu chabety i jednej marnej dziwki Polaczki.

Nadchodzi wieczór. Bzyczą muchy. Pod skałą spoczywają zmasakrowane zwłoki. Puste, porzucone i zbędne. Ślepe źrenice wpatrują się w lunę zachodu.

Chwilowo syte tulipany kłaniają się sobie w podmuchach wiatru, a wypłowiwała trawa muska przytulone do siebie drewniane paciorki. Ułożyły się w idealny krąg.

Smągolica Peri tańczy na stepie. Srebrne monety pobrzękują jak dzwoneczki, wirują czarne, długie do ziemi, warkocze.

- Nadszedł czas! Czas, by otworzyć nowe miejsce i wcielić dusze. Doprowadzimy Byka Świata na drugą stronę. - Śmieje się. - Są wszyscy, zdążyliśmy przed zmrokiem!

Nowy świat przyzywa, czysty, jeszcze nieskażony. Duchy Wiatru, Deszczu, Ziemi i Ognia skłaniają się milcząco przed Czarnobrewą, dzierżąc sznury uspiionych dusz niczym świetliste latawce. Są tam i wychudzeni zesłańcy, i Kazachowie, i Niemki z Nadwołża. Ich dzieci płaczą przez sen, poznaczone śladami tyfusu.

Moc Peri rośnie, sycąc się młodą gałęzią Axis Mundi, jaśniej jak słońce - palące, mordercze,

lecz także życiodajne. Wokół Bogini zbiera się świta. Wybrańcy duchów lśnią wewnętrznym blaskiem. Nie są już śmiertelnikami.

Kama idzie ku niej zadowolona, a tam, gdzie stąpa, wyrastają kwiaty.

Izabela Szolc

Czas Snu

W tym roku mija dziesięć lat od mojego literackiego debiutu. To poważna rocznica, choć nie wiem jeszcze jak mam ją uczcić. Natomiast jestem bardziej niż pewna, że pisanie jest tym, co powinnam robić zawsze i wszędzie. Ciężki kawałek chleba, w gruncie rzeczy przynoszący słodką satysfakcję. W 2006 roku w wakacyjnym numerze „SF” ukazało się moje opowiadanie „Pocałunek” - rzecz o wampirzycy Irenie, bohaterce *Potowy Nocy* (Runa, 2005).

Gościłam też w dwóch antologiach. W *Księżce Smoków* (Runa, Warszawa 2006) z tekstem „I to minie”, który bazuje na mojej fascynacji Dalekim Wschodem, a swoim ciągotkom do tekstów erotycznych dałam wyraz w opowiadaniu „Niania” ze zbioru *Pikanterie. Opowiadania miłosne* (Santorski & C.O., 2006). W lutym 2007 ukazała się moja najnowsza powieść *Ciotka Małych Dziewczynek* (Nowy Świat) - to oparta na faktach historia zaginięć młodych Meksykanek z fawel ściągniętych do granicznego Juarez marzeniami o lepszym życiu. Ta robota kosztowała mnie sporo zdrowia, ale warto było.

Półtora roku temu przenieśliśmy się do Warszawy i próbuję przyzwyczaić się do wielkomiejskiego klimatu. Gdy nawdycham się wiślanego powietrza przyjdzie kolej na odżywianie się do ludzi; na razie siedzę w gawrze, czytam, porządkuję papiery i rzecz jasna piszę. Dla Wojtka Sedeńki powstał „Czas Snu” trochę oniryczne opowiadanie. Sporo tu mitów i całkiem rzeczywiste dumanie nad odwiecznym pytaniem: czy człowiek jest panem samego siebie? Pisałam je na początku zimy siedząc i kaszląc, bo właśnie kurowałam się z zapalenia płuc. Nie znoszę zimna, ale jest coś urzekająco niewinnego w zimowym krajobrazie. Jakiś spokój, który można wykorzystać. „Czas Snu” to wariacja na temat świata złożonego ze światła i lodu, który może ożywić tylko tańczący człowiek-Szaman.

Dzieje się to wiele, wiele lat temu; kiedy jeszcze ludzie są tacy sami jak Ty czy ja. Zupełnie tacy sami. Wyobraź sobie, że jesteś chłopcem. Młodym chłopcem, zupełnie pozbawionym zarostu (nawet kiedy w końcu Ci się „sypnie” będzie on nikły, prawie nie do zauważenia). Masz drobne, ale proporcjonalne, długie kończyny. Rośniesz - nigdy później nie będziesz rósł tak szybko jak teraz - ale pozostaniesz niski. To nie będzie Cię jednak niepokoić. Takiego samego wzrostu jest Twój Ojciec, twój dziad. Masz miękkie ciało, śniadą skórę opinającą w pełni wykształcone mięśnie i solidny zapas tłuszczu. Twoja sylwetka nie jest jednak gnuśna - jesteś silny, jak silni są wszyscy z klanu myśliwych, z Klanu Foki. Opiszę jeszcze, że masz czarne proste włosy i czarne oczy - jak rodzice, jak twoi dalsi pobratymcy (wciąż bliżsi jednak niż dalsi). Innych ludzi nie znasz.

Myśliwi (na czele z Ojcem), szaman, Matka i siostry, stare kobiety, które w jaskini, gdzieś za twoimi plecami w bezzębnych ustach miały ścięgni fok, by je zmiękczyć, przerobić na nici do szycia skór. Oto cały Twój świat. Foki, psy, babcie... Jesteś taki młodzieńczy, z młodzieńczą niefrasobliwością odwracasz się plecami do połowy zamieszkałej ziemi, do waszej klanowej groty, do szałasów z foczych skór, które wystawia się na zewnątrz, kiedy lód trochę puszcza i można przenocować pod jasnym niebem, nim pochłonie je Czas Snu - polarna noc.

Jesteś młody i lekkomyślny, a przecież potrafisz już parę rzeczy. Wiesz, że fokę najłatwiej upolować rozbijając jej harpunem łopatkę. Ojciec Cię tego nauczył. Silne pchnięcie, a później zgrzyt kości o kość...

Przed Twoimi oczami roztacza się Białe Jezioro - *Cagaan Nur*. Tu mieszkają foki. Żyją i dają się zabijać. Płasają pod lodem, ślizgają się brzuchami po krze. Podglądasz je tak, jak starsi mogą podglądać kobietę. Co za smakowity widok. Dosłownie: smakowity. Dalej wznoszą się góry; nazwijmy je *Chordil Sar dag*. Imiona czy nazwy nie mają tu znaczenia, za to potrafią wprowadzić w błąd. Białe Jezioro na przykład skrzy się kolorami; zielenią, różem, błękitem. Niezwykle barwne potrafią być też dalekie szczyty. Niekiedy widzisz tu tęczę, nie wiedząc na co patrzysz. Pewne rzeczy są jednak zakryte przed Twym wzrokiem. Goła brązowa ziemia i nagie ciało to tutaj zakazane widoki - Ty żyjesz w krainie lodu, światła i mrozu. Połykasz ten mróz z każdym oddechem. Twoje płuca brzęczą lodem... Na przykład teraz jest tak jasno, że krajobraz wydaje się pozbawiony głębi. Możesz zamknąć oczy. No, zamknij je. Myśl o tej cienkiej różowej kurtynie skóry, która je okrywa. O łożach zamarzających na policzku. O słońcu, które jest tak wysoko. To podobno śnieżka rzucona przez olbrzyma. Kiedyś spadnie, a wtedy skończy się świat. Wówczas lody ustąpią, spękają. A może będzie tak zimno, że nikt nie przetrwa, by zauważyć przemianę? Ani Ty, ani ja.

Jeśli chcesz, opowiem Ci Twoją historię. Przynajmniej tyle, ile o nas wiem. Ale najpierw pokażę Ci magię. Nie! Trzymaj oczy zamknięte. Unieś brodę, unieś głowę do słońca. Czujesz mrowienie na policzkach? Pod wpływem promieni wydzielina zbiera Ci się u nasady nosa i zsuwa w dół. Szybko, zatkaj nos! Uważaj, żeby z kichnięciem nie uciekła od Ciebie dusza. W to przecież wierzysz. Także w to, że niektórzy umarli zamieniają się w foki... Teraz wyobraź sobie gorące, żółte słońce. Wyobraź sobie żółty kolor, ten jeden jedyny, o którym ta kraina milczy. Czujesz ciepło na powiekach? Czujesz jak przenika Twoją skostniałą, ukrytą w foczej skórze głowę? Później rozlewa się po całym ciele: ścierpięte, zgrabiałe dotąd mrozem palce rąk i nóg nie stanowią już problemu. Wreszcie jest Ci

ciepło pośród tego bezmiaru lodu i białego światła, rozszczepianego w naszej opowieści, niczym w kryształowym pryzmacie. „Lód i czas to władcy świata”, głosi przysłowie ukute przez Twoich potomków. Daję Ci więc władzę nad lodem i nad czasem. Buntuj się przeciwko nim, bo teraz możesz. Możesz, gdyż jesteś młody, jesteś chłopcem z Klanu Foki. Moim dzieckiem, *Ungka. Ungka - Tulumeka*.

Psy, zamiast wchodzić do jaskini, wolą odpoczywać na zewnątrz. Zakopują się w śniegu. Nocami spod białych kopców wydobywają się długie, głuche wycia. Jedne za drugimi. Psy rozmawiają ze sobą dużo częściej niż ludzie. Podobno niegdyś same były ludźmi, dopóki za sprawą nieznannej magii ich pyski nie wydłużyły się, skóra pokryła sierścią i opadły na cztery łapy. Tak mówi szaman. Sam nie jest pewien czy kara to, czy nagroda. Z pewnością nagroda dla ludzi. Psy potrafią wyciągnąć sianie, pod którymi załame się lodowa tafla jeziora. I nie zamarzają. Mogą uśmiechać się oszronionym i parującym pyskiem z kroplami wodnego szkła na wąsach w chwili, gdy przemoczony, feralny woźnica próbuje przeżyć na trzaskającym mrozie... Ów brak sierści nie wydaje się więc chłopcu takim dobrym, ludzkim interesem. Milczy jednak na ten temat przed szamanem. Kobiety zaś wiedzą swoje: niemowlęta zaszywają solidnie w focze skóry, pozostawiając tylko otwór, z którego można wytrzepać przemarznięte, czarne i wiecznie pachnące rybim tłuszczem odchody. Chłopcu, któremu ostatnio co noc śni się, że spada, a co dzień budzi się wyższy i silniejszy, trudno jest uwierzyć, że kiedyś był taki mały, by matka swobodnie nosiła go na plecach. Kiedy zakwilił, przysuwała go do długiej i spoconej piersi. U drugiego sutka często zwisał błękitnooki szczeniak; kobiety często pochylają się nad śnieżnymi kopcami i zabierają sukcom psiaki, by te szybciej oswoiły się z człowiekiem.

W całej jaskini błękitne oczy mają tylko przygarnięte szczenięta i najmłodsza siostra chłopca. O dziewczynce szeptało się, że jej spojrzenie wyblakło, bo przyszła na świat w czasie lata, kiedy słońce nie zachodzi i oślepia; kiedy kobiety zbierają korzonki, a mężczyźni polują na foki. Mała ma niebieskie oczy, ale wszyscy nazywają ją Jasną Foką. Ostatnio jednak o Jasnej tylko się milczy...

Psy tak naprawdę nie znają mowy ani śmiechu. Mogą szczekać i wyć. Ich oczy - znowu według szamana - mają wyraz wiecznej tęsknoty i prośby. O co mogą prosić? Zaśliniony szczeniak wdrapuje się chłopcu na kolana. Ten drapie go za sterczącymi uszami pozwalając, by z obojga spłynęło zmęczenie i zimna woda. W jaskini pachnie smalcem, rybami, foczym mięsem, dymem, torfem, wilgotnym mchem; wonią zwierząt, dopiero potem ludzi. Matka chłopca topi śnieg. Nikomu nie przeszkadza, że przyniosła go wprost sprzed jaskini, gdzie uczują psy, a biel pokryta jest krwawymi cętkami.

Torfowe ognisko nagrzewa kamienie; odpowiednio gorące wkłada się do wykopanego w gruncie dołka, zaimpregnowanego tłustymi skórą. Na jego dnie parska gorąca woda - niezbędna przy porodzie, niezbędna przy agonii. Matka zanurza w niej mech i kładzie „kompres” na czole Jasnej Foki. Czoło jest mokre i lodowate, choć dziewczynka od wielu dni nie wyjrzała na słońce. Powoli, acz nieubłaganie, zbliża się Czas Snu. Na zewnątrz zapadną ciemności, a cały klan zgromadzi się w jaskini jak w łonie matki, czekając na ból, rozwiązanie i światło.

Kiedyś chłopiec odkrył w kącie, pod zeszkrobaną warstwą fluorescencyjnej roślinności, żelaziste w swej czerni odbicie małej dłoni o krótkich palcach. Jakiejś takiej ludzkiej - nie ludzkiej. Szaman, który natychmiast zainteresował się dziwnym znaleziskiem, zakazał ów ślad komukolwiek pokazywać. Surowym szeptem zagroził zmianą chłopca w psa, jeżeli ten ośmieli się okazać

nieposłuszeństwo. Ramię szamana, zdruzgotane przez wściekłą fokę, odchyła się pod chorym kątem, jakby zostało wyposażone w dodatkowy staw. Ale to właśnie ten kaleka jest najważniejszy pośród ludzi. Podobno potrafi podpełznąć w pobliże bogów i słuchać, co mówią przez sen. Gdzież jest to „pobliże bogów”? Czasem tu, czasem tam... Źle, kiedy tu. Źle dla Jasnej Foki.

*„Ludzie śpiewają, a ja tańczę. Wchodzę w ziemię. Idę w miejsce podobne do miejsca, gdzie ludzie piją wodę. Wędruję długo i bardzo daleko. Gdy się wynurzam, już wspinam się w górę. Pnę się po nitkach, po nitkach biegnących gdzieś tam, na południe. A gdy człowiek dociera do miejsca Boga, robi się malutki. I robi tam, co ma do zrobienia. Potem wraca tam, gdzie są wszyscy”.**

* [Joseph Campbell, Bill Moyers „Potęga mitu” przeł. Ireneusz Kania, Kraków 1994]

Matka śmieje się, bo nie potrafi wyć; nie jest psem. Ten śmiech to powitanie szamana i pożegnanie córki. Ułomny mężczyzna zwykle przychodzi do jaskini z własnej, osobnej kryjówki nad Białym Jeziolem po hołdy i zrolowane płaty foczego tłuszczu (najbardziej gładkiej i najdelikatniejszej rzeczy pod słońcem), a dzisiaj przybył po kość Jasnej Foki. Nie było go przy jej narodzinach. Narodzinach pełnych kwileń i krwi. Chłopiec natomiast był. Chłopiec pamięta. Wyrwany ze snu matczynym rechotem w pierwszej chwili myśli, że czas wykrcił kozła w zlodowaciałym powietrzu i trwa ta sama noc nie noc, kiedy Jasna wydostaje się spomiędzy powalanych ud kobiety na rozłożone focze skórki. Nie, to niemożliwe, że teraz umiera. Szaman pochyla się i prycha rozgorączkowanej i zlanej zimnym potem śmierci prosto w siny, zakrzywiony stygmatem nos. Dziewczynka już straciła swój osobniczy, ludzki zapach. Trzeba ją wynieść z jaskini. Mocą tabu miejsce, na którym spoczywa martwy, staje się przeklęte i należy je opuścić... A klan chce pozostać. Szaman, najsilniejszy spośród ludzi, bierze jeszcze żywy tobołek, by wynieść go na pustkowie lodu. Kościane paciorki szamańskich rzemyków pobrzękują. Niezgrabna postać prostuje się i znika. I nie ma Jasnej. Psy wyją na progu. Chłopak krzyczy, dopóki ktoś ze współplemieńców nie uderzy go i nie uciszy. Potem mdleje w szczenięcym kojcu, z rozkosznym psim ciałakiem na policzku. Tymczasem Ojciec czekając na powrót szamana odnajdzie drogę do Matki, aby przywołać swymi przerażonymi, galopującymi lędźwiami nowego ducha, który zechciałby zamieszkać pomiędzy ludźmi. Jasnej Foki nie ma. Jasna Foka odeszła. Jasna Foka nie istnieje. Rodzice szybko szczytują, a w chłopcu coś pęka i czarna fala żalu, tęsknoty, na której określenie młody człowiek nie znalazł jeszcze słowa, topi go, obmywa i nieodwracalnie zmienia.

Przez następne parę dni on i jego rodzina będą mogli jeść tylko martwe ciało foki upolowanej przed rokiem. Przed poprzednim Czasem Snu. Zabitej celnym uderzeniem ojcowskiego harpuna w serce ukryte za łopatką. Jej ciało przechowało się jako tako, zaszyte w skórę i zawieszzone na rachitycznym drzewie z dała od psów. Drapieżnych ptaków tu nie ma, nikt nie widział drapieżnego ptaka, chyba że na starożytnych zausznicach wykopanych spod ogniska. Tak więc zgodnie ze zwyczajem rodzina Jasnej Foki będzie jeść skruszałą padlinę z kryształkami lodu wbitymi w miękką tkaninę. Będzie to czynić w całkowitym bezruchu, karmiona przez innych. Aż do czasu, kiedy szaman wróci i zaprosi cały klan do tańca, bo... skończyło się.

Są bębny, które wywołują duchy dzieci i bębny zapraszające pogodę. Bębny od zamieci i te od fok. Bębny głuche i bębny krzykliwe. Jest również bęben umarłych: skóra naciągnięta na obręcz z żeber jeziornego stworzenia. Wokół membrany dołącza się wyczyszczone do czysta kości rąk zmarłych klanu, a każdy paliczek zmienia i modernizuje dźwięk całości. Szaman przynosi kość

małego palca i przywiązuje go do instrumentu. Oto palec Jasnej Foki. Szaman zaczyna grać i w pełni staje się Tym, Który Tańczy, a wszyscy wokół zostaną pasażerami jego ekstazy i jego melodii.

Bum - bum - bum. Bum - bum - bum. Zaś niezwykle i ogłupiały chłopiec ma pewność, że jego siostra wcale nie umarła. Jego siostra żyje i zamieniła się w fokę o błękitnych oczach polarnych psów.

Czerwień, błękit, zieleń - wszystkie wykwitają na niebie.

W łonie Matki rośnie Księżyc. Obtarcia na sutkach nie zdążyły jeszcze zniknąć, a piersi już szykują się do przyjęcia nowego noworodka. Życie rodzi się ze śmierci, tak to już jest. Tak zostało stworzone. Wiedzą o tym nawet psy, którym najbardziej smakują lekko nadgniłe kości, bo w ich tuku zdążyły się już wyrodzić białe larwy.

Matka okazuje prawdziwą radość. Nie sposób jednak nie zauważyć, że z Ojcem za to jest coś bardzo nie w porządku. Ojciec się nie porusza, choć okres ortodoksyjnej żałoby po Jasnej Focie dawno przeminął. Jest Czas Snu, ludzie dorzucają własnych włosów do ognia, by ten choć na moment strzelił w górę i iskrą rozświetlił ciemność. Nikt nie opuszcza jaskini. Żywią się zapasami. Na zewnątrz panuje taki ziąb, że silny mężczyzna musi biec równo z psim zaprzęgiem, aby nie zamarznąć. Takim silnym mężczyzną był niegdyś Ojciec, przywódca Klanu. Teraz nawet najmłodsze dziecko wyczuwa jego demencję. Wodę pod skórą. Rozpad, utratę ochoty do czegokolwiek, nawet do życia. Nawet do śmierci. Jednak Ojciec nie odpowiada jedynie za własne życie, za własną śmierć. Jest Panem Łowów. Panem Ich Wszystkich. Już dawno powinien pobiec z psami, sprawdzić sidła, sprawdzić, czy są bezpieczni.

Matka urodziła mu ósemkę dzieci i to ona spróbuje przywrócić łowcę do rzeczywistości. Inne kobiety jej pomogą. To dla nich zarezerwowany jest księżycowy rytuał ożywiania soków w ciałach mężczyzn. Mężczyźni muszą być zdolni do miłości i do polowania.. Stary szaman w to się nie miesza. Prawdę powiedziawszy, trochę się wstydzi tej babskiej magii. Wybierają dzień-noc, kiedy żadna z nich nie krwawi. Nie jest to trudne: na tej małej powierzchni, w kazirodczej bliskości, już dawno ich ciała zgrały się w jeden owadzi organizm. Otaczają nieruchomego mężczyznę kołem. Wyrzucają ręce w górę, później obejmują się i zaczynają poruszać, skacząc każda na jednej nodze. Są rozebrane. Chłopiec nic nie rozumie, a nawet pełen obawy zamyka oczy na te stare i młode ciała - bo tańczą i dziewczynki i bezzębne babcie. Ciała suche, grube, brzemiennie, puste, lśnią jak naoliwione tłuszczem foki. Zapach kobiecego potu zagęszcza wypalone ogniem i ciężkimi oddechami powietrze. Oszaleć od tego można. Kobiety tańczą, a odłączeni od rytuału mężczyźni drżą jak stwardniałe gałęzie na lodowym wietrze, ich szklista powłoka przy byle silniejszym podmuchu może pęknąć i obsypać się w śnieg. Ale Ojciec nie reaguje. Jakby wcale go tu nie było, jakby wszystkie duchy - głowy, serca, wątroby, paznokci i jąder - opuściły go. Matka w końcu przełamuje się, popycha go i wrzeszczy. Nic. Dla Ojca nadszedł Czas Utraty Rozumu. Niech taki Ojciec będzie przeklęty. Minie jeszcze sporo dni nim ignorowany i wycieńczony głodem (bo nie będzie już uczynnych palców, które wsunęłyby mu foczy tłuszcz w usta) podniesie się, zachwieje, znowu podniesie i niezakłopotany szczelnością ubrania odejdzie, pozostawiając wyjące z tęsknoty psy. Nawet gdyby wrócił, Klan nie przyjąłby go na powrót do siebie. On jednak nie wróci. Tacy nigdy nie wracają.

Chłopiec nie może już być dzieckiem. Nie może być bratem dla wrzeszczącego niemowlaka, musi stać się dlań ojcem. Musi zniknąć i wyjść z brzucha ziemi, odrodzić się jako zupełnie nowa istota.

Mężczyzna Klanu Foki.

Szaman przychodzi po niego do jaskini, zaś współplemieńcy traktują obu mężczyzn - starca i chłopca - jakby ci byli martwi. Na brzegu jeziora czeka samotna łódka. Na jej dnie leży kościany harpun. „Przynieś mi dużą, tłustą fokę”, nakazuje szaman. Chłopiec się wzbrania, a jednocześnie jest tak rytualnie wygłodzony, że na samą myśl o foczym mięsie kwaśna ślina zbiera mu się w ustach. Postanowił sprzeciwić się szamanowi, zagłodzić się. Tyle że to takie trudne. Ciało walczy zupełnie jak foka złapana na jelitowy postronek. Albo zabijesz, albo umrzesz. Dlaczego chłopiec sprzeciwia się polowaniu? Wierzy, że jego siostra zamieniła się w fokę. A jeśli harpunem zabije ją po raz wtóry? Jeszcze chwila, a chłopiec będzie równie bezużyteczny jak jego ojciec. Szaman przystępuje o kroki kościanym nożem kaleczy dziecięce, pulchne ręce. Oburzony i zdumiony siłą bólu chłopiec otwiera usta, a wtedy starzec wciska mu pomiędzy zęby zakurzoną, niosącą odciski własnych palców narkotyczną kulkę. Miękka, rozgrzana dotykiem, niesie woń grzybów i mchu. Chłopiec w proteście opada na kolana, kuli się na dnie łodzi, która majestatycznie i nieuchronnie wypływa w wodę pokrytą burzanami brudu, szkieletami ryb, szkieletami ludzi. Wydaje mu się, że ta woda zalewa burtę, a łódź tonie. Wokół światło i lód. Jednak w końcu słyszy fokę wskakującą do wody z lodowej platformy. I niewyraźnie widzi inną, możliwe, że siostrę tamtej, która materializuje się obok, dotyka śliskim łbem jego płaskiej, śniadej twarzy, zupełnie jakby była psem. Foka coś szepcze. Czy potrafi ją zrozumieć?

*„W pierwszej chwili to błędzenie, mozolne krążenie, droga przez ciemność, pełna okropności, gdzie nie widać ich kresu; a po nich, przed końcem prawdziwym, stają się rzeczy przerażające, od których dreszcz i drżenie, pot i panika. A po nich światłość cudowna spotyka błędzącego. Dopuszczony został do świata łąk czystych, gdzie śpiewy i tańce, majestat tych dźwięków i świętych widoków. Tutaj już wtajemniczeni, po skończonym rycie, cieszą się wolnością”.**

* [Firmicus Maternus (?) Alfonso M. di Nola „Tryumf śmierci” fragm. tłum. Maria Olszańska, Universitas, Kraków 2006]

Współplemieńcy chwytają jego głowę, szarpią nią, nie zważając na uszkodzenia, jakie zadają foczemu kapturowi. Niszczą przezroczytą pelerynę z jelita klanowego zwierzęcia. Niszczą... Szaman dmucha mu w twarz ze wszystkich stron i ten cuchnący, przesycony pleśnią oddech przywraca go do życia. Chłopiec - nie, teraz już mężczyzna po inicjacji - nie czuje zimna, choć leży na zamrożonym jeziornym brzegu. Podnosi swoje ręce i ogląda je pod blade słońce. Są. Są jego ręce, to znaczy, że i on jest. Istnieje. Umarł i odrodził się. Jak się tu znalazł? Był pewien, że utonął na środku jeziora. Był pewien, że latami wędrował jego białym brzegiem. Szaman tłumaczy, że chłopiec nigdzie się nie ruszał, leżał wciąż tutaj - na dnie łódki. Najpierw postawił oczy w słup, później zemdlął, piana wypłynęła mu na usta. Tylko jego nogi poruszały się jak łapy psa, któremu śni się, że biegnie. „Sedna, Sedna”, powtarzał nieprzytomnym językiem, a dziwaczna moc tego pradawnego, tajemnego imienia wstrzymała rękę szamana. Nie rozdarł mu brzucha harpunem, tylko wyciągnął na brzeg i zawołał innych ludzi na pomoc. Szaman zna to słowo: Sedna to imię ze snów bogów, ale skąd wie o tym chłopiec? A przede wszystkim: co wie jeszcze? Sedna to tabu.

Chłopiec szepcze, że foki to wcale nie zakłęci ludzie. Foki to odrąbane palce martwej dziewczyny Sedny Od Jaskiniowego Odcisku. Sedny, którą przed wiekami zamordował ojciec, by jej krew rozlana na jezioro przyciągnęła zwierzęta. Tak się stało. Panieńskie kończyny opadły na dno Białego Jeziora, gdzie zamieniły się w ryby i foki.

Za sprawą inicjowanego chłopca klan zyskuje nowy mit. I pierwszą boginię znaną z imienia. Po raz pierwszy czas przestaje biec po kole, a układa się w odcinki pogrupowane w zbiory Początków, Środków, Końców. Po lodzie ślizga się nowa era, przyniesiona przez chłopca, który mężczyzną powstał z grobu. Świat rozszerza się z prędkością światła - na Ciebie i na mnie.

Przychodzi to do Ciebie jak do wszystkich mężczyzn, teraz i zawsze. Przychodzi nocą, albo bladym świtem, o tej najzimniejszej porze doby. Ty jednak czujesz gorąco. Kiedy wychodzisz z jaskini powitać wierne psy, znajdujesz białą plamę na brzuchu, pod osłoną foczych spodni. Ta plama zaprowadzi Cię do kobiety. Nie tylko ona. Twoimi przewodnikami będą: bęben serca, który przywołuje miłość oraz zimny pot na bliznach od kościanego, szamańskiego noża. Także wypieki, które rozlewają się na Twoich pokrytych lichą szczecina policzkach i suną w dół, za łagodną linię szczęki.

Odtąd będziesz oddychał swobodnie tylko przy innym ciele, a właściwie za sprawą innego ciała. Ciała kobiety - dziewczyny, które dopuści Cię do miłosnych sekretów. To Twoja rówieśniczka. Jest ciekawa jak i Ty, łagodna jak młoda foka, niewinna niczym świt. Tyle łąt spaliście obok siebie - klanowy brat i siostra - w końcu membrana dziecięcej niewiedzy pękła i oto jesteście ze sobą i dla siebie. Jej czarne, proste włosy krępują Cię bardziej niż sieci wplecione przez babki. Śmiejecie się, odkrywając własne zażenowanie. Nikt wam nie przeszkadza, bo i po co? Tak skonstruowany jest ten świat, że foka łączy się z foką; chłopiec z dziewczyną. Patrzysz na ciało utkane z księżycowego mleczka, błyszczące jak skóra łososa płynącego na wiosenne tarło. Zanurzasz się w nim zupełnie instynktownie - ciała pamiętają inne obrazy: ryby, ptaka, człowieka, matrycy Klanu.

*„Zwyczajnie lodu pozwolę mu zatrzymać się tam, gdzie chce się zatrzymać, zastygnąć w najbardziej cudownym punkcie. Podstawowy kształt lodu to sześciokąt, połączenie sześciu czworościanów, lecz kształt kryształów różni się w zależności od temperatury. W temperaturze od zera do minus trzech stopni Celsjusza lód formuje cienkie sześciokątne płytki. Przy temperaturze o stopień lub dwa niższej powstają igielki. Wystarczy odjąć kolejne trzy i tworzą się puste w środku pryzmatyczne filary. Od minus ośmiu do minus dwunastu - grubsze, sześciokątne płytki. Dendryczne kształty - lodowe paprocie, botaniczne uprawy - wchodzi w grę od minus dwunastu do minus szesnastu”.**

* [Kathryn Harrisom „Focza dama”, przeł. Mariusz Ferek, Rebis, Poznań 2003]

Znowu koniec przychodzi za szybko: dla niej i dla Ciebie, mój chłopcze-mężczyzno. Po trosze winne są Twoje młodzieńcze lędźwie, które nie mogą powstrzymać się od drżenia. Ale tylko po trosze. Przedwczesny koniec następuje z winy starego, zniedołężniałego szamana. Ludzie klanu wbiegają do groty, ignorując Twoją miłość (bo jest to miłość, a nie innego), przekrzykując się, opowiadają wydarzenie poranka, które zmieni Wasze życie. Szaman popłynął złożyć ofiarę mieszkającej w Białym Jeziorze Sednie. Zanurkował w zgęstniałą od śniegu wodę, by zanieść jej posiłek, kości i włosy. Wyłowiono go. Zamarznięty i podtopiony zdołał jeszcze otworzyć oczy. Kiedy otarto mokry śnieg ze zblękitniałej twarzy i wdmuchano mu w nozdrza powietrze, starzec korzystając z błogosławieństwa cudzego oddechu zdążył wyszeptać, że Ciebie chłopczemężczyzno wybiera na swojego następcę w duchowym przewodnictwie Klanu Foki. Później wydał ostatnie

technienie. Ty zaś nie jesteś już chłopcem, mężczyzną, kochankiem. Witaj szamanie! Witaj mędrce, który musi powstrzymać się od jedzenia mięsa i od cielesnych kontaktów z kobietą. Idź podłuchiwać bogów mamroczących przez sen. Natychmiast wyplącz się z miłosnych uścisków, z czarnych włosów, teraz należysz do Sedny i jej fok. Idź, idź, szukając ścieżki pomiędzy buntem, a wściekłością. Ścieżki dobrej dla Klanu. Nie płacz szamanie, raczej zatańcz. Ty Który Tańczysz. *Sam-dananie. Samoroju. Sam-dambi*. Podróżniku między tym światem, a królestwem zmarłych. Nie płacz, bo księżyc znowu rośnie w jaskini. Tańcz.

Kiedy wychodzi na zewnątrz widzi tylko i wyłącznie światło. Cały bezkres światła. Jego nieskończoność dorównuje tylko nieskończoności głodu. Zapasy suszonego mięsa skończyły się, a wokół nie ma zwierząt, na które można zapolować... Teraz szaman musi odegrać rolę, do której został stworzony. Musi iść do Sedny, Pani Białego Jeziora, pani Fok, przebłagać ją, aby nakazała fokom powrót na żerowiska i przełamała głód Klanu. Ludzie żują już własne ubrania i oprócz śmierci głodowej grozi im śmierć z wyziębienia. Och tak, tak, szaman jest tego świadomy, ale i on ma zmęczone wycieńczeniem myśli.

Szamanie, szamanie, zatańcz! Święty starzec sika na śnieg, budząc stękanie ospałe psy. Nie ma dzikiego zwierzęcia, które nie garnie się do soli zawartej w urynie. Szaman potrząsa głową, aż kościane korale przenikliwie dzwonią w ciszy. Jelita już dawno zamilkły. Szaman wraca do jaskini, sięga po bęben. Pomrukuje, charczy, nawołuje krótkimi uderzeniami. Duchy fok, wróćcie, wróćcie... Dawno, dawno temu nie polowano harpunem. Fok, oswojonych jak psy, było tyle, że myśliwy przechadzał się pomiędzy ich rozkołysanymi rzędami i pałką rozbijał idealnie okrągłe głowy. Jego ciosy nie dosięgały karmiących matek ani śnieżnobiałych foczątek, gdyby to zrobił - jego los byłby przeklęty. Co więc się stało? Szaman szuka w transie odpowiedzi. Szuka we własnym ciele, które w monotonnym rytmie tonie i umiera. Pokażcie mi sny bogów! Boskie sny! Wszystko jedno... Mężczyźni przestępują z nogi na nogę; dołączają do ekstazy. Warkot kilku już bębnów nasila się. Szaman ocieka potem. Obraca się wokół własnej osi, ugina grzbiet. Prowadzi, przewodzi, ale wciąż szuka. Kobiety obcinają długie warkocze i rzucają mu pod nogi. Szaman kaleczy swe ręce, tors, podrygując dziwnie kolebie się niczym stary foczy samiec na brzegu. Pragnie umieścić swoje cielsko w Białym Jeziorze. Krąg klanu, który wpierw się wokół niego zamknął, teraz się otwiera... Stara foko, przyprowadź swoich towarzyszy. Stara foko, podejdź pod kikuty rąk Sedny, z których palców powstałeś. Pozwól się pieścić. Odnajdź swoją śmierć, by ona przyniosła nam życie! Szaman zasłania uszy, mruży oczy od słońca. Brzeg Jeziora jest coraz bliżej. Starzec oblewa się lodowatym potem. Później wstępuje w rwący nurt przeznaczenia, a lód pęka mu pod stopami obutymi w foczą skórę. One powrócą, Sedno, foki muszą powrócić. Ale czy ja wrócę?

Szaman wypływa łodzią na Białe Jezioro w poszukiwaniu Sedny, Pani Fok. Tu i ówdzie, rozbija lód wiosłem. Męczy się, narkotyk rośnie mu w ustach. Podpływa jak najbliżej, a część - odległości pokonuje pełznąc po lodzie do palika, wokół którego zawinięto sieć i wpuszczono w przerębel. W Czasie Snu foka może się w nią złapać, udusić, zamarznąć na kamień... Ciało wydobyte na mroźne powietrze jest białe - mętne myśli szamana przywołują obraz złamanego tabu: martwa, mała foczka... Ciało jest jednak tak jasne tylko dlatego, że przez wiele lat unosiło się zmrożone w Białym Jeziorze. Szaman sprawdza: dziecięcej rączce brakuje małego palca. Kolor tęczy jest poza jego śledczymi możliwościami, bo gałki oczne już dawno zapadły się w głąb głowy. Patrzy na Jasną Fokę,

uświadamiając sobie, że dawno już zapomniał, jak wyglądała jego siostra. Bierze na ręce ten najdroższy dlań dar Sedny i w ostatecznej ofercie oddaje go gęstej wodzie. Jego modlitwa, choć stoi nieruchomy i nie tańczy na lodowej platformie, na pewno zostanie wysłuchana.

Wreszcie *Ungka* wraca do jaskini. I cieszy się na ten powrót. Już tęskni za obecnością ludzi. Nie jest taki, jak jego Ojciec. Euforia wygenerowana przez hormony po dobrze wypełnionym zadaniu rozpiera jego ciało. Słucha usatysfakcjonowanego ciała, jednocześnie zapominając, że jest szamanem. Tym Który Tańczy Samemu - zawsze dla Innych. Widzi krew na śniegu i już wie, że posłuszne Sednie foki również wróciły. Ich obecność poprzedza każdy jego krok. Focze jelita parują na lodzie. Czuje też narastające ciepło, ciągle cieplej. Światło jest tak intensywne, że szaman nie potrafi w wywłaszczonej rzeczywistości należycie określić odstępów. Pod stopami, w błocie, wyrastają kwiaty, które jego potomkowie nazwą żarnowcami. Są żółte. Jest to pierwsza żółć w tej lodowej krainie... Szaman nie wie, że ponad jego głowę zakrytą ciężkim kapturem unosi się złota kula. Czuje tylko ból, kiedy ta krągła jasność przenika wyprawione focze futro, dociera do czarnych włosów, siwiejących już lekko na skroniach, wypełnia czaszkę i penetruje go niezmierną mocą od środka.

Udar mózgu powala szamana. Zakrzywione palce rozgrzebują śnieg, przebijają lodową, zaskakująco cienką powłokę i kopiąw ziemi jak łapy psa. Dłonie szamana przenikają kolejne warstwy błota, ręce bez trudu zagłębiają się aż po ramiona. Wokół nich na powierzchnię wycieka czerwona woda. Krew rozlewa się także w komorach serca. Ziemia żąda powrotu szamana do swoich trzewi. Starzec wydobywa się z błota, by znaleźć sobie wygodne miejsce do dalszej wędrówki. Spać. W embrionalnej pozycji zwija się w zagłębieniu, a woda i krew płyną zgodnym rytmem. Szaman skrada się w stronę rozbudzonych bogów. Słucha pierwszych słów Sedny i Innych. Tych Którzy Po Niej.

„Słucham i słyszę ciszę

Słucham i widzę ciszę

Słucham i smakuję ciszę

*Słucham i przyjmuję ciszę”.**

* [Twyłah Nitsch „Language the Trees” (frag.) za pub. Anne Bancroft „Przódki mrdroúci”, przeł. Maria Olejniczak - Skarsgłrd, Jacek Santorski & CO, Warszawa 2003]

Proszę, powtórz za mną teraz:

„Ataatarput qilammiusutit aqqit illernarsili - Ojczy nasz, który jesteś w Niebie”... Ojczy - Matko Białej Foczki, naszego pokarmu powszedniego daj nam dzisiaj. Na wieki wieków. Dobranoc.

Maja Lidia Kossakowska

**Rekwiem dla
niewinnych**

W dzieciństwie, pośród wielu innych pasjonujących dla małej dziewczynki przedmiotów, szczególnie intrygowały mnie lustra. Spędzałam sporo czasu wpatrzona w gładką taflę, starając się dostrzec wszystkie możliwe szczegóły lustrzanego pokoju, absolutnie przekonana, że we wszystkich niewidocznych kątach kryją się zupełnie inne meble, a tajemniczy skrawek korytarza wygląda całkiem nie tak, jak powinien. Oczywiście, często wyobrażałam sobie, że przenikam do tamtego dziwnego świata za zwierciadłem i odkrywam tam przynajmniej tak ciekawe rzeczy jak Alicja w Krainie Czarów. Zdaje się, że miałam nawet jakąś wymyśloną przyjaciółkę z odwrotnej rzeczywistości, ale byłam wtedy tak mała, że nie mogę dać za to głowy.

W każdym razie lustra wydawały mi się fascynujące. I chociaż nikt mnie nie straszył, że jeśli będę wpatrywać się w srebrną taflę, niechybnie zobaczę diabła, to znane porzekadło jakoś tkwiło mi w pamięci, przyczyniwszy się pewnie w znaczny sposób do powstania mrocznego, magicznego Ludu Luster, powołanego do życia w mikropowieści „Zwierciadło”, opublikowanej w czwartych „Wizjach Alternatywnych” z 2002 roku. W opowiadaniu „Rekwiem dla niewinnych” znów postanowiłam zainteresować się losem Cruxa Corneta Dellvardan, zwanego Panem Szubienicą, wyrzutka ze swojego klanu, obdarzonego potężną mocą i przekleństwem krwi. Tym razem osiłą powieści będzie jedyna siła, którą Lud Luster kocha i poważa. Zemsta. A ponieważ większość bohaterów „Zwierciadła” miała powody, by ulec temu uczuciu, może Czytelnik zechce odwiedzić świat przeklętych klanów, czarowników z tajnej organizacji zwanej Kręgiem, demonów i ożywionych magicznie trupów.

Jeśli chodzi o dłuższe formy, ostatnio ukończyłam pracę nad nową powieścią pod tytułem „Ruda Sfora”, która rozgrywa się w realiach wierzeń i podań syberyjskich. Fascynująca i mało znana mitologia Jakutów, Nieńców, Tunguzów, Koriaków i Buriatów okazała się dla mnie naprawdę niezwykłą inspiracją. Mam nadzieję, że opowieść o młodym szamanie, jego magicznym bębnie przemieniającym się w konia, wojowniku z zaświatów i potworze wykonanym z ludzkich kości będzie dla Czytelników dobrą rozrywką i fajną syberyjską przygodą.

Teraz zabieram się znów do pracy nad zbiorem czterech mikropowieści grozy pod tytułem „Upiór Południa”. Znajdą się tam opowieści o korespondencji wojennym w Afryce, weteranie wojny na Bliskim Wschodzie, szeryfie małego południowego miasteczka w schyłkowym okresie Dzikiego Zachodu oraz pensjonariuszu nietypowego sanatorium. Wszystkie te historie będą spięte wspólną kłamrą, którą stanowi upał.

Na razie pozostaje mi jednak zaproponować Wam wsłuchanie się w dźwięki „Rekwiem dla niewinnych”, wydobywające się zza lustrzanej tafli, kiedy zapada zmierzch.

Przyjemnej lektury.

„Cesarski Pałac” zamykał wylot obskurnej, ślepej uliczki karminem i złotem. Tkwił między szarymi murami okolicznych kamienic niczym lampion porzucony przez olbrzymia. Mamił oczy spragnionych fatamorganą blichtru. Światła lokalu zalewały brudny zaułek kałużami oranżu. Muzyka wyciekała na zewnątrz wraz z kłębami kadzidlanego dymu. Ponad gankiem fruwały papierowe smoki. Wiatrowe dzwonki wyśmiewały się z nocy. Szydł czerwonymi literami wykrzykiwał o niezwykłych rozkoszach wschodu, a piękne dziewczyny o oczach jak klingi sztyletów przechadzały się przed wejściem, stukając obcasami.

„Cesarski Pałac” w niczym nie był gorszy od większości podobnych lokali, a niektóre znacznie przewyższał. Płynął przez mroczne miasto niczym dżonka pełna kuszących zabawek, jednak Crux go nie lubił.

Nie mógł. Nikt nie darzyłby sympatią miejsca swojej rytualnej kaźni.

Siedział teraz w ciemnej, czerwonej jak jego myśli suterenie chińskiego burdelu, a płynna czerń wlewała mu w żyły płomień, który nie chciał zgasnąć. Starał się nie patrzeć na grubą, srebrną igłę, przebijającą skórę, rozpychającą się w ciele, wiedzioną żądzą krwi, niczym żądło jadowitego owada. Gęsty, czarny płyn kapał powoli, a wieczność w piekle w tej chwili wydawała się Cornetowi miłą perspektywą.

Zerknął na blat stoliczka z laki. Przekłęty flakonik nie był nawet w połowie opróżniony. Crux zgrzytnął zębami, mimowolnie zaciskając pięści. Igła drgnęła, ból smagnął tkanki, Cornet szarpnął ramieniem, aż zaskrzyphiały skórzane pasy, przypinające rękę do poręczy fotela.

- Nie rzucaj się, Calderon - skarcił go skulony w kącie Sykko Ernstem. - To delikatna operacja, wymaga czasu i cierpliwości. Nie chcesz chyba, żeby to gówno rozdarło ci żyły, co?

Crux nie chciał.

- Zamknij się! - warknął tylko, zamykając powieki.

Stary Ernstem wstał, przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości. Jego pomarszczona, smagła twarz przybrała zatroskany wyraz. Musiał powiedzieć pacjentowi parę słów, które z pewnością nie przypadną mu do gustu. A wiedział, że obwieszczanie nieprzyjemnych rzeczy komuś takiemu jak Cornet Calderon Dellvardan zawsze jest trudne, a często też niebezpieczne. Nerwowo zaplótł chude palce.

- Pamiętasz, kiedy ostatnio tu byłeś? - spytał.

W spojrzeniu czarnych, głębokich jak lufy dwururki oczu już zaczynał tlić się gniew.

- Nie wiem. Ze dwa, trzy miesiące temu. Co jest, nie cieszysz się z wizyty starego przyjaciela? Płacę ci tyle, ile żądasz, zapewniam protekcję, to za mało, Ernstem?

Sykko skrzywił się w gorzkim uśmiechu.

- Prawda, płacisz mi i zapewniasz protekcję. Prawdopodobnie ja i młody żyjemy tylko dzięki tobie. Ale widzisz, chcę, żeby ta sytuacja trwała jak najdłużej. A nie potrwa, jeśli wkrótce wyciągniesz kopyta. Nie minęło nawet dwadzieścia pięć dni, odkąd ostatni raz czyściłeś sobie krew. Wiem, że choroba postępuje, musisz się jednak z tym pogodzić, Cornet. Nie jesteś śmiertelnikiem. Rozumiem, masz wielu wrogów, kiedy słabniesz, czujesz się zagrożony, ale z chorobą możesz żyć jeszcze wiele lat. Przed tobą prawdopodobnie całe wieki życia, Panie Szubienico. Jesteś zakażony

przekleństwem krwi, a to znaczy, że nigdy nie będziesz zdrowy. Zaakceptuj wreszcie to, co się wydarzyło, naucz się z tym radzić. Do cholery, inaczej kuracja cię wykończy. I to wkrótce.

Po szczupłej twarzy Corneta przebiegł skurcz bólu.

- Co mam zaakceptować? Że zdycham na krwawiączkę? Że ta gnida Sykstus wciąż rządzi klanem, zamiast gryźć piach? Opanuj się, Ernsten! Jesteś takim pieprzonym, starym trupem, że zapomniałeś jaką moc dla Ludu Luster ma zemsta? Nie wierzę! Przecież pochodzisz z klanu Argonzzo!

Sykko uniósł dłonie w uspokajającym geście, przeklinając się za głupotę. Wybrał najgorszy moment na rozmowę z pacjentem. Do diabła, mógł przecież poczekać, aż trucizna wniknie do krwi Calderona, a ból nieco się uspokoi. Zyskał tyle, że Dellvardan się wściekł i nic już do niego nie dotrze.

- Chodzi mi o twoje zdrowie, Crux. Musisz trochę przystopować, tylko tyle.

- Przystopować?- zaśmiał się Cornet. Gardłowy, chrapliwy śmiech brzmiał jeszcze mniej przyjemnie niż jego głos - Sykko, uszanuj moją inteligencję, skoro nie chcesz uszanować własnej. Jeśli się wycofam, ty i młody natychmiast zatańczycie z Kręgiem. Niezbyt długo, jak sądzę. A świetlane tradycje klanu Argonzzo będzie sobie można w dupę wsadzić, razem z polisą na życie niedobitków tego szlachetnego rodu.

- Klan Argonzzo nie zapomina ani o tradycjach, ani o zemście, zapewniam - odezwał się z mroku w głębi pokoju spokojny, rzeczowy głos.

Sykko drgnął, zdziwiony. Jego asystent, Vergen Astus Argonzzo zwykle umiał trzymać język za zębami.

Również Crux był zaskoczony. Zupełnie zapomniał o obecności ucznia Ernstena. Młody Argonzzo miał szczególną umiejętność stapiania się z tłem. Przypominał ducha, cień człowieka, obywatela tak przeciętnego, aż zdawało się to zaskakujące. Przedstawiciele starożytnego Ludu Luster, którzy szczyli się zawsze, że stworzyli cywilizację jeszcze zanim pierwszy małpolud ujrzał w wodzie odbicie swej tępej gęby, zazwyczaj wyróżniali się spośród ludzi. Vergen natomiast był aż do bólu zwyczajny. Wąska twarz, mysie włosy, oczy w kolorze szarego mydła. Nie rzucał się w oczy, nie odzywał, sprawnie i skrupulatnie wypełniał polecenia.

Oczy Corneta zwęziły się, gdy starał się dostrzec w półmroku twarz Astusa, ale majaczyła mu jedynie błądą plamą w kącie.

Chyba że to tylko kamuflaż, pomyślał. W sumie, dla prześladowanego wyrzutka z przekłętego klanu nie mogło być nic lepszego, niż pozostawanie w cieniu.

Ród Argonzzo od zarania dziejów zajmował się medycyną. Najwybitniejsi lekarze i magowie nosili to starożytne nazwisko. Klan przetrwał różne zawieruchy, nawet słynną Bitwę Królów, upadek monarchii i dominację Kręgu. Kiedy ojciec Corneta sięgnął po władzę nad rodami, przywracając nieformalnie monarchię, członkowie rodziny Argonzzo odzyskali dawną pozycję. Nie na długo, jednak. Wkrótce Krąg wystąpił przeciw nowemu władcy. Podstęp, który przywódcy organizacji opracowali wraz z Sykstusem Amanusem Dellvardan, kuzynem Cruxa, powiódł się. Sykstus zabił ojca Calderona, sam zajmując jego miejsce. Wskrzeszona na chwilę monarchia upadła, zaś Amanus został starszym rodu Dellvardan. Po śmierci jedyne go potężnego przeciwnika, Krąg, złożony z czarnoksiężników, którzy dla władzy i mocy wyrzekli się swoich klanów, mógł bezkarnie rosnąć w siłę. Pragnąc całkowicie podporządkować sobie wszystkie rody, starał się skupić w swoich rękach wszelką wiedzę i umiejętności. Sztuka leczenia, rzucania klątw i sporządzania trucizn, okazała się jedną z najważniejszych kart przetargowych. Rodzina Argonzzo długo opierała się potędze Kręgu, ale

w końcu musiała upaść. Cały klan przekłeto, wymordowano większość lekarzy, wszystkich szczególnie aktywnych przeciwników, a resztę ścigano bezlitośnie jako zdrajców i wyrzutków.

Sykko Ernsten, który niemal dekadę temu stał się osobistym lekarzem Corneta, nie został jeszcze zamordowany tylko dlatego, że ukrywał się w złowrogim cieniu Pana Szubienicy. Młodego Vergena uczynił asystentem trzy lata temu i od tej pory nie miał z nim żadnych kłopotów. Chłopak był pilny, sumienny, łatwo przyswajał skomplikowane receptury, wykazywał się sporym talentem magicznym i niezbędnym wyczuciem w diagnozowaniu. Ogólnie Sykko był z niego zadowolony. Jednak nigdy nie podejrzewał, że pod maską obojętnej uwagi mogą się kryć jakieś namiętności. Prędzej spodziewałby się talentu muzycznego po szczurze, niż żądzy zemsty drzemiącej w sercu Vergena.

Czarna, ognista wieczność wlewała się w żyły Corneta, nie pozwalając mu skupić myśli. Ale oprócz cierpienia niosła też ozdrowienie, upragnione, choć krótkotrwałe.

Już niedługo, powtarzał sobie Crux, a te proste słowa brzmiały piękniej niż melodia kosmosu.

Już niedługo, Panie Szubienica.

Kiedy ostatnia kropla bólu wysączyła się z flakonu, napełniając ciało Corneta nową siłą i nowym płomieniem, Sykko odpiął pasy unieruchamiające ramię pacjenta. Calderon zerknął na bladą skórę, poznaczoną rysunkiem blizn i sińców.

Uda się, pomyślał. Musi.

Zebrał siły, żeby wstać. Podniósł się z fotela, czerwony pokój zawirował mu przed oczami jak chiński smok. Złapał się oparcia, przestraszony, że upadnie. Zacisnął zęby. Nie było dobrze. Męczyły go mdłości, po zimnej, nienaturalnie bladej skórze przebiegały dreszcze.

Przed sobą zobaczył nagle zatroskane oblicze Ernstena.

- W porządku? Będziesz rzygał?

Cornet lekko potrząsnął głową. Wolałby zdechnąć za progiem, niż tutaj zwymiotować. Sztywnymi, niezgrabnymi palcami zdrowej ręki wygrzebał z kieszeni złożoną na czworo karteczkę.

- Masz - wychrypiął. - To lista potrzebnych mi rzeczy.

Sykko rozwinął papier, czytał, marszcząc czoło.

- Niektóre mogą być bardzo drogie - zaczął ostrożnie.

Cornet oddychał głęboko, próbując ignorować drżenie nóg i dreszcze.

- Nie szkodzi. Chcę je mieć w przyszłym tygodniu.

Stary Ernsten załamał ręce.

- To niemożliwe! Na tej liście są same najrzadsze specyfiki! Nie wiem ile zajmie ich dostarczenie!

Crux łypnął na starca, mrużąc oczy.

- Ja wiem - warknął. - Do przyszłego tygodnia. Nikogo nie przyślę po odbiór towaru. Niech Vergen przyniesie wszystko do mnie. Trzymaj się, Sykko. Miło było znów cię odwiedzić.

Lekarz z klanu Argonzzo zastąpił mu drogę.

- Nie możesz teraz wyjść! Musisz odpocząć, poczekać, aż minie szok!

Calderon odsunął go stanowczo.

- Już minął. Spiesz się, stary. Odpoczywać zamierzam dopiero w grobie.

Chwytał za klamkę, wyszedł w półmrok przesycony czerwienią, złotem i ciężkim zapachem piżma.

Pochylony nad mosiężnym mózdzierzem Vergen Astus odprowadził go uważnym spojrzeniem.

Cornet, wsparty o parapet, spoglądał na tonące w mroku miasto. Wciąż lubił rozległe widoki i mieszkania na wysokich poddaszach, chociaż teraz panorama innej metropolii, w innym miejscu świata, przywołała bolesne wspomnienia. Strome dachy kamienic przypominały skalne granie, ostra iglica wieży ratuszowej godziła w niebo granatowe od nocy. Nieliczne światła płonące w oknach domów z oddali wyglądały jak ognie w jaskiniach.

Przy nas tak właśnie się prezentują, pomyślał Crux, zapatrzony w ludzkie siedziby hen w dole, daleko pod stopami. Jaskiniowcy. Ale tyle w nich siły.

Westchnął, zaciskając szczupłe palce na gładkim chłodzie marmuru.

Czasem naprawdę trudno mu było uwierzyć, że minęło aż dziesięć lat od śmierci Koral. Od tamtej pory nie było dnia, żeby nie myślał o zemście. Sykstusa, starszego klanu Dellvardan, zdołał ukarać już dawno temu, zarażając swoją przeklętą krwią jego ukochaną wychowankę, przyszłą matkę następcy tronu, Fionę Charlotte Ovex Dellvardan, hodowaną jak cieplarniana roślina na posłuszną i układną żonę. Mimo że zawsze darzył dziewczynę sympatią, podobną do tej, którą może żywić starszy brat do głupiutkiej siostry, nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia. Co z tego, że Fiona kochała go na swój dziecinny, śmieszny sposób? Co z tego, że nie uczyniła mu najmniejszej krzywdy? Koral, śmiertelniczka, jedyna prawdziwa miłość, jaką spotkał w życiu, też niczym nie zawiniła Sykstusowi, a przecież doprowadził do jej śmierci, tylko po to, żeby ugodzić w Corneta. Lud Luster, od tysięcy lat żyjący po Prawdziwej Stronie rzeczywistości, istniał od tak dawna, że nie cenił złudzeń ani sentymentów.

Nie ma niewinnych, pomyślał Crux, kiedy pamięć postawiła przed jego oczami obraz słodkiej, lalczyniej buzi okolonej kaskadami złotych loków. Do diabła z Fioną! Zasługiwała na życie znacznie mniej niż Koral.

Ale z Sykstusem jeszcze nie skończył. Jeszcze doprowadzi do upadku tego nadętego, nienagannego dupka o twarzy arystokraty, krwawej wszy żerującej na tkankach rodu. Tak jak zakończył swoje porachunki z bratem, Justusem Vallegro, bękartem, którego nawet ojciec nie chciał widzieć na oczy. Przypomniawszy sobie twarz Justusa zalaną strugami alchemicznego srebra, przemienioną w maskę czerwieni i czerni. Przywołał w pamięci smród spaleniźny, błękitne płomyki tańczące po jasnych włosach i nieludzkie wycie odbijające się echem od eleganckich boazerii w siedzibie klanu. Uśmiechnął się krzywo, złowrogo. Tak, to była dobra zemsta.

Lecz niedługo miała go czekać najlepsza. Po latach poszukiwań, latach znaczonych tropem krwi, trupów i strachu, wreszcie zdołał dopaść swego śmiertelnego, zniechęconego wroga. Rdzę, czarownicę z Kręgu.

Byłą czarownicę, dodał w myślach, a uśmiech, zły i brzydki jak szrama od noża, jeszcze się pogłębił na jego twarzy.

To ona zawiniła najbardziej. Ona zaaranżowała porwanie Koral, gdy cofnęła go w zaświaty, pomiędzy cienie, żeby nie mógł bronić ukochanej. To dzięki jej czarom Fergus, bezmózgi demon z samego dna piekła, zapłodnił jego słodką, piękną dziewczynę, a powstały w ten sposób zarodek natychmiast zaczął pożerać duszę swojej matki.

Cornet zamknął oczy, żeby nie patrzeć na własne palce. Na dłonie, które musiały zacisnąć się na smukłej, mlecznej szyi Koral, aby odebrać jej życie.

Uratował duszę swojej jedynej miłości. I nigdy nie przestał się za to nienawidzić.

Koniec z tobą, Rdza. Koniec Alysio Maddox Dellvardan, zwana kiedyś Czarną Różą. Dna piekiel, skąd przywołałaś Fergusa, to zbyt piękne miejsce dla ciebie.

Wydarzenia sprzed dziesięciu lat, rozpacz i gniew, szaleństwo i nieprzytomny ból, które wtedy czuł, sprawiły, że ocknęła się w nim potęga odziedziczona po ojcu, przywódcy wszystkich klanów. Dziś drżeli przed nim starsi rodów, trząsł się nawet Krąg, ale Cruza nie obchodziła władza.

Pragnął tylko zemsty.

I Krąg postanowił oddać mu swoją wierną sukę. Ciekawe, jak wyglądała twarz Rdzy, kiedy zamiast spodziewanej nagrody, dostała kopniaka na bruk? Lubił to sobie wyobrażać przed snem.

Bawiło go na swój sposób, że ostatnich informacji o kryjówce Rdzy dostarczyła mu osobiście przywódczyni Kręgu, Syche, niegdyś ambitna siostrzenica Alexa Mette Luttern, starszego słabiutkiego rodu z prowincji. Piękna kobieta o nieco sennej urodzie i sercu twardszym niż diament.

Organizacja czarnoksiężników zmieniła się za jej sprawą w ciągu tych kilku lat. Niby nadal rządziła kapituła, złożona z najpotężniejszych przedstawicieli, ale i tak wszyscy wiedzieli, że Hariett Sybil Senco Luttern, obdarzona słodkim głosem i włosami jak woal z mgły, trzyma ich żelazną garścią za pyski.

Cornet musiał niechętnie przyznać, że podziwia Syche, choć nie łudził się co do jej intencji. Postanowiła poświęcić Rdzę, żeby uspić jego czujność, a przy okazji pozbyć się silnej, agresywnej konkurentki. Deklarując chęć współpracy z pewnością zastanawiała się jednocześnie, jak zabić niewygodnego, potężnego, szalonego, odszczepieńca klanu Dellvardan.

Muszę na nią uważać, pomyślał. Ale teraz najważniejsza rzecz, to zerwać wreszcie Czarną Różę.

Drgnął, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść - warknął, bo nie lubił, kiedy ktoś przeszkadzał mu myśleć.

Do pokoju wsunął się Falco, wysoki, cichy niczym cień, spowity w szarość półmroku, niesamowity nawet jak na strzygę. Zaplecione w cienkie sznurki warkoczyków włosy zdobiły drobne, ptasie kości, owijały kawałki słabo obrobionych kamyków i zaśniedziałe monety, symbole cechowe i stadne. Błada, poznaczona rytualnymi bliznami twarz była skupiona i spokojna, choć w jednolicie czarnych, pozbawionych białek oczach mieszkał teraz triumf.

- Panie?

Cornet odwrócił się od okna. Jego ostre, drapieżne rysy ściągnęły się z niecierpliwości. Gwałtownym gestem odrzucił na plecy długie, lśniące włosy o barwie skrzepłej krwi.

- Mów!- rozkazał chrapliwie.

- Mamy ją - powiedział strzyga. W wąskiej szramie ust błysnęły ułożone w trzy rzędy, cienkie jak igły zęby.

Cruz nabrał głęboko powietrza do płuc, czując, że jego serce zaczyna szybciej tłoczyć w żyły skażoną, przekłętą krew. Zabieg przeprowadzony u Ernstena opłacił się. Cornet odzyskał siły, nie obawiał się, że krwotok dopadnie go podczas walki. A ta pewność była mu teraz bardzo potrzebna.

- Wspaniale - uśmiechnął się do Falco - Doskonała robota. Jestem bardzo zadowolony. Nie zapomnę, jak dobrze mi służycie, ty i twoje stado. Ruszajmy.

Strzyga położył na piersi wąską, przeraźliwie chudą dłoń o zupełnie sinych paznokciach, skłonił głowę.

- Dziękuję, panie. Wykonuję tylko obowiązki.

Calderon popatrzył na szarą postać strzygi, zaśmiał się gorzko w duchu. Świat zmieniał się tak szybko. Falco w niczym nie przypominał Ćmy, sługi, która kiedyś uratowała mu życie, mimo że była już martwa. Siła jej bałwochwalczego uwielbienia kazała strzydze na chwilę przekroczyć bramy śmierci, oszukać prawa natury, byle pomóc swemu ukochanemu jak bóg panu. Falco był zupełnie

inny. Miał ambicje, oczekiwania, plany i, na Wielkich Przeklętych Przodków, całkiem sporą dawkę dumy. Rządził potężnym stadem, liczącym pewnie z kilka setek członków, jego imię budziło respekt, otwierało wiele bram.

Crux nigdy nie żałował, że obdarzył zaufaniem strzygę. Lud Luster od zarania dziejów traktował te dzieci nocy gorzej niż insekty. Strzygom odmawiano prawa do posiadania rozumu, uczuć i duszy, robiąc z nich bezmyślnych niewolników. Tymczasem mroczna, starożytna dusza takiego na przykład Falco kryła w sobie mnóstwo przymiotów, a wśród nich nienawiść, żądzę zemsty, wrodzoną bystrość i nieprzebrane pokłady lojalności wobec inteligentnego pana, który okazał swemu słudze odrobinę przyzwoitości.

Tak, wierny strzyga był zdecydowanie lepszy niż pies, martwiak powołany do namiastki życia, magiczną mocą starszego rodu.

- Dokąd? - spytał Cornet.

Strzyga pozwolił sobie na cień uśmiechu.

- Ukrywa się na terenie starych fortów, panie.

Ostra twarz Cruxa rozpromieniła się.

Forty od lat należały do stada strzyg. Czarna Róża, była czarownica Kręgu, musiała całkiem stracić moc, żeby natychmiast tego nie wyczuć. Wystawiała się Cornetowi na widelcu, jakby całkiem straciła rozum.

Świetny pomysł, Rdza, pomyślał. Naprawdę fantastyczny.

Las był ponury. Gęste, ciemne zarośla czepiały się nóg, szarpały za ubranie kolczastymi pędami. Noc nigdzie nie mogła się wydawać bardziej mroczna. Zabłąkany wśród kolumnady pni wędrowiec utonąłby w czerni jak w morzu, nie doczekawszy świtu. Ale tam, gdzie człowiek byłby całkiem zagubiony, obdarzony mocą syn Ludu Luster czuł się zupełnie pewnie.

Cornet przedzierał się przez krzaki, zdążając w stronę kompleksu na pół zrujnowanych, starych budynków. W ciemności widział niemal tak dobrze jak strzygi.

Wiatr zawodził wśród gałęzi, pohukiwała przestraszona sowa. Crux wciągał w płuca pachnące żywicą powietrze.

Zapomniał już, jak dobrze czasami wyrwać się z miasta. Nocna wyprawa napełniała jego serce radością. Szedł równym, pewnym krokiem, jakby nigdy nie dotknęło go przekleństwo krwi. Myślał o odległych, zamierzchłych czasach, gdy konno, z mieczem na plecach przemierzał dziedziny klanu Dellvardan. Tamte wspomnienia zatarły się w jego pamięci, przypominały wypłowiec lanszaft w starej książce. Ale teraz odradzały się wśród żywicznej ciemności lasu.

Żyję, powtarzał sobie. Żyję i wkrótce dopełnię zemsty.

Plan był doskonały, chociaż kompletnie szalony. Gdyby zdołał go wypełnić, za jednym zamachem ukarałby ciężko Rdzę i powstrzymał postępy choroby. Przekleństwo wymarłego klanu Seimle wyniszczało go zdumiewająco szybko. Minęło ledwie dziesięć lat, a on już czuł się jak wrak. Yekke Alder Seimle, ostatni ocalały, wróg, który zakaził mu krew, trzymał się zdecydowanie lepiej. Ale jego przekleństwo dosięgło, gdy był małym dzieckiem. Może dlatego trucizna rozchodziła się wolniej.

Minęły pewnie ze dwie setki lat odkąd wyrokiem starszyny, za przyzwoleniem Kręgu, wykonywał wyrok na przeklętym klanie Seimle. Gdy dekadę temu spotkał, a potem zabił Yekke Aldera, ten przypominał chodzącą mumię. Chciał umrzeć i otrzymał śmierć z rąk Corneta, kata i

wybawiciela swego rodu.

W jakim stanie była teraz Fiona nie wiedział i, prawdę mówiąc, nic go to nie obchodziło.

Falco, sunący tuż obok ciszej niż opar mgły, dotknął ramienia Cruxa.

- Panie, już niedaleko. Czarownica jest w budynku koszar. Wyczuwam jej moc. Moje stado otacza fort. Czy mają zacząć działać?

- Nie - szepnął Cornet. - Sam ją dopadnę.

Bezdenne, otoczone podkowami sińców oczy strzygi spoglądały z niepokojem.

- Panie, po co masz ryzykować. Stado ją dostanie. Ty możesz tylko stać i drwić.

Na ustach Calderona pojawił się brzydki uśmiech.

- Doceniam twoją troskę, Falco, ale dla mnie to za mało. O wiele za mało.

- Bardziej ją upokorzysz, jeśli pozwolisz, żeby wpadła w nasze ręce, panie - spróbował jeszcze raz strzyga.

Crux klepnął chude, kanciaste łopatki sługi.

- Chcę ją dostać sam.

Falco pochylił głowę.

- Tak, panie - szepnął głosem jak świst wiatru.

Ledwo przekroczył drzwi fortu, wiedział, że Rdza tam jest. Czuł ją, niczym ostrą, żelazistą woń. Zapach krwi. Wielki, ponury budynek składał się z długiego korytarza, ciągnącego się wzdłuż frontowej ściany, skąd prowadziły wejścia do amfiladowo usytuowanych sal. W powietrzu unosił się smród pleśni i moczu, tynk złaził płatami przypominającymi skórę trędowatego, gołe, odrapane mury pokrywała płatanina pęknięć, czerwoną lub czarną farbą krzyczały niezliczone przekleństwa i pokraczne, obsceniczne rysunki. Podłogę zalegały zwały śmieci. Miejsce nie zachęcało do zwiedzania. Cornet mógłby się założyć, że w czasie weekendu trudno tu spotkać rodziny z dziećmi, na rowerowej wycieczce. Jeśli jednak znalazłby się ktoś, kto chciałby przyjrzeć się bliżej pomazanym ścianom, zauważyłby liczne, niewielkie otwory w ceglach, mniej więcej na wysokości głowy kłęczącego człowieka. I brązoworude zacieki, wylażące jak upiory z szafy nawet spod warstwy w miarę świeżej farby, pokrywającej niedbałymi plamami ściany, tylko w tych pomieszczeniach, które były odpowiednio duże. W końcu nikt nie chciałby ryzykować rykoszetów.

Na podłodze, wśród odpadków, wałyły się różne, budzące niepokój drobiazgi. Kawałki plastikowych, samozaciskowych pasków, szmaty śmierdzące benzyną, stłuczone ampułki do zastrzyków, samoprzylepne taśmy i mnóstwo podobnych rzeczy.

Nie tylko stado strzyg wiedziało, że forty, pocięte tunelami mrocznych, głębokich podziemnych bunkrów, służyły gangsterom do załatwiania porachunków.

Jednak Cornet nie bał się, że w mroku nocy spotka złoczyńcę, upiora czy nawet diabła. W końcu sam był diabłem, którego odbicie można zobaczyć, jeśli zbyt długo wpatruje się w lustro.

Za paskiem miał białawy, organiczny pistolet służący niegdyś do wykonywania wyroków Kręgu. Magiczna broń, półprzejrzysta, o barwie niezdrowej plwociny paliła skórę, nawet przez materiał koszuli. Była obrzydliwa, lecz wyjątkowo skuteczna.

Cruz nie zamierzał użyć jej przeciw Rdzy. O nie, Czarna Róża Kręgu musiała się dostać w jego ręce nietknięta i w pełni sił. Pistolet miał posłużyć przeciw demonom nocy i stworom wygenerowanym przez wiedźmę.

Pierwszy wychynął z ciemności w kącie, gdy tylko Cornet ruszył w głąb budynku. Zwarty,

pozbawiony głowy kłęb mroku, zbudowany, jak się zdaje, z zestalonego dymu. Śmierdział niezdolnie spalenizną i uryną. Paszcza, z żółtymi zębami przypominającymi ostrza wideł, otwierała się bezpośrednio w klatce piersiowej stwora. Ponad nią lśniła obojętnie konstelacja czarnych, bezmyślnych niczym u pająka oczu. Masywne łapy rysowały podłogę długimi jak ludzkie przedramię pazurami. Z beczkowatej piersi-głowy potwora wydobywało się głuche, gardłowe warczenie.

Crux zatrzymał się, powoli sięgnął po pistolet. Zwierz zadudnił basowo ni to szczeknięciem, ni to rykiem. Skoczył, zanim Cornet zdołał chwycić broń. Nie miał szans. Stężała w kształt stwora ciemność zwała się na niego, rozdarła szponami ostrymi jak noże do sushi czarną koszulę Pana Szubienicy, znacząc na skórze głębokie, czerwone ślady.

Calderon krzyknął, odpychając od siebie zwierza. Palce zagłębiły się w tłuste, posklejane kłaki. Uderzenie mocy przepłynęło przez nie, niczym błyskawica przez piorunochron. Myślółkształt stworzony przez Rdzę zawył rozpaczliwie, upadł na ziemię, gdzie wił się w męce, rozdzierając sobie brzuch potwornymi pazurami. Skamlał, kłapiąc kołkami kłów, a pajęcze oczy zachodziły bielmem. W końcu znieruchomiał, a potem zaczął blednąć, aż rozwiął się zupełnie, jakby był kłębem dymu wygnanym przez nagły przeciąg.

Cornet oddychał głęboko, rozszerzonymi oczami patrząc na agonię stwora. Kiedy przesuwał dłonią po spoconej twarzy, palce lekko mu drżały.

Często zapominał jak potężna moc drzemie w jego przekłętej krwi. I tak naprawdę nigdy nie miał pewności, czy dziedzictwo ojca ocknie się we właściwym momencie. A Rdza wypuściła przeciw niemu o wiele groźniejszy myślółkształt niż przypuszczał.

Nie zdołał ochłonać, nim dopadł go następny. Nie miał kształtu. Pewnie dlatego niczego się nie domyślił. Nagle zrobiło się zimno. Skądś zerwał się ostry, lodowaty wiatr. Cornet zadrżał, a w tej samej chwili widmowe ręce zacisnęły się na jego gardle. Poderwał w górę ramiona, lecz kolejna para niewidzialnych dłoni unieruchomiła je w tytanicznym uścisku. Szarpał się rozpaczliwie, nie mogąc uwolnić. W oczach mu pociemniało, pod powiekami zatańczyły jaskrawe skrawki czerwieni. Zimne palce napierały na grdykę, wduszały oddech z powrotem do płonących płuc, z gardła wydobywał się charkot. Cornet się dusił.

To koniec, pomyślał. Zapłacę za własną głupotę. Trzeba było przyjąć pomoc Falka, idioto!

Wtedy z pamięci wyłonił się obraz twarzy Koral. Miękkie, miodowe włosy, oczy jak dwa kwietniowe stawy, niebieskie, srebrne i szare. Na niego nałożył się nowy wizerunek. Żółte ślepie patrzyły szyderczo spod ciężkich, półprzymkniętych powiek. Czerwona plama ust wydeła się pogardliwie. Ciemne, krótkie włosy przylegały do głowy jak hełm. Rdza. Róża Kręgu. Wiedźma.

Calderon niemal słyszał jej śmiech. Miała go w ręku i już cieszyła się na samą myśl. Przecież w bezpośrednich starciach zawsze z nią przegrywał.

Targnął głową, zaciskając pięści.

Nie! Jeszcze mnie nie dostałaś, Rdzo!

Jeśli pozwoli się zabić tej suce, Koral nigdy nie zostanie pomszczona.

Nienawiść wybuchła jak podpalony bak z benzyną. Crux poczuł jej nieprawdopodobną, niszczącą siłę buchającą przez skórę, gotującą się w żyłach.

W jednej chwili pękła widmowa obręcz, niewidzialne ręce znikły, a Calderon zgiął się w pół, kaszląc i ocierając rękawem załzawione oczy.

Nie miał czasu dojść do siebie, bo ze ścian sunęły ku niemu wielogłowe, płaskie jaszczurki. Mnóstwo segmentowych odnóży szeleściło wśród odpadków jak wiatr. Ale nienawiść w sercu

renegata klanu Dellvardan strzelała wysokim płomieniem, buzując mocą. Strzepnął tylko niedbale palcami i jaszczurki rozsypały się w pył.

Szedł ku Rdzy, zdecydowanie, nieubłaganie, niby katowski miecz opadający na szyję skazańca. Zasłaniała się duszącą mgłą, stadem upiornych wilków, wreszcie golemem ze śmieci i ziemi pokrywającej posadzkę dawnych koszar. Potwór sklecony z papierów, puszek, zużytych prezerwatyw, strzępów folii i zgniecionego plastiku gapił się na Corneta pustymi oczodołami nierówno uformowanymi w gruzłowatej głowie. A Crux czuł jego strach. Myślółkształt Rdzy trząsał się ze strachu.

Calderon nie musiał sięgać po broń. Wyciągnął tylko dłoń i golem na powrót stał się żalną kupą odpadków.

Czarna Róża Kręgu traciła siły. Chłonał jej słabość, jak cudowne lekarstwo, nie mogąc się doczekać chwili, gdy wreszcie ją zobaczy.

Siedziała na podłodze, obok sterty śmieci. Na pierwszy rzut oka zauważył, jaka jest zmęczona. Podniosła się z trudem, buńczucznie zadzierając podbródek. Jej twarz znaczyły smugi rozmazanego makijażu, przypominające barwy wojenne dzikusa, czarną sukienkę pokrywały zaschnięte plamy.

- Och, Cornet - syknęła, gdy wszedł. - Wyglądasz okropnie! Czyżbyś chorował?

Głos wiedźmy brzmiał chropawo. Gdzieś zniknął jej rozlewny, nonszalancki akcent. Uśmiechnął się krzywo.

- Twój widok wraca mi siły. Naprawdę.

Też pokazała w uśmiechu zęby, mimo to wyraźnie czuł jej strach.

- Pochlebiasz mi. Zapomniałam już, jaki potrafisz być szarmancki. Jak tam krwotoki? Częste?

Postąpił krok do przodu, a ona cofnęła się gwałtownie, plecami opierając się o ścianę.

- Kiedy widzieliśmy się ostatnio - powiedział spokojnie - jakieś dziesięć lat temu, poprosiłaś mnie o coś. Pamiętasz?

Stała milcząc, tylko policzki jej pobrały.

- Nie?- uśmiechnął się - Chciałaś, żebym cię znieawidził i wreszcie zaczął się mścić, bo trochę ci się nudziła służba w Kręgu. Miałem... jak to ujęłaś? Aha, dostarczyć ci emocji i wzbogacić monotonię życia. Zacząłem. I jak? Zadowolona.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Nie. Jeśli myślisz, że się boję...

Krzywy uśmiech Corneta pogłębił się.

- Oczywiście, że się boisz. Przecież czuję. Nie myliłem się, kiedy powiedziałem, że jesteś tylko suką Kręgu, mniej niż martwiaczką, nikim, śmieciem. Teraz stałaś się w dodatku suką wykopaną na bruk, bezdomną. Gnieździsz się w brudnych, parszywych norach jak zwierzę. Warto było oddać Kręgowi duszę, moja słodka Alysio?

Czerwona plama ust zacisnęła się w cienką krechę.

- Lepiej niż kiedykolwiek zadawać się z tobą, śmierdzący trupie!

Skinął głową.

- Zgadza się. Ja też uważam, że byle kurwa jest znacznie bardziej wartościowa od ciebie.

Zrobiła się blada jak upiór. Wyciągnęła rękę, wykonując prędkie gesty palcami.

- Zdychaj! - wrzasnęła.

Kiedyś jednym ruchem dłoni potrafiła wywołać u niego krwotok. Teraz, pozbawiona mocy i opieki Kręgu, nie była dla niego przeciwniczką. Odbił skierowaną w siebie wiązkę energii z

łatwością, jakby odbijał rakieta tenisową piłkę. Strumień magii ugodził w ścianę, wywalając kilka cegieł.

Na białych policzkach Rdzy pojawiły się wykwity rumieńców.

- Nic z tego, śliczna - warknął. - Teraz ja mógłbym się zabawić. Ale wiesz co? Szkoda mi dla ciebie czasu. Kończmy to.

Zawyła i skoczyła ku niemu, a Cornet wyciągnął tylko dłoń. Krzyknęła rozpaczliwie, zachwiała się i upadła. Drgnęła ze dwa razy, zanim znieruchomiała na brudnej podłodze.

Cornet przesunął dłonią po twarzy, odgarnął włosy. Chętnie usiadłby na stosie śmieci, tak był zmęczony. Choroba naprawdę go wykańczała. Coś ciepłego, lepkiego spłynęło mu na wargi. Miało smak rdzy. Dotknął palcami nosa, rozmazał jaskrawą czerwień. Przeklętą krew.

Westchnął, spoglądając na rozciągniętą u stóp, nieruchomą kobietę.

Schylił się, żeby ją podnieść.

- Sprowadziłaś Fergususa, którego płód powoli pożerał duszę mojej Koral. Wtedy, kiedy umarłem, żeby odrodzić się jako upiór, powiedziałem, że tego pożałujesz - szepnął. - Ten czas właśnie nastąpił. Niedługo sama przyjmiesz w swoim ciele gościa. Wymagającego gościa, Czarna Rózo. Zdradzę ci sekret. Staniesz się cielesną powłoką ifra. Intrygujące, prawda? I co, dalej się nudzisz?

Wywrócone oczy patrzyły na sufit tępyimi białkami.

Podniósł ją z trudem, zarzucił sobie na plecy. Aż się zatoczył, choć ciężar wcale nie był wielki.

Wykańcza mnie to cholerstwo, pomyślał ze smutkiem.

Ruszył z powrotem ciemnymi, wilgotnymi korytarzami dawnych koszar. Z lasu dochodził wysoki, niepokojący dźwięk, przypominający zawodzenie lelka. Triumfalny śpiew stada strzyg. Falco i jego lud świętowali zwycięstwo swego pana.

Cornet uśmiechnął się i wyszedł w mrok nocnego lasu.

Crux bębnił palcami po wyświechtanej okładce książki. Złocenia spelzły ze starej, spękanej skóry oprawy, pożółkłe kartki łamały się podczas przewracania, a całość ledwo trzymała się kupy. Kiedyś śmiać by mu się chciało, na samą myśl, że będzie czytał starożytne poezje Alaksusa, jednak od lat pieśń „Księga Wrzasku” stała się jego obsesją.

W końcu uniósł wzrok, napotykać mydlane, obojętne spojrzenie Vergena Astusa. Młody medyk wskazał leżące na blacie stołu zawiniątko.

- Przyniosłem wszystko, o co prosiłeś mistrza Sykko, dominusie - powiedział krótko.

Cornet uśmiechnął się nieznacznie, słysząc ten dawno już zapomniany tytuł.

Argonzzo stał cierpliwie, nie zapytawszy nawet o zapłatę. Prawdę mówiąc, nie zapytawszy o nic. Nie dodał nawet, że wiele trudu kosztowało starego Ernstena zdobycie tylu rzadkich, niezwykle cennych specyfików. Jakże charakterystycznie. W młodym Astusie było chyba mniej namiętności niż w karpniu.

- Dziękuję - rzucił niedbale Crux. - Jeszcze dziś przyślę do Ernstena mojego człowieka z pieniędzmi.

Vergen skinął głową. Zgodnie z oczekiwaniami Calderona nie zainteresował się, dlaczego nie otrzyma zapłaty natychmiast. Powinien się teraz pożegnać i wyjść, jednak nie ruszył się z miejsca. Czyżby na coś czekał?

Żrenice Corneta zwięziły się nieznacznie.

Dziwne, pomyślał.

- Możesz już odejść, Artus - powiedział chłodno.

Chłopak zawahał się, wyciągnął dłoń, muskając palcami okładkę „Księgi Wrzasku”.

- Nie wiedziałem, że lubisz dawną poezję, dominusie - odezwał się nieśmiało.

Cornet włożył spory wysiłek w zachowanie kamiennego wyrazu twarzy.

- Czytuję czasami - niedbale machnął ręką. - Bawi mnie wynajdowanie wzmianek o klanie Dellvardan. Czemu pytasz? Jesteś miłośnikiem poezji? A może sam piszesz, co?

Szare policzki Vergena nawet się nie zaróżowiły.

- Jestem medykiem. Bawi mnie wynajdowanie wzmianek o leczniczych substancjach. A w

„Księżce Wrzasku” aż się od nich roi. Alaksus wspomina o wielu specyfikach z twojej listy, dominusie.

Tym razem Cornet drgnął. Zmierzył Astusa długim, przeciągłym spojrzeniem.

Powinienem kazać go zabić, pomyślał. On wie. Z pewnością wie. Tylko dlaczego zdradza się z tym przede mną, do kurwy nędzy?

Z trudem przełknął ślinę. Nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Vergen wyprowadził go z równowagi. Sprawił mu przykrą niespodziankę. A Cornet bardzo nie lubił niespodzianek.

- Co w tym takiego nadzwyczajnego, Astus? - chropawy głos brzmiał złowrogo.

Chłopak stał spokojnie. Na wąskich wargach zapełgał uśmiezek.

- Nic, z pewnością nic. Tylko tyle, że to rzadkie specyfiki, potrzebne w nielicznych sytuacjach. Słyszałeś kiedyś o ifrach, dominusie?

Palce Corneta zacisnęły się na książce. No pięknie. To jesteśmy w domu. Jedno jest pewne. Młody Argonzzo nie wyjdzie z tego mieszkania. Na pewno nie.

- A ty słyszałeś, że ciekawość zabiła strzygę?

Vergen wzruszył ramionami.

- Może i tak. Ale to potężna siła, dla której czasem chce się zaryzykować życie.

Calderon pochylił się nad blatem.

- Do rzeczy, Argonzzo - syknął. - I obyś mnie zainteresował.

Chłopak nabrał głęboko powietrza.

- Domyśliłem się, że chcesz wywołać ifra, dominusie. Kiedy dziś zobaczyłem „Księgę Wrzasku”, nabrałem całkowitej pewności. Alaksus pisze, jak przy pomocy tego demona oczyścić się ze śmiertelnej klątwy. Substancje z twojej listy pozwalają zniewolić ifra i wyjść z tego żywym. To nie mógł być przypadek.

I nie był, pomyślał Crux ponuro.

- „Księga Wrzasku” opisuje legendę, zwykłą bajkę - powiedział ostro. - Myślisz, że nabrałbym się na coś takiego?

Vergen znów wzruszył ramionami.

- Życie to bardzo cenna rzecz, dominusie. Można uwierzyć w legendę, żeby się ratować. Ty pragniesz wywołać ifra. A ja chcę ci w tym pomóc.

Cornet przymknął oczy, przeciągnął dłonią po włosach. Wciąż nie wiedział, co ma myśleć. Najchętniej zabiłby chłopaka, ale może, może warto jednak zaryzykować.

- Dlaczego? - spytał ochryple.

W oczach Astusa po raz pierwszy zobaczył rozblaskujący żar.

- Dla wiedzy. Tajemna wiedza medyczna stanowi moją jedyną pasję, jedyną namiętność, dominusie. Za nią oddałbym życie. A przywołanie ifra stanowi niebywałą, niezwykłą zuchwałość, akt

cudownej magicznej władzy. Muszę przy tym być. Muszę zobaczyć, czy uda ci się zapanować nad potęgą starszą i większą od mocy Ludu Luster. Muszę zobaczyć, jak ifr czyści ci krew. Niczego bardziej nie pragnę. Znam się na takich rzeczach. Fascynują mnie od lat. Przeczytałem tony traktatów, dotarłem do zapomnianych manuskryptów. Wiem, co trzeba robić, a ty nie. Bez wykwalifikowanego maga czeka cię katastrofa. To skomplikowana, ryzykowana jak diabli operacja. Postawisz wszystko na jedną kartę. I wierz mi, przyda ci się lekarz, dominusie.

Cornet zacisnął usta.

- Ty też postawiłeś wszystko na jedną kartę. Dobrze, przekonałeś mnie. Pozwolę ci uczestniczyć w przywołaniu ifra.

Chłopak zdumiał go znowu. Padł na kolana, przyciskając do ust rękę Cruxa, którą ten natychmiast z obrzydzeniem wyrwał. Po szarych policzkach płynęły strugi łez.

- Dzięki ci, panie! Dzięki, dominusie! Nie pożałujesz! Na pewno! Na Mrocznych Przodków, bądź błogosławiony!

- Wyjź! - warknął Cornet, zdezorientowany i zły. - Dość tego przedstawienia! Powiedziałem, wyjź!

Chłopak wstał chwiejnie, rozmazał po twarzy łzy. Oczy miał pełne psiej, rozpaczliwej wdzięczności.

- Tak, dominusie. Bądź pozdrowiony, dominusie - bełkotał, kłaniając się i niezgrabnie opuszczając tyłem gabinet.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Cornet pograżył się w zadumie.

- Falco! - zawołał po chwili. - Natychmiast do mnie.

Ten szaleniec mógł się okazać bardzo użyteczny, jednak stanowczo należało mieć go na oku.

Pracownia Calderona w niczym nie przypominała staroświeckiej, mrocznej pracowni w siedzibie klanu Dellvardan. Pod białymi, schludnymi ścianami stały proste szafki i regały, wypełnione szklanymi retortami. Książki piętrzyły się na stosach, zajmując półki i przegródki biblioteki. Duży stół był odsunięty w róg. Na środku pokoju stał upiorny, drewniany tron z parcianymi pasami i metalowymi obręczami przy oparciach, przywodzący na myśl krzesło elektryczne. Na tym osobliwym fotelu półleżąc spoczywała otumaniona narkotykami Rdza.

Cornet wolałby, żeby pozostała przytomna, ale Vergen się upierał, że to może utrudnić ifrowi opętanie. W żyłach Rdzy płynęły chyba same chemiczne odczynniki, zamiast krwi. Wszystkie miały otwierać jej świadomość, aby demon mógł wnikać do środka.

Połowę pracowni zajmowała skomplikowana klatka z miedzianych prętów, grawerowanych w zawile znaki, litery dawno zapomnianych alfabetów i starożytne słowa, tak zamierzchłe, że nikt już nie pamiętał, co znaczą. W przypadkowych na pozór miejscach tkwiły przymocowane do konstrukcji zębate koła, ażurowe elipsy, ciągła oraz ostre, nabijane kolcami iglice. Całość przywodziła na myśl odsłonięty mechanizm dziwaczego, ogromnego zegara. W niewielkich szklanych cylindrach przelewał się, bulgocząc, złoty olej, który miał smarować osie, gdy cała machina ruszy. Naczynia z innymi płynami, w barwach głębokiego fioletu i szkarłatnej czerwieni, połyskiwały wprawione w ożebrowanie klatki niczym szlachetne kamienie. Wszystkie mikstury uwarzył młody Argonzzo, pochylony nad tyglami i retortami. On też nadzorował wykonywanie poszczególnych elementów, a potem budowę mosiężnej, ażurowej pułapki. Starannie wyznaczył pole na podłodze klatki, gdzie stanął potem fotel z przypiętą, nieprzytomną Rdzą.

Cornet musiał niechętnie przyznać, że asystent Sykko Ernstena miał rację. Bez niego nigdy nie zdołałby wznieść nawet portalu potrzebnego do przeprowadzenia ifra spomiędzy cieni na Złudną Stronę. O reszcie nawet nie wspominając. Z początku Crux starał się sam tworzyć potrzebne substancje, opierając się o receptury z „Księgi Wrzasku”. Jednak szybko okazało się, że zadanie go przerasta. Mylił składniki, nie potrafił zrozumieć zagmatwanych wskazówek, wiele słów użytych w manuskrypcie nic mu nie mówiło. Zaś Vergen w lot chwycił wszystko, bazgrał notatki, mruczając z podziwu, odmierzał substancje, odparowywał, mieszał i krystalizował z ogniem w bladych, wypranych z koloru oczach. Praca stała się jego żywiołem. Cornet przesiadywał razem z nim w pracowni, udając, że panuje nad procesami, ale w rzeczywistości dawno stracił kontrolę. Wydawało się, że przywołanie ifra stało się większą obsesją dla młodego Argonzzo niż dla samego Cruxa.

Nic też nie wskazywało na to, żeby Vergen miał złe zamiary. Calderon nie wypuszczał go ani na moment ze swego wielkiego jak pałac mieszkania, a strzygi Falco cały czas śledziły każdy krok młodzieńca. Jednak Astus nie wykazywał najmniejszej chęci opuszczenia apartamentu, nie podjął żadnych prób skontaktowania się z kimkolwiek, nie stosował magicznych sposobów, żeby przekazać gdzieś wiadomości. Po prostu pracował jak szaleniec, którym, jak podejrzewał Cornet, chyba naprawdę był.

Służący musieli go zmuszać, żeby jadł i kładł się choć na chwilę do łóżka. Kiedy obwieścił w końcu Calderonowi, że są gotowi do obrzędu przywołania, blada, nijaka twarz promieniała szczęściem.

Sykko Ernsten został powiadomiony, że Pan Szubienica potrzebuje pomocy jego młodego asystenta, więc się nie wtrącał. Rytuał powinien zostać przeprowadzony bez przeszkód.

Teraz Crux szykował się do wejścia między cienie, a zdenerwowany Vergen udzielał mu ostatnich wskazówek.

- Ifry są prastarymi istotami mocy - powtarzał w kółko. - Nie mają ciała, składają się z samej energii. Ich potęga wielokrotnie przewyższa moc najsilniejszych nawet czarowników z Ludu Luster. Ale to wcale nie znaczy, że ifry są mądre, dominusie. Przeciwnie. Ich inteligencja jest raczej zwierzęca, bardzo pierwotna. Bezcielesność nakłada na nie wiele ograniczeń. Owszem, przenikają z cienia na Prawdziwą Stronę, a czasem nawet na Złudną, pomiędzy żywych ludzi, ale wtedy moc, którą dysponują, znacząco słabnie. Ifry pragną opętać ciało. Wtedy mogą wyrwać się spomiędzy cieni i żyć na świecie. To ich obsesja, dominusie. Łatwiej im opętać śmiertelnika, ale wtedy nie mogą rozwinąć talentu. O wiele bardziej kusząca jest dla ifra dominacja nad ciałem obdarzonego mocą przedstawiciela naszego Ludu. Ale to nie takie proste. Umiemy się skutecznie bronić. Poza tym już wiele tysięcy temu, jeszcze przed upadkiem monarchii, czarnoksiężnicy, którzy mieli dość ciągłych napaści ifrów na Lud, cofnęli ich między cienie, tak daleko, że zgubiły drogę. Ty teraz musisz wejść do ich dziedziny, dominusie. Jestem spokojny, że nie dasz się opętać, ale, błagam, nie strać z oczu ścieżki powrotnej. Wtedy też utkniesz w głębi cienia, żywcem w zaświatach. Kusząc ifra, musisz cały czas utrzymywać portal powrotny. Rozumiesz, dominusie?

- Tak, tak - Cornet lekceważąco machnął ręką. - Przerabialiśmy to setki razy. Zamknij się teraz, nie wytrącaj mnie z równowagi. Za chwilę zaczynamy.

Vergen ciężko westchnął, ale nie ośmielił się dążyć dalej.

- Drugą namiętnością ifrów jest krew - przypominał tylko. - Tracą rozum od jej zapachu, dominusie. Przepelniona mocą krew przedstawiciela wysokiego rodu przyciąga ifry jak magnes. Upijają się nią, pomnażając jednocześnie swoją potęgę. Nie przesadz, dawkuj krew oszczędnie, bo

nawet ty sobie nie poradzisz z szaleństwem ogarniającym demony cienia, dominusie.

- Spokojnie - mruknął Cruz. - W końcu chodzi o moją krew.

Zerknął na rozstawione wszędzie w pracowni wiadra z wołową posoką. Czerwona, krzepnąca maź śmierziała żelaziście. Miała odwracać uwagę pojmanego ifra, dezorientować go w czasie przeprowadzenia.

Cała podłoga była pokryta brzydkimi, kanciastymi znakami ochronnymi, wyrysowanymi gęstą, czarną substancją, przypominającą surową ropę naftową. Cuchnęła siarkowodorem. Czoło i dłonie Calderona też pokrywały podobne znaki, na szczęście narysowane tłustą, czerwoną kredką. W obrębie klatki, tuż przed drewnianym tronem ze spoczywającą bezwładnie, osobliwą Śpiącą Królową, sterczał wzniesiony z mosiężnych prętów portal. Przypominał raczej konstrukcję szałas, jeszcze nie okrytą skórą. Metalowe żerdzie zbiegały się w związany na szczycie stożek.

Cruz odetchnął głęboko, postąpił kilka kroków i znalazł się w mosiężnym tipi.

W uszach słyszał cichy szum, puls w skroniach dudnił głucho. Calderon starał się poskromić zdenerwowanie, ale niewiele z tego wychodziło. Bał się.

Nic dziwnego, w końcu poważył się na zupełne szaleństwo. Chciał schwytać mityczną istotę i zmusić ją do oczyszczenia swojej przeklętej krwi. Czysty odjazd.

Odruchowo zacisnął dłonie w pięści.

- Jestem gotów - powiedział chrapliwie. - Idę.

Usłyszał jeszcze jak generatory zaczynają mruzczyć, a luźne do tej pory fragmenty klatki zachodzą na siebie, zatraskując się ze szczękiem. Machina ruszyła, budując ochronne pole magiczne.

Zamknął oczy, skoncentrował moc. Podłoga zachwiała się pod stopami, w Corneta uderzył nagły podmuch zimna. Wkraczał w zaświaty, pomiędzy cienie.

- Za nic nie opuszczaj portalu, dominusie! - zawołał Vergen, ale jego głos zdawał się dochodzić z głębi oceanu.

Cornet powoli odemknął powieki. Wokół rozlewała się mglista szarość. Wszedł.

Brnął pośród rozmazanych, pływających kształtów. Rozgarniał je niecierpliwie rękami, odrzucał w szarość. Jeszcze. Jeszcze głębiej. Coraz trudniej było pchać się pod prąd rzeczywistości, opór gęstniejącej materii wyciskał mu łzy z oczu, chrapliwe rżenie z gardła. Ale musiał podążać dalej. Wiedział, że wyczuje dziedzinę ifrów, kiedy tylko się do niej zbliży. Przyciągała go, wołała, kusiła.

Kolejny bezkształtny cień. I jeszcze jeden. Aż wreszcie...

...tak, to pewnie...

...tu!

Otwieraj portal! - nakazał sobie.

Błysnęły białe iskry. Tuż przed nim wykwitł mglisty, perłowy owal. Drżał. Cruz zrobił krok do przodu.

Teraz! - pomyślał. I wszedł.

Otaczała go pustynia. Rozległy, nieskończony przestwór białego piasku pod niebem ciemnym jak smoła. Na horyzoncie sterczała czarna kreska Wieży. Przywodziła na myśl wysuszony palec kościotrupa. Calderon nie miał wątpliwości, dokąd trafił. Pustkowiec Nocy. Kraina opisana w „Księdze Wrzasku” jako siedziba ifrów.

Nie miał czasu do stracenia. Pustkowiec wysysały z niego siły. Czuł jak piasek pod stopami pije

moc, pęcznieje od skradzionej potęgi. Za plecami mógł dojrzeć słaby, mglisty owal otwartego portalu. Bilet powrotny do domu.

Stanął w lekkim rozkroku, przymrużył powieki i zaczął szeptać. Słodkie, kuszące słowa o ciele Rdzy. Pięknym, zdrowym ciele czarownicy z Kręgu, które tylko czeka, żeby je objąć. Opisywał znieawidzoną Alysę Maddox najczulszymi zwrotami, jak ulubioną kochankę, sławiąc jej wielką urodę i nieprawdopodobną moc.

- Czekaj tam - powtarzał łagodnie, skupiony, zawzięty. - Czekaj, czekaj, czekaj...

Wtedy je poczuł. Zawirowanie piasku. Technienie. Muśnięcie. Snop iskier strzelający w ciemności.

I potęgę. Wszechmocną, oszałamiającą wibrację promieniującą od niewidocznych demonów, kapiącą w piasek czystą, skondensowaną energią, wprawiającą ziemię w nerwowe drżenie, przesycającą powietrze nieznośnym napięciem, od którego chciało się krzyknąć, wyć w noc nieskończenie długo, aż do końca, do śmierci.

Cornet dygotał. Szeptał słowa zaklęć, przez zaciśnięte zęby. Paznokcie kurczowo ściśniętych pięści złościły w skórze głębokie bruzdy. Z trudem łapał oddech, kołysał się na nogach, gotów w każdej chwili polecieć głową w ciemność. Czuł podchodzącą do gardła falę mdłości. Przed oczami widział świetliste, wirujące pasma.

Ifry.

Tańczyły wokół, coraz bardziej podniecone. Napierały na niego tak, że całą siłą woli musiał się powstrzymać, żeby nie krzyknąć.

Teraz wiedział już, czemu Alaksus nazwał swoje dzieło „Księgą Wrzasku”.

Były blisko. Bardzo blisko. Próbowwały go obezwładnić, wnikać do umysłu, porwać. Podekscytowane, zacieśniały krąg. Nagle zrobiło się ich mrowie. O wiele za dużo. Błady owal portalu zaczął niebezpiecznie mrugać. Cornet pocił się z wysiłku usiłując kontrolować wyjście i jednocześnie bronić się przed natarczywością demonów.

Teraz, pomyślał. Inaczej nie uda mi się wrócić.

Drżącymi dłońmi sięgnął po przytroczonego do pasa nóż, wciąż słodko mrucząc o zaletach swego śmiertelnego wroga. Palce miał nienaturalnie sztywne, zginały się z trudem. Postarał się ująć mocno rękojeść noża, uniósł w górę lewą rękę i głęboko zaciął wewnątrz dłoni.

Gorący szkarłat upadał na piasek jak sypiące się płatki zerwanego kwiatu maku.

Powietrze zawyło. Ifry rzuciły się na Cruxa, uderzyły niczym powiew huraganu. Oszołomiony, oślepiiony Cornet zdołał jednak zrobić krok do tyłu. Natychmiast ogarnęła go perłowa szarość. Szarość pełna wrzasku, szaleństwa, nienawiści i dzikości, po wręby wypełniona demonem.

Mam go! - pomyślał jeszcze Crux, zanim opadł na podłogę pracowni.

- Uciekaj! - usłyszał z głębin oceanu przerażony głos Vergena.

Ale nie mógł się ruszyć.

Nie potrafił oderwać wzroku do ciała Rdzy, miotanego nieprzytomnymi skurczami, wyginającego się niczym kawał gumy, podskakującego na krześle na kształt martwej żaby pobudzanej elektrycznymi wstrząsami. Twarz czarownicy pozostawała przy tym zupełnie nieruchoma, tylko z otwartych ust wydobywał się wrzask w niczym nie przypominający ludzkiego. Od potwornego krzyku kręciło się w głowie, zdawało się, że czaszka zaraz eksploduje, wystrzeliwując pod sufit miążgę, która została z mózgu. Zdumionymi, szeroko rozwartymi oczami patrzył jak pękają parciane pasy, rozdziera się metal obejmujący ramiona wiedźmy. Jeden gwałtowny skurcz i ifr był wolny. Sprężyste

opadł na podłogę, kierując na swego prześladowcę szalone oczy z płomienia. A potem wrzasnął mu prosto w twarz, powalając go na podłogę uderzeniem podobnym do ciosu pałką w głowę.

Półprzytomny z bólu Cornet przez mgłę wykwitającą przed oczami zdołał dostrzec, że Vergen chwyta wiadro z wołową posoką i unosi w górę. Struga cuchnącej czerwieni zalała podrygującą szaleńczo Rdzę. Wrzask się nasilił.

- Uciekaj, Cornet! - ryknął młody Astus. W jego głosie brzmiała panika.

Crux niemrawo zaczął się gramolić z podłogi. Czołgał się wolno, jak rozdeptana gąsienica. W tej samej chwili Falco, którego nie dało się wyprosić z pracowni, skoczył po swego pana. Cornet poczuł uścisk silnych, chudych dłoni. Strzyga pociągnął go poza obręb klatki. Ifr musiał dostrzec co się dzieje, bo poruszył ręką Rdzy, kierując jej bezwładne palce w stronę intruza. Strzeliły iskry. Falco krzyknął, lecz nie wypuścił Cruxa.

Na skraju mosiężnej konstrukcji czekał już Vergen, wyciągając ramiona. Pochwycił Corneta, odciągnął w bezpieczne miejsce. Falco wyczołgał się także i bezwładnie upadł na podłogę. Obie dłonie przyciskał do piersi. Chude palce barwiła lepka, czarna krew.

Crux ukląkł kaszłąc, z trudem wciągał powietrze.

- Falco! - wykrztusił wreszcie. - Falco, żyjesz?

- Tak, panie - wymamrotał strzyga. - Dziękuję za troskę, panie.

Przykucnięty obok chudego ciała Vergen oglądał ranę.

- Mocno oberwał - oznajmił - Ale się wyliże.

Wstał, żeby obejrzeć Cruxa. Calderon zatrzymał go ruchem ręki.

- Pomóż jemu! Mnie nic nie jest - wychrypiał.

Vergen znów przyklęknął przy strzydze, a Cornet zdołał wreszcie usiąść.

- Dziękuję, Falco - powiedział. - Uratowałeś mi życie. Nie zapomnę o tym, przysięgam.

Na bladej, poznaczonej rytualnymi bliznami twarzy pojawił się słaby uśmiech. - Zaszczyt, panie...

- Nic nie mów - rozkazał Crux.

Zerknął na klatkę. Oszałały z wściekłości ifr właśnie tłukł ciałem Rdzy o mosiężne pręty, wrzeszcząc nieprzytomnie. Poza klatką wycie nie było tak dotkliwe. Układało się w jakiś dźwięk, jakby zniekształcony wyraz.

- Danzeeee! Danzeeee! - zawodziła ifra.

Dziwne, ale jeszcze krocząc pomiędzy cieniami Cornet miał pewność, że złowił samicę. Spojrzał na rozciętą dłoń. Wciąż broczyła czerwienią, piekąc jak diabli.

- Co robimy? - spytał Vergena. - Z nią nie da się nawiązać kontaktu.

- Musi ochłonać - Astus wzruszył ramionami. - Uspokoi się, a wtedy z nią pogadasz.

- Dobra - mruknął Cornet. - Trzeba przenieść Falca do jego kwatery.

Wstał chwiejnie. Był kompletnie wykończony. Bardzo powoli docierało do niego, co osiągnął. Uśmiechnął się triumfalnie.

- Złapaliśmy żmiję - powiedział do Vergena.

I w tej samej chwili zgiał się w pół. Ból uderzył go jak pięść, z nosa buchnęła gorąca posoka. Wysięk włożony w porwanie ifra okazał się tak silny, że wywołał krwotok.

Calderon runąłby na podłogę, gdyby nie podtrzymał go młody Argonzzo. Wszystko wokół zaczęło wirować, zapadać się w ciemność.

Usłyszał jeszcze ciche słowa Vergena.

- Coś mi się widzi, że wrócimy tutaj dużo później, Panie Szubienico.

A potem nic już nie było.

Cornet doszedł do siebie dopiero późnym popołudniem i natychmiast, mimo protestów lekarza, postanowił odwiedzić ifra. Vergen zawiesił mu na szyi obrzydliwy z wyglądu talizman, z tłustego w dotyku, zielonkawego kamienia, a na twarzy i dłoniach nakreślił ochronne znaki.

Po minie sądząc, był bardzo niezadowolony, że Crux zabronił mu udziału w rozmowie, ale nie ośmielił się protestować.

Także Falco chciał towarzyszyć panu, ale, oczywiście, nie otrzymał zgody. Wyprosił jednak, żeby na korytarzu czekały cztery zaufane strzygi. Tak na wszelki wypadek.

Calderon ostrożnie otworzył drzwi pracowni. Przekraczając próg zauważył, że Argonzzo obsypał go w pokaźnej ilości rudym pyłem przypominającym mieloną cegłę i drobnymi kryształkami, które przywodziły na myśl grubą sól. W środku panowała cisza, dawało się słyszeć tylko niskie, miarowe buczenie generatorów. Widocznie ifra już opanowała emocje.

Balansowała teraz na oparciu fotela, w niemożliwie nieludzkiej pozycji przypominającej upiorny mostek. Obie stopy opierała na drewnianej belce, trzymając się jej jednocześnie dłońmi, z ciałem wygiętym w nienaturalny łuk, jakby chciała zawiązać się w pętlę. Głowa, z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy, dyndała na oparciu, ciemne włosy Rdzy ścieliły się po siedzeniu krzesła.

Na Corneta patrzyły jednolicie złote, pałające ślepia. Wzdrygnął się mimo woli, tak były obce i złe.

- Danzzeee... - syknęła demonica na widok przybysza. Jej głos brzmiał jak szelest celofanu, granie pszczelego roju, wiatr w trzcinach, huk płomienia.

Nie potrafiłby go opisać.

- Tak masz na imię? - spytał.

Parsknęła wściekle, odbijając się od oparcia fotela niczym sprężyna. Wywinęła w powietrzu kozła, opadła tuż przy prętach klatki. Palce Rdzy, o połamanych, zakrwawionych paznokciach zacisnęły się na mosiądzu.

- Oszukałeś! Uwięziłeś! Przeklęty! - warknęła, obnażając kły.

Wypełnione tańczącymi iskrami oczy przytłaczały Corneta siłą nienawiści.

- Wcale nie oszukałem - zaprzeczył spokojnie. - Dostałaś to, co obiecałem. Młode, zdrowe ciało czarownicy z Kręgu.

Oblizwała usta dziwnie zwierzęcym ruchem.

- Tak - przyznała. - Ciało.

Cornet znów się wzdrygnął. Patrzył na twarz Rdzy, ale wcale jej nie poznawał. Nieludzka mimika ifra zmieniała rysy Czarnej Róży w obcą, upiorną maskę.

- Czego chcesz? - parsknęła. - Wypuść Danzee!

Crux skinął głową.

- Dobrze. Wypuszcę. Ale nie od razu. Przyszedłem zawrzeć pakt. Chcę, żebyś mnie przeprowadziła. Oczyszczyła mi krew...

- Krew! - przerwała szybko ifra. W złocistych ślepiach rozgorzało szaleństwo. - O tak! Brudna krew! Przeklęta! Kipi mocą. Smaczna!

Oblizwała się znów, aż Cornetowi coś nieprzyjemnie przewróciło się w żołądku.

- Jeśli to zrobisz, pozwolę ci trochę wypić - rzucił niby od niechcenia.

Rozwarła paszczę, którą były przecież piękne, szerokie usta Rdzy i krzyknęła ostro. Z

podniecenia zaczęła się nerwowo kiwać.

- Dobrze! Teraz! Chodź teraz! Chcę brudnej krwi!

Odruchowo odsunął się od klatki.

- Nie - powiedział twardo. - Na moich warunkach, kiedy ja zechcę. Na pewno nie teraz.

Przekrzywiła głowę.

- Potem wypuścisz Danzee? Tutaj, w tym pięknym, wygodnym ciele? Tak?

- Oczywiście - skłamał, nie mrugnawszy okiem. - Kiedy tylko oczyścisz mi krew. Potrafisz to zrobić?

Skinęła.

- Och tak! Ale nie będziesz od tego zdrowy, wiesz? Klątwa to klątwa. Dam ci moją moc.

Wzmocni cię. Zabije część bólu, część choroby. Jeśli przeżyjesz.

Zachichotała paskudnie, szeleszczącym, złym śmiechem.

Racja, pomyślał Cornet. Jeśli przeżyję. A szanse mam raczej marne. Jednak moc ifry znacznie osłabiłaby siłę choroby. Długo nad tym myślał, i nie zamierzał teraz się wycofać, chociaż umiejętności demonicy przerażały go. Danzee była piekielnie potężna. Dzika, szalona i głupia. Jeśli miał coś na tym wygrać, musiał uważać.

- Teraz odejdę - powiedział z naciskiem. - Kiedy wrócę, przeprowadzisz mnie. Potem odejdiesz, dokąd zechcesz.

- Tak - zaszemrała rozmarzonym głosem. - Danzee odejdzie dokąd zechce.

Nowe ciało wyraźnie bawiło ifrę. Kiedy Cornet opuszczał pracownię, testowała właśnie, jak daleko może się skrócić w bok kręgosłup Rdzy.

Noc powoli dążyła już do przemiany w blady, szarawy przedświt, lecz Cornet Calderon Dellvardan nie spał. Senność opuściła go kompletnie, jakby nigdy już nie zamierzała powrócić.

Krążył nerwowo po sypialni, a stukot butów brzmiał jak werbel zapowiadający wyjątkowo niebezpieczny cyrkowy numer. W końcu przecież to właśnie chciał osiągnąć. Wykonać niezwykłą sztuczkę z udziałem starożytnego potwora z głębin czasu. Nie pamiętał już, kiedy pierwszy raz na serio pomyślał o ściągnięciu ifra. Pewnie kilka lat temu. Te zamieszkujące Pustkowiec Nocny demony po Prawdziwej Stronie były traktowane mniej więcej tak, jak jednorożce w świecie śmiertelników. Nikt poważny ani przez chwilę nie brałby pod uwagę istnienia ifra. A gdyby nawet, stworzy cofnięte tysiąclecia temu między cienie musiały być tak dziwne i obce, że paktowanie z nimi nie miało sensu.

Tymczasem w sercu mosiężnego zegara, grawerowanego w tajemne symbole rodem z zapomnianej księgi obłąkanego poety, tkwiła istota z energii i złości, opętana żądzą krwi, nierozumna i silna niczym tornado.

Muszę to zrobić, pomyślał Cornet. Sam. Najlepiej teraz, kiedy cały dom śpi.

Nie ufał do końca Vergenowi, mimo że lekarz okazał się bardzo pomocny. Nie chciał też angażować Falco, bo wierny sługa mógłby wszystko popsuć, uznawszy, że życie pana znajduje się w niebezpieczeństwie.

A znajdowałyby się, od pierwszej chwili rytuału.

Crux nerwowo zginał i rozprostowywał zdrętwiałe palce dziwnie drewnianych, niechętnych dłoni.

Bał się. Bał się jak cholera. Ale już zdecydował.

Cicho wyszedł z sypialni, przemierzył korytarz. Przed drzwiami pracowni zatrzymał się na

moment. Nie łudził się, że Danzee dotrzyma paktu. Wiedział, że kiedy tylko wypełni go mocą, rzuci się bez opamiętania pić jego krew, tarzać się w niej, chłonąc połączoną moc ifra i księcia z Ludu Luster. Takiej okazji nie mogłaby przepuścić. Wysączywszy go z całej świeżo zmieszanej posoki osiągnęłaby siłę, jaką nie dysponuje żaden inny demon. Zostałaby nocną łowczynią, królową świata. Kłątwa rzucona na Corneta nic dla niej nie znaczyła. Nie mogła jej zabić ani zakazić, bo Danzee nie miała ciała. Pożyczała tylko zewnętrzną powłokę od czarownicy Kręgu, wykorzystując wszystkie umiejętności, którymi dysponowała nosicielka. Dodatkowo krew Calderona napełniłaby ją potęgą, która przelałaby się przez nią jak przez nadęty bukłak. Oczywiście, pragnęła tego bez względu na konsekwencje. Ifry kierowały się prymitywnymi, pierwotnymi namiętnościami, dążąc wyłącznie do pomnażania energii, z której się składały.

Sytuacja Corneta przedstawiała się ponuro. Nie dość że musiał przetrzymać szok związany z połączeniem mocy, to jeszcze obronić się przed atakiem oszalałej demonicy. A tego mogło się okazać za wiele dla wycieńczonego chorobą organizmu, nawet jeśli płynęła w nim nabuzowana potęgą krew wysokiego rodu.

Nie łudził się, że zdoła zabić ifrę. Dzieci Pustkowia były praktycznie nieśmiertelne. Jeśli przeżyje rytuał przeprowadzenia, odeśle potwora z powrotem, głęboko między cienie. Ustalił z Vergenem, w jaki sposób lekarz miałby otworzyć portal i wyrzucić demona poza Prawdziwą Stronę, gdyby Cornet zmarł lub był zbyt słaby, żeby sam to zrobić. Wszystko, co było do omówienia, już omówiono. Żadna bardziej właściwa chwila nigdy nie miała nadejść. Crux Calderon Dellvardan musiał teraz pozwolić, aby ifra przelała w niego swoją magię.

Nabrał głęboko powietrza w płuca i odemknął drzwi. Danzee czekała zwinięta na podłodze klatki w nieprawdopodobny paragraf. Oczywiście nie spała. Prawdopodobnie nie umiała spać. Niczego nie potrafiła robić jak istota z mięsa i kości.

W uśmiechu pokazała równe, białe zęby Rdzy.

- A, jesteś - wysyczała przeciągle. - Podejdz. Chcę smacznej, brudnej krwi.

A ja chcę wyjść z tego żywy, pomyślał niewesoło Cornet. Przypomnił sobie jak wraz z Koral trafił do sanktuarium rodu Dellvardan. Duchy zmarłych chciały go wtedy opętać. Udało mu się uciec tylko dzięki magicznym zdolnościom Koral. Teraz czekało go coś o wiele bardziej straszniejszego. Musiał poddać się demonicy, pozwolić jej wnikać w swoje ciało i świadomość, a potem wyrzucić z siebie, pokonać i znów zamknąć w klatce. I to bez pomocy Vergena lub chociażby strzyg.

- Ześwirowałeś do reszty, Cornet - powiedział do siebie.

Ale taka była jego decyzja. Przez piekło musiał przejść sam.

Danzee przekrzywiła głowę.

- Chodź - szepnęła. - Zobaczysz świat moimi oczami.

To mnie właśnie przeraża, pomyślał, przekraczając pręty klatki.

Danzee wstała. Wyprostowana jak struna podeszła do Cruxa na palcach. W tej chwili jakoś dziwnie przypominała Rdzę. Nawet wargi wyduła w ten sam, pogardliwy sposób. Tylko złote oczy płonęły nieziemskimi iskrami.

Dogadały się, przebiegło przez myśl przerażonemu Cornetowi. Ifra i Rdza połączyły świadomość. No to już po mnie!

Wtedy objęła go, przywarła całym ciałem, otwierając szeroko usta.

I zaczęła krzyczeć.

Wrzask wypełnił świat. Ogromna istota zrodzona ze złocistej czerwieni przycisnęła do piersi

Corneta płonąca pochodnię. Ból niemal odebrał mu zmysły. Wył do wtóru kosmicznego krzyku ifry. Przemierzał cienie, rozdarty na pół, rozciągnięty między granicami zaświatów. Umierał. Umierał bez końca, w mglistej szarości Pustkowi Nocy. Pochodnia przepalała go na wylot. Widział własne zwęglone serce, suche i czarne jak pestka ciśnięta do ogniska. Krew w żyłach zaczęła się gotować, czuł jak pękają tkanki, rozdziera się skóra, cienki pergamin Księgi Wrzasku, którą pisał teraz na nowo, krzycząc bez końca, bez przerwy na zaczerpnięcie oddechu, do wtóru kosmicznej pieśni śpiewanej przez ifrę.

Wiedział, że nie ma szansy przeżyć, że jest już zwęglonym, rozsypującym się trupem, wciąż świadomym jedynie dzięki rozumowi demona. Ból rozdzierał go niczym świstek papieru. Męka jakiej nigdy nie doświadczył, jakiej nie mogło doświadczać żadne żywe stworzenie, szarpała każdym nerwem, wywoływała eksplozje iskiei w mózgu, miażdżyła ciało, zmuszając do krzyku zdolnego na kawałki roztrząść cały wszechświat.

Moc ifry płynęła, uderzając w niego płomieniem, aż wypełnił się całkowicie, przelał, rozszczepił, zniknął. Od tej chwili nazywał się ból.

Wrzask demona osiągnął apogeum. Danzee śpiewała pieśń triumfu, gdyż opanowała już swoją ofiarę, mieszała moc z jej mocą, utkała śmiertelny kokon energii, wsączając potężną truciznę w krwiobieg swojego smacznego kaska, a teraz gotowa była zacząć żerować.

Cornet patrzył na siebie, skrwawiony, ślaniający się na nogach, złamany cierpieniem ochłap bólu, złotymi, głodnymi oczami ifry.

Ale wciąż istniał. Ciągłe tam był, Cornet Calderon Dellvardan, zwany Szubienicą. Renegat z klanu, odszczepieniec, nieodrodny syn swego oszalałego ojca. Danzee nie zdołała zabić w nim tej pamięci.

Nie czuł nienawiści, bo w tym stanie nie potrafił odczuwać tak skomplikowanych emocji. Lecz pozostawał jeszcze ból, król stworzenia. Tego Calderon miał pod dostatkiem.

Tuż przed twarzą ujrział uśmiechnięte usta Rdzy, białe, żarłoczne zęby suki. Rozchylone, szykujące się do tego, żeby rozszarpać mu tętnice i sycić się brudną, skażoną krwią. Za chwilę stanie się posiłkiem bezcielesnego pajaka. Znow w bezpośrednim starciu Czarna Róża Kręgu okazywała się silniejsza, mimo że była tylko bezmózgą marionetką powodowaną przez demona.

Nie, pomyślał Cornet siłą swego cierpienia. Nie! Nie pozwalam!

I uderzył. Potężnie, z całej siły, jaką potrafił zebrać. Żeby przestało boleć. Żeby umrzeć. Żeby zabić. Grzmotnął opętane ciało Alysii taką wiązką energii, aż poleciała w tył. Uderzyła plecami o niewidzialną ścianę klatki.

Oszołomiony, obolały Crux zamrugał. Nie stał już na Pustkowiach Nocy. Znow był w swojej pracowni, a na podłodze wiła się, sycząc wściekle, ifra o kształcie Rdzy. Zrozumiał, że demonica szykuje się do uderzenia. Jego jedyną przewagą był moment zaskoczenia. Ułamek sekundy, w którym zaatakował, właśnie wtedy, gdy Danzee nie spodziewała się żadnego oporu. Wciąż nie otrząsnęła się ze zdumienia. Widać wczesne śniadanie, w postaci Corneta, sprawiło jej nagle niemiłą niespodziankę.

Nie miał czasu zastanawiać się, czy wciąż żyje. Wszystko go bolało, więc chyba jeszcze nie umarł. Ale ból nie był już tamtą wszechogarniającą męką sprzed chwili, a Crux znow miał pełną świadomość swojego umysłu i ciała.

I moc, która wciąż gotowała przeklętą krew. Uderzył więc w ifrę drugi raz, zmuszając jednocześnie ociężałe, chwiejne nogi do cofnięcia się poza pręty klatki. Tym razem cios był dla

demonicy tym samym, czym klaps dla tygrysa. Sycząc rzuciła się na Corneta, ale odbiła się tylko od magicznej, niewidocznej ściany klatki.

Kiedy tylko do otumanionego umysłu Calderona dotarło, że wydostał się na zewnątrz, poza obręb mocy Danzee, natychmiast odmówił współpracy. Przed oczami Pana Szubienicy pociemniało, jakby ktoś wyłączył nagle światło. Runął na podłogę pracowni, a ostatnią rzeczą, którą usłyszał był wściekły, pełen zawodu wrzask głodnej ifry.

Majaczył. Widział przed oczami zamazane krajobrazy, fragmenty dawno pożartych przez piasek budowli, o ulotnych, ażurowych kształtach. Spacerował po wodzie rozświetlonej księżycem. Błądził we mgle, a fioletowe konstelacje wirowały nad nim niczym rój świetlików. Krzyczał. Miotał się, targany mdłościami. Umierał w płomieniach, jasnych jak wybuch supernowej. Śledziły go czerwone oczy, pełne iskier, zimne od gwiazd. Ktoś pochylał się nad nim. Olbrzym o ciele z ognia. Błada, widmowa twarz z oczodołami czarnymi jak przestrzeliny po kulach. Daleko, daleko na zapomnianym krańcu kosmosu ktoś krzyczał wysokim, przejmującym głosem ifry.

Tafla rzeczywistości wybrzuszała się, falowała, przynosząc coraz to nowe, niepokojące obrazy. Przez wiele godzin Cornet Calderon Dellvardan spacerował po krawędzi Prawdziwej Strony i zaświatów, nie mogąc znaleźć drogi do domu.

Potem nadeszła ciemność. Strzępki rozmów, płynne, poszarpane obrazy. W gorączkowych majakach widział zatroskaną twarz Vergena, pełne przerażenia oczy wiernego Falco, sylwetki innych strzyg mieszkających w domu. Ktoś dotykał jego czoła, odwracał powieki, próbował wlać coś w spierzchnięte wargi. Zimne ostrze ukąsiło wewnętrzną stronę przedramienia, chłód wsączał się pod skórę. Przez chwilę Crux znów zobaczył młodego Argonzzo, trzymającego w dłoni dużą, szklaną strzykawkę, lecz ta wizja błyskawicznie rozmazała się i zgasła. A potem ujrzał łagodną, uśmiechniętą twarz Koral. Cudowny, kojący wizerunek, który powinien trwać wiecznie. Niósł w sobie sen, bez omamów i bez bólu. Uśmiechnął się. Mógłby tak śnić bez końca.

Jak przez gęsty opar mgły słyszał stłumione głosy.

„Już lepiej”.

„Dlaczego mi nie zaufałeś?”.

„Falco, musisz odpocząć, krwawisz”.

„Nic mi nie jest”.

„Ja z nim zostanę, idź już”.

Czuł, że się budzi, ale za nic nie chciał stracić Koral. Zacisnął powieki.

Musiał śnić. Śnić. Śnić.

Na dnie oceanu, gdzie spoczywał, zapadła cisza. Spokój brzęczał wysokim śpiewem ifry. Nagle coś się wydarzyło. Perłowe światło rozpełzło się po wodzie. Ktoś krzyknął. Pojawiły się jakieś sylwetki, mroczne, ruchliwe cienie. Jakieś ręce pochwyciły go, szarpnęły brutalnie. Usłyszał trzask, rumor, okrzyk bólu. Wszystkie bodźce docierały do niego powoli, stłumione i niepewne. Teraz już chciał się ocknąć, próbował wypłynąć z dna mętnego, ciepłego oceanu na powierzchnię rzeczywistości, ale nie był w stanie.

Perłowy blask pożarł go niczym głębinowa ryba, a potem znów zapadła ciemność.

Obudził się pośród bólu, półmroku i smrodu. Zamrugał oczami, przekonany, że to kolejny majak.

Ale nie. Betonowa, wilgotna podłoga była aż za bardzo prawdziwa. Ciągnęło od niej zimnem. W zaśmieconym, pustym pomieszczeniu, przypominającym opuszczony magazyn, cuchnęło zgnilizną i zepsutymi rybami.

Leżał w kącie, obok pustej, zardzewiałej beczki po paliwie. Ręce miał wykręcone na plecy, sznur krępujący nadgarstki wpijał się boleśnie w skórę.

Coś było bardzo nie w porządku, zrozumiał otumaniony, zatruty bólem i narkotykami umysł Corneta.

Odpowiedź nasunęła się sama.

Vergen Astus. Parszywy skurwiel zdradził. Oddał go, chorego i osłabionego, prosto w ręce wrogów. Tylko jakich? Sykstusa? Kręgu?

Poczuł jak wściekłość budzi się w sercu, odzywa echem w skołatanej głowie. Młody Argonzzo! No pewnie! A on mu zaufał, jak kretyn, jak bezmyślny szczeniak, jakby się wczoraj urodził.

Szarpnął ze złością więzami, zyskując tylko tyle, że głębiej rozharatał skórę.

- Nie rzucaj się, Cornet - usłyszał obok znajomy głos. - Jeszcze nam brakuje, żebyś dostał krwotoku.

Vergen! Podła gnida, ma czelność drwić!

Crux obnażył zęby w grymasie gniewu, targnął głową, żeby zobaczyć twarz gnębiciela. Młody Argonzzo leżał za beczką, z drugiej strony, z ramionami wykręconymi na plecy. Jedno oko miał całkiem zamknięte, pokryte czerwoną naroślą opuchlizny. Krew z rozciętego łuku brwiowego i rozkwaszonego nosa krzepła, pokrywając czoło i policzki osobliwymi barwami wojennymi. Pokaleczone usta wykrzywił gorzki uśmieszek.

- Ale masz wyraz gęby, Crux - mruknął ponuro. - Jasne, myślałeś, że to moja sprawka. Ale nie gniewam się. Nie musisz przeproszać.

Tym razem żadnego „dominusie” ani podobnych uprzejmości. I słusznie. Sytuacja nie była ku temu sprzyjająca. Cornet próbował oblizać spierzchnięte wargi.

- Gdzie jesteśmy? - wychrypiał z trudem.

Vergen wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Sądząc po zapachu, prawdopodobnie w starym porcie.

- Kto...? - zaczął Crux, ale Astus mu przerwał.

- Zaraz zobaczysz, już tu idzie. Na twoim miejscu zacząłbym się modlić, Cornet. Ja już zacząłem.

Rzeczywiście, ktoś się zbliżał. W półmroku zamajaczyły sylwetki kilku osób. Kroki dźwięczały wyraźnie na betonie podłogi. Ktoś zatrzymał się tuż przed Calderonem, zniszczony glan boleśnie szturchnął go w udo.

- Mój słodki braciszek się obudził - syknął kobiecy głos, tak przepojony nienawiścią, aż wokół robiło się lodowato. - No, no. Jak miło. Tyle lat minęło, Cornet.

Zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć. Przed nim stała jakaś wychudzona, nieznajoma ćpunka. Byłby gotów przysiąc, że w życiu jej nie widział. Ostra, wychudła twarz o zapadłych policzkach i wystających kościach policzkowych ściągnęła się w maskę ogarniętej furii harpii. Wyblakłe oczy o maleńkich, skurczonych, nieruchomych źrenicach patrzyły jak ślepiec gada. Brudne włosy nieokreślonego koloru zwisały w tłustych strąkach.

Za kobietą stała banda kilku podobnych posrańców. Crux nie był nawet w stanie powiedzieć, czy należą do Ludu Luster.

Wściekła ćpunka kucnęła, wyciągnęła rękę i trzasnęła go kilka razy w twarz. Mocno, jak facet.

Oszołomiony Cornet potrząsnął głową, wypłuł trochę krwi. Nadal nie miał pojęcia, kim jest ta wariatka.

Roześmiała się chrapliwie, jak wrona, widząc zdumienie w jego oczach.

- Ach, braciszku! Nie poznajesz mnie! Swojej słodkiej, kochającej siostrzyczki! Co za cios! Czy aż tak się zmieniłam?

Pewnie, pomyślał ponuro. W coś w rodzaju upiora.

Przekrzywiła głowę, robiąc groteskowo głupią minkę.

- Nauczysz mnie jeździć konno braciszku? - zaszcebiotała straszonym, zduszonym głosem, niczym laleczka z piekła. - Przeczytamy razem wszystkie te trudne książki, które mi przywiozłeś? Czy może raczej zatańczymy jak ja zagram, co Cornet?

Jęknął w duchu, czując jak po plecach przebiega mu dreszcz grozy. Naprawdę zobaczył upiora. W dodatku upiora, którego sam powołał do życia.

Teraz ją poznał, choć gdzieś podziały się kaskady złotych loków, śliczne kokardki i dziewczynskie sukienki. Przed nim, dysząc żądzą zemsty, spragniona jego krwi, stała Fiona Charlotta Ovex Dellvardan, niedoszła żona Sykstusa i niespełniona matka następcy tronu.

No to po mnie, pomyślał.

Twarz Fiony rozjaśniła się złym, okrutnym uśmiechem.

- Co, teraz już wiesz, kim jestem? Bardzo brzydko się zachowałeś, braciszku. Bardzo. Dławiłam się twoją przekłętą, skażoną krwią, umierając ze strachu i rozpacz. Zawiodłeś mnie. Zdradziłeś. Byłam dla ciebie jak śmieć, jak rzecz, którą można zepsuć na złość Sykstusowi. Ale zapłacisz za to, przysięgam! Będiesz płacił do końca twego parszywego życia. A zadbam o to, żeby trwało długo i boleśnie.

Cornet uśmiechnął się dziko. Nie miał już nic do stracenia. Wściekłość, na którą sobie pozwolił, przynosiła ulgę, tłumiała strach.

- Ktoś musiał wreszcie stłuc tę malowaną, pustą lalę, którą zrobił z ciebie Sykstus. Szkoda, że w środku nie znalazło się nic godnego uwagi.

Poderwała się na nogi, kopiąc go wściekle w brzuch, żebra, uda. Zwinął się z bólu, a ona tłukła go bez opamiętania, aż się przestraszyła, że umrze.

Cornet dyszał ciężko na brudnym betonie podłogi. Złapała go za włosy, pociągnęła brutalnie.

- No jak? Boli?

Zakaszłał, wypływając trochę krwi.

- Mniej niż ciebie bolało przykre przebudzenie do prawdziwego życia - wychrypiał z trudem. - Wciąż płaczesz za utraconym domkiem dla lalek, siostrzyczko.

Znów targnęła go za włosy. Wolną ręką wyszarpnęła zza pasa nóż.

Crux spał wszystkie mięśnie, żeby kopnąć ją kolanem i jednocześnie uderzyć mocą, tak silnie, jak zdoła, kiedy pochyli się, żeby poderżnąć mu gardło, uciąć nos albo wyłupić oko. Ale Fiona ciachnęła tylko długi, rdzawy kosmyk włosów Corneta.

- Zawsze chciałam to zrobić - powiedziała mściwie.

Po chwili Calderon wyglądał jak niezbyt udany strach na wróble, okryty całunem ciemnorudych pasm.

- Pięknie - warknęła. - A teraz zrobię drugą rzecz, na którą miałam od lat ochotę. Ale jest jeszcze ktoś, kto długo czekał na tę chwilę. Czuję, jak bardzo jest teraz szczęśliwy! O, tak, mówi do mnie, słyszę jego cudowny śmiech. Mój kochany, to dzieje się naprawdę! Uwierz mi, za chwilę zaznamy

zemsty!

Piękne niegdyś rysy wykrzywiły się w ekstazie. Zupełnie ześwirowana - pomyślał Cornet z obrzydzeniem. - Do kogo gada?

Fiona trąciła butem nogę młodego Argonzzo.

- Ty mi zostaniesz na deser, zdrajco - syknęła. - Tak samo smaczny jak danie główne.

Astus nie odpowiedział słowem. Jego twarz miała zacięty, gniewny wyraz.

- Zabierzcie ich! - krzyknęła Charlotta.

Sfóra zaćpanych punków złapała Vergena i Cruxa, brutalnie powlekła w głąb magazynu. Młodego Argonzzo ciśnięto po prostu na podłogę. Cornetowi ktoś rozciął więzy, nie przejmując się, że kaleczy skórę. Natychmiast skierowały się w jego stronę lufy czterech mlecznobiałych, magicznych pistoletów. Nawet gdyby był w pełni sił, nie zdołałby zabić samą mocą wszystkich napastników.

- Patrz, patrz słodki bracie!- zawołała Fiona głosem, od którego robiło się zimno. - To on! Mam go. Przeprowadziłam tu, żebyś mógł się radować!

O czym ona, do cholery, mówi? - zastanawiał się usilnie Calderon.

Małeńkie, zasnute brudem i pajęczynami szyby przepuszczały niewiele światła. Zmrużył oczy, żeby lepiej przeniknąć półmrok. I zmartwiał.

W głębokim, wyściełanym fotelu, w cieniu starych skrzynek po owocach, spoczywała mumia. Wychudłe, zaszuszone ciało okrywał szary płaszcz z kaszmirskiej wełny. Dłonie stwora były szczelnie spowite bandażami, podobnie jak kiwająca się na cienkiej szyi głowa. Twarzy nie było. Zastępowała ją jednolita, lustrzana maska.

Cornet poczuł jak dziki strach przechadza się po szczeblach jego kręgosłupa. Wiedział już, kto siedzi na fotelu. Trup, którego zabił dekadę temu. Obrzydliwy, powołany do wtórnego życia martwiak, jaki nigdy nie powinien powstać. Jego brat, Justus Vallegro Dellvardan.

- Widzę, że nie poznajesz tylko niektórych członków rodziny - syknęła mu nienawistnie do ucha Fiona. - Justus nie mógł się doczekać spotkania z tobą, braciszku. Zapewniam. Długo staraliśmy się ciebie wytropić, ale nie dawaliśmy rady. Zrobiłeś się cholernie silny, mój drogi. Martwiliśmy się, że nie zdołamy dokonać zemsty. Ale los nam sprzyjał. Do jednego wroga dołączył drugi, ta podła szmata, Astus. Nasza nienawiść miała teraz podwojoną siłę. Dwóch nieprzyjaciół lśni jaśniej niż jeden. Znaleźliśmy was. Jednak twój piękny apartament otoczyłeś tak potężnymi zaklęciami, tchórze, że nie mogliśmy się wdrzeć. Aż wreszcie nastąpił cud. Oklapłeś jak zdechły robak. Wydarzyło się coś, co spowodowało, że zupełnie osłabłeś, a twoje magiczne blokady prysły. Nie miałeś sił ich utrzymywać. Modliliśmy się, żebyś nie był przypadkiem śmiertelnie chory, umierający. Nie czekając na nic otworzyliśmy portal w twojej sypialni i wyjęliśmy cię, niczym na wpół zdechłe szczenię, razem z tą gnidą Astusem. Co za radość! Tchu mi brakuje z podniecenia! Wreszcie szczęście uśmiechnęło się i do nas!

Calderon gapił się oszołomiony na nieruchomą kukłę w szarym płaszczu.

- Nie możesz z nim rozmawiać - wyszeptał. - Przecież to martwiak! Pies!

Roześmiała się głośno.

- Mylisz się. Jest zupełnie świadomy. Podczas procesu ożywiania użyczyłam mu swojego umysłu. Odtąd tworzymy jedność. On karmi mnie mocą, żeby powstrzymać postępy choroby, którą tobie zawdzięczam, ukochany przyjacielu. Ja jestem jego oczami, rękami i zemstą. Cudowna wspólnota. Wiedziałam, że tak będzie, kiedy tylko wykradłam jego ciało z kaplicy klanu.

Cornet wzdrygnął się z obrzydzenia. Coś równie wstrętne nie przyszłoby mu nawet do głowy.

Już spenetrowanie umysłu psa, żeby wyciągnąć informacje, było ohydną czynnością. Ale dzielenie świadomości z trupem, karmienie się jego martwą mocą wydawało się niemożliwą do zaakceptowania obrzydliwością. Usłyszał zduszony, pełen niedowierzania jęk Vergena.

Cofnął się odruchowo, zadrżał ze zgrozy.

- Fiona - szepnął. - Ty nie jesteś zwykłym potworem. Ty jesteś chora, oszalała jak karaluch po wybuchu atomowym.

Musnęła jego wystrzępione, nierówno powyrzynane włosy

- Ciesz się braciszku. To ty mnie stworzyłeś, prawda? A teraz wreszcie pobawisz się ze mną, tak, jak ja chcę. Nie będziesz mógł się wymawiać, że brakuje ci czasu. Owszem, czasu będziesz miał teraz pod dostatkiem.

Szarpnęła za materiał koszuli na piersi Corneta, rozdarła. Guziki odpadły, materiał jak brudna szmata upadł na podłogę. Ale talizman z zielonego kamienia wciąż dyndał na piersi Cruxa.

- Przywiążcie go! - rozkazała.

Dwóch osiłków powlokło Corneta do poziomej, metalowej szyny rozpiętej na stalowej konstrukcji. Kiedyś musiał to być jakiś element podajnika albo inne cholerstwo. Ponurzy podwładni Fiony mocno przywiązali nadgarstki Cruxa do poprzecznej belki.

Niedobrze, pomyślał. Cholernie niedobrze. Przecież ta nawiedzona suka mnie zatłucze.

Był zbyt osłabiony, żeby uderzyć prześladowczynię nową, jeszcze nie okrzepłą mocą otrzymaną do ifry. Zresztą, co by zrobił z jej przydupasami? Wystraszył na śmierć?

Sytuacja wyglądała na beznadziejną.

Charlotta Ovex uśmiechała się parszywie, jak pitbull przed walką z zającem. Któryś z brudnych punków podał jej bicz z trzema długimi, plecionymi rzemieniami. Poruszała niecierpliwie trzymaną w dłoni rękojęścią, a one tańczyły przed czubkami zniszczonych glanów, niczym tresowane węże.

O kurwa! - pomyślał Cornet. O stara, syfilityczna kurwa. Jestem trupem!

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego - odezwał się niespodziewanie Vergen, który jakimś cudem zdołał usiąść. - Naprawdę nie!

W jego głosie pobrzmiwała autentyczna panika.

Wyblakłe oczy Fiony zwięziły się niebezpiecznie.

- Nie? Właśnie, że tak! Patrz uważnie.

Chlasnęła Corneta przez plecy, wrywając mu z ust chrapliwy okrzyk. A potem wzięła się ostro do roboty. Bicz śmigał w powietrzu, wygwizdując piosenkę zemsty, sypiąc wkoło paciorkami czerwonych kropel. Crux wolałby odgryźć sobie język, niż zacząć krzyczeć, ale w końcu z pokrwawionych, zagryzionych warg zaczęły się wydzierać pojedyncze, stłumione jęki. Krwi było cholernie dużo. Coraz więcej. Zmieniła Calderona i Charlottę w ruchome pomniki z miedzi. Śmierdziała ostro, żelaziście, spływając strugami na podłogę.

Obraz kaźni odbijał się w gładkiej tafli zwierciadlanej maski Justusa, niczym scena z zaczarowanej księgi.

I nagle, w chwili, gdy Crux po raz kolejny nabrał pewności, że dłużej nie wytrzyma, że umiera, zawalił się sufit. Kłęb iskier runął na podłogę, aby w tym samym momencie poderwać się na nogi. Piękne niegdyś, teraz połamane nogi Rdzy.

Wokół głowy ifry, jak osobliwa aureola, strzelały płomienie. Złote oczy były pełne szaleństwa. Ciężkie od wibracji mocy powietrze drgało lekko, jakby demonica niosła w sobie zapowiedź upału. Twarz wiedźmy z Kręgu wykrzywiła nieludzka żądza.

Charlotta krzyknęła, wypuściła z ręki śliską od krwi rękojeść bicz. Stała naprzeciw ifry, cała zbryzgana posoką. Danzee skoczyła.

Odgłosy wystrzałów utonęły w wysokim, przepelnionym pragnieniem wrzasku demona. Podwładni Fiony cofnęli się, na twarzach mieli wypisane przerażenie. Kilkanaście magicznych kul wpakowanych w ciało stwora nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia. Danzee zawahała się tylko przez moment, a potem runęła na niedoszlą żonę Sykstusa. Charlotta zdołała tylko wydać straszny okrzyk, zanim zmieniła się w żywą pochodnię. Ifra przywarła do niej, rozwarte jak do pocałunku usta przycisnęła od twarzy ofiary. Fiona miotła się w uścisku, płonąc w objęciach demona. A wtedy Danzee ją rozdarła. Otworzyła jednym ruchem jak torebkę pełną upragnionej krwi. Bluznęła posoka, ifra piła łapczywie, wcierała sobie czerwień w skórę, wreszcie upadła na podłogę obok trupa i zaczęła się tarzać. Krew miała mniej mocy, pachniała inaczej, ale to przestało być ważne. Syciła. Przywracała siły. Oszalała.

Kolesie stanowiący obstawę Fiony nie czekali tak długo. Prysnęli, gdy tylko władowali w ifrę zawartość magazynków pistoletów. W pomieszczeniu pozostali tylko Cornet, Vergen, Justus i rozszarpane truchło niegdysiejszej Fiony.

Ifra podniosła się chwiejnie. Szalone, złociste oczy śledziły kolejne ofiary. Była trochę zdezorientowana. Niecierpliwie oblizywała ociekające szkarłatem usta. Przybyła tu na zew, wołanie krwi Corneta, łamiąc wszystkie magiczne blokady. Konała z głodu i była zmęczona. Pierwszy kąsek pachniał słodko Cruxem, ale w środku zawierał inny przysmak. Bardziej mroczny, jakby dymny, mniej słodki. Teraz ten sam zapach wydzielał nieruchomy kształt w fotelu. Kusząco, bardzo kusząco. Wprawdzie to pożywienie miało mniej mocy, ale bardziej wytrawny smak. Zdecydowała się.

Podeszła do Justusa, jednym ruchem zdarła lustrzaną maskę. Obrzydliwa masa bezkształtnego mięsa pod spodem nie zrobiła na niej wrażenia. Otworzyła martwiaka. W środku miał mało krwi, za to była gęsta, bardzo esencjonalna. Ifra piła długo, a kiedy uniosła wreszcie głowę, poczuła, że jest prawie nasycona.

Ale tuż obok pachniała inna krew. Ta, której zew usłyszała, po którą przyszła. Smakołyk nabuzowany mocą. Takiej uczyty nie miała od wieków. Znów oblizywała się szeroko.

Półprzytomny, zbolący Cornet nie miał nawet tyle siły, żeby szarpać się w więzach. Przez czerwoną mgłę otumaniającą umysł przedzierały się jakieś bodźce, ale bardzo słabe. Rozumiał, że trzeba się bać, uciekać, bronić, lecz potrafił tylko wisieć za przyszpilone ramiona.

Ifra przeciągnęła się. Widać było wyraźnie, jak pod skórą przesuwają się końce potrzaskanych podczas ucieczki z klatki kości Rdzy. Dla Danzee nie miało to najmniejszego znaczenia. Póki co, ciało działało.

Zbliżyła się do Corneta, węsząc. O tak, nie pomyliła się. To ten.

W kącie Vergen bezskutecznie starał się wyszarpać ręce z więzów. Już przedtem udało mu się przełożyć ramiona do przodu, choć okupił to głębokimi ranami na skórze nadgarstków. Rozszerzonymi ze zgrozy oczami patrzył jak ifra zbliża się do jego pracodawcy. Nie mógł pozwolić, żeby Calderon zginął. Krzyknął ostro, chcąc zwrócić uwagę demonicy. Udało się. Danzee obróciła głowę, obrzuciła Astusa złocistym, straszonym spojrzeniem.

Jak mogła go nie zauważyć! Pachniał tak dziwnie, intrygująco. Czegoś takiego nie знаła. Ciekawość powiodła ją w kierunku młodego Argonzo. Ten smak powinien być niezwykły. Chciała go spróbować.

Otworzyła usta do ostatniego pocałunku. Vergen zdołał wstać. Danzee oblizywała się niecierpliwie.

Dziwny zapach. Zdumiewający.

Przysunęła twarz do twarzy ofiary, lecz wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Smaczny kęs eksplodował mocą. W jednym ułamku sekundy zerwał sznury krępujące ręce, szeroko rozłożył ramiona jakby pragnął przycisnąć demonicę do piersi. Ifra wrzasnęła rozdzierająco, skoczyła na przeciwnika. Eksplozja mocy odrzuciła ją daleko w tył, jak testową kukłę. Lecąc w powietrzu już nie żyła. Zginęła natychmiast, w chwili gdy dotknęła ciała Vergena. Chłopak z jękiem zgiał się w pół i zwymiotował. Trząsł się cały, jakby miał atak tropikalnej gorączki. Potem klapnął półżywy ze zmęczenia, na brudny beton podłogi.

Cornet przez chwilę patrzył oszołomiony na połamanego jak niekochana lalka trupa Rdzy. Żłote oczy zgasły. Zamiast nich w sufit patrzyły przekrwione, wywrócone białka wiedźmy z Kręgu.

Koniec, uświadomił sobie Crux. A ja żyję.

I stracił przytomność.

Obudził go ból. Jak zwykle. Jak teraz i zawsze, na wieki wieków. Choć ostatnio ciągle tak było, jakoś się nie przyzwyczaił. Spróbował się poruszyć, a wtedy niewidzialny potwór, który siedział mu na plecach, rozorał łopatki pazurami.

- Ile razy mam powtarzać, żebyś się nie rzucał, Cornet? - powiedział Vergen Artus. - Trzeba słuchać swojego lekarza.

Calderon rozejrzył się mętnie wokoło. Otoczenie wydało mu się znajome. Leżał na brzuchu, w łóżku, we własnej sypialni. Gdyby nie poharatane plecy i krwawe bransolety na nadgarstkach wszystko, co wydarzyło się w opuszczonym magazynie, mogłoby być koszmarnym snem.

- Coś ty za jeden, Vergen? - zapytał słabym głosem. - Bo nie syn prześladowanego klanu Argonzzo, co?

Był tak wykończony, że mówienie przychodziło mu z trudem. Ale żył i najwyraźniej na razie był bezpieczny. Ta świadomość dobrze wpływała na otumaniony umysł.

Astus uśmiechnął się krzywo. Jego twarz wciąż przypominała worek treningowy, więc Cornet nie mógł wiele czasu przeleżeć nieprzytomny.

- To trochę skomplikowane.

Crux spróbował unieść głowę.

- Słuchaj... - warknął, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie groźnie.

Vergen uniósł uspokajająco dłoń obwiązaną kawałkiem bandaża.

- W porządku, nie denerwuj się, już wyjaśniam. Masz rację, nie należę do rodu Argonzzo. Kłopot w tym, że według waszych praw nie należę do żadnego rodu, Cornet. Moja matka była wiedźmą z Kręgu. A ojciec śmiertelnikiem.

Calderon prychnął gniewnie.

- Nie drwij, Astus. Jakoś nie jestem w nastroju!

Młody Argonzzo westchnął.

- Wcale nie drwię, przyjacielu. Mówię, niestety, cholerną, pieprzoną prawdę.

Crux przygryzł wargę. Nie przypuszczał, żeby Vergen kłamał. Ale to, co opowiadał, było nieprawdopodobne.

- Dziedzictwo Ludu Luster przenosi się tylko przez ojca - powiedział.

Astus skinął głową.

- Moja biedna mamusia też tak myślała. Cóż, pomyliła się.

Zmęczony Cornet przymknął powieki.

- To niemożliwe - szepnął. - Ktoś ci nawciskał kitu.

Vergen pochylił się nad łóżkiem.

- Jak myślisz, dzięki czemu zabiłem ifra? Zamiłowaniu do poezji czy medycyny? Zastanów się, Cornet. Znasz kogokolwiek, kto mógłby tego dokonać? Twój ojciec? Krąg? Ty sam? Ktokolwiek?

Nie, pomyślał Crux. Z całą pewnością nie. Nawet starożytnym nie starczyło siły, żeby zabić demony, dlatego wepchnęli je między cienie.

- Czego chcesz ode mnie?

- Poczekaj - powiedział Astus. - Zaraz do tego dojdziemy. Moja matka nazywała się Ashiko Zeerven Sekkura, wstępując do Kręgu przyjęła imię Agat. Słyszałeś o niej?

Calderon zastanowił się. Tak, chyba coś słyszał. W swoim czasie Agat była dość słynną zdrajczynią Kręgu. Podobno uciekła na Złudną Stronę, żeby żyć ze śmiertelnikiem. Wybuchł wielki skandal, a organizacja nie przepuściła, zanim nie dorwała winowajczyni. Ashiko i jej kochanek zginęli.

- Romantyczna historia - mruknął Cruz. - Ale co ma ze mną wspólnego?

- Sporo - uśmiechnął się Astus. - Łączą nas wspólne cele i wspólni wrogowie.

- Doprawdy?

- Z pewnością. Nie zgadniesz kto zabił moją matkę i ojca. Wcale nie Krąg. Hariett Sybil Senco Luttern, dzisiejsza Syche, szefowa tego parszywego interesu. Okupiła tym sobie wejście do Kręgu, bo przedtem organizacja nie chciała jej przyjąć. Na szczęście nie wiedziała o moim istnieniu, bo gryzłbym już piach, jak mama i tata. Wychowała mnie rodzina ojca. Nazywał się Vernon. Anders Vernon. On i matka, to była wielka, szalona miłość, jak przystało na tradycję Ludu Luster. Wiedzieli, jakie grozi im niebezpieczeństwo. Zgodnie z ich życzeniem, gdyby zginęli, miałem się dowiedzieć o dziedzictwie krwi od moich dziadków. Tak też się stało. Przez jakiś czas było dla mnie źródłem niezłego szoku, przyznaję. Staralem się wtedy żyć jak śmiertelnik, ale zaraz zaczęły się kłopoty. Różniłem się od rówieśników. Z każdym rokiem stawałem się bardziej inny. No i nie starzałem się jak trzeba. Wtedy wiedziałem już mnóstwo o Prawdziwej Stronie. Podąłem się za odnalezionego potomka klanu Argonzzo i tadam! Oto jestem!

Cornet z trudem przełknął ślinę. Był zbolący i wyczerpany. Nie rozumiał do czego dąży Astus.

- Do rzeczy - szepnął. - Męczysz mnie.

- Cholera, co ze mnie za lekarz! - pokazał w uśmiechu zęby. - Dobra, już mówię. Mam nieprawdopodobną moc, której nie kontroluję. To magia odziedziczona po matce, w dodatku czarownicy. Nie panuję nad nią. Odzywa się czasem, w momencie wielkiego stresu i robi, co chce. Teraz zabiła ifra. Nie mam pojęcia kiedy się znów obudzi i po co. To bardzo niekomfortowa sytuacja. Może gdybym urodził się dziewczynką, byłoby łatwiej...

Urwał, zamyślony.

Crux zaśmiał się cicho.

- Co mam niby zrobić? Przerobić cię na dziewczynkę?

Vergen też zachichotał.

- No, do tego bym raczej nie dopuścił. Naucz mnie kontrolować moc. Tylko o to proszę.

Cornet parsknął.

- Oszalałeś? Nie udzielam prywatnych lekcji. Jeśli już, to tylko wrogom.

- Pomogłem ci. Sprowadziłem dla ciebie ifra, doprowadziłem do tego, że oczyścił cię z części

truczny, uratowałem ci życie. Mógłbyś być trochę bardziej uczynny, dominusie.

- Kręciłeś też z Fioną. Nie udawaj, że nie. Nazwała cię zdrajcą.

Vergen przygryzł wargę.

- Bo ją zdradziłem. W jej mniemaniu, oczywiście. Zrozum, nie mam się do kogo zwrócić. Dla każdego starszego rodu jestem obrzydliwszy od strzygi. Nie znieśliby, że oddycham tym samym powietrzem. Każdy porządny przedstawiciel Ludu natychmiast by mnie zabił. Wiesz o tym, prawda?

Cornet musiał w duchu przyznać, że Astus mówi do rzeczy. Zginałby z ręki każdego, nawet pomniejszego naczelnika z prowincji.

- Zwrócić się do Kręgu, to jak wleźć w łapy diabłu. Ci także natychmiast by mnie zabili albo uwięzili, żeby przeprowadzać eksperymenty. Rola królika doświadczalnego nie przekonywała mnie, Crux. Nie mogłem się też bez końca ukrywać w klanie Argonzzo. Oprócz tego, że było to wpadnięciem z deszczu pod rynną, bo wierz mi, Krąg nadal zaciekle szuka medyków z tego rodu, bałem się ryzykować. Moja szalona moc mogła eksplodować nagle, w bardzo nieodpowiednim momencie. A przybrana rodzina załatwiłaby mnie natychmiast, jak szczura. Dla wszystkich jestem obrzydlistwem. Jediną szansą pozostawali więc renegaci z potężnych klanów. Czyli ty i Fiona. Dobra, przyznaję, na początku postawiłem na nią. Wydawało mi się, że łatwiej będzie ją kontrolować. Ale to wariatka, Crux. Szybko zaczęła mnie przerażać. Uciekłem, kiedy sprowadziła truchło Justusa. Nie wiedziałem, co chce z nim zrobić, przysięgam. Obawiałem się, że zmusi mnie, żebym przerabiał te cuchnące, na wpół rozłożone zwłoki na psa. Tego było za wiele. Zwiąłem do starego Ernstena, czyli właściwie do ciebie. Zrozum, wybrałem Charlotte jedynie z szacunku dla ciebie. Nie sądziłem, że dasz się zrobić w konia.

Calderon milczał przez chwilę.

Ale dałem, pomyślał gorzko. Jak dzieciak. Chłopie, co za wstyd.

- Wiedziałeś, gdzie ukrywa się Fiona. I nie powiedziałaś mi - rzucił gniewnie.

Vergen spuścił wzrok.

- Prawda, wiedziałem. Ale nie mogłem ci jej wystawić, zanim ifra cię nie przeprowadziła. Dobra, szczerze. Musiałem mieć kogoś w odwodzie, gdybyś nie przeżył.

Crux zgrzytnął ze złości zębami.

- Jej też obiecałeś przywołać leczniczego demona?

- Nie. Bałem się jej. Postanowiłem odprawić rytuał tylko w ostateczności. Obiecałem jej mgliście jakieś lekarstwo.

- Wiedziałeś też, że ifra będzie zdolna połamać blokady i pojawić się jak diabeł z pudełka, wiedziona zapachem mojej krwi?

Vergen westchnął.

- Nie byłem pewien. Ale spodziewałem się. One wariują od krwi. Zaślepieja je. Klatka okazała się za słaba. Danzee nie wyrwała się od razu na wolność, bo ona też osłabła po transfuzji. Miałem nadzieję, że odeślę ją z powrotem w cienie, zanim zdąży się zregenerować. Chciałem najpierw nabrać pewności, że z tobą wszystko w porządku. Co cię podkuśiło, żeby przechodzić samemu? Mogłeś zginać, wykrwawić się na śmierć. Dobrze, że Falco cię znalazł. Ratowaliśmy cię ze dwie godziny. Mało brakowało, a byłbyś się przejechał na przeciwległą stronę tęczy, wariacie. Wysłałem go potem spać, bo był wykończony. Miałem zostać przy tobie do rana, ale z pierwszym brzaskiem twoja uroczą kuzynka otworzyła portal. Nie zdążyłem nawet stęknąć. Resztę znasz.

- Może jednak lepiej byś wybrał, stawiając na Fionę - mruknął Cornet.

Vergen się zachnął.

- Nie, no co ty! Okazała się tak szalona, że nic z tego by nie wyszło. Obawiałem się zaufać komuś takiemu. A po numerze z Justusem miałem jej całkiem dosyć. Ciebie lubię, ona budziła we mnie niechęć i obrzydzenie. Zresztą łączy nas o wiele więcej interesów. Ja chcę się zemścić na Syche i całym Kręgu. Tobie też Krąg podpadł. Bez jego zgody Rdza nie mogłaby sprowadzić Fergususa do Koral.

- I o tym wiesz, draniu? - westchnął Cornet.

Vergen skinął głową.

- Wiem o wiele więcej. Syche szykuje się na ciebie. Chce cię zniszczyć. Razem ją pokonamy, rozpieprzymy cały Krąg!

Oczy Calderona zwięziły się niebezpiecznie.

- I co potem? Kto zajmie miejsce organizacji? Może ty?

Astus wzruszył ramionami.

- Może. Miałbym odpowiednio dużo siły. Przywróciłbym władzę królewską, jak za dawnych czasów. Dominacja Kręgu nie przyniosła niczego dobrego. Ja jestem prawie człowiekiem. Wniósłbym w posagu Ludowi wartości, że tak powiem, humanistyczne. Ale to odległa przyszłość. Na razie chcę głowy Syche. Pomogłem ci dopełnić zemsty. Usunąłem dwóch z twoich śmiertelnych wrogów. Zabiłem potwora, którego stworzyłeś i drugiego, którego pomogłem ci stworzyć. Aha, jeszcze znalazłem dla ciebie lekarstwo na przekleństwo krwi. Tak, to byłem ja, Crux. Pamiętasz, kiedy dowiedziałeś się o „Księdze Wrzasku”? Ze dwa lata temu, u Ernstena, tak? Tylko że Ernten nie miał z tym nic wspólnego. To ja czytałem wtedy poezje Alastusa i zręcznie pokierowałem sytuacją, żeby stary Sykko zapytał, nad czym tak ślęczę. Potem już gadka potoczyła się sama, podkrecałem ją tylko paroma uwagami. Ale ty zlekceważyłeś mnie, Cornet, bo sprawiałem wrażenie słabego głupka. To częsty błąd, jaki popełniacie, wy, arystokraci z Ludu.

Calderon zacisnął usta. Wyglądało na to, że Vergen dał mu gorzką nauczkę. Przez ponad dwa lata Crux dał się manipulować, niczego się nawet nie domyślając. To bolało niemal tak samo jak poranione plecy.

Przyjrzał się szarej, nijakiej twarzy chłopaka. Zmrużył oczy.

- Jak ty właściwie wyobrażasz sobie, że ci pomogę? - spytał wolno.

Astus wzruszył ramionami.

- Znajdę jakiś sposób.

Wtedy Cornet zrozumiał. Uniósł się na łóżku, ale zabrakło mu sił i opadł znów na poduszkę.

- Ty szalony skurwielu! - syknął. - Chcesz, żebym cię przeprowadził! Chyba ci odbiło!

Vergen spokojnie, z uśmiechem, siedział sobie przy łóżku.

- No, prawdę mówiąc, liczę na to. Chyba możesz to zrobić dla przyjaciela. Bo jeśli ja nim nie jestem, to kto?

Wytracony z równowagi, wstrząśnięty Calderon zamknął oczy. Czuł się straszliwie zmęczony i chory. A przy tym chciało mu się śmiać. Takiego wariata jak młody Argonzzo do tej pory nie spotkał.

- Moja krew wciąż jest przeklęta - wymamrotał. - Nigdy nie zgodzę się roznosić zarazy.

Astus rozłożył ręce.

- Ale dla Fiony zrobiłeś wyjątek, prawda?

- To była zemsta!

- A teraz będzie przyjacielska przysługa. Nie martw się, coś wymyślę, żeby się nie zarazić.

Przekleństwo jest teraz mniej aktywne, uśpione. Jeśli nawet mi się nie uda, to pieprzę! Ty potrafisz z tym żyć, ja też dam sobie radę. Zobaczysz, będzie dobrze. Pomożesz mi dorwać Syche i rozbić Krąg, ja ci ułatwię wysadzenie Sykstusa z siodła i porządną zemstę. Przeprowadzisz mnie, nauczysz panować nad mocą, ja wymyślę lekarstwo dla ciebie, albo i dla mnie, jeśli zajdzie potrzeba. Będziemy jak bracia, przyjacielu. Założymy własny klan, a tamci niech się udławiają swoim cholernym dziedzictwem!

Cornet jęknął. Miał dość wariactw jak na jeden dzień.

- Astus, błagam, przymknij się. Jesteś posrańcem, pełnym świrem i tyle!

- Jednak lubisz mnie, Crux.

Znowu miał rację. Wbrew rozsądkowi Calderon naprawdę go lubił. Co nie znaczyło, że zamierzał spełnić prośbę chłopaka. Teraz musiał przede wszystkim dojść do siebie. Potem będzie miał wiele czasu, żeby wszystko przemyśleć.

- Powiedz przynajmniej, że awansowałem na twojego osobistego lekarza. Przecież potrzebujesz teraz lekarza, jak mało kto.

Crux westchnął. W sumie, co mu szkodziło?

- Dobra, awansowałeś.

Nieciekawa twarz Vergena rozjaśniła się jak kwietniowe słońce.

- Super. O nic się nie martw. Odpoczywaj. Wyzdrowiejesz, włosy ci odrosną, moc ifry wyczyści krew. Wszystkim się zajmę, przyjacielu. Nie stresuj się. Jestem w pobliżu. Najlepiej, jak się teraz zdrzemniesz. Wrócę potem. Dobranoc.

Wstał, zaciągnął story w oknach i wyszedł, zamykając cicho drzwi.

Cornet leżał długo w półmroku, nie mogąc zasnąć. Oczywiście nie zamierzał przeprowadzać Astusa. Aż takim głupcem nie był. Ale prawdziwego księcia z Ludu Luster nigdy nie stać na to, żeby odtrącić przyjaciela. Nawet jeśli ten przyjaciel jest pełnym szaleńcem. Musiał wymyślić, w jaki sposób wybrnąć z sytuacji, nie zawodząc zaufania chłopaka. W jakimś sensie naprawdę się do niego przywiązał. Chciał mu pomóc, bez konieczności mieszania mocy. Na razie nie miał pojęcia jak, ale z czasem przecież coś wykombinuje. Astus zasługiwał na szacunek i szczerłość.

Szaleństwo nie jest ujmą.

Zdrada, tak. Zawsze.

Nawet wśród diabłów mieszkających po drugiej stronie lustra.